DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.



Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom IX.

LWÓW.

Nakład i druk E. Winiarza.


BIBLIOTHECA JAGELLONICA

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IX.

I. Żywoty Świętych, legendy i rozmaite historye święte:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historyi polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

VII. Przysłowia i zdania moralne:

Tom IX. 1. Lipca

Nr. 1. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.





Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Męczeństwo św. Felicyty i jej synów.

Za bardzo dawnych czasów żyła w mieście Rzymie wdowa pobożna, której na imie było Felicyta. Dał jej Pan Bóg siedmiu synów, których wychowała ona w wierze chrześcijańskiej i w cnocie a uczciwości.

Za onych czasów panował jeszcze w Rzymie cesarz pogański, i ludzi mnóstwo było pogańskich, którzy nie wierzyli w świętą religię chrześcijańską i w Pana Boga i w Pana Jezusa, ani w żadnych świętych pańskich. Cesarz ten i ludzie pogańscy prześladowali okrótnie chrześcijan, tak iż nikt nie mógł otwarcie wyznawać wiarę świętą, bo go wnet umęczyli.

Owóż pewnego razu dowiedział się cesarz o owej wdowie pobożnej Felicycie i o jej synach. Rozkazał wnet swemu staroście, który się zwał Publiusz, aby wdowę oną ze synami zmusił do porzucenia świętej wiary, i do kłaniania się bożkom pogańskim, które sobie ludzie czynili z gliny i kamienia albo drzewa, i uważali je za prawdziwego Boga.

Publiusz zawołał Felicytę, i rozpowiedział jej o woli i rozkazie cesarza. Potem namawiał ją, aby tak uczyniła, jak cesarz rozkazał. Na to powie mu święta Felicyta:

— Bóg przenajświętrzy chrześcijański jest większym panem od wszystkich cesarzów, więc jego najpierw słuchać mi się godzi, i statecznie wiarę jemu dochowywać powinnam.

Na to zacznie jej Publiusz grozić karami, więc ona odpowie:

— Pan Bóg, którego w sercu mojem noszę, umocni mnie, że potrafię wytrzymać najsroższe kary i nie zdradzę go.

— Kiedy ci taka śmierć miła — rzeknie Publiusz — to idź i umieraj zaraz, ale na coż chcesz dzieciom odebrać to życie, któreś im sama dała?

Zaś wdowa święta powie:

— Dzieci moje żyć będą wiecznie z Jezusem Chrystusem, jeżeli mu pozostaną wiernemi; zaś na wieki zginęłyby i zmarniały, gdyby porzuciły świętą wiarę i stały się poganami.

Ujrzawszy poganin, iż prożbami nic nie potrafi u świętej niewiasty, zaczął jej znowu grzecznie mówić:

— Miejże litość kobieto nad swojemi dziećmi. Patrz takie to jeszcze młode, takie piękne, toć mogą najszczęśliwszymi zostać; niech jeno porzucą religię swoję, to ich cesarz weźmie w opiekę, i da im bogactwa i zaszczyty a godności różne, i zostaną najznaczniejszymi ludźmi w kraju

Na to odpowie matka:

— O jedno życie, o jedną tylko szczęśliwość powinni się ludzie starać, to jest o wieczne życie i o szczęśliwość niebieską. Kto wiarę świętą porzuca, ten utraca życie ono i szczęśliwość wieczną, ten nigdy znacznym i szczęśliwym nie będzie. Do takiego nieszczęścia i do takiej hańby, nie powinna żadna dobra matka prowadzić dzieci swoje.

Potem odwróciwszy się do synów, tak im powie:

— Dziatki moje! widzicie to niebo tak piękne? Tam was czeka Jezus Chrystus. Wytrwajcie w wierze świętej, a zbawicie dusze wasze.

Za te słowa kazał pogański starosta katować biciem niewiastę świętą, a widząc iż z nią nic nie potrafi, zaczął nama-

wiać synów po jednemu, aby go usłuchali, porzucili wiarę chrześcijańską i kłaniali się bożkom pogańskim.

Na takie namawianie odrzekł najstarszy syn January:

— To co mi doradzasz, jest bezbożność, i mam nadzieję, iż mnie Pan Jezus uchowa od niej.

Starosta kazał mu za to szarpać ciało rózgami i rzucić do więzienia, a zawołał drugiego brata.

Ten zwał się Felix, i nie dał się także namówić, ale odpowiedział poganinowi:

— Jednemu tylko Bogu niesiemy ofiary, i nigdy nie zapominamy wiary winnej Jezusowi Chrystusowi. Więc największemi nawet okrócieństwami nie potraficie nam odebrać wiary naszej świętej.

Zaś trzeci syn Filip odpowiedział:

— Jeden tylko jest Bóg prawdziwy, a wasze bożki są bałwany jeno, którym wstyd i nierozum kłaniać się a składać ofiary.

Starosta okrótnie się rozgniewał i wściekał, a potem rozkazał przyprowadzić czwartego syna Sylwiana, który mu odrzekł:

— Śmierć nic nie jest strasznego, ale straszne jest wieczne potępienie. Jakżeż moglibyśmy bać się śmierci, a nie lękać się wiecznego potępienia?

Kiedy przyprowadzono piętego syna Alexandra, rzecze mu starosta:

— Młodzieńcze! miej litość nad sobą, ocal życie twoje; pokłoń się bożkom naszym, a będziesz mieć łaskę cesarza.

Ten odpowiedział:

— Ja służę potężniejszemu panu jak cesarz, bo Jezusowi Chrystusowi. Ja noszę jego w sercu, uwielbiam ciągle i chwalę ustami. Także chcę zostać wiernym Bogu mojemu, więc nie uważam na młodość moją.

Potem do szóstego syna Witalisa powie starosta:

— Ty masz za wiele rozumu, abyś miał szukać śmierci niepotrzebnie.

Zaś ten odrzekł:

— Prawda iż kocham życie, ale nad to życie kocham Boga mojego.

Kiedy stanął przed starostą najmłodszy syn Marcyal, zaczął go on namawiać i straszyć okrótnemi karami. Wtedy odrzekł ostatni syn zacnej niewiasty:

— Gdybyś ty wiedział starosto, jakie okrótne męki są dla tych przygotowane, którzy bałwanom się kłaniają a nie wierzą w Boga prawdziwego, tobyś mnie pewnikiem nie namawiał do grzechu.

Starosta kazał ich katować i męczyć, a potem poszedł do cesarza i uczynił mu sprawę. Cesarz poganin skazał wszystkich na śmierć. Więc najstarszego zabito kijami, dwóch maczugami, czwartego rzucono głową na dół do przepaści, a trzech najmłodszych ścięto mieczem.

Matka tych męczenników modliła się za nimi, aż ją na ostatek także ścięto, i poszła do nieba za dziećmi, i razem z niemi została świętą męczenniczką.

Pamiątkę ich męczeństwa obchodzi kościół święty 10 lipca, a wszyscy prześladowani i umierający po męczeńsku za wiarę, mają w nich patronów świętych.

Patrzcież moi mili, jaka to dziwnie piękna dla nas nauka.

Ta święta matka jest pięknym przykładem. Nia żałowała ona dzieci swoich dla dobrej sprawy jeno dla złego. Pokazała ona, iż największem nieszczęściem nie jest śmierć, jeno grzech. Zaś śmierć za wiarę świętą jest szczęściem, bo za taką śmierć otrzymuje człowiek zbawienie duszy i żywot wieczny.

Kto za mnie umiera, ten ze mną wiecznie żyć będzie, a kto się mnie wyrzeka, tego i ja się wyrzeknę — powiedział Chrystus Pan.

Otóż moi mili, ztąd taka idzie nauka, iż człowiek każden, każden chrześcijanin powinien mocno stać przy świętej religii, powinien on tak kochać Boga i wiarę, żeby nawet gotów był umrzeć lepiej, aniżeli zdradzić Boga lub wyprzeć się wiary swojej, powinien on zgoła taki być dobry chrzescijanin, jak święta Felicyta i jej synowie.

Zaś aby takim był, niech się modli do nich o opiekę i błogosławieństwo, najbardziej teraz, kiedy niebawem będzie ich święto.

Śpiewka o żniwie.

Srebrne kłosy, złote kłosy, chylą się po błoni,
Przepióreczka gospodarna między brózdy dzwoni:
Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć
Dobrzy ludkowie;
Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć
Po dobrem słowie.

Srebrne kłosy, złote kłosy, a dyć się czerwienią,
Niby listki na brzezinie hen pożną jesienią,
Hejże, hej! co też to?
Ludzie pytają,
Dobro li czyli zło
Te kłosy rają.

Zturbowany ludek chodzi, i duma i gwarzy,
I modli się już i w trwodze patrzy co Bóg zdarzy,
Aż tu kłosy — cud! cud!
Z szumem powieją
I gadkę między lud
Taką rozsieją.

Srebrne kłosy, złote kłosy, temu zczerwieniały,
Bo na ziemi tej ludziska dużo krwi przelały
A to czerwonej krwi
I z polskich dzieci,
Więc też krew złoto ćmi
I srebro śnieci.

Dzieci krew do nieba woła, hej bracia, ojcowie,
Jedzcie chleb zaczerwieniony, parobcy, gazdowie,
Żniwo chleb krwawy da
Boć to już i czas,
Nasze żniwo, kosy ha!
Hej! ha! kosy wraz.

Srebrne kłosy, złote kłosy ścięte już na błoni
A przepiórka gospodarna jeszcze ciągle dzwoni:
Pójdźcie żąć, pójdźcie wraz
Dobrzy ludkowie,
Kosy wraz, bo już czas
Po krwawem słowie.

Kościółek w Kamionce wielkiej w Sądeczyźnie.

Nowy włodarz Kamionki obejrzawszy gospodarkę aż się wzdrygnął; boć niepocieszne na wstępie usłyszał nowiny. Było to na przednowku, ludzie jedli miętkę i oset młody a nigdzie w świecie nie było ról tak czystych i wypielonych jak tam, bo głód je pielił, i ubóstwo na strawę. Było to w parę lat po onym strasznym głodzie i pomorku, jaki pamiętają jeszcze dobrze ludzie. Wtedy trzecia część wioski wymarła na durzycę pogłodową, a ośmdziesiąt kilka wymarłych chałup stało pustkami, nawet je zamknąć nie było komu. Pozostali jedli znowu trawska i owies zomełłciem, więc się chwiali, puchli i padali. Kto zaś nie marł głodem, zalewał się gorzałką, nabytą zwykle za drzewo kradzione w lasach dworskich lub sąsiedzkich sołtysich i ruskiego ościennego xiędza. Kościółek murowany smutno wyglądał. Staroświecki piękny ołtarz wielki roztrzepany poniewierał się pod okapem i w kostnicy, a piękne malowidła na złoconem tle stały w kruchcie niezamkniętej, oparte o ścianę. Posadzka kamienna gdyby kamieniec nierówny; na chór drabina przystawiona i tylko ściany pomalowane od biedy. Szkoła stała pustą a na jedynej ławce prosiętom nać krążano. O uczniach ani mowy, ledwo pięcioro czy sześcioro mógł do kupy zebrać pleban miejscowy.

A przecież xiądz pleban życzliwym był dla ludu i radby był otrząść go z biedy i nędzy, i rad był nauczał dzieci w szkole i w sadzie i pasiece, a sadownik to zawołany i pszczelnik nie pośledni. Lecz trudno! Wioska niegdyś kościelna, później kameralna, w końcu prywatna, w której na 700 mieszkańców było 3 gorzelnie, 7 karczem a propinacya szła 750 renskich srebrem, taka wioska musiała marnieć. Przecież czwarta może część dzieci były same głuptaki i sietniaki, a lada baba umiała ugasić wódkę, jeżeli się komu w gardle zapaliła. Więc też mimo dobrej xiędza chęci nie było ni Bogu chwały ni ludziom pożytku.

Nowi dworu mieszkańce naradzali się z xiędzem, jakby poradzić na tę biedę. Uradzono zacząć od kościoła; dwór wziął

na siebie część i nie czekając sprawił do kaplicy obraz duży malowany na miedzi o złoconych ramach a piękne starożytne malowania wielkiego ołtarza naprawiono. Lecz gromada ani rusz; bogatsi pili, biedniejsi marli głodem. Do roboty wysyłano same dzieci. Tak schodził rok i drugi.

Dwór postarał się o dobre letkie pługi, do czeskiego ruchadła dodając trzusło z boku witką żelazną do prostego grądziela mocno przymocowane, a dobrze w zagon puszczone. Lemiesz wygięta należycie, przybliżona do płużycy tak, że nie przewracała tylko dobrze stawiała skibę. Po nad lemieszową blachę zaś skośno do góry szła drewniana okładniczka wisząca, przymocowana do słupicy i do rogu prawego, ale nie poziomo tylko do góry, tak iż podniesioną i pokruszoną skibę do reszty przewracała. Takich pługów używają w krajach gdzie gospodarstwo najlepsze na całej ziemi, a często orzą jednym wołem. Dwa więc byczki górskie, niewielkie lecz krępe, bez trudu orały na 6 cali w głąb, byle tylko grądziel szedł górą, na wysokim przodku. Czeladź polubiła sobie te pługi, bo to letkie i sprawne i ani wyskoczą ani szarpią.

A dwór starał się o dobrych parobków i przyjął między innymi dwu, którzy za dobrych robotników uchodzili, co się to żadnej roboty nie powstydzą. Jednemu było Klimek a drugiemu Janek. Skoro przyszło wiosnować, obaj dobrzy parobcy. obaczywszy niewidziane dotąd pługi zawołali:

Jo ta! nie bede taką masyną orał!... i dalej w nogi, uciekli od pługów, bydła i drugich parobków.

Co tu począć, kusa rada, czas wielki siać owies. Więc oba Jaśki poganiacze pójdźcie sami! Jeden był synem poczciwego młynarza Jurczyka, chłopiec dobry i usłuchliwy. Drugi zwał się Jasiek Dobosz, a mieszkał przy matce i braci na samych wierchach od nowojowskiej styki, na dworskiem polu.

Biedna to była rodzina. Żyją dotąd i poświadczą sami, jako raz tylko na dzień jadali, a dla powstrzymania głodu popijali letnią wodę i pasem się mocno ściągali. Niechta Bóg broni każdego od takiej biedy. A przecież robić się im nie chciało, woleli tylko kuczeć przy ogniu i dymek łykać, niżeli iść na robotę, choćby na letką. Matka ich tak wychowała i

wraz z nimi biedowała, że pożal się Boże! Więc też czy owoc w sadzie, czy kłósko zboża, czy karpiołek na zagonie, brali bo głodni. Z wielką trudnością i nawet oberwawszy po czuprynie, Bóg świadkiem, że nie ze złości lecz gdy już nie było innego sposobu, bo zapadał w oną otrętwiałość, za którą idzie niemoc i śmierć, zszedł przecie Jasiek do dworu poganiać. Dostał jeść, odżył, więc poganiał, zarabiał i wnet odzyskał siły i krypcie sprawił i koszulę i pas i kapelusz i myślał już o górnicy sukiennej a nawet się wygadał, że jeżeli się nauczy kosić i orać, to się ożeni z Margośką córką zmarłego leśnego dworskiego, z czego sobie parobcy dość nakiepkowali.

Owoż Jaśku Doboszu pojdź sam! poganiaj! a ty orz, tak jak ja. Przypatrz się, pług trzymaj letko, nie spieraj się na nim ani drzym.

Popróbował młynarczyk raz, drugi, i uorał krętą skibę na miękkiem ziemniaczysku. Druga skiba także kręta i trzecia, czwarta lepsza, piąta jeszcze lepsza, coraz lepiej lecz zawsze kiepsko. Ludzie idą na targ do Nowego Sącza, a na każden targ po troje z chałupy chodzi, a wszyscy wraz kupią pół funta soli, ale iść muszą koniecznie gwoli napitku, tak nawykli za dobrych czasów. Więc przechodząc śmieją się, że pan sam orze z dwoma poganiaczami, kiepkują sobie ile sami chcą. A na górze nad Basiagą siedzą obaj parobcy zbiegowie i widząc orkę oną, śmieją się aż ich boki bolą.

— Teraz probójcie sami, a po godzinie przyjdę tu do was.

Po godzinie próby już lepiej idzie. A więc na czyste; sa! brzozoń! sa kwiatoń! — jakoś to będzie. Do południa pokaleczyli chłopcy kawał ziemniaczyska, kiepsko bo kiepsko, lecz zorali.

— Po południu wyjedziecie w ugor, a który się nauczy orać bez poganiacza, dostanie nowy kapelusz i z wstęgą czerwoną na 3 palce.

Od południa parobcy wzięli między siebie Jaśka młynarczyka, jeden mu w orał, drugi rozejmę wyorał, i jakoś szło. Ale Dobosza nie chcieli uczyć, tylko kiepkowali z niego, więc nieborak przeczekał na włodarza i dopiero przy nim nieśmiało jął się pługa, przeżegnawszy krzyżem świętym. Woły ruszyły

żwawo bo były wprawne, bez poganiacza chodziły na słowa sa! lub: heć! — ugór był krewki, pług dobry, więc poszła skiba prosto, druga jeszcze prościej a po kilku skibach szło mu jak chleb z masłem. A zbiegowie parobcy na górze siedząc już się nie śmieli ale się cudowali:

— Widzisz ty! tać te bezkurcye oba orzą! tać oni orzą bez poganiaczy!...

A oba Jaśki orzą a orzą, aże miło. Drobniutki deszczyk zarosił właśnie, kiedy Dobosz wyorał ostatnią skibę prostą, gdyby wymierzoną. Z uśmiechem radości dojeżdża styki i mówi:

— Ej! chyba już potrafię orać proszę Jegomości!

Na to uszłyszał odpowiedź:

— Słuchaj Jaśku!...

— Słucham Jegomości!...

— Ty będziesz orał, bo ot sam Pan Bóg błogosławi twej chęci, i kropi cię deszczykiem wodą, którą poświęcił w niebie. Powinieneś też podziękować panu Bogu, bo odtąd jako oracz będziesz więcej zarabiał, a jak Bóg da to się i kosić nauczysz i siać i Margośka może być kiedy twoją i możesz być gazdą lepszym od twego brata co przy nim siedzisz. Proś że Boga! a na podziękowanie pół reńskiego zanieś xiędzu plebanowi, jako ofiarę na odnowienie ołtarzy.

— A to niechże mi Jegomość dadzą to zaraz zaniosę a potem odrobię. Dostał pieniądze i co tchu skoczył na bliską plebanię; upadł xiędzu do nóg i oddał ofiarę na podziękowanie Bogu, że go pan nauczył orać! — Potem orał dalej i zorał tyle co i drudzy i nie gorzej od tamtych.

Przy wieczerzy parobcy już nie kiepkowali z niego, a wieczorem, pasterka dworska pożyczywszy sobie dwie szóstki pobiegła też na plebanią i dała zdziwionemu xiędzu także na ofiarę na odnowienie ołtarzy.

W sobotę parobcy zbiegowie wrócili jak niepyszni i przeprosili pokornie.

Lecz już nie orali tylko włóczyli bronmi a obaj poganiacze orali dalej.

W niedzielę po kazaniu xiądz pleban z ambony publicznie podziękował Doboszowi i pasterce dworskiej, że najbiedniejsi

najprzód pospieszyli z darem; modlił się za nich o błogosławieństwo boskie i przytoczył słowa Zbawiciela: prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho od igły, a niżeli bogacz do królestwa niebieskiego. A gdy xiądz mówił, to było cicho że mak siej.

Po sumie zasiedli gazdowi w karczmie i rozpoczęła się rada gromadzka.

— Co on sobie myśli ten Jasiek Dobosz! czy on chce całej wsi przewodzić i ta pasterka dworska? — Cóż my to mamy być podlejszego! ja tego nie dopuszczę! ja dam 10 reńskich śrebra na ołtarz! żebym miał jałówkę przedać!...

— Kiedy wy dacie? to i ja dam 10!

— A ja 5 —

— I ja 5 — I my po papierku! zawołali parobcy dworscy!

I w mgnieniu oka złożyli 35 reńskich i zanieśli xiędzu plebanowi.

Uradowany xiądz przybiega do dworu dziękując za dobry początek.

— A więc! w imię Boże! sprowadzić pozłotnika!

— Dobrze! tego pijaka krakowskiego! ale go pan musi do dworu wziąć. Na pustej sali mogą robić, a jak będą pić.. to go chyba cybuchem! —

— Tak i ja myślę! zarobek dać lecz roboty żądać. Doglądnę i poradzę.

W kilka dni przyszedł pozłotnik niegdyś majster krakowski, obdarty i bosy, z synem dorosłym. Przystali na wszystko równie jak i ich żądania przyjęto. Nuż zbierać cząstki ołtarza starożytnego, nuż naprawiać, zbijać, kleić, malować w staroświecki sposób, złocić, lazurować. — Koniec końcem stanął wielki ołtarz, i ołtarz w kaplicy, aż się wszyscy zdziwili. Gromada złożyła przeszło 200 reńskich t. j. 800 złotych polskich.

Starożytny wielki ołtarz stanął na dawnem miejscu poważny i piękny, pobudzając do kornej modlitwy. W kaplicy ustawiono na powrót ołtarz stary. Ludu zchodziło się do kościoła dwa razy tyle co wprzódy, bo każden chciał oglądać swój datek na chwałę bożą. Tak sobie upodobali swój kościółek, że na wyścigi dawali co kto mógł. Do najbogatszych należą: Cępa Jan

i Basiąga Józef. Inny na chleb tyle nie wyda w roku co Cępa na krople i arak, a chodzi zawsze w czerwono wyszywanej koszuli; górnicę zaś na siwo kazał pofarbować i dorobić jej zielony kołnierz wykładany, więc wygląda gdyby karbownik jaki niemiecki. — Basiąga znów wysłużony żołnierz postawił młyn i chce folusz przybudować; więc na obu gromada oczy zwraca — bo obaj hardzi chłopi.

Przy kroplach powadzili się w karczmie, pochwycili za kołnierze, wiodą do dworu:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! Cóż tam powiecie?

— Wielemożny panie! co on mi ma nogi podrywać?...

— .... Co on mi ma podrywać? ja taki dobry jak on!...

— Ja chciał kazać wyzłocić korone na chrzcielnię — on posłyszał o tem i dał zadatek!...

— To wy dajcie zadatek na antepedium,

— ... Ale co on ma mi podrywać?... Ja mu nie daruję!

— Darujcie Panu Bogu antepedium i zemstę, to podobno będzie lepiej, niż diabłu sprawiać uciechę! — Jasiek Dobosz nie z gniewu dał co mógł.

— A jużcić prawda!

— Więc pocałujcie się i idźcie zamówić antepedium.

Pocałowali się, ukłonili i poszli w zgodzie, a krakowski pozłotnik na zgodę i umowę upił się z nimi samotrzeć.

Po ukończeniu robót zjechali się xięża na odpust i bardzo im się podobało. Więc xiądz Augustyniak bernadyn z Kalwaryi miał kazanie pod lipą i mówił do ludu:

Hej! grzesznicy wejrzyjcie w siebie! i bierzcie przykład z tych ubogich Kamionczan! — niedawno marli głodem i gdyby bydlęta nieme trawą i zielskiem żywili dziatwę swą i siebie, bo zapomnieli o Bogu i cnocie, i żyli według zakonu djabła grzesznego. Gdyby nieme bydlęta bezduszne, zapici gorzałką leżeli w błocie po drogach i koło karczmy; a okoł kościelny zarósł chwastem, a ołtarze zwalone poniewierały się pod tym okapem! — Piekło radowało się! anieli płakali. Aż oto, Bóg wejrzał okiem miłosierdzia; biedne pastusze nauczyło się orać i dziękując Bogu, złożyło na ołtarzu owoc dziennego trudu i

pracy; za niem poszło drugie! — za biednem sieroctwem poszli bogaci i dzwignęły się ołtarze pańskie i przyozdobiły się w nową szatę. I cóż się dzieje? Kuba Bogu, Bóg Kubie! — Po latach nieurodzaju patrzcież jak pięknie obrodziły im pola, jak utuczyło się zdrowe bydełko, a dziatwa ich rumiana z xiążeczek Boga chwalić zaczyna! — Hej grzesznicy! dokąd wy się odwracacie od Boga, on się odwraca od was, opuśćcie piekielne ścieżki, wróćcie się ku niemu a zleje na was dary swoje. Za przykład bierzcie sobie tych Kamionczan. A wy Kamionczanie! doznaliście łaski Boga skoroście się nawrócili; lecz doznacie chłosty, nędzy i potępienia skoro popadniecie w dawne grzechy: pijaństwo, złodziejstwo, niecnotę i lenistwo! —

Lud zgromadzony cicho był, że mak siej; ni kaszlem ni szmerem nie przerywał kazania, bo pojmował i czuł mądrość słów. Obcego ludu było nie mało, co ich ciekawość sprowadziła. Więc się to wszystkim podobało. Kamionczanie uradowali się że ich poczczono, a sąsiednie gromady postanowiły odnawiać także kościółki swoje.

Jasiek zaś Dobosz nauczył się kosić i wyrobił się na doskonałego parobka, a w końcu ożenił się z swą Margoską. Nie potrzebuje mrzyć głodu i popijać letnią wodę bo ma co jeść, a dokąd nie opuści ścieżek Boga a nie zacznie chadzać krętemi ścieżkami piekielnemi, Bóg będzie z nim!

Co to jest szczęście?

Dobrze to powiada przysłowie: Pan Bóg wie najlepiej, czego komu potrzeba, i każdemu człowiekowi dał taki stan, jaki dla niego najlepszy. Otóżto rzecz bardzo nierozsądna, kiedy kto narzeka i biaduje na swój stan, zazdrości drugim i nigdy niema ani spokoju ani wesołości. Tym sposobem nie będzie on nigdy pełnił swoje obowiązki jak najlepiej, a kto je nie wypełnia, ten szczęśliwym być nie może.

Jużci każdy przyzna, że szczęście nie jest w tem, aby mieć majątek, aby kieszenie groszem były napchane a brzuch tłustą strawą. Jużci nikt nie powie także, aby ten, co się naje,

napije i wyspi, co to cały dzień Boży przy misce pełnej przesiedzi, albo na zapiecku przeleży, aby taki człek był już szczęśliwym jak się patrzy. To próżniaczysko moi mili, nieroba i leniuch, któremu zasię od prawdziwej przyjemności, a tyle chyba ma on szczęścia co zwierze bezrozumne, co to obżarte legnie w błotnej kałuży.

Otóż widzita moi mili, że szczęście to rzecz całkiem inna od majątku a od jedzenia i napitku. A teraz pomiarkujcie sobie, co też to jest właśnie prawdziwe szczęście.

Jestto najbardziej czyste i spokojne sumienie. Kto ma takiego robaka we środku, co mu ciągle przypomina grzech jaki, ten nie zazna szczęśliwości, choćbyś go obłożył dokoluśka pirogami i jajecznicą, choćbyś go smarował miodem i najlepszą okowitą, a posadził na całym worku dukatów. Takto już Pan Bóg stworzył człowieka, iż potrzebuje on do szczęścia spokoju w sumieniu i ukontentowania ze siebie samego, iż wypełnił swoje obowiązki a żyje uczciwie według przykazań boskich.

Teraz idzie jeszcze o to, jakim sposobem ma człowiek uchować spokój sumienia i jak on ma wypełniać swoje obowiązki.

Jest na to bardzo krótka rada. Każdy człek uczył się przecież religii świętej i umie pacierz. Otóż niech jeno chroni się od wszelkiego grzechu, niech nikomu krzywdy nie czyni, niech będzie bogobojny a sprawiedliwy, więc i sumienie będzie miał czyste.

Zaś wedle drugiego, wedle wypełniania obowiązków, jest taka sprawa. Pan Bóg nie stworzył ludzi dla próżnowania a dla lenistwa, jeno dla pracy. Każdy człek na to jest, aby coś robił, aby był użytecznym, aby słońce po próżnicy nań nie świeciło, a ziemia go nie żywiła. Otóż każdy człowiek ma swoją pracę, swoje obowiązki i swój stan.

Każdy więc człowiek ma najpierw dobrze zmiarkować, do czego też on jest stworzony, a kiej już sobie wybierze pewną pracę i pewien stan, wtedy ma się jąć tej pracy całemi siłami i całą ochotą, a nie zaniedbywać jej nigdy, nie odkładać na czas późniejszy, bo jeno ser odkładany dobry, a więcej nic.

Da Bóg doczekać w zdrowiu, to wam później moi mili dokładnie opiszę, jakie są obowiązki każdego człeka i każdego

stanu. Teraz wam tylko powiem, iż niech jeno każdy swoje robi, niech pracuje w tym stanie jaki mu przypadł, niech się chroni złego i grzechu, a nie będzie pewnikiem narzekał na biedę i na brak szczęścia.

Zaś najbardziej pamiętajcie dobrze, że szczęście nie jest nic innego jeno sumienie spokojne, że tego szczęścia nieda żaden majątek a najbardziej żadna krzywda ludzka.

Pogadanki ogrodnika.

Bartek Marchewka jest już ze czterdzieści lat ogrodnikiem, a iż człek pracowity i pilny, więc doskonale zna swoją rzecz, i doświadczony a zmyślny jak mało. Chodzą też do niego ludziska po radę, jakby procesyą, a on ci każdemu powie sposób i każdego nauczy dokumentnie jak sobie ma poczynać.

Niedawno przyszły do niego aż trzy gosposie od razu, więc Walkowa Bruździanka, Kaśka Fedorowa i Marychna Kuczabowa. Poczną kobiety trajkotać Bartkowi przeróżne skargi.

— A to moiściewy — pytluje Walkowa — te obrzydłe robactwo oblazło mi ogórki i melony, co ich to zawsze bywało furę rozprzedam przez lato, i już nie wiem jak sobie w tem poradzić.

— Zaś Bartoszu przerywa Kaśka — mój śliczny groch cukrowy hen wróbliska rozdziobują, iż mi się na płacz zbiera, że na to nie mam rady.

— Co to znaczy — huknie Marychna — toto mnie kłopot i nieszczęście. A to pomiarkujcie sobie, cosik mi napędziło do ogrodu wszystkie szczury i króliki z całej wsi, i tak mi borykają grzędy i pustoszą jak Moskale. A to już skaranie Boże powiadam wam, i żebym to choć jednego mogła ująć w garść, a dałabym mu za swoje.

Bartek wysłuchał spokojnie, a jak się już babiny wygadały, powie im:

— Zaraz ja wam dam lekarstwo na te wszystkie nieszczęścia. A to niech sobie każda kupi pieprzu za kilka groszy

i niech go utłucze na proszek. Więc wy Walkowa okurzcie nim wasze melony i ogórki, a robactwo nie tknie się już ich więcej. Zróbcie tak samo Kaśko, a już wam wróble nie będą gospodarować i płakać nie będziecie. Także i wam Marychno zda się ta rada, a jak wygrzebaną ziemię posypiecie pieprzem utłuczonym, to się króliki i szczury wyniosą za dziewiątą górę.

— Ej! czy to nie żartujecie Bartku, — zapytają kobiety zafrasowane.

— A no — mówi Bartek — toć ja przesięgać na to nie mogę, ale wiem że mi się ten sposób nieraz nadawał. Zaś popróbójcie na sobie, i weźcie na języki trochę pieprzu, a zobaczycie jakie to mocne, że aż oczy na wierzch wyłażą i językiem nie można w gębie obrócić. Ta i czegoby się chwytały takiego przysmaku owe zwierzątka a nie uciekały przed nim.

— A no sprobujemy powiedzą gospodynie, i pożegnawszy Bartka, chciały już odchodzić. Wtedy zawoła na nich stary ogrodnik śmiejący:

— Zasię moje miłe, a pamiętajta że to także dobre lekarstwo na bezbożny język, kiej się nadto rozigra a miele bez potrzeby.

— Poczekajta figlarzu stary, znajdziema i na was despekt— zawołały babiny, i także śmiejący poszły do domu.

Inną razą a jeszcze na wiosnę zeszedł się Bartek na łące z Wojtkiem Bałandą, który właśnie obchodził swoją łąkę, i drapał się w głowę okrótnie zafrasowany.

— Co ci to Wojtku — spyta ogrodnik — ta czegoś taki zafrasowany?

— Ba! — mówi Wojtek — a czegóż nie mam się frasować, kiej mnie już ta łąka okrótnie mierzi, bo trawa jak zaklęta nie rośnie; jeno ten mech obrzydliwy, a paszy mi co roku zabraknie.

— Wielka rzecz powie Bartek — niby to tak trudno poradzić sobie.

— Jużci że trudno, kiedy człek nie zna sposobu — odpowie Wojtek.

— Sposobu nie znajdziesz na drodze, ale trzeba o niego popytać ludzi, to i mieć go będziesz. Ot patrzaj, ta łąka za wilgotna, więc wykop najpierw rowy dla osuszenia. Zaś potem wybronuj łąkę doskonale, bo to pomaga trawie rosnąć i wyzbieraj mech, który trzeba zgarnąć i albo spalić albo na oborę wziąć na podściułkę. Kiej się z tem dobrze sprawisz, to nakoniec rozsiej bo łące mieszaninę z popiołu i wapna, a trawa urośnie ci jak las.

Wojtek posłuchał, zrobił wszystko tak, jak mu powiadał stary ogrodnik, a teraz ma na łące taką śliczną trawę, jakby ją siał naumyślnie. Cosik temu z tydzień, jak zapraszał Michałka Gazdę aby mu pomógł skosić, bo sam nie mógłby dać rady prędko, a niebezpieczno teraz rachować na długą pogodę i marudzić ze sianokosami.

RÓŻNOŚCI.

Do czego prowadzi nauka. Niedawno uczynił ojciec święty Kardynałem pewnego xiędza francuzkiego Billeta; xiądz ten jest synem wieśniaka, i w młodości aż do pietnastego roku pasł owce ojcowskie. Zaś przez naukę i uczciwość doszedł do tego, iż teraz jest jednym z najznaczniejszych panów i xięży. Patrzcież moi mili, do czego to prowadzi nauka.

Urwanie chmury. Dnia 10 czerwca była w okolicach Podhajca w obwodzie Brzeżańskim okropna kurza, i urwanie chmury. W kilku chwilach urosły potoki i suche zazwyczaj rowy w strumienie, woda wciskała się do wielu domów i cała prawie okolica stanęła pod wodą. Jużci jest z tego szkoda znaczna, najbardziej w zasiewach i jarzynach ogrodowych, a także zginęło 5 dzieci wiejskich, które się przed burzą schroniły do kanału przy gościńcu, a woda je uniosła i zatopiła.

Pożary. Dnia 20 czerwca wieczorem uderzył piorun we wsi Rzeczyce w obwodzie żółkiewskim, w stodołę kmiecia Hrynia, a iż był wiatr straszny, ogień zniszczył 12 chałup z budynkami gospodarskiemi. Szkody jest na 20 tysięcy reńskich.

Zaś w Kamionce Piratyńskiej w tymże obwodzie powstał 25 czerwca ogień przez nieostrożne strzelanie podczas wesela, i spalił dwa domy kmiece a 13 budynków gospodarskich. Szkody jest także na 8 tysięcy reńskich.

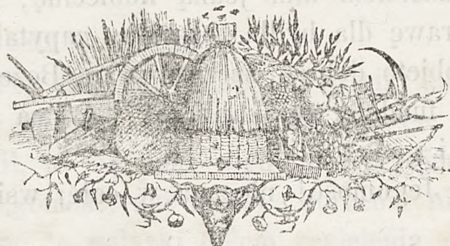
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 2.
11. Lipca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

L. 8.922.

Z c. k. sądu krajowego Lwowskiego w sprawach karnych do Redakcyi pisma „Dzwonek“ na ręce p. E. Winiarza.

C. k. sąd krajowy Lwowski w sprawach karnych zważywszy, że Redakcya pisma dla ludu „Dzwonek“ w numerze 1 tomu IX zamieściła artykuł „Męczeństwo św. Felicyty i jej synów“ z treści swojej poszlakowany o zbrodnię zaburzenia spokoju publicznego w myśl §. 66 kod. karn. i rozporządzenia min. spr. z dnia 19 października 1860 r., postanowił śledztwo karne wytoczyć.

Lwów dnia 8 lipca 1863 r. **Pohlberg.**

Lipa przy kościele.

We wsi Krudowce stoi niedaleko kościoła mała kapliczka z frasobliwym Panem Jezusem. Po jednej stronie rośnie dąb i nakrywa konarami cały dach tej kapliczki, a po drugiej stoi stara lipa, ale to jeno sam pniak wysoki na jakie trzy łokcie, a spodem gałązki zielone koło niego. A widaćci tę kapliczkę zdala o jakie dwie mile, bo to na czystem polu i na równinie jak po stole. Kto ta ciekawy, to pewnie nie pożałuje chodu do tej kapliczki, a zobaczy obraz z frasobliwym Panem Jezusem, jaki dał malować jeden pobożny gazda Piotr Gomołka i wysypałci za to malowanie aż 30 reńskich papierkami. Otóż

i ja jadąc tamtędy na odpust świętego Jana Chrzciciela do Stokłosiny, poszedłem popatrzyć do tej kapliczki, ucieszyłem się obrazem, a zastałem tam jedną kobiecinę, co to sobie po zbożu zbierała trawę dla bydła. I zaraz zapytałem ją:

— Moja kobieto dobra, szczęść wam Boże do dobrej roboty! ale kto to fundator tej kapliczki? A ona przyszła, skłoniła się pięknie i gada:

— O jużto Jegomość! nie ma w całej wsi pamiętnika o fundatorach.

A ja pytam dalej:

— A któż teraz pamięta o tej kapliczce, i kto tu utrzymuje to światło koło obrazu?

Na to powie kobieta:

— Ta, któżby inny jak nie gromada, nie wymawiając tego Panu Jezusowi; na co kogo stać, to niesie na ofiarę.

— To dobrze robi wasza gromada, mówię jej, bo takie figury i kapliczki to powinni ludzie pobożni pilnować, bo to wstyd dla katolików wielki, gdzie po wsi stoją krzyże święte połamane, kaplice bez okna i dachu, i gdzie też nie ma ani jednej takiej duszy, coby też ją serce zabolało na to, że święte rzeczy poniewierają się koło drogi, a nikt się nad niemi nie zlituje.

A dobra kobiecina mówi mi:

— Oj Jegomość! u nas ta inni ludzie, i o kościół dbają, i krzyże fundują, a jak się co zepsuje w tej kaplicy, to wójt z gromadą złożą jałmużnę na to, i zaraz naprawią bez pijatyki i hałasu. To też nie ma obrazy Boga, jeno raz pokarał Pan Jezus strasznie tę gromadę, a już to temu dawno i ja tego już nie zapamiętałam.

A ja ciekawy pytam ją:

— No! i jakże to było i cóż to takiego?

Ona przeżegnała się, westchnęła i jęła gadać:

— Oj Jegomość! była tu na tem miejscu wielka bieda kiedyś i straszne pokaranie boskie, tu gdzie stoi ten pniak lipowy zabił sam Pan Jezus aż troje ludzi naraz od strasznego i ognistego pioruna, a to jeszcze ojca, matkę i ich dziecko.

Aż mi włosy na głowie się ruszyły na to straszne gadanie, poszedłem bliżej, opatrzyłem tę lipę starą i widziałem jakiś nito dół nito jamę i gadam przestraszony do kobieciny:

— A to pewnie dla tego nikt tu nie waży się posadzić inne jakie drzewo, jeno to trzymacie na pamiątkę tej kary boskiej.

A ona mówiła z płaczem:

— A gdzieby tam kto sadził co, tu nikt ani się zbliży, tak się boimy tego miejsca koło tej lipy, bo co sam Pan Jezus przeklął i spalił, to się pono nigdy nie przyjmie i nie urośnie, to też widzi Jegomość, ani nawet z korzenia nic a nic nie wyrosło dotąd, jeno te gałązki dołem zazielenią się i zaraz liście opadają, ani też te gałązki nigdy nie rosną większe jakto na innych drzewach, jeno są zawsze jednakie i pokrzywione.

A ja pytałem dalej:

— A na co te doły koło tej lipy?

— Te doły Jegomość — mówiła ona — to mają być powiadają starsi, od samego pioruna, to znowu gadają, że tu są groby tych zabitych, a tę kaplicę fundowała dawno gromada, na co się składały i poblizkie wsie.

I kobiecina dobra tak prawiła dalej:

— Otóż widzą Jegomość! stała tu na rogu wsi taka kletka z jednem okienkiem, co to więcej do budy była podobna niż do chałupy. A w tej kuczy siedział dziadowina, babina i młode dziewcze. Nie godzi się gadać, żeby to mitrężyło w dzień boży, bo to miało łazić od rana do wieczora jak stary koń w kieracie, ale cóż to z tego, kiedy to miało ludziskom biednym robić szkody na tyle, że już ani rady temu dać. Ni to siało, ni zbierało, a miało chleb swój i wychowek od nowego do starego, i bąkali ludzie nieraz, że były tam i dukaty w skrzynce na samem dnie schowane.

A ja rzeknę na to:

— Ej! możeto nie prawdę ludzie gadali, bocto przecie wiecie, że nieraz i dziady pozostawiali dukaty jak pomarli, a przecie nie kradli ani cyganili.

— Ale gdzieta Jegomość! — gadała kobieta — toć przecie cała gromada wiedziała o tem, i co to się nakarali tak dziada jak babę, toby tego nie spisał na wołowej skórze, a to dziewcze ich to miało być jeszcze gorsze, tak go sobie wy-

uczyli po nocach robić szkodę na polu, ta to dostało więcej kijów niż włosia na głowie, a w areszcie siedziało to aż pono nogi poodgniwały temu głuptakowi. Ta to karał i nasz xiądz koło kościoła, stało to z snopkami ukradzionemi w niedzielę przed drzwiami kościoła, a ludzie tykali palcami i mruczeli aż strach mówić, a gadają że dziad był w kryminale dwa razy, baba raz, a to dziewcze było bite aż krew sikała, i widzi Jegomość! to wszystko nie pomogło, bo to już było takie złe nasienie, aż sam Pan Jezus dał temu radę i to za jedno Zdrowaś Marya! Ale niech też Jegomość zaczekają, bo muszę polecieć i zadać brzemię memu dziewczęciu z trawą, bo to jeszcze słabizna i nie może udźwignąć, a mogłoby w sobie co oberwać i zachorować.

I pobiegła dobra kobiecina, związała trawę w płachtę, pokrzyczała na głupie dziewczę że dużo napakowało, zadała i jeszcze gadała, aby szło ostrożnie przez ławkę na przekopie, aby nie skakało przez wodę ani leciało, ale szło sobie pomału i odpoczęło przy płocie strykowym i tak coś jeszcze nakazywała, a ja tymczasem obejrzałem tę lipę do około, nadstawiłem ucho lewe do jamy i słyszałem szum jakby wiatru jakiego, i opatrzyłem gałązki które były pokrzywione, i zadumałem się na to, że tu leżało troje ludzi głupich, co to grzeszyło i grzeszyło, aż się temu raz ucho urwało i to potem tak marnie skapało, bo dowiedziałem się już, że pod tą lipą Pan Jezus zabił piorunem ognistym tych grzeszników zatwardziałych.

I przyszła dobra kobiecina zadyszana i mówi:

— Alem sobie zapomniała do kapki, o czem to ja gadała.

Ja jej przypomniał na to i pytam:

— No! jakimże to sposobem zabił Pan Jezus tych obmierzłych szkodników tu pod lipą? Może oni tu stanęli pod lipą kiedy chmura wyszła, a to nie trza nigdy stać pod drzewami jak grzmi, i może ich wtedy zabiło?

Zaś kobieta rzecze:

— Ale gdzieta, gdzie Jegomość! tośto połapali ludzie na szkodzie wszystko troje i zegnali w to miejsce razem, a była tu lipa na miedzy Szymka Jurczaka, ale aby nie pouciekali, to ich razem przywiązali do lipy i postawili wartę i zwołali całą

gromadę na sąd, a nim się gromada zeszła, to wyszło dobre dwie godzin czasu, a miał być xiądz i pan przy tem, ale Pan Jezus sam pierwej osądził i zabił do razu jak muchy marne.

Na to ja znowu mówię do niej:

— No! ale przecie ludzie nie bili i nie męczyli tych oślepionych biedaków, bo sądzić i ukarać sprawiedliwie to wolno, ale bić bez sądu i męczyć to grzech za to.

A ona kiwała głową i gadała:

— O Jegomość! ani palcem nikt nie ruszył, bo ta nasi ludzie nie są tacy jak gdzieindziej, tocto plugastwo robiło szkodę każdemu tyle czasu, a przecie nikt tego nie męczył, ani nikt nie doradzał do tego grzechu, co ukarali to i ukarali jak było potrzeba, ale nie męczyli nigdy, bo to przecie ludzie i katolicy a nie pogany.

— No, toście bardzo dobrze zrobili — mówię do niej — ale że też wartników nie zabiło i nikogo więcej, choć tam musiało być luda dosyć?

Ona mi w ten sens odpowiedziała:

— Bo to była i cudowna jakaś chmura, to pono była jak płachta moja maleńka ale czarna jak węgiel, i jeno odrobinę zahuczało w górze, trzasło w środek lipy i bęc! troje dziadów jak długie leżało na ziemi, a wartnikom zagwizdało jeno w uszach, aż się biedaki przestraszyli i w nogi uciekli. O Jegomość! co to było płaczu wtedy, to sądny dzień, a ludzie szli oglądać jakby na odpust jaki. Wszystko troje mieli obie ręce na troje połamane, a dziad miał gębę wykrzywioną, a babie wyrwało język cały. I aż urząd zjeżdżał na rewizyą i dopiero potem pochowali ich tu na miejscu, to też gadają, że tu w tej jamie ciągle coś płacze, stęka i woła ratunku, i coś się niby kłóci i przezywa, i mają tu pokutować te trzy dusze, i będą tu aż do sądnego dnia, a ta lipa ma doczekać aż do końca świata.

Ja powiedziałem na to w końcu:

— Otóż macie palec boży za robienie szkody, dziadowi wykręciło gębę, bo sam źle robił i namawiał do złego, babie wyrwało język bo także kazała dziewczęciu robić szkodę, a ręce im wszystkim we troje połamało, bo wszyscy rękami tyle

nagrzeszyli. I zostańcie z Bogiem dobra kobiecino, Bóg wam zapłać za takie historye ciekawe, bo i ja muszę jechać.

A ten przytrafunek dziwny i od Pana Jezusa zesłany opisuję wam moi kochani na to, abyście jedni drugim nie robili szkody na polu, w ogrodach, bo na to patrzy Pan Jezus z wysokiego nieba i karze sprawiedliwie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Kołodziej.

— Hej! Macieju kołodzieju
Zróbcieno mi koła,
Bo dziewuchę dobrodzieju
Wiozę do kościoła;
Jeno tam nie bardzo drogo,
Bo dziewkę ubogą.

— Wiemci ja żeś nie bogaty,
Ona nie bogata,
Żebyście nie mieli straty,
Zapłacisz dukata.

— Oj Macieju! co innego,
Zwiodłem cię nieboże,
Toć ja ojca rodzonego
Na smętarz wywożę;
A wyście go majstrze znali,
Boście się kumali.

— Oj chłopaku, nieboraku
Wielka bieda tobie,
To już koła ci biedaku
Za talarka zrobię;
Jeno co drzewo kosztuje,
Pracy nie rachuję.

— Kołodzieju, człeku złoty,
Weź się do roboty,
A dostaniesz trzy dukaty,
Bo wiozę armaty.
Widzisz Francuz tam zdaleka
Na to koło czeka.

— Dosyć chłopcze tej swawoli,
Nie masz u mnie wiary;
Rozgniewał się, lecz powoli
Drzwi uchylił stary,
I ujrzał przed chatą swoją,
Że Francuzi stoją.

— A toć prawda, a niechże ci
Matka Boska świeci,
Nie chcę ja tam brać zapłaty!
I na chłopców woła:
— Bierzcie drzewo na warsztaty,
Robić mocne koła,
Jeno żywo, nie niedbale,
Bo zemkną Moskale.
A ty chłopcze idź wesoło
Do swoich żołnierzy,
I powiedz im że za koło
Nic się nie należy.
Powiedz im że już zaczęto
I że rychło będą mieli,
I dam jeszcze na mszę świętą.
By moskali d..... wzięli.

Teofil Lenartowicz.

O gromadzie w Klimcikowie.

Żył ci sobie we wsi Klimcikowie pijak zawołany, a zwał się Mateusz Kostyszyn. Co kędy zarobił, dalejże z tem do karczmy, przepił do grosza, a w domu Boże zmiłuj się — wielka nędza i niedostatek.

Nic nie pomógł płacz i prośby Katarzyny, jego żony, nie zmiękczyło się jego zatwardziałe serce, gdy widział obdarte i głodne dzieci, Mateusz jak za dobrych czasów pił sobie bez upamiętania.

Ale po niejakim czasie ozwało się przecie sumienie w jego duszy. Poszedł więc do kościoła, a właśnie było tam kazanie o sądzie ostatecznym.

— I jakże staniecie — mówił xiądz proboszcz — na strasznym sądzie wy niedobrzy rodzice, którzy nie dbacie o dziatek zdrowie i przyszłość; jakże staniecie wy ojcowie, którzy zamiast utrzymywać zdrowie swoje dla dzieci i żon waszych, niszczycie je w karczmie, marnotrawicie mienie i okradacie dzieci wasze, które gdy dorosną, wyschłą rękę wyciągać będą musiały po kawałek chleba, po odrobinę ciepłej strawy, którejby miały zadosyć, gdybyście wy ojcowie nie przetrwonili dobytku na pijaństwie, ale owszem przysporzyli go szczerą i uczciwą pracą!... O straszno będzie z wami moi parafianie!.. bo krzyż Pański, który będzie jaśniał na niebie, zamiast zgromadzić was u stóp swoich, odepchnie was od siebie i zginiecie bez pomocy i ratunku w przepaści złych duchów!...

Te słowa do głębi wzruszyły Mateusza, i jak tylko przyszedł do domu, tak się rozżalił niezmiernie, że póki życia postanowił nie chodzić do karczmy. Ale cóż z tego, kiedy to już było prawie za późno. Nie mógł Mateusz tyle zapracować co dawniej kiedy miał czerstwe zdrowie i siły. Zniszczony dobytek chciał teraz naprawić, ale sił już zabrakło. Zapadł w ciężką chorobę, a niebawem umarł wkrótce w okrutnych boleściach zostawiając żonę i dwoje dzieci osieroconych.

Owóż taki koniec czeka każdego, kiedy zawczasu nie chce odwyknąć od jakiego nałogu, od którego się zrazu przy dobrej woli z łatwością odzwyczaić można.

Ludzie żałowali Mateuszową, ale nie długo po śmierci Mateusza spotkało ją jeszcze drugie nieszczęście. Cała chałupina zgorzała do szczętu, a biedna kobiecina musiała u swojej sąsiady szukać przytułku.

Owóż gromada Klimcikowska tak się tem wszystkiem przeraziła, że prawie wszyscy gospodarze przestali pić wódkę, a za to jakie teraz są porządki we wsi, posłuchajcie kochani ludkowie.

Całe sioło wygląda gdyby jakie miasteczko piękne. Domki bielutkie jak śnieg, a w około nich czyściutko i porządnie, że aż miło patrzyć. Każdy prawie gospodarz ma przy chacie ogród piękny, a w nim kilka ulów; przed ulami grządki z kwiatkami, z których dziewczęta wiją wieńce i co niedzielę stroją ołtarze w kościele, a i do włosów zatykają po kilka kwiatów. Za chatą stoją obory, a przy nich gnojowiska w około kołami obsadzone, aby bydło i bezrogi gnoju nie roznosiły i nie paskudziły na podwórzu.

Gdy zaś wejdziesz do chaty, to tam dopiero porządek i czystość. Okienka przeźroczyste, podłoga wymyta, a na ścianach to tyle wisi obrazów, że się człowiekowi duchem wydaje, że wstąpił do jakiego kościoła.

Dlatego też to stary Paweł dobrze do swojej gada:

Oj żonusiu moja miła
Czysto trzymaj dom;
Bo w nieczystym żyć nie zdrowo
I gosposi srom.
Gdy gosposia jak laleczka
Czysty domek ma...
Jużci każdy po podłodze
Rządną żonę zna.

Jednakże przychodzi teraz zapytanie, zkąd ci ludzie tyle rozumu nabrali do głowy? Owóż muszę ja wam o tem rozpowiedzieć.

Skoro tylko przyjdzie niedziela, każdy prawie gospodarz czysto i pięknie ubrany, z xiążką pod pachą idzie do kościoła

na nabożeństwo, a po południu znowu na nieszpór. Zaraz po nieszporze czyja ochota idzie do chaty Antoniego Miazgi, który różności rozpowiada, boć on niemało świata zbiegał i niemało na własne oczy widział, a tak mu to idzie składnie jakby z xiążki czytał.

Poczciwy Antoni tak się już ułożył do pogadanek, że jak tylko przyjdzie niedziela, tak każdy czy młody czy stary, czy to dziewucha czy parobek, czy gospodarz albo gospodyni, wszyscy gromadzą się w jego chacie jakby za jaką powinność, a tak tam ciasno, że niekiedy dla zaduchu ludzie aż na ogród wychodzą. Przychodzi tam także czasem pan nauczyciel i czyta przepiękne rzeczy z gazet albo jakich xiążek, których mają podostatkiem, a to tym sposobem.

Przy pomocy Boskiej i pana dziedzica i xiędza dobrodzieja wyfundowała gromada szkółkę, a przy niej założyła czytelnię. Każdy gospodarz co pół roku daje tylko trzydzieści grajcarów nowych, do czego pan dziedzic dokłada co nieco, a za to kupują różne gazety i xiążki, które każdemu wolno czytać. Zaś najlepiej udaje się to w niedzielę u Miazgi, bo każdy ma głowę spokojną i czas najlepszy. Kiedy nie czytają, gwarzą sobie jedni z drugimi o różnych nowinach, co się dzieje w świecie, o czem donosi pismo: *Nowiny ze świata* nazwane, które w Krakowie wychodzi; albo rozmyślają jakby to poprawić, co dawniej było niedobre, jakby polepszyć gospodarstwo, a niekiedy znowu radzą wszyscy jakby jednego gospodarza z drugim pogodzić bez swarów, kłótni i procesów, które nieraz tyle zachodu i pieniędzy wymagają, a i tak na nic dobrego nie wychodzą. Otóż powiem wam prawdę, że teraz w Klimcikowie, to jakby w raju: nie ma ani plotek, ani zdzierstwa, ani broń Boże żadnego złodziejstwa, wszyscy się kochają i pomagają sobie nawzajem.

A mali szkolarze jak ci się wysypią ze szkółki, to dopiero jest na co spojrzeć. Takie to żywe, wesołe i rozumne, a człek wnet zmiarkuje, że z tego ludzie wyrosną zacni a żadne hultajstwo.

Często też stary Paweł zachodzi małym szkolarzom drogę i tak do nich gada:

— O wy szczęśliwsi będziecie od nas, moi chłopcy, bo będziecie mieć i serce dobre i naukę w głowie, za co was Pan Jezus pokocha i lepszych udzieli czasów. Zaś do swojego syna mówi:

Kiedy będziesz czytać, pisać,
Mój kochany synku,
Nikt nie odrwi ciebie w chacie,
We wsi i na rynku;
Będziesz umiał chwalić Boga —
Nie poznasz co bieda sroga.

Dlatego zaś gada on wierszykami, bo trzeba wiedzieć, że stary Paweł to jak Mikołaj Kowal z Ceblowa, o którym czytaliście w Dzwonku, umie pięknie przemawiać do składu. Żyd na to wszystko patrzy krzywem okiem, ale zdaje mi się, że nie długo będzie musiał ze swojemi bachorami jak nie pyszny uchodzić z Klimcikowa, a gospodarze wyżegnają go jak złego ducha.

Wójt zaś Szymon Mękała widząc Mateuszową z dwojgiem maleńkich dziatek w takiem nieszczęściu, wstawił się u gromady, a więc ten ćwiartkę zboża, tamten trochę drzewa przywiózł z lasu, inny poszył chałupę, drugi ją wylepił, i tak za staraniem dobrego wójta przyszła Mateuszowa do wygody.

A co już pani dziedziczka, to się najpiękniej spisała! Kupiła dzieciaczkom ładne koszulki, a oprócz tego przeznaczyła dla nich trzydzieści reńskich. I myśli sobie dobra pani:

— Dam Mateuszowej te pieniądze, to je przeje albo na co innego obróci i dziatki nie będą miały nic z tego.

Owóż pani dziedziczka zrobiła tak z tymi pieniądzmi. Kupiła za dwadzieścia reńskich krowę, z której będą miały mleko, a po koniec lata będzie od niej ciele, przez co się chudoba pomnoży, a za resztę kupiła dwa prosiaki i wszystko to zapisała na biedne sieroty po Mateuszu.

Co tam teraz wesela, co radości, to wam tego nie jestem w stanie opisać.

Widzicie więc, że gdzie dobrzy ludzie tam i panowie są tacy. Cały Klimcików ładnie się pokazał i godzien jest aby inne gromady brały sobie z niego przykład, i aby wiedziały,

że gdzie zgoda panuje, tam anieli mieszkają; a gdzie niezgoda, tam czarci mają siedzibę i wszystko walą i psują, dla tego też piszą:

Gdzie niezgoda się wkorzeni,
Tam się wszystko w piekło zmieni —
A gdzie mieszka pokój, zgoda,
Tam pomocy swej Bóg doda.

Józef z Bochni.

POGADANKA GOSPODARSKA.

O drenowaniu.

Do pana dziedzica w Chachłucie przyszli gospodarze po jakimś interesie. Gadając to o tem to o owem chodzili po dziedzińcu, kiedy nadjechały fury dworskie, i przywiozły rurki gliniane różnej grubości. Więc zaczął pan dziedzic z gospodarzami oglądać te rurki, a Maciej Wściuba, co to jest człek dziwnie ciekawy do wszystkiego, zapyta wnet:

— Proszę też wielmożnego pana, a do czego też te zabawki?

— Bogać tam zabawki — powie pan dziedzic — toć to rzecz bardzo ważna dla gospodarstwa, bo to są rurki do drenowania.

— Ba! kiejby my wiedzieli co to za sprawa owo drenowanie — powie Wojciech Stateczny, wójt i zamożny gospodarz.

— A to jest moi mili — rzeknie pan dziedzic — taka sprawa, iż rurki te wkopują się na 4 do 5 stóp głęboko w ziemię, tam układa się jedna do drugiej równo i porządnie, a potem macie już całą rzecz skończoną. Zaś rurki te wciągają w siebie wodę z gruntu, której jest za wiele, osuszają tak grunta, pomagają iż powietrze łatwiej dochodzi do środka ziemi, więc czyni ją urodzajniejszą.

— Zaś proszę wielmożnego pana — rzeknie Stach Bąbla, także znaczny gospodarz — to jakieś nowacye, i to już nie dla nas. Kto zaś widział u nas, aby rurki zakopywać w ziemię

niby na śmiech. A toć zamiast tej mitręgi lepiej jest, aby po prostu gnoju nawieść, i już skończona historya. A takiego dziwactwa to i nasi ojcowie nie widywali i widać my nie zobaczymy.

— Otóż macie — powie pan dziedzic — znowu ta sama historya, że to nowacye, że to jakieś niemieckie sztuki, i że to na nic dla gospodarza. Właśnie moi mili jest źle, że tak gadacie. Jużcić nie ma racyi, aby czegoś nie robić dla tego, że ojciec tego nie robił. Gdyby ojciec wiedział o dobrym jakim sposobie, toby go nie zaniedbał. A druga rzecz jest ta, iż nie ma racyi w tem, aby sam nawóz wystarczył za wszystko. Toć na gruntach mokrych, jakich u nas jest dostatek, nie pomoże nic sam nawóz, bo wszystko wymoknie.

— No — powie wójt Stateczny — jużci dobrze pan mówią, ale taki widzi mi się, iż to nie dla nas ta sprawa. Gdzie tam człeku do takich turbacyj i zachodów.

— Miły Wojciechu — rzeknie pan dziedzic — kto chce psa uderzyć, ten kija znajdzie, a kto ma dobrą chęć aby coś uczynić, ten się nie nastraszy żadnych turbacyj. Zaś gdyby ta cała praca nie opłaciła się, toby się jej pewnikiem nikt nie imał; ale że to rzecz dobra i użyteczna, więc coraz więcej biorą się do niej ludzie.

Zaś Maciej Wściuba, którego już strasznie język świerzbiał, zapyta wnet:

— Ale z przeproszeniem wielmożnego pana, jakże to właśnie idzie ta cała rzecz.

Na to pan dziedzic odpowie:

— Oto moi mili już wam powiedziałem, iż drenowanie głównie jest na to, aby wilgoć zbyteczną z roli wyprowadzać. Kiej takie rurki powkopujesz w moczary, to woda spada w nie ze ziemi, i uchodzi precz. Wiecie dobrze, jaka to rzecz niedobra z mokremi gruntami w wilgotny rok; wszystko zgnije i zmarnieje. Zaś drenowanie przeszkodzi takiemu zmarnieniu. Potem i to trzeba zmiarkować, że drenowanie pomaga także, aby powietrze dochodziło do środka ziemi. Wtedy też grunt staje się żyzniejszy, bo każda roślina tylko wtedy może dobrze urosnąć, jeżeli ma dostatek powietrza.

— Ano — powie Stach Bąbla — jużci zda się iż to na coś pożyteczne, ale myślę ja że nie zawsze. Bo ot na przykład na gruntach gliniastych to już całkiem niepotrzebne ono drenowanie.

— Właśnie że i na gliniastych gruntach jest ono bardzo pomocne — powie pan dziedzic. Wiecie przecież Stachu, iż mokra glina zbija się w masę i nie przepuszcza do środka ziemi powietrza. Zaś jak drenowanie wyciągnie z niej wodę, to glina kurczy się, rozpęka, kruszeje i staje się łatwą do uprawy. Skoro więc woda wyjdzie przez te rurki, więc i powietrze łatwiej dostaje się w głąb ziemi. Naostatek mój miły, rurki te czynią nieraz zdrowszym grunt, na którym są założone. Czasami można zobaczyć, iż na dobrych gruntach rośliny pięknie powschodzą aż do zakwitnienia, a potem nagle słabną i niszczeją. Dzieje się tak dla tego, iż pod urodzajną ziemią jest pokład złej, która niezdrowa dla roślin. Otóż takie rurki czyszczą ziemię, i czynią ją bardzo dobrą a urodzajną.

— Wszystko to prawda — powie wójt Stateczny — ale proszę pana ja jeszcze raz mówię, że to za drogi jakiś sposób dla nas, i że to za wiele musi kosztować.

— Jużci — odrzekł pan dziedzic — że koszt jest, ale też i pożytek nie mały, bo wydatki prędko się wrócą przez urodzaj i przez poprawę gruntów. Toć tam, gdzie się wam dzisiaj ledwie owies urodzi, po drenowaniu będzie rosła pszenica jak las i każde lepsze zboże. Zaś najlepiej przypatrzcie się, jak ja będę z tem robił, a potem może i sami spróbujecie.

Tak rozmawiał pan dziedzic z gospodarzami jeszcze łońskiego roku. Niebawem zaczął pan dziedzic drenować moczarzyska, gdzie dotąd żadnego prawie pożytku z nich nie było. Zbiegała się cała wieś, aby patrzyć na tę robotę; różnie tam sobie ludziska gadali, a pan dziedzic drenował ciągle. Zaś na wiosnę tego roku zasiano tam jarą pszenicę, i urosła ci cudnie piękna. Gospodarze nadziwować się nie mogli, a potem pogadawszy ze sobą długo, poszli do pana dziedzica i prosili, aby im poradził jak się to robi, bo także chcieliby spróbować tego

sposobu. Pan dziedzic chętnie obiecał im radzić i pomagać, a Maciej Wściuba, który jest pismienny, obiecał, że jak się całej sprawie dokumentnie przypatrzy, to opisze ten sposób do Dzwonka, aby także inni wiedzieli jak sobie poczynać.

Czego kto zwyczajny.

Maciej gospodarz w okolicy Szydłowca, kupił sobie na jarmarku w mieście krowę od biednej komornicy, która ją jak powiadała, jedynie z nędzy sprzedać musiała, ręcząc że jest zdrowa i dobra dójka. Przyprowadziwszy krowę do domu gospodarz, zawołał na swoją kobietę, aby ją wydoiła. Niebawem wybiegła ze skopkiem żona, podrzuciła krowie dobrej trawy, bo to było latem, i usiadłszy zaczęła ją doić. A tymczasem krowa ani jeść, ani mleka dać nie chce. Dziwno im to bardzo, ile, że krowa miała wielkie i nabrane wymię, a podług zaręczenia komornicy, dawała wiele mleka.

— Co się tej krowie stało — pomruknął gospodarz — zdrowo wygląda, czy czary jakie, czy co!

— Ale czary — zawołała gospodyni — nicponiaś kupił, teraz sobie dój!

— O moja matko — rzekł gospodarz — tylko się nie gniewajcie, czekajmy do jutra, a jeżeliby nie chciała dawać mleka, toć ją odprowadzę komornicy nazad; toć wiem od kogom kupił.

Nazajutrz sama gospodyni poszła do sadu, nażęła świeżej trawy, i gdy czas doju nadszedł, dała krowie; ale ta tylko, jak to mówią memlała, i mleka ani krzty dać nie chciała. Rozgniewana gospodyni wykrzyczała męża, że nicpotem krowisko kupił, a gospodarz nie wiele myśląc, wcisnął na uszy kapelusz, pojął na powróz krowę i odprowadził komornicy.

— A wy co chcecie — zawołała komornica na owego gospodarza, gdy jej przed chałupę przyprowadził krowę.

— Ha, moglibyście się też i wstydzić oszukiwać ludzi; macie waszą krowę, a oddajcie mi pieniądze — rzekł z wielką złością gospodarz. Powiedzieliście, że ta krowa dobrze daje mleka, a ona ani trochę mleka dotychczas dać nie chciała.

— Co wy gadacie — zawoła zdziwiona komornica — ta krowa mleka nie chce dać?

— A jużci że nie — odpowiedział gospodarz — usiądźcie tylko i dójcie, a zobaczycie.

Komornicy nie mogło się w głowie pomieścić co ów chłop bajał, czy oszalał czy co — mówiła sobie, ale nie wiele myśląc pobiegła do izby po skopek, i rzuciwszy krowie naręcze wysuszonego perzu, zaczęła doić. Krowa przegłodzona, ledwie się nie udawiła, tak jadła, a komornica musiała drugi skopek przynieść, bo jeszcze jej była do połowy nie wydoiła, a pierwszy skopek był już pełny.

— No, mój miły Boże! — zawołał gospodarz — drapiąc się po głowie, toć jej moja dawała jak najlepszą trawę a żreć nie chciała, a tu perz żre aż się prawie dławi, i mleko jak daje tak daje.

— Oto mój gospodarzu — rzekła komornica z uśmiechem — onać nie jest zwyczajna trawy, bo zkądbym ją była wzięła! Jam tylko zbierała perz dla niej.

— No, kiedy tak moja kobieto, to mi darujcie żem was posądził, i u mnie perzu nie brakuje, może go żreć ile jej się będzie podobało.

Poczem ów gospodarz odprowadził krowę nazad do domu, i opowiedział swojej kobiecie jak się rzecz miała. Nie chciała ona z początku wierzyć temu wszystkiemu, aleć się potem sama naocznie przekonała, że krowa tylko do perzu przyzwyczajoną była. Dawała jej go codziennie, mieszając potrosze z trawą. Krowa wybrała perz a trawę zostawiła, później jednakże powoli i do trawy się przyzwyczaiła.

To zdarzenie prawdziwe niech służy za dowód, że i perz bydło je chętnie.

Km.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. Dnia 3 lipca wieczór był wielki pożar w Wiśniczu. Spaliło się więcej jak 300 domów, a 500 rodzin jest bez chaty i chleba. Z Bochni posłano zaraz nieco zapomogi, także z Krakowa. Szkoda jest okrutna, a z całego miasta tylko kupy gruzów i popiołów. Wielki jest także płacz tych biedaków na nieszczęście takie. Najsmutniejsza rzecz, iż w ogniu spaliło się także troje małych dzieci.

Piękna wyspa. Jestci jedna wyspa koło Europy, a ta zwie się Islandya. Mały to kraj, ubogi bardzo, bo już tam zimna okrutne i rzadko znaleźć pola do uprawy. Otóż biedactwo tam wielkie, a ludzie przecież szczęśliwi i niedostatku nie cierpią. Zaś wiecie czemu się tak dzieje? Oto, bo tam jest nauka i rozum. Szkół różnych jest tam bardzo wiele, a już w każdej chałupie znajdziesz coś drukowanego. Zaś na całej wyspie nie ma dziecka ośmioletniego, któreby czytać nie umiało. Więc taka nauka, taki rozum pomagają ludziom w życiu, i lepiej im pomagają jak największe dostatki, bo majątek każdy można stracić a nauki nigdy. Miły Boże! kiedy to u nas tak będzie, kiedy to u nas na człowieka, co czytać nie umie, będą ludzie patrzyć jak na raroga i dziwować mu się będą okrutnie, kiedyto tym sposobem bieda od nas ucieknie a będzie szczęście i dobra dola!

Złodziejska sztuczka. Na jarmarku ukradł jakiś złodziej czapkę gospodarzowi i uciekł z nią. W lesie położył się spać, a czapkę włożył pod głowę. Wraca Szymek z jarmarku, i spotyka onego złodzieja śpiącego. Patrzy aż pod głową leży nowiusienka czapka barania, wysoka na łokieć, aż miło spojrzeć. Zaczęło go kusić, i nakoniec brzydal jakiś cap za czapkę i uciekł z nią. Ubiegłszy z pół mili, kiedy widział że go nikt nie goni, zaczął Szymek przymierzać czapkę, i zapomniawszy że dopiero co grzech popełnił, zachciało mu się pochwalić z nią przed ludźmi. Więc wstępuje do gospody przy drodze, i nałożywszy czapę z fantazyą, wchodzi do izby. Było tam właśnie huk ludu, a jakiś gospodarz z gołą głową rozpowiadał coś głośno. Kiedy Szymek wszedł, spostrzegł go on, i krzyknie:

— Patrzajta no!

Wszyscy stanęli cicho i patrzą, a Szymek myśląc że się tak dziwują jego czapce, nadął się jak paw i założył ręce za pas. W tem gospodarz ów podchodzi do niego, i jakci go palnie w kark a potem w mordę, to Szymek aż się zgiął we dwoje i oczy mu na wierzch wylazły. Wyprostowawszy się huknie:

— Zaś, czego mnie bijeta?

— A złodzieju — huknie gospodarz i poprawi znowu kułakiem — a poganinie, to tyś mi ukradł czapkę? ha?

— Gdzie zaś — powie Szymek — ale wytłumaczyć się nie mógł, bo choć czapkę nie wziął gospodarzowi ale ukradł złodziejowi. Więc musiał ją oddać, a co wziął smarowania kułakiem w kark i wstydu, to mu zostało na pamiątkę, aby nie brał się do kradzieży.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 3.
21. Lipca 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłka pocztowa 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa grunwaldzka.

Było to tamtej niedzieli jeszcze, kiedy ludziska zeszli się na nieszpory do kościółka w Kołobodni. Kościółek to piękny i bardzo czysto a porządnie utrzymywany, ma także różne malowania piękne w ołtarzach i po ścianach. Zaś na jednej ścianie ma takie malowanie: stoi król jakiś dziwnie piękny i wspaniały, a około niego jakby panowie i rycerze jacyś znaczni; zaś insi rycerze składają przed królem moc okrutną chorągwi różnych, a dalej wojska znowu, i mnóstwo zabitych widać na polu. Także widać, iż to obraz bardzo stary, i niedawno małoco znać go było. Dopiero teraz xiądz proboszcz sprowadził malarza, a ten obraz odnowił, iż jest jakby całkiem nowy i piękny. Otóż w niedzielę widzieli go ludzie pierwszy raz odnowiony, i już z okrótną ciekawością wszyscy się przypatrywali.

Po nieszporach wyszedł xiądz proboszcz z zakrystyi, a widząc, iż ludzie ciągle jeszcze oglądają obraz, powie im:

— Cóż moi mili, podobało wam się to malowanie?

— A jużci że podobało, prosimy jegomości — odpowie-

dzą — jedno nie wiemy co to za historya, a widno jakaś święta historya, kiedy jest w kościele.

— Nie zgadliście całkiem moi mili — powie xiądz proboszcz — to jest historya o polskim królu Władysławie Jagielle, a dla tego wisi w kościele naszym ten obraz, iż król ten był wielkim dobrodziejem naszego kościoła, i sam fundował go, więc na tę pamiątkę jest tutaj jego malowanie.

— A to chyba ten król Jagiełło, co się dał ochrzcić, bo pierwej był poganinem, i co się ożenił z polską królową Jadwigą — zawołał mały Jacuś Kozuba, który był najpilniejszym studentem w szkole kołobodnieckiej, i czytałci lepiej każde drukowanie jak sam organista, a historyę polską umiał doskonale na pamięć.

— Jużci ten sam — rzeknie xiądz proboszcz — co to potem oswobodził Polskę od Krzyżaków, kiedy ich pobił dobrze pod Grunwaldem i Tanenbergiem.

— Zaś proszę jegomości — powie któryś z gromady — co to za chorągwie i co one znaczą na tem malowaniu?

— Kiedyście ciekawi — rzeknie xiądz proboszcz — to już wam całą historyę opowiem, abyście też wiedzieli coś o zacnym królu i fundatorze tego kościoła.

Otóż widzicie Jagiełło był najpierw xiążęciem litewskim a także poganin był z początku. Dopiero jak nastała w Polsce królowa Jadwiga, bardzo zacna i świątobliwa niewiasta, więc Jagiełło chciał się z nią koniecznie ożenić. Zaś Jadwiga powiedziała mu, iż prędzej nie pójdzie za niego, aż się da ochrzcić na wiarę świętą i aż cały naród litewski nawróci od pogaństwa. Jagiełło uczynił tak, ochrzcił się na imię Władysław, nawrócił także cały naród litewski, został królem polskim i był od tego czasu taki gorliwy chrześcijanin jak rzadko. Pobudował i ufundował on też nie mało kościołów jak nasz, i wiódł cały żywot bardzo świątobliwie.

— A to pewnikiem dla tego wymalowano koło niego różne chorągwie kościelne — powie Wojtek Cieciura, bardzo ciekawy i zmyślny parobek.

— Nie mój kochany — odrzeknie xiądz proboszcz — te

chorągwie wedle inszej sprawy są tutaj namalowane, ale czekajcie cierpliwie, to wam wszystko opowiem.

Otóż jak król Władysław Jagiełło zaczął rządzić w Polsce, miał wiele turbacyi i kłopotu z Krzyżakami. Byli to rycerze niemieccy, którzy niby za świętą wiarę walczyli i pogan nawracali, ale iż Polacy byli lepszymi chrześcijanami jak oni, więc wojowali ich zawsze Krzyżacy jeno wedle rabunku a nic więcej. Otóż była z tymi Krzyżakami ciężka bieda, a już największa za króla Jagiełły, bo naówczas chcieli Krzyżacy zawojować całkiem Polskę, zrabować, zniszczyć i naród polski zgubić na zawsze. Gotowali się więc na okrótną wojnę, a Polacy gotowali się także, bo jużci każden bronić się musi a nawet powinien, kiedy go źli ludzie napastują. Naostatek zaczęła się wojna.

Jest w ziemi pruskiej wieś Grunwald i druga wnet koło niej Tanenberg. Tam się zeszły wojska. Polskiem wojskiem dowodził król Jagiełło, a miał nie tylko Polaków, ale także Litwinów, Rusinów, Czechów i inszych pod sobą bardzo wiele. Zaś Krzyżaków była także moc okrótna i przyszło im na pomoc mnóstwo Niemców różnych, a wszystko to okrótni rycerze, całkiem w żelazne zbroje poubierani, i chłopy jakby dęby wielkie same.

Zaczną się więc bić oba wojska. Bili się też caluteńki dzień aż do późnej nocy. Różnie się już zdawało, nieraz prawie Niemcy zwyciężyli, a na ostatek pobił ich przecie król Jagiełło do kapki. Zaś król ten dzielny mało sam życia nie stracił. Stał sobie na boku z kilku ludźmi i komenderuje bitwą. Aż tu jakiś rycerz niemiecki nadbiega, i dalej do króla z długą piką. Król waleczny nie zląkł się ale odbił jego napaść, w tem młody jeden sługa królewski podjedzie do owego Niemca, i jakci go płatnie w bok, tak niemczysko nieżywy upadł z konia. Zaś ów sługa królewski został potem xiędzem, i był bardzo sławnym i znacznym biskupem krakowskim, a zwał się Zbigniew Oleśnicki.

— A toć ja, proszę jegomości widziałem na Wawelu w Krakowie jego obraz w kościele — powie Stach Żurba, człek bywały po świecie.

— Pewnie że on tam jest na pamiątkę — odrzekł xiądz proboszcz — bo to także wielki dobrodziej kościołów różnych a najbardziej krakowskich. Ale teraz wam jeszcze dopowiem koniec historyi o onej bitwie.

Otóż jak wam już mówiłem, pobił w ostatku król Jagiełło zupełnie Krzyżaków. Ogromna moc Niemców zginęła. Sam najstarszy Krzyżak, który się zwał mistrz wielki, zginął także i insza starszyzna wyginęła. Zaś do niewoli wzięli Polacy aż czterdzieści tysięcy Krzyżaków. Także wzięli im 51 chorągwi, które złożyli królowi Jagielle w podarunku. I otóż macie właśnie namalowano, jak Polacy oddają królowi krzyżackie chorągwie.

Widzicie takie to wielkie zwycięztwo dał pan Bóg Polakom. Od tego czasu nie było już biedy od Krzyżaków, bo w bitwie grunwaldzkiej prawie całkiem wyginęli. I od tego czasu nie napastowali już więcej Polaków, a nawet oddali im kraje różne, które dawniej zabrali.

Zaś moi mili cała ta sprawa działa się bardzo dawno, bo temu już lat cztery setki i piędziesiąt trzy. I była owa bitwa w sam dzień 15 lipca, jak będzie teraz za kilka dni. Więc kazałem ja naumyślnie odnowić ten obraz, abyście nauczyli się historyi fundatora naszego kościoła, i abyście w rocznicę jego zwycięztwa przypomnieli sobie, co ten król dobrego uczynił dla całego kraju. Więc najpierw się ochrzcił i nawrócił do wiary świętej cały kraj litewski, który od tego czasu na zawsze połączył się z Polską, a potem iż obronił kraj polski od Krzyżaków.

Bajki.

1. *Nie kradnij.*

Czy to z biedy, czy z rozkoszy
Chciał Piotr lekko nabyć groszy,
Ukradł szkapę sąsiadowi,
Myśląc że się nikt nie dowie.
Lecz jak zwykle złe wykryto,
I Piotrowi skórę zbito.
Piotr się potem ustatkował,
Więcej nie kradł lecz pracował;
Jednakowoż gdy co zginie,
Podejrzenie go nie minie.
Takto gdy człek raz pobłądzi,
Każden źle już o nim sądzi;
Miejcież więc naukę z niego,
Jak unikać trzeba złego.

2. Płocha dziewczyna.

Matka córunię łajała,
Że za chłopcami biegała,
Ta sobie myśli w skrytości:
Matuś mi chłopców zazdrości.
Nie słuchała ciągle płocha,
Myśli że ją każden kocha.

Chłopcy tańczą, złe z nią broją,
Lecz za żonę wziąć się boją.
Lata młode przehulała,
Starą panną też została,
Zaś ci, którzy z nią hulali,
Potem z niej się naśmiewali.

T. O.

Halerewiczowa

pokutnica.

I.

W obwodzie czortkowskim opodal Zaleszczyk leży nad Dniestrem wieś Łuki. W tej to wsi żył sobie ubogi kmieć Gaweł Halerewicz. Jeszcze przed rokiem obumarła go żona, i zostawiła mu sześcioletnią sierotkę, ładną dziewczynkę Marynkę.

Gaweł jak był z jednej strony ubogim, tak znowu był także wielkim niezdarą: często gęsto lubił zaglądać do kieliszka, zaniedbywał gospodarstwo a przytem bardzo mało troszczył się o swoją córkę; toć wielkie pustki były w chacie Gawłowej; aż straszno było wejść do wnętrza — cztery gołe ściany, na pół rozwalony piec, trochę w kącie słomy — i oto wszystko w chacie! A nie lepiej było także koło chaty: kilka drzewek na pół uschniętych, maleńki chlewek, wychudła krówka przywiązana pod gruszą, stary pies, i oto znowu całe gospodarstwo.

To też wielka była nędza koło Gawła, a biedna Marynka dawno już może byłaby z głodu umarła, gdyby nie stara Marfa, która ją za własną uważała córkę.

Z dnia na dzień rozpijał się Gaweł więcej i już po całych dniach przesiadywał w karczmie, do tego zadłużał się czem raz więcej u arendarza, tak, że nie wiele czasu upłynęło, kiedy całe Gawłowe mienie było już w kieszeni żyda.

Razu jednego siedział sobie Gaweł dobrze podpity w kar-

czmie za stołem — żyd dolewał ciągle kieliszki, a Gaweł ledwo już językiem obracał w gębie; raptem otworzyły się drzwi i wszedł sąsiad Gawła Maciej, bardzo porządny i w całem siole zaufany człowiek.

— A Gawle — zawołał na wstępie Maciej — wiedziałem gdzie cię szukać.

— A... dobrze... bełkotał Gaweł.

— Mam do ciebie potrzebę.

— Co?... niech djabli.. i urwał, bo mówić dalej nie mógł tak się zapił wódczyskiem.

Widząc to Maciej mocno się zafrasował, iż Gaweł na taką zeszedł już drogę, przeto jął mu dogadywać.

— Czyż to się godzi — mówił Maciej — mój Gawle pić tak zapamiętale, a zapominać o Bogu i o powinnościach.

— Do stu djabłów — krzyknął Gaweł i począł bić o stół pięściami, że aż szklanki poczęły dzwonić. Maciej nie zraził się tem wcale, jeno jak należało dogadywał Gawłowi dalej, nieszczędząc ostrych słówek, gdy raptem zerwawszy się Gaweł z za stołu, porywa w szale ławkę i wali nią z całej siły Macieja przez głowę. Maciej oblany krwią padł bez zmysłów na ziemię, a w kilka dni potem zakończył życie, Gawła zaś okutego w łańcuchy odesłano do Lwowa.

Tymczasem żyd zabrał za długi chatę, pole i krówkę, a biedną Marynkę na cztery napędził wiatry. Szczęściem zabrała ją Marfa do siebie i była jej teraz ojcem i matką zarazem, a biedne dziewczę przez czas długi nie mogło się otulić w płaczu po ojcu.

Dziesięć lat już minęło od owego czasu, a Gawła jak nie było tak nie było; ludzie mieli go już za straconego i po części zapomnieli o nim, a Marynka przez czas ten w piękną urosła już dziewczynę.

Raz w niedzielę pojawił się w siole wieczorem jakiś dziad stary. Nikt go tu nie znał i on też do nikogo się nie przyznawał, jeno prosto poszedł do Marfy i długo tam siedział rozpytując się Marfę i Marynkę o wszystko, nawet o Gawła i jego sierotę; a kiedy Marfa rozpowiedziała mu całą historyę i wska-

zała na ładną Marynkę iż to jest córka Gawłowa, dziad błogosławił dziewczynę i ze łzami przyciskał ją do piersi.

— Zaś dziadusiu, pytała Marynka — czy wy znali mego ojca?

— Nie, moje dziecię — odpowiedział starzec — jeno ze słyszenia wiem o nim.

— Zdaje mi się — odezwała się Marfa — jakby przez sen, że ja was z kądsić znam.

— Nie, dobra kobieto — ja z stron dalekich i pierwszy raz tu przyszedłem.

I długo jeszcze rozmawiali ze sobą, a w końcu podziękował dziadowina Marfie za strawę i dobre przyjęcie i wyszedł z chaty, lubo Marfa mocno nalegała, żeby u niej zanocował. Wyszedłszy ztąd prostą drogą udał się w miejsce, gdzie dawniej stała Gawłowa chata. Dużo też zmieniło się tutaj; żyd nabywszy chatę, najmywał ją przez długi czas komornikom, później zaś, kiedy zestarzała chałupina poczęła się czem raz więcej chylić ku ziemi, zwalił ją, co lepsze drzewo sprzedał, a zgniłe kawałki i rumowisko wywiózł pod starą gruszę, która stała wedle chaty, a miejsce zaś, gdzie dawniej była chałupina, zaorał. To też dziad, kiedy tu przyszedł i takie zniszczenie zobaczył, załamał ręce, zalał się łzami a westchnąwszy ciężko do Boga, padł na rumowisko i oddał Bogu ducha.

A nie był też to kto inny, jeno sam Gaweł!

Nazajutrz, kiedy wieść o tem rozeszła się po siole, dużo zeszło się ludzi na miejsce gdzie trup leżał, a trzeciego dnia zrobiono pogrzeb; za trumienką szła zapłakana Marynka z rozpuszczonemi włosami.

II.

Od śmierci Gawła spory już kawał przeminął czasu — Marynka była dziewczyną, jak to mówią w kwiecie wieku, aże piękna była jak róża w ogródku, to też nie jeden zalecał się do niej chłopak. Pomiędzy wszystkimi pierwsze miejsce miał syn wójta Kostek, tęgi i pracowity parobek, i on pomiędzy wszystkimi najbardziej się na to ważył, ażeby pojąć Marynkę

za żonę, bo też mu się serdecznie spodobała. Ale Marynka nie chciała nawet słyszeć o Kostku, bo głowę jej zawrócił niecnota Sobuś.

Stara Marfa bardzo się tem martwiła i nie raz godzinami prawiła jej o Kostusiu, ale Marynka trwała zawsze przy swojem mówiąc:

— Ja za Kostka w żaden sposób nie pójdę.

— Ależ dziewczyno — mówiła Marfa ze łzami — przez rany Chrystusa opamiętaj się i pomyśl co mówisz, ażebyś potem tego nie żałowała, Kostek porządny i zamożny chłopak, to szczęście cię za nim czeka.

— Wolę sobie kamień młyński przywiązać do szyi i skoczyć do Dniestru, aniżeli pójść za Kostka.

— Co też ty mówisz! Opamiętaj się! Ja wiem, niezdara Sobuś zawrócił tobie głowę — dziewczyno, dziewczyno pomyśl dobrze, co czynisz, bo możesz potem żałować, kiedy już będzie za pożno.

Ale wszystko było na darmo; Marynka trwała dalej przy swojem i ani patrzała na Kostka, co też Kostek widząc, poprzestał do niej chodzić.

Nie minęło pół roku, a Marfa stara leżała na katafalku. Marynka z wielkim żalem odprowadziła zwłoki swej drugiej matki na cmentarz, a teraz w 19 roku została sama jedna na tym Bożym świecie!

Po śmierci Marfy częściej chadzał Sobuś do Marynki i godzinami przesiadywali razem w chacie, a ludzie poczęli źle mówić o sierocie dla tego, że się wdaje z niecnotliwym Sobusiem.

Sobuś był sobie wielkim niezdarą: do roboty ani rusz, a kiedy był już zmuszony pracować, to jeno ziewał przez czas cały, a w końcu zjadłszy za trzech zrobił daleko mniej, aniżeli małe dziecię. Ale zato zalotnik jakich mało! dzień i noc umizgałby się i kochał. Toć znali go wszyscy w Łukach bardzo dobrze, a znali go jeszcze i ze złego serca, które nigdy litować się nie umie nad biedą.

To też rok nie minął, a niecnota Sobuś przywiódł Marynkę do nieszczęścia.

Biedna Marynka chciała sobie z razu odebrać życie ze

wstydu, i mocno i gorzko nad swoją biedą płakała, ale bezwstydny Sobuś jak począł jej dogadywać i tłumaczyć, że w tem nic złego niema, że choć ludzie na nią gadają, nie powinna nic sobie z tego robić, aż wreszcie obałamucona dziewczyna nie tylko że mu uwierzyła, ale od teraz jawnie poczęła z nim siedzieć na wiarę.

Mijały dnie, miesiące, a wreszcie i lata, a Marynka popełniwszy raz grzech, brnęła jeszcze dalej, siedząc ciągle ze Sobusiem. Z razu nalegała ona na Sobusia, ażeby z nią wziął ślub w kościele, ale Sobuś wymawiał się ciągle to tem, to owem i ciągle zwlekał z dnia na dzień, aż w końcu dała sobie Marynka spokój z naleganiem i nie dopominała się więcej.

Sobuś przez cały czas nie poprawił się wcale, jeno większym coraz stawał się niezdarą i ciągle tracił jeno dobytek nieboszczki Marfy, który ona zapisała Marynce. Właśnie kończył się teraz rok siódmy ich pożycia, a Sobek tak się zwinął, że już wszystko przetracił.

Razu jednego przyszedł on do domu trochę podpity, Marynka chciała z nim coś mówić, ale on jeno się ofuknął, i tak się do niej odezwał:

— Dziś rozłączymy się już ze sobą — zabierz twoje manatki i idź do sto djabłów, gdzie cię oczy zaniosą, bo ta chata już nie twoja, a rychło sprowadzi się do niej właściciel.

Marynka myślała z razu, że to żart i poczęła o czemś innem mówić, ale Sobuś począł krzyczeć:

— Czyś nie słyszała, zabieraj się — ja ciebie już więcej nie potrzebuję — idź sobie do sto djabłów!

Ależ Sobusiu — mówiła przelękniona Marynka — miej litość nademną, toć ja ci wszystko oddała, straciłam niewinność i młodość a tybyś mnie teraz chciał wyganiać.

— Czyś nie słyszała com mówił — zabieraj się, bo cię jeszcze obłatam kijem na drogę.

— Dla Boga Sobusiu — prosiła płacząc Marynka — ulituj się nademną, cóż ja na świecie sama pocznę.

— Będziesz ty mi tu jeszcze zawodzić! — krzyknął Sobuś — i nie wiele myśląc, zebrał Marynkę raz przez plecy laską — ona poczęła na głos zawodzić, zebrała swoje manatki

i złorzecząc Sobusiowi wyszła biedaczka z chaty w świat, a Sobuś krzyczał za odchodzącą:

— Na cztery wiatry!

A sam zaś zabrał się także i odszedł gdzieś daleko.

III.

Płakałaż teraz Marynka na swój głupi rozum, a słowa nieboszczki Marfy stanęły jej żywo przed oczy, bo nie mając ni chaty, ni kawałek chleba, straciwszy do tego młodość swoją, ujrzała się pośród ludzi największą okryta hańbą. Teraz doznawszy tego wszystkiego powinna była Marynka wejść na całkiem inną drogę, ale jak gdyby na zgubę swoją przyjęła służbę u żyda arendarza, w tej samej karczmie, gdzie takie nieszczęście spotkało jej ojca. Dla tego też służąc w karczmie nie weszła wcale na drogę poprawy, ale owszem dolewała przez to do ognia oliwy, a do dawnych grzechów nowe, bo gdzież tyle sposobności do złego, jak tutaj. To też wkrótce pokazało się, że na dobre nie wyszła Marynce ta służba; kiedy bowiem odzywało jej się sumienie, w kieliszku szukała pociechy, a kieliszek był tak blizki! Z początku przytrafiało to się rzadko, ale poźniej jakoś częściej poczynała się smucić i częściej też szukała sobie ulgi w wódce, w końcu zaś do tego stopnia doszło, że żyd ją sam ze służby napędził.

Nie minęło dużo czasu, a Marynka stała się najobrzydliwszą pijaczką w całej okolicy. Karczma była jej teraz kościołem i chatą, bo nigdy z niej nie wyłaziła, a w pół naga, z czerwonym jak burak nosem, z podbitemi oczami włóczyła się z jednej karczmy do drugiej. Aż litość brała człowieka spojrzeć na nią, a ludzie wytykali ją palcami, lecz ona nic sobie z tego nie robiła, jeno dalej brnęła w błoto.

Razu pewnego zdarzyło się, że włócząc się z karczmy do karczmy, zaszła aż do Chryszczatyka, gdzie się znajduje cudowny obraz św. Jana w kościele i gdzie rok rocznie odbywają się wielkie odpusty. Miejsce to słynie na całą okolicę, toć ludzie o mil kilka w koło ściągają się tutaj na odpust. A właśnie dziś był dzień odpustu; ludzi naszło tak dużo, że kościół

nie mógł pomieścić do wnętrza i czwartą część. W Chryszczatyku samym ani jednej duszy nie znajdziesz po chatach, kto jeno żyw, poszedł na odpust, bo jakżeż to siedzieć w domu, kiedy się taka odprawia uroczystość na chwałę Bożą.

Xiądz właśnie co tylko podniósł był Przenajświętszy Sakrament, a cały tłum pobożnych katolików z wielkiem nabożeństwem padł na kolana, kiedy Marynka weszła do sioła, pijana, obszarpana spiewając jakąś obrzydliwą piosnkę, i prosto poszła do karczmy. W karczmie było próżniuteńko, jeno żyd obliczał sobie kredą na stole sprzedaną wódkę podczas całego tygodnia.

— Żydzie wódki na stół! krzyczała ona ledwo co tylko za sobą drzwi zamknąwszy.

— Czy już się *skińczył widpust?* — pytał żyd myśląc, że z kościoła powraca.

— Co mnie odpusty obchodzą — nie rozpytuj dużo, jeno daj prędzej wódki.

Żyd podał pół kwaterek, lecz Marynka wypiwszy go duszkiem, wołała znowu:

— Daj wódki!

Już dawno popowracali ludzie z kościoła do domu, a Marynka jak pije tak pije, ba dalej już poczęło zmierzchać się, a pijatyce jeszcze niema końca; już językiem ledwo co rusza a leje w siebie ciągle obrzydliwe wódczysko, i Bóg wie jak długoby jeszcze piła, gdyby żyd tylko chciał więcej dawać.

— Wódki!... wrzeszczała zachrypnięta.

— Nu... ja więcej dawać nie będę — mówił żyd — *jakiego* dasz mi *poręków*, że borg zapłacisz.

— Bestyo!... psiawiaro!... wódki daj!...

— A ty pijaczko, będziesz jeszcze przezywać. I długo nie czekał żydzisko, jeno ująwszy ją za kołnierz, wypchnął za drzwi na dwór. Marynka zataczała się to w jedną to w drugą stronę, a nie mogąc wlec dalej nóg za sobą, powaliła się wreszcie na śmiecisku żydowskiem pod płotem wedle karczmy i usnęła.

A dziwne śniły jej się tutaj rzeczy.

Najprzód śniło jej się, że była jeszcze młodą, szczęśliwą

dziewczyną u starej Marfy; i niby trzyma w ręku chustkę białą, i opania się nią od motylów, które jej około głowy latały; aż przyszedł do niej jakiś człowiek i wziął od niej białą chusteczkę, a ona raptem ujrzała się aż po szyję w błocie, a koło głowy brzęczały jej osy i czmiele i kąsały ją po twarzy. Kiedy zaś ona tak leży w błocie, zbliża się ku niej wielka procesya odpustowa, słyszy dzwony i spiewanie, widzi piękne chorągwie i siła pobożnego ludu, aż oto czem raz więcej zbliża się ku niej procesya, i już koło niej przechodzi cały natłok plwając jej w twarz, i obraca się potem od niej ze zgrozą, a ona nie śmie nawet podnieść oczu. Gdy zaś procesya odeszła i spiewy już ucichły, aż oto dąży ku niej gromada czarnych, strasznych ludzi z długiemi włosami i brodami jak strzechy sterczącemi, i już z daleka odgraża się w błocie leżącej grubemi pałkami. Marynka poczyna krzyczeć ze strachu, lecz to nic nie pomaga — jeden z nich wyskakuje naprzód, porywa ją silną ręką za włosy i wyciąga z błota — w tej chwili nadchodzą wszyscy, i poczynają bić ją okrutnie po głowie i po całem ciele, tylko jeden z nich z workiem na plecach stał na uboczu, i patrzał jak drudzy bili.

Marynka krzyczy w niebogłosy, błaga ich ze łzami o litość, lecz wszystko to nic nie pomaga, owszem jeszcze raźniej bić poczynają, i śmieją się przeraźliwie mówiąc:

— Tyś sama nad sobą nie miała litości!

Krew zlała jej ciało, a oni przestali na chwilę, teraz zbliża się ów stojący z workiem — otwiera worek i dobywa sól miałką z niego, więc jęli wszyscy posypywać ją solą, a ona z bolu gryzła ziemię pod sobą, potem zaś poczęli bić znowu.

Aż oto cudem zjawia się anioł Boży z zieloną gałązką w ręku i poczyna wołać na owych czarnych ludzi:

— Już dosyć, przestańcie!

I w tej chwili przestali bić i zniknęli bez śladu.

Marynka leżała we krwi własnej bez pamięci; anioł biały przystąpił do niej, i tak się odezwał:

— Grzesznico ocknij się!

Marynka spojrzała:

— Widzisz — mówił anioł dalej — to jest początek mąk

piekielnych, jakie ciebie na tamtym czekają świecie — ostateczny to czas dla ciebie, byś się poprawiła i pokutowała, bo potem będzie za późno. Popraw się grzesznico, ażeby po śmierci czarci nie porwali duszę twoją, tak jak młodość twoją już porwali.

To rzekłszy zniknął Boży anioł, a Marynka przebudziła się ze snu.

Słonko już było zeszło na niebie — po drzewach świeciły się kropelki rosy, a w koło było wszystko piękne i wesołe, tylko jedna Marynka płakała gorzko, wstawszy z żydowskiego śmieciska. Sen dzisiejszy wzięła ona sobie mocno do serca i poprzysięgła w myśli wstąpić na całkiem inną drogę, drogę poprawy i pokuty za grzechy.

Toć poszła zaraz do Dniestru i obmyła grzeszne i zbiedzone ciało, wyprała brudną koszulę, a potem poszła do kościoła i długo a długo modliła się tutaj, płacząc rzewnie przed ołtarzem św. Jana, a po modlitwie wyspowiadała się ze wszystkich grzechów i jakoś lżej zrobiło jej się na sercu.

IV.

Od tej chwili nikt by nie poznał dawną Marynkę w sędziwej kobiecie Halerewiczowej — a ludzie nie mogli się nadziwować tej przemianie — widząc zaś w niej szczerą poprawę, chętnie jej zapomnieli dawne grzechy. Halerewiczowa wyprosiła sobie jakie takie odzienie i uszyła sobie dwie żebrackie torby, przewiesiła je przez plecy, wzięła kostur do rąk i poszła jako żebraczka w świat szeroki pokutować za grzechy.

A miała ona teraz lat 45 z górą.

Idąc od chaty do chaty o żebranym chlebie dwa lata, chodziła ona po różnych okolicach, aż w końcu zaszła na Bukowinę w okolicy Seretu. Mil kilka od miasteczka Seretu jest wioska Gropany, składająca się z 20 osady. Cała wioska jak gdyby w wianku okolona pięknemi lasami, a do tego urodzajne pole i lud pobożny — toć rzadko gdzie znaleźć tak wszystko razem.

Muszę wam zaś to jeszcze powiedzieć, że lud na Bukowi-

nie jest po największej części *szyzmatycki* i ma księży z brodami, toć mało jest tam naszej wiary, a właśnie gropańscy ludzie są sami katolicy.

Otóż do Gropan zaszła Halerewiczowa (tak ją od teraz nazywać będę, gdyż tak ją zwali wszyscy ludzie) a przyszedłszy do jednego gospodarza, jęła go o wszystkiem rozpytywać.

Gospodarz ten zwał się Matejko, i był bardzo bogobojnym człowiekiem.

— Dobrzeby wszystko było — kończył Matejko — gdyby nam nie tak daleko było chodzić do kościoła.

— A nie możnaż temu w żaden sposób zaradzić? — odezwała się Halerewiczowa.

— Jakże tu radzić, gdyby pieniądze były — to i rada znalazłaby się, a jak tego niema, to i rady nie potrzeba — a Bóg świadkiem że my tyle nie mamy.

— Coś ja tu trochę uzbierała grosiwa, jak co trochę dołożycie, to będzie można zbudować kapliczkę dla chwały Bożej — i wyjęła woreczek spory z torby, i podała Matejkowi.

— Przeliczcie no gospodarzu ile tam jest. — Matejko zdumiał się z razu, zkąd żebraczka do tego przychodzi, a jeszcze bardziej dziwił się jej szlachetności. Kiedy zaś obliczył pieniądze, pokazało się, iż jest w woreczku trzydzieście reńskich.

— Ciężko, krajcar po krajcarku zbierałam ja mój dobry gospodarzu, a teraz niech będzie Bogu na chwałę; weźcież więc, dołóżcie co będzie brakować i zbudujcie kaplicę.

Gromada dołożyła trochę do tego wdowiego grosza, robotę rozebrali ludzie pomiędzy siebie, a w dwa miesiące stanęła już gotowa kaplica w Gropanach.

Od teraz ślubowała sobie Halerewiczowa opiekować się tą kaplicą aż do śmierci, i w co tylko mogła zaopatrywała ją i godzinami modliła się tutaj.

Dawniej jeszcze ślubowała ona odbywać co rok pielgrzymkę na odpusty do Daleszowa, Chryszczatyka i Zarwanicy, gdzie jest bardzo cudowny obraz Matki Boskiej — to też idąc tam i powracając zbierała po drodze, co tylko mogła i nigdy z gołemi nie wracała rękami, jeno zawsze prócz pieniędzy, znosiła światło, xiążki kościelne a nawet ornaty, co od xięży dla

Gropańskiej dostawała kaplicy. Znali ją też wszyscy, i każdy chętnie dawał jej jałmużnę, a Halerewiczowa po wszystkich chodziła i zbierała, składając szeląg do szeląga. Toć zbierając w ten sposób, kupiła piękny ornat za dziewięćdziesiąt reńskich, a w kilka lat poźniej trzy dzwony, które razem kosztowały dwieście reńskich, a przytem tak była kapliczka zaopatrzoną, że w nie jednym kościele tego nie było, co ona tutaj nanosiła zewsząd.

Do poźnej starości, bo do ośmdziesięciu kilku lat zbierała ona tak skrzętnie i rok rocznie chodziła na odpusty, a rok przed śmiercią złożyła na ręce starszego brata w Gropanach pięćset złr., ażeby za nie kościółek zbudować, gdyż kaplica rychłem groziła zawaleniem się.

Poczęli więc ludzie tamtejsi krzątać się koło budowy, a za pomocą Boską robota szła rączo, i w niedługim czasie skończono budowę. Tak więc stanął dom Boży zbudowany żebraczym groszem pokutnicy, a milszy on panu Bogu, jak nie jedna okazała świątynia przez bogacza zafundowana.

Tego roku na wiosnę odbyło się poświęcenie a po nabożeństwie dziękowała cała gromada pobożnej staruszce.

— Boska to w tem była wola — mówiła ona do ludzi — a grosz to dar dobrych ludzi, który ja ziarnko do ziarnka zbierałam tylko — nie jeden żebrak, nie jedna uboga służąca niosła mi swój wdowi grosz — zdaje mi się, że dobrze grosz ten użyłam. Niech więc będzie chwała Bogu najwyższemu!

Przed niedawnym czasem pisano mi z tamtych stron, że staruszka oddała już Bogu ducha swego, a zwłoki jej pochowano na cmentarzyku wedle starej kaplicy a na grobie stoi napis takowy:

Tu leży fundatorka gropańskiego kościoła Marya Halerewiczowa, uboga żebraczka, zmarła w r. 1863.

Opowiedziałem wam moi mili całą historję o Maryi Halerewiczowej, abyście ztąd mieli dobry przykład i naukę. Ja sam znałem tę bogobojną staruszkę bardzo dobrze i nieraz godzinami z nią rozmawiałem, a kiedym się rozpytywał o jej życiu, opowiadała mi tak akuratnie, jak ja wam tutaj spisałem; a nie jeden tylko znałem ją moiściewy, ale znali ją także wszyscy

ludzie, xięża i panowie, kędy idąc na odpusty wstępywała po drodze. Toć wszyscy szanowali ją wielce i chętnie obdarzali a nieboszczyk kanonik zarwanicki ks. *Mandaczewski* dawał jej co roku światła, xiążki a nawet przestarzałe ornaty dla gropańskiej kaplicy.

Tak to pokutowała Halerewiczowa za grzechy, a Pan Bóg pewno jej przebaczył — teraz zaś niech z Bogiem spoczywa!

Grzela z Waszkowiec.

RÓŻNOŚCI.

Gradobicia. Jakoś dzięki Bogu nie ma u nas tego roku wielkich bardzo gradów i rzadko gdzie. Piszą tylko, iż w gminie Miłkowie w obwodzie złoczowskim był przy końcu czerwca drugi raz grad, który wszystko do kapki poniszczył. No jużci to nieszczęście, ale ani porównania nie ma z tem, co się gdzie indziej zdarza. Ot nieszukając daleko, piszą z Węgier, iż tam okrótne nieszczęścia są od gradu Niedawno temu padałci tam w kilku okolicach grad taki wielki, jak jaja kurze, i poczynił szkody najokrótniejsze. Już tam prawie całkiem nie będzie żniwa tego roku, a wszyscy obawiają się głodu wielkiego. Niechże ich pan Bóg zachowa od tego nieszczęścia.

Pożary. Zaś co pożarów, to tych zawsze jest dosyć u nas a najbardziej w lecie. I tak piszą, iż w Krystynopolu w obwodzie żółkiewskim powstał 5 lipca ogień w domu wieśniaka Michała, i spalił mu chałupę z budynkami i narobił szkodę na 500 reńskich. A jak się pokazało, podłożyła ten ogień bratowa poszkodowanego ze złości, która się już do zbrodni przyznała, i weźmie dobre ukaranie. Miły Boże! co też to za ochydy dzieją się między ludźmi.

Zaś 7 lipca wybuchł pożar w Zborowie w obwodzie złoczowskim, i spalił 3 domy żydowskie, a zkądby się wziął, niewiedzieć jeszcze.

Także w nocy z 3 na 4 lipca był ogień w Prądniku białym u gospodarza Macieja Węgla, i popalił mu wszyściutko, chałupę, budynki gospodarskie, także konia, sześcioro bydła i 10 bezrogów.

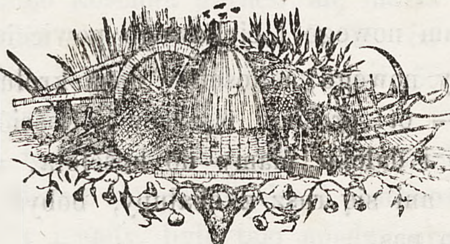
Jeszcze w czerwcu były takie pożary: 21 czerwca wybuchł ogień w Bendrowie, i spalił gospodarstwo jedno z budynkami. Ogień ten podłożył jakiś człek niedobry, który już siedzi w areszcie. Tegoż samego dnia w nocy był pożar w Szczurowie u gospodarza Józefa Drzazgi, który spalił kilka gospodarstw, i narobił szkody na dziesięć tysięcy i sto trzydzieści reńskich.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 4.

1. Sierpnia 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony x. Staś Kazimierczyk.

W naszym Krakowie jest z dawien dawna tyle kościołów, żebyś mógł z nich do 40 far porobić i jeszczeby ci zostało dosyć to kaplic, to kościołków małych. Na jednem przedmieściu, co to się zowie Kazimierzów od króla polskiego Kazimierza Wielkiego, stoi ci tam kościół wielki, żebyś tam włożył i 40 chałup dobrych i wszystkoby się tam wlazło z kretesem, a ponoby jeszcze nie zapełnił go całego. Jestto kościoł Bożego ciała, a fundował go za swoje dukaty polski król Kazimierz. Ałebo też i ciekawa historya jest do tego kościoła.

Była tam na tem miejscu wieś kmieca Bawół, a gazdowie tamci to ludzie nie lada, co im król powiedział, to było dla nich jak kazanie w kościele, a za króla i za Kraków toby byli w ogień skoczyli. I nie byłoci tam kościoła, jeno sobie ci gazdowie chodzili do miasta na nabożeństwo, ale zawsze pięknie, cicho jak się patrzy na gazdów rozumnych. Ale raz uradzili oni sobie, aby pójść razem z gromadą do króla Kazimierza i prosić go o wyfundowanie kościoła farnego, i przyszli sobie do

dworu, gdzie król siedział na drugiej wsi koło Krakowa w Łobzowie, i prosili aby też król sam z nimi pogadał. Król wyszedł do nich i pyta:

— A co tam nowego i ciekawego powiecie ojcowie!

— A cóżby nowego, miłościwy nasz królu i ojcze — rzekną gazdowie — ot! prosimy wszyscy o kościół farny dla naszej wsi, bo to i daleko mamy do kościoła, a jak się zrobi błoto u nas, to ani się rusz z chałupy, bobyś pogubił buty a zachlastał się po pas.

A wójt z gromady tak gadał:

— Bo to nasz królu i ojcze, coś dziwnego porobiło się tej nocy u nas, bo to w naszych błotach coś tak się świeciło i świeciło, jakbyś nieprzymierzając słoneczko boże zapchał do tego błota. Cała gromada była na nogach, a co było strachu i strapienia, to niech Pan Jezus ochrania każdego. Aż my tam wleźli i patrzymy, a to był kielich z jakiegoś kościoła i powiadali nam ludzie z Krakowa, że ten kielich mieli ukraść jacyś złodzieje i pono go zgubili, a może i umyślnie rzucili, ażeby tego nie zrobili, bo to grzech poniewierać takie święte rzeczy. To my też odesłali zaraz ten kielich do tego kościoła, gdzie go ukradli ci złodzieiska, ale my tego nie zrobili, niech nas ochrania Pan Jezus od takiego złego, to pewnie jakieś przywłoki i darmojady!

A król Kazimierz na to:

— Już ci złodzieje złapani, a ja każę wam wyfundować na tem miejscu, gdzieście wydobyli z błota ten kielich, kościół Bożego Ciała, a wy mi pomożecie porobić kanały różne w waszej gromadzie, aby wyschło błoto i abyście mieli porządek jak się patrzy, a jeźli mię posłuchacie, to z waszej wsi zrobię miasto, porobię kamienice, postawię wam ratusz, a wy wszyscy będziecie potem mieszczanami, będziecie należeć do Krakowa i będziecie z nami radzić o tem, aby nam wszystkim było dobrze, a Pan Jezus aby miał z nas chwałę i pociechę.

I podziękowali kmiecie za to swemu dobremu królowi, a potem ich wieś Bawół nazwała się Kazimierzowem, a oni odtąd zostali wszyscy od małego do wielkiego mieszczanami polskimi

i mieli także kościół farny, co to do dziś stoi na przedmieściu Kazimierzów i zowie się kościołem Bożego Ciała.

Otóż do tego kościoła garnęli się ludzie jak dobre dusze do nieba i modlili się za fundatora króla, co im postawił taki dom Boży, a ich z dziećmi i potomkami porobił na wieczne czasy mieszczanami i panami.

Jak sobie ten kościół stał jakie 50 roczków, a wszyscy kmiecie poprzebierali się po miejsku i pomurowali sobie domki i porobili ogrody i sady, byłci tam między nimi osobliwie jeden mieszczanin, co to miał i gruntu nie mało, i pracy dosyć, ale bo też i wartał tego chlebusia i takiego błogosławieństwa Bożego. Bo czy to święto, to on pierwszy raniutko sunie do fary i spiewa tam godzinki, różaniec, litanię, potem się spowiada i komunikuje i wychodzi ostatni, a byłci do tego najstarszym w bractwie, trzymał sobie gromnicę w ręce podczas sumy i całą sumę klęczał, spiewał i modlił się. A nie było tam domu, gdzieby on nie kumował po dwa i trzy razy, ani nie było sprawy, gdzieby on nie radził sprawiedliwie i pobożnie, ani nie było wesela i pogrzebu, gdzieby on nie był — to też nie było tam na włos obrazy bożej ani kłótni, ani pijaństwa gdzie ojciec pobożny Jan Kazimierczyk się znajdował.

Taką też podobniusieńką do niego była i jego kobiecina, broń Boże, aby kto z czeladzi robił co w święto, a nie miał się poco pokazować do dom, gdyby nie był na sumie i na nieszporach — a wszystko to musiało być w bractwie Przenajświętszego Sakramentu, bo im gadała tak:

— To nasz król pobożny Jagiełło i jego żona królowa należą do bractwa, a wybyście nie należeli? Tocby ten dobry król nadarmo pofundował taki klasztor przy naszej farze i nasprowadzał tyle xięży, aby dzień i noc spiewali pieśni do Najświętszego Sakramentu, a wybyście lenili się chwalić Pana Jezusa?

To też co żyło w domu, należało do bractwa, i musiało paciorki odmówić, pieśni odspiewać na pamięć, często się spowiadać i komunikować, jałmużnę dać ze swojego jedzenia, albo i chorego odwidzić albo drugiego nauczyć na pamięć różne modlitwy i pieśni. To też co święto uczył tam starszy

*

młodszego te pieśni, które xięża spiewali przed Najświętszym Sakramentem.

A ile razy sunął ojciec Jan do fary, ubrany po polsku w jasnej kapocie, opasany pasikiem i w palonych butach, tyle razy bieżało za nim malutkie chłopię z xiążką pod pachą, szkaplerzykiem i krzyżykiem na piersi, pięknie ogarnione i opasane, a był to synek ojca Jana pobożnego i miał na imię Staś, bo ojciec tak sobie mawiał:

– Na co tu wymyślać imiona dla polskich dzieci, kiedy my Polacy mamy tyle świętych męczenników naszych i patronów, co to pochodzą i z królów i panów a bardzo dużo z nas kmieciów i mieszczan!

To też i jego dzieci wszystkie miały na chrzcie św. same polskie i piękne imiona, i jego też synek zwał się Stasiem. Umiałoci to maleństwo już w 6 roku czytać i czytało pytlem każdy druk, a pieśni pobożne to spiewało z pamięci jakby z pisma, bo to matka wyuczyła het! razem z paciorkiem i przykazaniami. A rwało się do św. spowiedzi i komunii jak gołąbek do grochu, jeno ojciec pobożny nie pozwalał jeszcze — to też nie raz płakało to rzewnie biedactwo, kiedy widziało, jak cały dom komunikował się, a ono musiało klęczeć zdaleka ze złożonemi rączkami i nachylone ku ziemi. To też matka ocierając mu oczęta gadała:

— Poczekajno moje dziecko, jak się wyuczysz w szkole i odemnie o spowiedzi, jak będziesz dobre i pobożne, jak podrośniesz, to i ty będziesz się komunikował co 4 niedziel, a teraz weź lampę nalaną i zanieś ją kościelnemu, aby ją zaraz zapalił przed Najświętszym Sakramentem.

I poniósł Staś lampę do kościoła, długo sobie tam klęczał, odmówił paciorki i modlitwy i pieśni do Najświętszego Sakramentu, a potem uderzył trzy razy czołem o ziemię, pocałował ją, a chwaląc Przenajświętszy Sakrament wracał do domu uradowany, że zrobił dobrze.

A gdy to robili w domu wszyscy, że dawali część swego jedzenia na jałmużnę ubogim i nigdy nikt tam nie klął, ani się kłócił, jeno każdy pilnował swej roboty, i wystrzegał się coś złego wymówić, a broń Boże zrobić, to też i mały Staś

robił tak samo, przełamał bułkę na dwoje, dał zawsze połówkę ubogiemu dziadkowi, a czasem i obie połówki, a nie raz to prosił zapłakany matkę:

— Moja mamo! dajcie mi też grosz jeden, a ja go zaniosę pod kościół ciemnemu dziadkowi, co to wyspiewuje tak ładnie o Najświętszym Sakramencie! a mię zawsze przeżegna, ile razy mu co położę na rękę.

I dostałci grosz nie jeden od matki, której ani przez myśl nie przeszło, aby to żegnanie dziadusia pod kościołem mogło dla jej Stasia wyprosić u pana Jezusa nie tylko szczęście na ziemi, ale i koronę niebieską.

Jak Staś do szkoły chodził, to zawsze był pierwej pod farą, nim poszedł na naukę; tam zmówił paciorek, dał połowę śniadania dziadkowi, a gdy go dziaduś głaskał po głowinie, to Staś klęknął i mówił:

— Pobłogosław mię dziadusiu ciemny, choć mię nie widzisz i proś pana Jezusa, aby ze mnie było coś dobrego, abym był bogaty, a wtedy sto takich dziadków będę żywił.

I błogosławił dziaduś ciemny Stasia, a pan Jezus umacniał jego duszyczkę i serduszko i Staś się uczył dobrze, był najlepszym na całe przedmieście, ukończył szkoły i miał już zostać w domu przy ojcu, byłby został mieszczaninem, ale inaczej rozrządził pan Jezus, który wysłuchał modlitwę dziadusia ciemnego, a może i pobożnej matki, boć ta ofiarowała Stasia Najświętszej Pannie w kościele Panny Maryi, i miewała nieraz dziwne sny jakieś o swoim Stasiu.

A było to wtedy, że król Jagiełło przeniósł szkołę, co ją Kazimierz Wielki fundował na tem przedmieściu, aż w sam środek Krakowa, gdzie do dziś stoi, to też i Staś Kazimierczyk poszedł dalej do szkoły, i ogromnie się uczył po nocach, a choć miał dobre ćwierć mili z domu do szkoły, choć nieraz była bieda na dworze, to on nigdy nie opuścił szkoły, ani nabożeństwa w kościele, trapił się postami sam, a co mu zbyło to dawał ubogim — a matka jego dobra gadała mu:

— Moje dziecko! dobry jest grunt, dobre i rzemiosło jakie, ale nauka przyda ci się do wszystkiego; nie patrz na dom i pracę naszą, ale ucz się, bo kto umie dużo, ten zrobi dużo

dobrego, jak zechce i pan Jezus dopomoże, a najgorzej na świecie każdemu głupiemu. Kiedy jest szkoła blizko, tobyś miał grzech za to, jakbyś się nie chciał wyuczyć.

I słuchał Staś nauki matki i wyuczył się na xiędza, i ścisnął jej głowę na pierwszej mszy swojej, ale matka nie dożyła tego, kiedy jej Staś został profesorem w Krakowie, był bogatym, był ojcem dla dziadków i sierot i był tak dobrym w Krakowie, że go cały Kraków i cała polska ziemia znały z jego dobrego życia. Przeżył on króla Jagiełłę i Warneńczyka, boć za tych królów chodził on do szkoły, a za króla pobożnego Kazimierza Jagiellończyka został xiędzem, potem profesorem, a gdy się podstarzał, gdy drugich nauczył tego, co sam wiedział, gdy co miał rozdał ubogim pomyślał sobie:

— Gdzie się kto ulągnie, tam zawsze ciągnie; otóż i ja wrócę do kościoła Bożego Ciała, gdzie mię dziaduś ciemny żegnał, gdziem się pierwszy raz z rodzicami spowiadał i komunikował, wrócę do swojaków a będę ich uczył wszystkiego dobrego, dam im dobry przykład życia pobożnego i dopomogę nie jednemu biednemu, jak mi dopomógł król i królowa i sam pan Jezus z wysokiego nieba.

I wrócił do klasztoru przy kościele Bożego Ciała, został zakonnikiem, tam był spowiednikiem i kaznodzieją i gadał swojakom nie raz:

— Czem ja jestem i czem wy jesteście, to macie podziękować pobożnym królom polskim — to też pilnujcie tego, co oni dobrego zrobili i zaprowadzili w polskim kraju, a módlcie się za duszę takich królów, jakich nie było nigdzie na całym świecie, i proście pana Jezusa, abyście mieli takich ojców i fundatorów pobożnych na wieczne czasy. A wasze dziatki oddawajcie do szkoły, jaka jest czy to na wsi czy w mieście, a będzie miał i kraj pociechę i niebo chwałę z waszych dziatek. Widzicie, ja mieszczańskie dziecko, tak jak i wy sami, a jaka to różnica między nami, a to zrobiła moja nauka, a wasze niedbalstwo.

I żył ten błogosławiony człowiek wtedy w Krakowie kiedy żył i św. Jan Kanty i Szymon z Lipnicy i xiądz Świętosław u Panny Maryi i królewic Kazio, kiedy był i król Kazimierz

Jagiellończyk pobożny, a królowa Elżbieta, matka św. Kazimierza i 4 synów, co to potem byli wszyscy królami, znała dobrze xiędza Stasia Kazimierczyka przy kościele Bożego Ciała i była sama siostrą bractwa Najświętszego Sakramentu i spowiadała się nie raz z synami przed tym pobożnym xiędzem i mówiła królewiczom:

— Patrzcie! ani majątek ani ród nie pomógł mu, jeno jedna nauka dopomogła mu do takiego stanu, a resztę pobłogosławił pan Jezus i wyprosiła mu Najświętsza Panna.

I przeżył on 60 lat spełna, był 25 lat xiędzem i profesorem w Krakowie, a choć pochodził z mieszczan, to dla nauki i pobożności był wielce ceniony u ludzi i u Boga, potem był zakonnikiem przy Bożem Ciele 10 lat, i żyjąc z Bogiem umarł tak samo z Bogiem, roku 1489 w Krakowie, a duszę jego zaprowadził stróż Anioł przed pana Jezusa na sąd, a potem prościutko do nieba, a ciało jego leżało w tym kościele, gdzie był jako dziecko ochrzczony, gdzie się pierwszy raz spowiadał i komunikował, gdzie go ciemny dziaduś żegnał za jałmużnę, gdzie do mszy sługiwał, aż potem kardynał krakowski, xiądz Fryderyk a syn króla Kazimierza Jagiellończyka, co to zapamiętał trochę xiędza Stasia Kazimierczyka i odebrał z jego ręki błogosławieństwo, kazał dobyć ciało tego świętego i wystawił go ku czci Polaków.

Otóż i wy kmiecie i mieszczany bierzcie sobie przykład z tego świętego, uczcie wasze dzieci a będą i z nich ludzie, a mogą być i święci.

A ty święty patronie nasz! módl się do pana Jezusa i Najświętszej Panny za nami biedakami, abyśmy tak za życia mieli dobrze w naszym polskim kraju, jak było po tamte czasy, a po śmierci byli razem w niebie. Amen.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Jak to bywało?

(Stara śpiewka z czasów pana Kościuszki.)

— Hej! hej! co to tam? — biją w dzwony głośno
Ludu pełno i świątecznie i wszystko radośno,

A to dziś nie święto przecie żadne uroczyste,
I co się to ludziom stało? Mocny Jezu Chryste!
Toć ja lat ośm setek żyję a jeszcze nie pomnę
W dzień zwyczajny zbiegowisko tak dziwnie ogromne.
Janku! Bartku co to zaś? czego tam lecicie?

— Zaś tatulu chodźcie z nami, sami obaczycie,
Oto idą strzelcy nasi i swarni ułani
A więc idą ludzie witać, chodźcie dla kompanii.

Poszli razem, a dziad stary jakby sił przybyło,
Biegnie żwawo, a nareszcie huknie całą siłą:

— Wiwat nasi, niechaj żyją! — i zapłakał stary,
I rzucił się i ze szlochem całował sztandary,
I mówił że z dawnych czasów pamięta tak samo,
Kiedy Moskwę i z Warszawy i z Polski wygnano.

Więc stanęli przed kościołem, i cisza nastała,
Xiądz odprawia mszę najświętszą, klęczy wiara cała,
I lud klęczy, i wraz wszyscy Bogu się kłonili,
Że za świętą jego łaską Moskali pobili.
Naostatek xiądz odczytał jakieś tam papiery
Pan naczelnik zaś człek dziwnie i zacny i szczery,
Powie ludziom: Co xiądz czytał, wszystko prawda iście
Ja przysięgam, a więc Polska wolna oczywiście,
Każdy Polak wolny, równy; tych praw idziem bronić,
I was bracia i kraj cały przed Moskwą ochronić.

Krzykną ludzie: Wiwat nasi i niechże nam żyją,
I niechże nam Polskę bronią a Moskwę niech biją!
A potem już gwarno było i wesoło w siole
I noc całą po ścierniskach czuwały patrole,
I kompanię całą nową we wsi sformowano,
A nad raniem za chłopcami trochę popłakano.

Poszli, poszli, już kurzawa opadła na drodze,
I słoneczko hen wysoko już przypieka srodze,
A dziad stary zapłakany przed kościołem klęczy,
I modli się i do Boga we łzach wielkich jęczy:
Ojcze nasz, o wielki Panie! byłoć to tak było,
Ale już się dawno bardzo wszystko odmieniło,
Ojcze nasz! a toś nam kazał wierzyć w zmartwychwstanie,
Ojcze nasz! więc niech się wola twoja święta stanie!

Odważna dziewczyna.

Już temu dość dawno, gdy w jednej wiosce górskiej pod Karpatami mieszkali bardzo dobrzy państwo. Nie mieli oni dzieci, zaś majątek mieli bardzo piękny, to też nie zapominając na drugie przykazanie Boże, które powiada: Kochaj bliźniego twego jak siebie samego — czynili wiele dobrodziejstw.

Dwór tego państwa był jakby mieszkaniem dwoch aniołów. Pan dziedzic gospodarz co się zowie; pani zaś uczynna i nad podziw dobra kobiecina, tak umiała z mężem swoim przywiązać do siebie ludzi swej wioski, że na zawołanie gromadami garnęli się do dworu, bo wiedzieli, że tu pokrzywdzeni nie zostaną.

Cała wioska słuchała swego pana we wszystkiem i dobrze na tem wychodzila. W czem gromada nie mogła sobie poradzić, tam pewnie pan dziedzic dopomógł, i dla tego też wszystko było jak się należy. Więc za pomocą pańską naprawiła gmina kościół parafialny, wyfundowała szkółkę, w której się dzieci czytać i pisać uczyły, wystawiła gromadzki spichlerz, a pan dziedzic darował jeden domek na sieroty i kaleki, do których na koszt pana dziedzica co tydzień pan lekarz z miasta przyjeżdżał.

Zaś pani dziedziczka, chociaż sama słabowita, mimo deszczu i wiatru chodziła nieraz po domach i odwiedzała chorych, przynosząc im lepszej strawy albo lekarstwa ze swej apteczki domowej, bo kochała bardzo swych ludzi.

Dwór był dla każdego otwarty; to też pełno zawsze schodziło się ludzi po radę, często prosić o pożyczenie zboża na przednowku, kiedy jeszcze gromadzkiego spichlerza nie było, a niekiedy na zasiew, gdy nie jednemu brakowało, zaś nigdy się nie wydarzyło, żeby który gospodarz odszedł bez niczego. Ludzie przez wdzięczność pracowali we dworze pilnie i ochoczo, a Bóg błogosławił pracy — słudzy kochali swoją panią, bo też trzeba wyznać otwarcie, że ona co mogła to sługom robiła. Co młodszą i swarniejszą dziewuchę wydawała za mąż, parobków swatała z pracowitemi dziewczętami, dając im zawsze

co nieco na zapomogę, a co starsze sługi utrzymywała na łaskawym chlebie przez pamięć na ich długie lata wiernej uczciwej służby.

Po jednej tedy takiej starej słudze została się bardzo miła i urodziwa dziewczynka, której było Jadwisia na imię. Owoż spodobała się ona niezmiernie pani dziedziczce, i myśli sobie że szkoda takiej dziewczynki oddawać do ludzi, i lepiej zostawić ją u siebie. Kazała więc ją przywołać do siebie i mówi do niej:

— I cóż moja Jadwisiu zostaniesz ty u mnie, czy chcesz iść do ludzi na służbę?

Dziewcze rozpłakało się żałośnie, aż dopiero po chwili tak się odezwało:

— I kędyż bym ja poszła od wielmożnej pani?... Ja wolę bodaj przy krowach tutaj zostać, byle tylko nie chodzić nigdzie od tak miłosiernego państwa!...

— No nie płacz, moja Jadwisiu — odrzeknie pani dziedziczka — już nie pójdziesz nigdzie odemnie. Gdy się będziesz dobrze sprawowała, to cię każę czytać i pisać nauczyć, a i szycia jak będziesz miała ochotę.

Jadwisia upadła do nóg pani dziedziczce i całując jej stopy dziękowała za tak hojną łaskę i przyrzekała wszystko czynić co sobie tylko życzyć będzie.

Jakoż po roku dobra Jadwisia nauczyła się czytać i cokolwiek pisać; chwyciła się z wszelką pilnością do roboty: owoż i szyła nie źle i prasowała wszystką bieliznę pani dziedziczki, która się nie mogła nacieszyć jej zręcznością i wywyborną posługą.

Odtąd Jadwisia w pokojach uważała na porządek i do kuchni zaglądała, czy we wszystkiem czystość i regularność. Zaś w niedzielę schludnie ubrana ze wszystkiemi sługami chodziła do kościoła, a po południu czytała im różne rzeczy z xiążek pani dziedziczki, za co ją też wszyscy bardzo polubili.

Przy tem wszystkiem była ona bardzo wierna i roztropna. Jak kiedy pani dziedziczka miała jaką sprawę do miasta lub kędyindziej, to Jadwisię wedle niej posłała, bo ona wszystko najlepiej zrobiła.

Owoż gdy już dłuższy czas u tego czcigodnego państwa posłużyła, zdarzyło się pewnego razu, że do sąsiedniej wsi trzeba było odsyłać wielkie pieniądze. A że pocztą tego sprawić nie było można, turbowała się pani dziedziczka kimby je posłać, ażeby się spiesznie i dobrze z tem uwinąć.

— Niech wielmożna pani mnie poszle — mówi Jadwisia — ja to już dobrze zrobię.

— Ej kiedy ja się boję ciebie posłać — odpowie pani dziedziczka — bo tu dużo pieniędzy, a może cię kto w drodze złapać, ta i obedrzeć i odebrać pieniądze.

— Przecież mi się to nigdy jeszcze nie wydarzyło — odrzeknie Jadwisia — to i tą razą uczynię jak się patrzy.

Wreszcie przystała na to pani dziedziczka, a dając jej pieniądze do ręki, kazała się jej ubrać. Właśnie w tym czasie gdy się ubierała, był tam stary dziad w kuchni i prosił o jałmużnę. Przysłuchiwał on się wszystkiemu uważnie, aż gdy mu Jadwisia kawałek chleba podała, aby się modlił do Opatrzności Boskiej, odszedł dalej.

Nie długo zebrała się Jadwisia, i przeżegnawszy się krzyżem świętym i zmówiwszy krótką modlitewką, wzięła list, w którym było 400 reńskich i ruszyła w drogę.

Po dobrym kawałku drogi, przyszła ona pod las, przez który prowadziła krótsza droga. W tem zachodzi jej drogę ten sam żebrak, któremu dała chleba i tak się jej pyta:

— A daleko ty idziesz dziewczynko?

— A tu do poblizkiej wioski — odpowiedziała Jadwisia.

— I bardzo ci się spieszy? — pyta znowu dziad.

— Oj tak mój dziaduniu, pilny mam interes — dodała.

— I ja też właśnie idę do tej wioski — mówi dziad — więc pójdziemy oboje razem. Wiem także krótszą drogę, to i prędzej zajdziemy.

— Dobrze mój dziadusiu, będzie mi nawet weselej, boć samej iść lasem zawsze nieprzyjemnie — rzekła Jadwisia.

I szli oboje przez różne krzaki i zarośla aż doszli do jednej dosyć wysokiej góry.

— Chodźmy teraz przez górę — powiada dziad — bo

tędy będzie nam bliżej, a za tą górą widać już wioskę, do której idziesz.

I usłuchała dobra dziewczynka starego dziada. Poszła za nim pod górę, ale gdy stanęli na wierzchołku, przystanął dziad nad ogromną przepaścią i okropnym głosem wyjmując z pod płaszcza grubą pałkę, zawołał:

— Chodź tu! oddaj pieniądze które niesiesz, bo cię tą pałką na miazgę zgruchotam!

Przytomna Jadwisia w tej chwili wyciągnęła list z zanadrza i oddawszy go dziadowi odchodzi.

— Stój! ani na krok z miejsca! — zawrzasnął dziad — i suknie na tobie są moje!

Jadwisia nie wiele myśląc stanęła przed dziadem i mówiła po cichu: Kto się w opiekę poda panu swemu — a on ściągał z niej wszystko, a co zdjął, układał na ziemi. Gdy już tylko w koszuli została, chce znowu odchodzić.

— I koszula moja! — huknął dziad — i począł ją odwiązywać.

W tem odważna Jadwisia widząc, że dziad na samej krawędzi okropnej przepaści stoi, pchnęła go silnie ręką sama się tyłem na ziemię rzucając — i dziad z okrutnym wrzaskiem spadł w głęboką przepaść, do której ona miała być rzuconą.

Ubrała się czemprędzej, podniosła list z pieniądzami, który także na ziemi leżał i spiesznym krokiem pobiegła do wioski, do której ją pani dziedziczka posłała.

Przenocowała tutaj i nikomu ani słowa o swej przygodzie nie wspomniawszy, znowu na drugi dzień piechotą odeszła do domu.

Pani dziedziczce jęła dopiero całe zdarzenie opowiadać, jak ją dziad obdzierał, jak go wtrąciła do przepaści i jak szczęśliwie doszła z pieniądzmi do drugiej wsi. Pani dziedziczka nie mogła się nadziwować odwadze i przytomności Jadwisi i niezmiernie się uradowała z jej szczęśliwego ocalenia. Kazała zaraz zaprzęgać konie i kilkoro ludzi pojechało z Jadwisią na ono miejsce, gdzie się jej ten przypadek wydarzył, i znaleźli tam mnóstwo podartych sukien, trupich głów i kości, a na nich

leżał zabity, okropnie pokaleczony dziad, który ludzi na ową górę wyprowadzał, a potem obdartych do przepaści spychał.

Co śmielsi parobcy zaczęli zabitego dziada przewracać i w tem odpadła z głowy jego peruka i broda, poczem zaraz poznali, że to był młody Tomek, który niegdyś służył u pani dziedziczki, która go za złodziejstwo i inne brzydkie rzeczy od siebie odpędziła. Przebrał się on potem za starego dziada i chodził po żebraninie. Niedaleko od tej jamy znaleźli jego chatę, w której mieszkał, ale w niej oprócz słomy i różnych gratów nic więcej nie było.

Od tego czasu polubiła pani dziedziczka Jadwisię jeszcze bardziej. Zaś we wsi jedni ludzie opowiadali o jej odwadze — drudzy mówili że zabiła człowieka, że niedobra dziewczyna, ale gdy im xiądz proboszcz rzecz wytłumaczył, że nie popełniła grzechu, bo tu chodziło o jej własne życie i innych ludzi, którychby jeszcze był zabił — przestali wygadywać i chwalili ją wszędzie.

A że to była dziewczynka przystojna i do rzeczy, wielu parobczaków i kmiecych synów zaprzątywało sobie Jadwisią głowę, ale pani dziedziczka za nikogo jej wydać nie chciała, bo ją dla chwackiego Marcinka, syna bardzo starego sługi Daniła, który miał pod panem Kościuszką pietnastu zabić Moskali, wychowała.

W kilka niedziel nastąpiły zmówiny a wkrótce znowu wesele. Pan dziedzic darował młodej parze kilka morgów pola, nowy domek z ogrodem, a także i kilkadziesiąt reńskich ofiarował Jadwisi na wiano.

Młodzi małżonkowie pracowali pilnie i nieustannie i dorobili się pięknego dobytku. Zaś jaka Jadwisia była dobra kobieta, to posłuchajcie co wam opowiem.

Razu jednego jechała ona na swoim wozie na targ do miasta. Powracając nazad niebo się zachmurzyło i okropna powstała burza. W drodze spotyka starego Dulisza, który był największym przeciwnikiem jej męża, albowiem kilka lat na zabój się z nim procesował o jakieś tam głupie rzeczy. Wiedziała ona o tem, jednak zapominając na nienawiść, złazi z wozu i usilnie prosi, aby wsiadł na wóz, bo przykro jej było

aby starzec o siwym włosie szedł po błocie. Dulisz tak pięknym uczynkiem Jadwisi do żywego wzruszony, pojechał z nią do samego domu, pojednał się z jej mężem i od tego czasu stał się jego najlepszym przyjacielem.

Zaś na owem miejscu gdzie było mieszkanie tego rozbójnika, wystawili Marcinowie krzyż święty, który do dziś dnia stoi na pamiątkę, aby każdy kto przejdzie tamtędy, westchnął i zmówił paciorek za dusze, które tu marnie i bez pojednania się z Bogiem zeszły ze świata.

Czcigodni państwo już dzisiaj nie żyją i Jadwisia to samo, ale dzieci jej żyją i opowiadają każdemu to zdarzenie jej matki, której wieczne odpoczywanie racz udzielić Boże!

Jak słyszałem, tak spisałem wam moje dziewczęta wiejskie ten prawdziwy przykład dobrej Jadwisi na naukę, abyście ją naśladowały w pilności i pracowitości i abyście wszystko czyniły z Bogiem, a wtedy polubią was dobrzy ludzie, Bóg błogosławić wam będzie i doda odwagi, że się wam nic złego nigdy nie stanie. *Józef z Bochni.*

Dobry gospodarz.

Pisałem wam niedawno moi mili o szczęściu, i powiedziałem wam, że szczęście jest w tem, aby wypełniać swoje obowiązki i starać się o zachowanie spokojnego sumienia. Także powiedziałem wam, iż wypełniać swoje obowiązki znaczy żyć uczciwie w tym stanie, w jakim każdy jest, sprawować wszystko porządnie co do niego należy, a najbardziej chwalić pana Boga uczciwie i pełnić jego święte przykazania. Każdy stan ma insze obowiązki i inszą pracę, więc o nich będzie mowa, a dziś o obowiązkach gospodarza.

Dla przykładu moi mili pokażę wam kilku gospodarzy, a sami powiecie, który z nich najlepszy.

Błażek wziął po ojcach piękną spuściznę: chałupę z gruntem jak folwarek jaki mały, dobytek dziwnie piękny, grosza gotowego dobry zapas, a w końcu zdrowe ręce i nogi. I cóż z tego wszystkiego! Zamiast pracować, zaczął się Błażek hul-

taić; słonko już dobrze przypieka, a on jeszcze spi; potem wstanie koło południa, napcha kiszki, wsadzi fajczysko w gębę, a dałej już do wieczora wyciąga się i ziewa tak okrótnie, żeby mu jak to mówią cielak wleźć mógł w gębę. O robotę nie troska się wcale, bo trzyma parobków i dziewki, a te wiedząc, że ich nikt nie dogląda, hultają się także a marnują pracę. No! zda mi się, iż o Błażku nikt nie powie, żeby to był dobry gospodarz.

Zaś teraz patrzcie na Jurka. Ten wziął po ojcach nie wielki majątek, ale jak się jął pracy, to już dziś prawie najbogatszy gospodarz we wsi. Nie doje on, nie dospi, ale zrywa się po zarankach i nocach, czuwa, pilnuje i wszędzie go pełno. Żadnego wydatku nie zrobi, a grosz nie dziesięć ale dwadzieścia razy obejrzy, nim go wyda. Jużci pieniędzy naskładał dość, dobytku dochował się pięknego, i wszystko byłoby dobrze, żeby nie jedna rzecz. Oto widzicie, Jurko myśli tylko o bogactwie a o niczem innem. Nie zważa on na sumienie i uczciwość, nie odda każdemu co mu się należy, więc i służbę nieraz krzywdzi, a już o miłosierdziu dla biednych nie ma tam zgoła mowy. Jurko nie ma czystego sumienia, nie podniesie oczu śmiało na ludzi, nie ucieszy się niczem i nie zaśmieje radośnie. Każdego podejrzywa, każdego ma za oszusta i złego, bo sam jest takim. Jak myślicie! czy Jurko może być szczęśliwym i czy to dobry gospodarz z niego?

Zaś jeszcze jeden przykład. Maciej to mi człek, co to go do rany przyłożyć jak mówią, a wnet ją zagoi. Zamożny to gospodarz jakich mało, ależbo i pracuje całe życie na to. Czeladzi trzyma dostatek, ale ją dogląda, próżnować i hultaić się nie pozwala, choć krzywdy żadnemu jeszcze w życiu swojem nie uczynił. Na wydatki uważa i oszczędza się gdzie można; ale w domu jest dostatek, głodem nikt ze skąpstwa nie przymiera, zaś dla każdego biedaka i kaleki znajdzie się jeszcze kęs chleba i łyżka strawy. I tak zawsze u niego. Skoro świt rozpoczyna się praca; Maciej sam daje dobry przykład. Przy pracy pożywienie dobre i smaczne, a spoczynek także jest w swoim czasie. Chwała Boża zawsze na pierwszem miejscu. Dla sług dobroć i sprawiedliwość; kiedy sługa pilny i uczciwy,

to o nim pamięta Maciej jakby o rodzonem dziecku; zaś kiedy hultaj jaki i nieroba, więc go zawczasu pędzi na cztery wiatry. Zaś sam Maciej człek taki miły, że aż spojrzeć nań warto. Wesoły zawsze, przekleństwa żadnego nie zna, słowem człek prawdziwie szczęśliwy.

No zda mi się, że Maciej najlepiej wam się ze wszystkich podoba Weźcież go sobie za przykład i pamiętajcie co dobry gospodarz powinien, a to jest:

Najpierw dbać o chwałę Bożą, i baczyć na to, aby w całym domu o nią dbano.

Dalej ma być prawdziwym gospodarzem a nie malowanym, więc ma wszystkiem rządzić uczciwie, na wszystko uważać, wszystkiego doglądnąć.

Dalej jeszcze ma także uważać na oszczędność. Pismo św. mówi: ›Módl się i pracuj‹, a do tego jeszcze dodać należy: ›i oszczędzaj.‹ Niepotrzebne wydatki uczą zbytków, a zbytek to już grzech, zaś jeden grzech prowadzi do drugiego. Otóż gdzie nie trza, tam się oszczędzaj, a tam gdzie trzeba, nie żałuj znowu nigdy.

Naostatek ma dobry gospodarz baczyć wiele na uczciwość. Gdzie jest jaka krzywda ludzka, gdzie jest łza sieroty albo wdowy, tam Bóg nigdy błogosławić nie będzie.

Takie to moi mili są obowiązki dobrego gospodarza.

RÓŻNOŚCI.

Dziwny mróz. Dnia 18 lipca w nocy był we wielu miejscach znaczny mróz. Hreczki i prosa pomarzły gdzieniegdzie tak, iż je musiano skosić na paszę. Także kartofle, ogórki i inne jarzyny ogrodowe pomarzły na wielu miejscach. Dziwna to rzecz, bo najstarsi ludzie nie zapamiętają, aby kiedy w lipcu bywały takie mrozy. Wartoby pomyśleć nad tem, czy to nie jest jaka kara Boża za grzechy, bo już tych grzechów dość jest między ludźmi.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

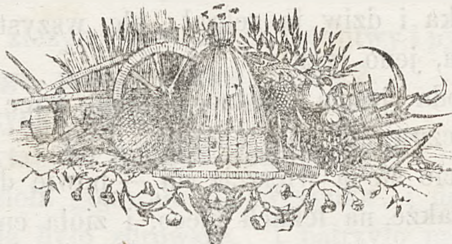
Tom IX.



Nr. 5.

11. Sierpnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ZŁOTA GWIAZDKA.

Legienda.

Jest taka legienda o dziewczynce ze złotą gwiazdką.

Juźci wiedzą to ludzie, iż każde dziecko ma swego anioła stróża, który go chroni od złego, od wszelkiego przypadku i nieszczęścia. Otóż dawnymi czasy stało się, iż pewien aniołek stróż zabaczył swoje dziecię, które upadło i okrutnie okaleczało, i już nie było prawie rady dla niego na ziemi.

Matka dziecięcia rozpaczała okrutnie, a dziecko cierpiało srodze.

Naonczas aniołek stróż wymodlił sobie u Boga Ojca pozwolenie, iżby mógł zejść na ziemię i ratować biedne, chore dziecię.

Skoro na ziemi stanął aniołek, stał się wnet dziewczynką młodą. Była to biedna dziewczynka, w biednem i lichem ubraniu — ale za to dziwnie piękna była, niby malowanie najcudniejsze.

I przyszła dziewczynka do domu matki dziecka chorego i zapukała.

— Kto tam i czego? — pyta otwierając niewiasta.

— Biedna sierota, która służby szuka i chce wam pomódz chodzić koło dziecka chorego — odpowie dziewczynka.

Patrzy matka i dziw ją zebrał, ale wszystkiego pomiarkować nie mogła, jeno rzekła:

— Zaś młoda jesteś bardzo i słaba, więc nie dla ciebie praca i ciężkie czuwanie koło chorego.

— Nie bójcie się a wierzcie mi — powie dziewczynka — gdyż znam się także na lekach nieco, i zioła cudowne znaleźć umię, a nawet i teraz znajdę, choć zima jest i śniegi.

— Więc zostań przy nas — rzeknie niewiasta, i już bardzo rada była dziewczynce.

Przyszły więc obie do dziecka chorego, które nigdy prawie spać nie mogło z wielkiego bolu. I mówi dziewczynka do matki:

— Połóżcie się spać, boście zmęczeni, a ja czuwać będę koło dziecka.

Matka zasnęła, a dziewczynka pogłaskała dziecko rączką, i także zasnęło.

Kiedy matka obudziła się, widzi iż dziecko spi i uśmiechnięte jest, jakby mu dobrze było. Zaś dziewczynka rzecze:

— Pójdę po zioła.

Śnieg był na dworze wielki i zimno, a dziewczynka biedna poszła w las. I nie było jej dzień cały, a wieczorem przyszła znowu, i ziół przyniosła pęk cały, a zziębnięta była i pokrwawiona, bo z pod śniegu i lodu dobywała zioła.

Jęła dziewczynka przyrządzać i gotować zioła a potem obudziło się dziecko chore, i dała mu napić się. A dziecko uśmiechnęło się wesoło, i nie płakało już ani troszkę, lecz niebawem znowu zasnęło.

Rzecze wtedy niewiasta do dziewczynki:

— Mojaśty miła i dobra! Oto trudzisz się dla dziecka mego, więc spocznij sobie nieco, a już ja czuwać będę.

I dziewczynka zasnęła. A wówczas nad czołem jej zaświeciła gwiazdka złota. I ujrzała to niewiasta, i zdumiała się bardzo, a potem klękła przed dziewczynką i modliła się rzewnie.

I ocknęła się niebawem dziewczynka, a gwiazdka zbladła i znikła, zaś na twarzy dziewczynki była jasność wielka i święta.

Niewiasta złożyła ręce jak do modlitwy i pyta dziewczynki:

— Na Boga, powiedz, ktoś ty jest?

A dziewczynka odrzekła:

— Nie pytaj, bo dziecko zbudzisz.

I znowu zioła gotowała dziewczynka, i dała pić dziecku, a ono co chwila było zdrowsze. I patrzyło na dziewczynkę, i rączki do niej wyciągało i uśmiechało się wesoło.

Dziewczynka chodziła po zioła i gotowała je dziecku, i było tak długi czas.

Naostątek wyzdrowiało dziecko zupełnie.

Więc razu jednego kiedy spało, stanęła dziewczynka nad niem, i modliła się długo. I pocałowała dziecię i znikła.

Weszła matka do izby, i zdziwiła się okrutnie, że dziewczynki nie było przy dziecku, bo nigdy nie odchodziła je samo. I ujrzała nad kolebką gwiazdkę złotą, która bladła ciągle i już zniknąć miała.

Wtedy obudziło się dziecko chore, i wstało samo zdrowiuteńkie, złożyło rączki i modliło się.

Zaś gwiazdka złota znikła, i nie pokazała się aż znowu na niebie. I co wieczora szukało ją dziecię na niebie i wyciągało rączki do niej, a już przez całe życie modliło się do swego anioła stróża, i było zacne a bogobojne jako mało.

Taką to legiendę o dziewczynce ze złotą gwiazdką rozpowiadali mi ludzie pobożni.

Modlitwa
do Anioła Stróża.

Aniele stróżu mój święty w niebie!
Proszę ja ciebie:
Chroń mnie od złego święty aniele,
W Bożym kościele.

*

Chroń mnie od grzechu, co duszę brudzi
I serce studzi,
Chroń mnie od myśli, która zle rodzi
I cnotę zwodzi.

Dużo miłości daj mi dla kraju
Aniele z raju,
Dla mej Ojczyzny o bardzo dużo,
Stróżo mój, stróżo!

I dla mych braci daj serce chętne,
Wdzięczne, pamiętne,
I dla ofiary daj chęci żywe,
Chęci uczciwe.

Aniele stróżu wołam do ciebie
Stróżu mój w niebie!
O bądźże na mnie miłościw Panie,
Święte kochanie.

Szukający śmierci znalazł żonę,

czyli:

Historya o Kubusiu Bałabajce, który dziwnym przytrafunkiem wyszedł na porządnego człeka.

Z dawnych lat nie było w Krowichwostach takiego lenia i nieroby jak Kubuś Bałabajka, którego cała wieś przezwała Bałabajczym nicponiem. Kubuś byłci chłop nieprzymierzając jak dąb zdrów i silny; pleczyska miał szerokie niby tok w stodole, karczydło jak u wołu karmnego, a ręce, to już chyba niedźwiedzie łapy mogły być tęższe i silniejsze. Zawsze zdrów, rumiany, a także nie żaden brzydal; jużci i zmyślny był chłopisko, i serce miał nie złe, jeno że leniuch jakiego w całej Polsce poszukać.

Zaś wszystkiemu była winna matka. Miała ci ona jednego tylko Kubusia, więc to dla niej był także skarb najdroższy, z którym obchodzić się nie umiała. Zamiast go pokierować na pracowitego i rozumnego człowieka, jak chciał zacny ojczysko,

psuła matka Kubusia małego pieszczotami i wygodami, chroniąc go od wszelkiej mitręgi i biedy, aż urósł z tego chłopisko niezdara, z którego cała wieś się naśmiewała. Póki matka żyła, więc dla świętego spokoju dawał stary Bałabajka spokój synalowi, i jeno czasami pokryjomu dał mu jakie smarowanie na pamiątkę; lecz kiedy biedne matczysko zmarło nareszcie, już nie można było cierpieć dłużej takiej niezdarności.

Otóż jął ojciec najpierw łagodnie a po dobremu namawiać Kubusia do różnej pracy, a kiedy to nie wiele pomagało, więc coraz częściej smarował mu paliczką grzbiet szeroki. Zaś Kubuś tak przywykł do tego, że się jeno poskrobał, a potem najadł i znowu po staremu leniuchował. Widząc stary Bałabajka iż trudna sprawa z chłopczyskiem, tak sobie pomyślał:

— W domu z tego nic nie będzie, więc go nagonię, niech trochę zazna biedy na świecie, a wnet przywyknie do pracy.

Niebawem zawołał Kubusia, i dał mu jakąś robotę. Kubuś drapał się najpierw okrutnie w czuprynę, medytował długo jak się wziąć do tego, a naostatek dla lepszej medytacyi położył się w siano i zasnął. Nadchodzi ojciec, aż tu jeno rozlłiga się od chrapania Kubusiowego. Weźmie ci więc stary buczka do ręki, i zacznie go mierzyć do pleców synala. Kubuś w krzyk okrutny, a ojciec powiada:

— Ano leniu, nierobo, a idźże sobie wnet i niech cię już nie widzę.

Obłożywszy go porządnie, napędził ojciec Kubusia nie na żarty, i dawszy mu starą sukmanę, sierp i bielizny nieco wygnał het z chaty.

Tego się leniwy Kubuś żadną miarą nie spodziewał. Otóż najpierw rozbeczał się, a potem postanowił, iż życie sobie odbierze, bo już nań ostatnie przyszło nieszczęście. Poszedł z tem do lasu. Nałaziwszy się dość różnemi strony, zabłądził na pięknie, i ani rusz wyjść w pole. Więc nowy lament i płacze, a iż okrutnie zgłodniał, począł zbierać jagody. Naostatek szedł znowu tak może kilka mil lasami, i wyszedł na pole jakieś. No, tu już pewnikiem znajdę śmierć — powie Kubuś i ruszył na pole.

Las był na górze, a jak Kubuś stanął na brzegu lasu, ujrzał w dole łany ze zbożem, i żeńców gdzieniegdzie. Położy się więc na brzegu i patrzy. Niebawem usłyszał jakieś śpiewanie, i ujrzał na jednym łanie dziewcząt kilka, co bardzo pilnie dożynały żyta. Zaś jedna dziwnie mu się podobała, i ta ujrzawszy Kubusia zawołała:

— Patrzajta dziewuchy, a to zaś co takiego?

Zaczną dziewczęta przypatrywać się Kubusiowi, a jedna zawoła do niego:

— Hej człowieku, a zkądeśta się tu wzięli?

— Z lasu — huknie Kubuś.

— Owa! może wilkołak — zakrzyknęły dziewczęta.

— Gdzie zaś — woła on — toć ja Kubuś Bałabajka, co mnie tatuś wygnali z chałupy.

Dziewczęta poczną się śmiać i pytają:

— A cóżeś ty Bałabajko zbroił takiego?

— Zaś abo ja wiem — huknie Kubuś — ot nieszczęście na mnie przyszło, i idę szukać śmierci.

Dziewczęta zaczęły się na to śmiać, aż im świeczki w oczach stanęły, a Kubuś wyśmiany i zawstydzony nie wiedział już sam co zrobić ze sobą.

— A kiej szukasz tej śmierci drągalu — wołała na niego Kasia Wojczanka.

— A wiesz ty jak śmierć wygląda — pytała znowu ze śmiechem Anusia Borówna — i tak mu każda coś dogadywała, tylko jedna nic nie mówiła i nie śmiała się, a to Zosia czarnobrewa, która na Kubusia smutno jakoś patrzyła. Widząc, iż mu tak dziewuchy dogadują, i że on sobie rady dać nie umie, zawołała nakoniec:

— Ej dziewczęta, a nie widzita że on sobie z was kiepkuje, i tak wam gada jeno na śmiech, aby potem ośmiać was żeście mu uwierzyły. Otóż mądralu musisz nam za karę snopki poznosić i ułożyć w półkopki.

Dziewczęta uwierzyły Zosi, a Kubuś taki jej był wdzięczny za on ratunek, iż byłby jej Bóg wie co zrobił na podziękowanie. Więc kiedy mu kazała snopki nosić i składać, chwycił się jak nigdy jeszcze w życiu całem, i tak ci uporał się

prędziuchno a zwinnie, iż dziewczęta zgoła się już nie śmiały z niego ale nawet dziwowały.

Otóż nadszedł i wieczór, a na pole ono wyszedł gazda Szymon Brzoń, ojciec Zośki, u którego było właśnie żniwo. Zobaczywszy Kubusia zastanowił się i pyta:

— A zkądeśta dziewuchy przypytały sobie tego robotnika?

Więc zacznie Zośka rozpowiadać, iż nadszedł z lasu, i jął bałamucić przed dziewczętami, więc mu dały za karę robotę.

Pyta więc Szymon Kubusia:

— A zkądeśta mój miły, widno nie tutejszy?

— Jużci nie tutejszy ale z Krowichwostów — powie Kubuś.

— Ho! ho! powie Szymon — toć to pięć mil dobrych od nas. A gdzież to Bóg prowadzi? czy może za robotą?

— Jużci tak — powie Kubuś zaczerwieniwszy się.

— Czyż ta u was nie ma dostatek roboty? pyta Szymon.

— Ech czemu nie — mówi Kubuś zakłopotany — sam tatuś mają ładny grunt, ale....

— Ale co — pytał Szymon ze śmiechem — pewnieś chciał świata zobaczyć, he?

— Pewnikiem — mówił Kubuś zwijając się koło snopków.

Niebawem skończyli, a Szymon zaprosił Kubusia na wieczerzę i nocleg, także mu mówił, iż jak zechce, będzie mógł i tutaj znaleźć robotę.

Ucieszył się bardzo Kubus, bo właśnie przemyśliwał, jakby to zostać gdzie niedaleko Zosi, która mu dziwnie przypadła do serca. Zośka także rada była, bo jej się dość podobał Kubuś, i widziała wnet, że dobrym sposobem można będzie z niego zrobić człowieka.

Otóż patrzajta co się stało.

Ów niezdarny Kubuś, którego ojciec kijem nie mógł nagnać do pracy, zapomniał wnet całkiem o swojem lenistwie. Stanął niebawem za parobka u Szymona, i tak ci się zwijał, tak chętnie pracował, że go wszyscy za najpilniejszego wychwalali. Szukanie śmierci ani mu do głowy nie przyszło, zaś tylko nad tem myślał, jakby tu wyszukać sobie sposób na to, aby Zosia została jego żoną.

Było tak aż do późnej jesieni. Ojciec Kubusia wysłał dziada Porfirego na wyszukanie syna, i aby się popatrzył, co się z niego stało. Dziaduś przyszedł do Malinówki, gdzie mieszkał Szymon, i rozpatrzywszy całą sprawę, powiedział to i owo Szymonowi, a potem wrócił do Krowichwostów i tam ojcu Kubusia wszystko dokumentnie rozpowiedział. Stary ojciec ucieszył się bardzo, i czekał co dalej z tego będzie.

Tymczasem Kubuś rady sobie nie mógł dać, tak się rozmiłował w Zosi. Aby się podobać jej, pracował jak wół, i niebawem polubił także pracę, bo przekonał się, że to rzecz potrzebna i użyteczna dla każdego człowieka.

Zosia patrzała na wszystko także z uciechą, bo jej ojciec rozpowiedział gadkę dziada Porfirego, i całą historyą o Kubusiu, jak on się poprawił i wyszedł na uczciwego człeka.

Otóż razu jednego w niedzielę właśnie chodził Kubuś cosik strasznie sturbowany i nie swój, a miejsca sobie w chałupie znaleźć nie mógł. Pyta go naostatek Zośka:

— A co ci to dziś takiego?

— Oj Zosiu — powie Kubuś — wszyćko to twoje czary.

— Święta Matko Chrystusowa — zawoła Zosia żegnając się — a co ty nie wygadujesz na mnie, alboż to ja czarownica czy co?

— No jużci czarownica — mówi Kubuś. A toć napatrzyłem się na tyle dziewcząt różnych, i nic mi nie było; zaś skoro jeno ciebie zobaczyłem, więc od razu mnie już bieda naszła, i już nic mnie nie zabawi, niczego nie chcę, tylko aby ciągle patrzyć na ciebie. Toć dla tego patrzenia dziwy się ze mną porobiły. Wszak ci ja byłem taki leń i hultaj, że mnie cała wieś z tego znała, a tatuś własny wygnali z chałupy; zaś aby się tobie podobać, to już od pół roku pracuję jak wół, i zda mi się, że nie potrafię już być porządniejszym parobkiem. A ty sobie kiepkujesz jeno, i kiedy mnie kochanie wielkie zbiera i tęsknica za tobą, to ty się naśmiewasz ze mnie. O Zosiu! kiejbyś ty wiedziała jaka mnie naonczas okrutna żałość ściska za serce, tobyś ty się pewnie nie śmiała.

Zosia pokraśniała dziwnie, i widno było z oczu, że jej żal biednego Kubusia, ale jak to zazwyczaj dziewczyna, aby nie

pokazać co się jej dzieje, zaczęła pośmiechiwać się znowu i mówi:

— Ej Kubuś, a to co? a czyś ty zapomniał owego szukania śmierci, kiejś pierwszy raz zaszedł do naszej wioski?

— Oj, nie zapomniał nie — zawoła Kubuś i chwyci ją za ręce — ale ci powiadam dziewczyno, że się ze mną tak stało, jak stara Wojciechowa mówiła o Jacusiu Bisiurze, iż szukający śmierci znalazł żonę. A co może nie, powiedz Zosienko moja?

Zosia pokraśniała na nowo, i uśmiechnęła się, a widząc że Kubuś dziwnie pięknie ją prosi, rzekła w końcu:

— Może i tak, albo ja wiem. — Potem wyrwała się i uciekła do chaty.

Kubuś uradowany zebrał się wnet, i poprosiwszy o pozwolenie Szymona, wrócił do starego ojca. Rozpowiedziawszy mu wszystko pięknie, prosił o wysłanie swatów do Zosi. Stary ojciec nie był od tego, a Szymon także nie przeciwił się, więc niebawem nastąpiły zmówiny, a już w tegoroczne zapusty było wesele.

Takim to sposobem moi mili znalazł Kubuś żonę, i takim sposobem wyszedł z hultaja i lenia na porządnego człeka. Powtarza on też zawsze, iż to zrobiło z niego kochanie i Zosia. I tak też było na prawdę, choć to rzecz trochę dziwna.

Stary Bałabajka okrutnie się cieszył ze wszystkiego, a na weselu to już z wielkiej radości rady sobie dać nie mógł. Otóż widząc jak młodzi tańcują i śpiewają, powie im:

— Hej! hej! co to u was dziś za śpiewanie. Pamiętam ci ja całkiem inaczej za moich młodych czasów, kiedy to była wojna z Moskalami za pana Skrzyneckiego. Byłoć także wesele Stefana Kisza, a tamci ja drużbowałem jemu, a wnet potem szedłem na wojaczkę. Więc przy tańcu tak śpiewałem mojej drużce — Zosiu! pójdź no tu, to ci pokażę. Chwycił stary Zosię, i stanąwszy przed muzyką, zaśpiewał:

Mojaśty malino
Otóż ci zanócę:
Kiej zbiję Moskala,
To znowu powrócę.

A więc zahulamy
Sobie raźno wtedy,
Kiej ubędzie z głowy
Turbacyj i biedy.

Matko Przenajświętsza,
Chryste Jezu miły,
Bodaj się to polskie
Szabliska święciły;

Nasze karabiny
I kosy i szable,
Któremi Moskali
Bijema tak djable.

Hej! dziewczę, dziewczyno,
Więc i cóż ty na to?
Zaś czy pożałujesz
Ty za moję stratę?

Widzi mi się jednak
Że nie wiele pono,
Bo ci już serduszko
Twoje ukradziono.

Tak śpiewał stary Bałabajka. Zaczęli więc sobie starsi przypominać na młode lata, opowiadać o wojaczkach dawnych, boć to z Krowichwostów sławni zuchy i bardzo ochoczy do wojenki. Więc i śpiewki różne przypominali sobie, aleć ja sobie nie zapamiętałem wszystkich, i dla tego wam tutaj powtórzyć nie mogę.

CIEKAWA HISTORYA O CYGANACH,
co oni zrobili we wsi pewnej.

Wstyd to okrutny, aż żal się przyznać, że u nas jeszcze panuje taka wiara w czary, co to jest rzecz przeciwna religii świętej i boskim przykazaniom.

Do nauki mało, a niechętnie biorą się ludzie po dziś dzień; gospodarze nie chcą do szkoły posyłać, powiadają: „*co chłopu po nauce?*“ A tymczasem właśnie przez to, że nauki nie mają, to lada oszust co choć trochę ma lepiej od nich w głowie, wyprawia z nimi co mu się tylko żywnie podoba.

Otóż na przykład macie taką historyę. Z rankiem jednego dnia ku wsi Aniołowu, podeszła gromada cyganów, kilku mężczyzn z rozczochranym włosem, okrytych płachtami brudnemi, kilka kobiet także brudno ubranych i obszarpanych; dwie z nich dźwigały dzieci, a jedna najstarsza szła przodem jakby całej bandy jenerał. Drobne cyganiątka skakały koło bandy, i za spotkaniem którego z mieszkańców Aniołowa, krzykiem niezrozumiałym wrzeszczały wyciągając ku nim ręce.

Znacie dobrze bandy cygańskie, włóczące się od wsi do wsi. Mężczyzni niby to trudnią się robotą kowalską i ślusar-

ską, ale co kobiety, to prawdziwe próżniaczki i wydrwigrosze; wróżą, tumanią, oszukują jak tylko mogą, i dla tego to, kiedy kto nieprawdę mówi czyli łże i oszukuje, to go nazywają cyganem, a całą tę sprawę cygaństwem.

Owóż jak tylko banda cygańska usadowiła się na kilkodniową stójkę pod Aniołowem, zaraz cyganki rozbiegły się po wsi i zaczęły od chałupy do chałupy gonić, wróżąc, cyganiąc i wszelkie swoje odbywając praktyki. Najstarsza znów cyganica, poszła do karczmy, kazała sobie dać kieliszek wódki, a ujrzawszy tam kobiecinę, której z oczu patrzało, że nie gardzi gorzałką, więc ją też zaprosiła.

— Dobrzeście zrobili — rzecze owa niewiasta, biorąc za kieliszek, żeście przyszli do naszej wsi, bardzo się tu przydacie, bo niejedna radaby i wróżby posłuchać, niejednej krowy nie chcą mleka dawać, bo je czarownice pozamawiały; psoci nam tu bardzo, a wy poradzicie na wszystko. Widząc cyganka, że baba lubi dużo gadać, poczęstowała ją jeszcze raz i drugi, a ta jej opowiadała wszystko co tylko wiedziała, o wszystkich mieszkańcach wsi. Tego też tylko trzeba było cygance, tu miała dobre żniwo, bo wiedząc o wszystkiem, łatwo mogła dużyć ciemnych włościan. Wreszcie jej baba rzecze:

— O moiściewy, żebyście wiedzieli jaką tu u nas jeden gospodarz ma turbacyą!

— A o cóż to takiego, spyta cyganka.

— Oto widzicie, oboje młodzi jeszcze ludzie i nie mają dzieci, a bardzoby mieć radzi. Co się też ono biedne chłopisko nie nachodziło z babą po różnych odpustach, i na msze i na ofiary dawali, i Bóg wie co robili, gdzie tam nic na to poradzić nie mogą.

— Ba, co im tam pomogą modlenia, rzecze cyganica; żeby mi co dali, tobym im poradziła.

— Oj, co dadzą, to dadzą, bo bardzo bogaci.

— Bogaci! — zawoła cyganka, a czarne jej oczy aż się z chciwości zaświeciły. No, to dobrze, ja ich pocieszę; pokażcie-no mi tę chałupę, rzecze cyganka, ale nie powiadajcie żeście mi o tem mówili, boby się potem czary nie udały.

— Oto tam, rzecze owa niewiasta, pokazując cyganicy porządną chałupę. Idźcie tam na śmiało, to się okrutnie ucieszą.

Cyganka zabrała się żywo i pobiegła ku chacie, którą jej pokazała owa kobieta. Wszedłszy do izby, ujrzała oboje gospodarzy śniadających.

— A co wy chcecie — mówi gospodarz.

— Czy nie potrzeba wam powróżyć — zapytuje cyganka.

— Dajcie mi spokój — rzecze gospodarz — co nam tam po wróżbie.

— Możeby nie szkodziło — odezwie się gospodyni.

— Dajcie rękę, dajcie — rzeknie cyganka, chwytając za rękę gospodynią, wróżba nikomu nie szkodzi, a dopomódz może.

I nim kobieta mogła rękę cofnąć, cyganka jej poczęła prawić szybko jak na pytlu:

— Ho, ho moja gosposiu! wam się dobrze wiedzie, macie i dostatek, rodzi wam się w polu, chłopa macie bardzo uczciwego, nie pijaka, robota w ręku mu się pali, za innemi nie patrzy.

Gospodarz uśmiechnął się z radością na te pochwały.

A gospodyni słuchała z okrutną ciekawością.

— Wszystko wam dobrze idzie — prawiła dalej cyganka — ledwie że tylko braknie ptasiego mleka, ale ta kreska co leci od serdecznego palca, to powiada, żeście i tak nie są szczęśliwi, i że wam jednej rzeczy niedostaje.

— Czego? — spyta gospodarz.

— Czego?! — krzyknie gospodyni.

— Dzieci! — zawoła cyganka — dzieci nie macie, a to wam żywot truje.

— Oj prawda, prawda — rzeknie gospodyni, a łzy jej zaświeciły się w oczach. Gospodarz westchnął okrutnie i milczał.

— Ale żeście też sobie do tego czasu nie poradzili na to, mówi cyganka.

— A i cóż, chodziliśmy po odpustach, modliliśmy się ciągle, ale nic nie pomaga.

— A cóż kościół albo xiądz na to poradzi; ja wam bym prędzej poradziła, żebyście mieli dzieci.

— Już ja nie pożałuję wam matko kilku złotych, tylko poradźcie — prawi gospodarz.

— Ja dam zboża, kaszy, ziemniaków, omasty, ino poradźcie — mówi gospodynia.

— Przyszykujcież wszystko co trzeba, a ja dziś z wieczora zaraz zrobię czary.

— A nie będzie to grzechem i obrazą Boską?

— Ej, ej, coby miało być, toć sobie chłopaka ochrzcicie w kościele i przekonacie się, że djabeł w nim nie siedzi.

— Ha, no to przyjdźcież po południu.

— Naszykujcie tylko sporo mąki żytniej, a będzie dobrze.

Gospodarze uczęstowali cygankę, a ona obiecała przyjść po południu.

Jakoż i przyszła. Z naszykowanej mąki zagniotła dużą bryłę ciasta, i z niej ulepiła jakoby chłopczyka małego. Przytem szeptała i spluwała i różne cygaństwa robiła dla złudzenia głupich. Wreszcie wyrobiwszy dziurę w brzuchu onego dziecka z ciasta, rzecze: Teraz ja pójdę, a wy weźcie pieniądze jakie tylko macie w domu i włóżcie do brzuszka; brzuszek zalepić, wynieść do komory i w ciemności aż do jutra wieczora zostawić.

Zabrała się i poszła, zostawiając gospodarzy w wielkiej niecierpliwości, bo radzi byli ażeby te 24 godzin jak najprędzej przeszły.

Drugiego dnia wieczór wchodzi cyganka i pyta co się dzieje.

Nie wiemy, bośmy nie byli — rzecze gospodyni.

— Trzeba się przeświadczyć, czy nie poczęło ciepleć — rzecze cyganka, gdzie jest?

— Tam w komorze.

— Dobrze, ja pójdę zobaczyć, i wymówiwszy jakieś nieznajome słowa, wbiegła do komory, a za chwilę wyszła mówiąc: Dopiero się rozgrzewa od nóżek; aby zaczęło żyć trzeba na to jeszcze dwóch dni i dwóch nocy. Po 48 godzinach pójdziecie pode drzwi komory i usłyszycie jak zapłacze. Potem trzeba je skąpać, ja to sama zrobię; po kąpieli wy do chrztu,

a ja w świat, tylko mi przyszykujcie co łaska z pieniędzy i strawy, żeby moja praca nie była za darmo.

To powiedziawszy poszła.

We dwa dni rodzice sprosili znajomych, stoją podedrzwiami i słuchają rychło dziecko zapłacze. Gdy przecież nic nie było słychać, odważyli się wejść. Patrzą a tu figura leży jak ją cyganka ulepiła, i tylko ciasto obeschło.

— A to nas cyganka oszukała — rzecze gospodyni.

— Czekajno, trzeba zobaczyć czą są pieniądze. Więc porywają owe dziecko z ciasta i w kawałki targają, a tu ani grosza nie ma.

O święty Boże! — zawoła gospodarz — tu było 500 złotych!

Więc do cyganów, a cyganie jeszcze w nocy umknęli, a włościanie swoją ciemnotę i niechęć do nauki przypłacili krwawo zapracowanym groszem i wstydem przed wszystkiemi sąsiedniemi wsiami.

Daj Boże, aby takie zdarzenie już nigdy więcej drukowane nie było.

Piotr Nolaska.

Rozmowa xiędza proboszcza z radnym,

o dawaniu jałmużny i żebrakach.

Wychodząc xiądz pleban ze swego podwórza na pole, spostrzegł jak radny ze wsi Jędrzej, opodal dawał jałmużnę żebrakowi. Doszedłszy go, po pochwaleniu Pana Boga i wzajemnem przywitaniu, tak się do niego odezwał: Miłosierni jesteście na ubogich, bo nie tylko w domu, ale i na drodze rozdajecie jałmużnę.

Radny. Boli mnie serce dobrodzieju, gdy widzę żebraka, bo mi wtedy zawsze na myśl przychodzi: co jemu dziś, to mnie jutro.

Pleban. Prawda, prawda, miły Jędrzeju! najbogatszy człowiek w jednej chwili może przyjść do żebranego chleba; widok ubogiego powinien nas do pokory pobudzać. Ale nie

dla tego samego trzeba przybywać z pomocą bliźniemu, jak wy mówicie: co jemu dziś to mnie jutro. Chociażby człowiek do samej śmierci był pewien dobrego mienia, nie ma zamykać ręki przed wołającym o pomoc. Miłość bliźniego nakazuje nam być miłosiernym.

Radny. Oj prawda, to święta prawda.

Pleban. Trzeba być miłosiernym, lecz to miłosierdzie musi być zastosowane do potrzeb ubogiego, a nie zawsze ubogi nawijający się potrzebuje chleba lub grosza. Nasi tak zwani żebracy mają wcale inne potrzeby.

Radny. Toć oni o to tylko proszą, czego potrzebują; a czego potrzebują, o tem oni najlepiej wiedzieć muszą.

Pleban. Takby to być powinno, miły bracie! ale tak nie jest! Z każdym dniem wzrasta liczba żebraków. Sąć oni żebrakami, bo żebrzą; nie wszyscy przecie żebrać powinni, a prawdę powiedziawszy, żaden.

Radny. Jakto zaś?

Pleban. Każda wieś przejęta miłością bliźniego, powinna zaopatrywać miejscowych ubogich, i nie cierpieć tego, aby się obcym naprzykrzali gminom. Swój swego zna przecie najlepiej. Nie potrzebujący jałmużny człowiek nie ośmieli się żebrać w obcej wsi a swoi mu nic nie dadzą, wiedząc że on żebrać nie powinien, bo może pracą rąk swoich zarobić na dostateczne utrzymanie. Takich leniwców należy napędzać do pracy, tego oni potrzebują i to napędzanie ich do pracy najlepszą dla nich będzie jałmużną.

Radny. Ha! dobrodzieju! któżby tam z nimi przyszedł do końca; człek daje z dobrego serca, jeśli oszukują, to oni za to Panu Bogu odpowiedzą.

Pleban. Obcy was tylko oszukać może, a gdy każdy w swej wsi będzie musiał pozostać, to was nikt nie oszuka. A jaki to dobry uczynek naprowadzić błądzącego brata na prostą drogę! Macie przykład na tym Szymonie. Toż on o kulach chodził, jąkał się tak, iż go rozumieć nie było można; wyłudzał jałmużnę, a gdy się wykryło, że był złodziejem i zakazano mu po wysiedzeniu kary wychodzić ze wsi, to teraz zdrów na nogi, choć go nikt nie leczył, i mówi jak się przy-

należy, i pracuje na swoje utrzymanie. Wieluż to jest takich udanych żebraków. Powiedz im: pracuj! to ci odpowiedzą: nie mogę roboty dostać; daj im robotę, to ci uciekną — nie przesadzam ja nic. Zachowaj Boże, z doświadczenia to mówię.

Radny. Wszystko to prawda dobrodzieju, alboż ten żebrak com mu teraz dał jałmużnę, lepszy? ale nie dać, to przeklnie człowieka, więc dałem chociaż wiem, że on to zaraz przepije w karczmie.

Pleban. Więcby lepiej było, żeby nie włóczył się po cudzych wsiach, tylko żeby go własna gmina utrzymywała, jeśli wcale niezdatny do pracy. Wtedyby miał przyodziewek i jadło, aleby na pijaństwo nie dawano grosza i nie byłoby obrazy Boskiej, boć się spodziewać należy, że pod chrześcijańską opieką takiby się człowiek poprawił.

Radny. A jakby to z nimi zacząć dobrodzieju?

Pleban. Jak? wsie mają sołtysów; sołtysi schodzą się co miesiąc na narady; niech się też i nad tem naradzą. Najgorzej zacząć, to już pójdzie dalej. Co się mnie tyczy Jędrzeju, dopomogę ile sił; rozmówcie się tylko ze sołtysem; wszakże to tu idzie i o dobro bliźniego, nie tylko ciała, ale i duszy.

RÓŻNOŚCI.

Panu Bogu pół świeczki a djabłu aż dwie. Do Walka Zalejpałkę przychodzą z bractwa kościelnego gospodarze i mówią:

— Bądźcie łaskawi gospodarzu na światło do Pana Jezusa.

Walek dał pół złotego, wymawiając się okrutnie, iż ani grosza nie ma więcej, że bieda okrutna i soli nawet nie ma za co kupić.

— Bóg zapłać i za to — mówią gospodarze i poszli.

Wnet nadchodzi Jacek Moczymorda, pijanica, i mówi do Walka:

— Ej! kumciu chodźmy na kieliszek.

Kumcio poskrobał się w czuprynę, zaśmiał wesoło, i zapomniawszy o wszelkiej biedzie, wziął dwa złote w kieszeń, i jeszcze przed wieczorem leżał pianiuteńki pod ławą u żyda.

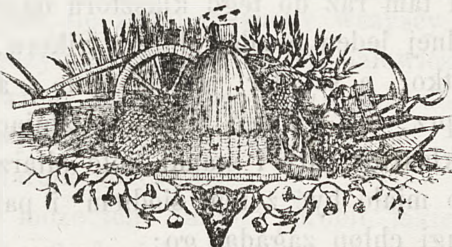
Otóż macie ludzkie nabożeństwo. Dla Pana Boga ledwie zdobył się Walek na pół złotego, i już to miał sobie za wielką ofiarę. A dla djabła ani chwili nie pożałował dwóch złotych. Piękny też to będzie rachunek na tamtym świecie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 6.

21. Sierpnia 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Janko Michałowicz.

W kraju polskim, co to się zowie z dawien dawna Litwą i gdzieto tacy sami Polacy siedzą jak i u nas w Galicyi i koło Warszawy, jest sobie wieś Leśna; tak się zowie pewnie na to, że tam w tym kraju najwięcej lasów i błota po uszy. A lud tam nabożny i katolicki bardzo, że tam do niego ani przystępuj bez uczczenia i pochwały Pana Jezusa; to też jak mu kto zagada o niewiarach Moskalach, to aż się trzęsie na to hultajstwo, co tyle szkody robi Bogu i ludziom.

Jest tam w środku tej wsi klasztor Najświętszej Panny, a na ołtarzu wisi tam pałasz i niby jakieś strzemiona z siodłem. To też każdy ciekawy i pobożny zapyta się:

— A co to porabia na świętym ołtarzu i żelazo i ubranie na konia? A najmniejsze dziecko opowie mu tam historye ciekawe i piękne o jednym chłopku, co to zwał się Jaś Michałowicz, co to bywał po świecie dalekim, był na ławie i pod ławą i żył nie nadarmo, ale też zrobił dużo dobrego, że aż do dziś gadają o tem na sto mil rozmaici ludzie i nie mogą się dosyć nagadać, ba! nawet drukują po xiążkach o tem, a kto

jeno czyta, albo słucha opowiadania, to mu się aż dusza raduje, że też to i biedny chłop zrobił tyle ciekawości.

Przyszedłci tam raz do tego klasztoru na odpust Najświętszej Panny Zielnej jeden gazda Marcin Sikora, a ciekawy to chłop na wszystko, a sztuder jakich mało, a wolałby cały dzień gryźć pieprz, niż widzieć Moskala zabijacza ludzi. Otoż opatrzył sobie klasztor cały i stanął kolo ołtarza i duma i kiwa głową, coby to miało być z tem siodłem i pałaszem na ołtarzu. Aż tu drugi chłop zagadał go:

— To wy widać dumacie nad siodłem i pałaszem, że to takie rzeczy niepotrzebne w kościele, a tu aż na ołtarzu wiszą.

Na co gazda Marcin rzecze:

— A jużci mi dziwno i musi to coś być takiego niezłego, kiedy to xięża pozwolili na to.

— Otóż ja wam opowiem, na co to wisi tutaj – rzecze mu chłopek — jeno słuchajcie.

— Wy przecie znacie to, że Sobieski król polski uratował Wiedeń i cesarza samego od Turka; oj byłoby źle z tamtymi biedakami Niemcami, gdyby wtedy nie byli na pomoc przylecieli Polacy. Otoż leciało wtedy co żyło do Wiednia na ratunek cesarza i ludzi, bo to był strach o kościoły, o biskupów i o wiarę świętą, a jakby byli Turki pobili cesarza Leopolda z wojskiem, to pono byłby Turek pozamykał kościoły i porobił z ludzi samych Turków i wtedy płacz i klękaj przed Turkiem i proś go, aby pozwolił święcić niedzielę i być katolikiem, a on by ci tak zrobił, jak to dziś robi Moskal niewiara polskim katolikom. Otoż lecieli do Wiednia i chłopi z własnej ochoty za swoim polskim królem i z naszej też wsi Leśnej wybrało się takich trzech zuchów, co to o chlebie i wodzie poszli na wojaczkę, aby bronić Wiednia i wiary świętej, by Turek nie plugawił kościołów i obrazów świętych.

A ciekawy Marcin gazda zapytał?

— No! a jakto się nazywali tacy zuchy, że tak daleko polecieli za swoimi aż do Wiednia?

— Jak się nazywali, pytacie, to wam i powiem zaraz, boć to i ja sam — gada chłopek — jestem z tego samego rodu i do dziś siedzę na tym samym gruncie, który oni zosta-

wili, a aż mi pyszno z tego, że to przecie i moi dziadkowie nie byli ostatnimi we wsi naszej, ale poszli bronić drugiego i wiary świętej. Toć się zwali ci zuchy wszyscy jednako, a najzuchowatszy między nimi był Janko Michałowicz, ani to wielki ani mały, ale zwinny taki, żeby i za myszą do dziurki polazł i pewnieby ją wydobył żywą i całą.

A gazda Marcin poderwał:

— No! to może ten Janko porobił jakie dziwa z tym pałaszem i siodłem? ale jakżeby on to dźwigał z Wiednia aż tutaj, toćto więcej nad sta mil ztamtąd do tej wsi?

A na to odpowie drugi chłop:

— Oj! on to on! taki zuch — toć on pod samym Wiedniem ściągnął Turka z konia i to gołemi rękami, odebrał mu pałasz i tym pałaszem uciął mu głowę jak makówkę, a potem sam wsiadł na konia jego i przyleciał do swoich krajanów i pokazał im i królowi tę głowę Turka, a konia zostawił sobie, bo to miał być i koń nie taki jak u nas — coś mu dawali za tego konia wielkie pieniądze, ale on powiedział, że jak szczęśliwie wróci do swojej wsi, to siodło i pałasz ofiaruje na pamiątkę do kościoła swego, a z konia sprawi ołtarz jaki albo kupi obraz do kościoła. Otoż to pałasz i siodło od tego zucha Jaśka.

Ale gazda Marcin pokiwał głową i powiada:

— Toć ta pono nie jeden był taki zuch, bo to tam byli tacy, co pozabijali i po 30 Turków i nie jednego konia zabrali i nie jedno siodło, a przecie nie ma po kościołach nigdzie takich pamiątek po tych nieboszczykach?

Na to gada chłopek drugi:

— Ej! bo pleciecie, sami nie wiecie co, bo jeno czekajcie końca, co to narobił ten Janko takiego, że aż drukują po xiążkach o tem i u nas tu w kościele w zakrystyi jest popisane o tem i można tam wyczytać jakby z mszału jakiego. Bo to widzicie obstąpili Turki Wiedeń cały do okolusienka, jakby dziurę myszą, ani tam wyjść ani się ruszyć z miasta, bo zaraz Turek pac! i już leżysz nieżywy, kto jeno wystawił głowę. A tu trza było koniecznie dać znać do miasta tym biedakom zamkniętym, że idzie wojsko polskie na pomoc i trza

było im powiedzieć, kiedy oni mają wylecić na Turka z miasta, aby razem z Polakami brać z obu stron i to dobrze tego Turka, a potem trza było im powiedzieć, aby się niczego nie bali, ani się nie poddawali, choćby im i głód dokuczał.

A gazda Marcin zapytał:

— No! to przecie prosty chłop taki Janko nie mógł tego zrobić, bo gdzieby ta miał na tyle w głowie, aby aż Turka podszedł i go oszukał; toć Turek gada inaczej i nosi łachy dziwaczne.

A drugi chłopek na to rzecze:

— Otóż widzicie, że to zrobił ten prosty chłop, i to mój prawowity krewny. Byłci tam w Wiedniu taki drugi zuch, także Polak, niejaki pan Kulczycki, co to umiał szwargotać po turecku i jeść i śpiewać, żebyś go nie poznał, i oni obaj zmówili się i nie wyszło jeden dzień, a oni przeszli przez pola, gdzie Turków było jak maku, i przynieśli pismo z miasta, potem zanieśli do miasta, a jeno o jeden włos, a byliby Turcy ich zabili.

A gazda Marcin poderwał:

— No! to może wtedy ubił ten Janek tego Turka i zabrał konia i siodło?

— A jeno! że tak samo! bo to widzicie miał wtedy jak na złość lać taki deszcz, że Janko przemókł do nitki i drżał jakby go febra tłukła i nieboraczysko biedne wlazł do jednej jamy i nakrył z wierzchu kamieniem, aby się choć trochę ogrzać; aż tu słucha, a tu coś lezie z góry do jamy, wtedy Janko zaczął kaszlać i odstraszył tego gościa, ale sam sobie dumał, że to nie można było dłużej pozostać w jamie, bo to mógł go ktoś szpiegować i nuż się zabiera do wyłażenia, aż tu ledwie wystawił głowę, a tu Turek nad nim i mach! mach pałaszem ponad jego głowę — ale Janko nie głupi czekać, aż go Turek zajedzie poza uszy gdzie, jak nie podskoczy do góry, jak nie złapie Turka za rękę i zakręcił mu dobrze, aż Turkowi świeczki stanęły w oczach i pal go pałaszem po karku, a kark bęc na dół jak klocek jaki — wtedy Janko zwalił Turka z konia, siadł sam na konia i dalejże polami i rowami do miasta i pukaj do bramy i krzycz, aby otwierali i widzicie,

że cudownym sposobem przeszedł Turków i uratował nietylko siebie, ale i Wiedeń cały, bo im powiedział, że Polacy z królem stali za miastem i rychtowali się na Turka jak najprędzej. I słyszeliście już o tem nie raz, jakto wtedy Sobieski przetrzepał Turka i jakto on uratował cesarza i tyle tysięcy luda od biedy ba! jak nas wszystkich uratował, bo by nas byli pewnie Turki na piękne poturczyli i naszą wiarę pobałamucili, a możeby w Wiedniu tak byli męczyli, jak męczą dziś Moskale polskich katolików.

A gazda Marcin zadumany gadał:

— No! a jakże on tu przyszedł i kiedy?

— O! jak przyszedł — mówi mu chłopek — toć nie na nogach, jeno na tym koniu. Król mu ta tego konia nie brał, boć ta wtedy było koni tureckich na tyle — to też za jakie pół roku był nasz zuch z Leśni w domu, pałasz i siodło kazał król zawiesić tu w kościele na wieczną pamiątkę, a za tego konia fundował Janko pobożny lampę złotą przed wielki ołtarz i sześć wielkich lichtarzów na ołtarz do Pana Jezusa do kaplicy a to pono ze samego srebra, bo to do dziś białe jak kreda — potem było nabożeństwo, Janko leżał krzyżem i . . . .

A gazda Marcin ciekawy zagadał:

— No! i gdzież on potem był, czy tu umarł i leży?

— A gdzie umarł i leży! mówi mu chłopek, gdzieby to był król przystał na to, aby Janko był na wsi gazdował — Janko był potem panem; bo to cały Wiedeń przepadał za nim, wszędzie go ludziska witali, jakby jakie cudo, a nim on wrócił do dom, to w całej Polsce wiedzieli o tem, co to on narobił dobrego — zaraz spisali to wszystko do xiążek i te leżą w tym kościele na wieczną pamiątkę, a znowu podrukowali po xiążkach tyle, że o samym Janku było na kilka kartek spisane, jakto on nie dbał na nic, jeno ratować i ratować drugiego, a za wiarę swoją byłby się dał i zamęczyć. To też widzicie, że nawet i tu w tym kościele pokazała się wtedy i to w ten sam dzień cudowna Najświętsza Panna, kiedy się to wszystko pod Wiedniem porobiło.

A gazda Marcin podumał sobie nad tem, i gadał potemu tak:

— Mocny Boże! jaki to był wtedy lud po wsiach i po miastach, że jak jeno nakazał Ojciec święty to zaraz wszystko z królem nuż dalej na poratunek drugiego i co chcieli to zrobili i Turka wygnali i kościoły uratowali, aż się na to i niebo uradowało.

I pomodlił się gazda Marcin jeszcze przed ołtarzem Najświętszej Panny, podziękował potem za historyę o tym Janku, a wracając do dom rozpowiadał wszystkim po drodze o tym Janku, a to opowiadanie doszło też i do nas i już nie jeden wie o tem dokumentnie, a ktoby jeszcze nie wiedział, to niech sobie odczyta w Dzwonku, aby też wiedział, jacy to bywali dawniej chłopi w polskich krajach.

Xiądz Wojciech z Medyki.

MATKA.

W chacie starej, modrzewianej, wielki płacz i żale,
Bo dwoch synów co najstarszych zabili Moskale.
Oj! dwoch synów, dwie pociechy starej matki biednej,
A toć chyba jej niebodze płakać samej jednej.

Zeszli kumy i krewniacy, różni przyjaciele,
I staruszce na pociechę prawią mało wiele:
— Tak chciał Pan Bóg, i za wiarę świętą tak się stało.
A dyć jeszcze jedno chłopię wam się pozostało.

A syn trzeci, niedorosły, młode chłopię jeszcze;
Spojrzy na nie matka stara, potem w ręce spleszcze,
Łzę ociera i na lice wstąpił zapał wielki,
I broń zdejmie z pod stóp świętej Bożej Rodzicielki;

Synu — rzecze — już dwaj bracia polegli za wiarę,
Ciebie mają na pociechę moje lata stare,
Więc idź synu, masz broń oto, pomścij się krwi bratniej,
Abyś między braćmi synu nie został ostatni!

Pielgrzymka do Częstochowy,

którą odprawili Stanisław Pysz i Wojciech Woś włościanie z Grodziska, a potem do Dzwonka opisali obaj.

Opisanie to nadesłali gospodarze Stanisław i Wojciech jeszcze przed dwoma laty, ale iż nie było nigdy dosyć miejsca w Dzwonku, więc aż do tego czasu odwlekło się wydrukowanie. Zaś tak piszą ci gospodarze:

I.

Już też ten rok 1860 powinien być w pamięci naszych parafian grodziskich dobrze zachowany, o czem wam opowiemy po szczególności, jak się nasza pielgrzymka do Jasnej góry Częstochowskiej udała.

W naszem sąsiedztwie, bo małe pół mili od Grodzisk, jest nie wielka wioska Zmysłówka w lesie, do dóbr Przeworskich xięcia Lubomirskiego należąca; w tej wsi jest nadleśniczym pan Józef Dąbrowski, bardzo pobożny i dobry panisko. W maju tamtego roku wybrał się on i z swoją żoną do Częstochowy, aby się pomodlić i pokłonić przed cudownym obrazem Matki Najświętszej. Już tego nie wiemy, jak się tam zmówił z jakimsi malarzem, bośmy tam wtenczas nie byli, to wam też opowiadać nie będziemy; dosyć na tem, że jak powrócił z Częstochowy do domu, zaraz się zabrał do zbierania u parafian dobrowolnych składek, aby zamówiony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej do kościoła grodziskiego sprowadzić. Do zbierania tychże obrał nas jako pomocników, to jest mnie i Wojtka Wosia; tak my dalej między ludzi, i uciułaliśmy tyle grosiwa, ile było potrzeba, bo któżby żałował dać kilka groszy albo reńszczaka, albo i więcej na chwałę Boga i Matki Najświętszej.

Po ukończeniu składki pan Dąbrowski mówił nam: Wiecie co moiściewy, teraz pojedziemy po ten obraz, ja i wy oba, ale musicie się postarać o paszport, żebyście ta gdzie w drodze nie mieli jakiej nieprzyjemności albo przegabania. A to się działo w niedzielę przed mszą. My się ta już długo nie

certowali, jeno leć po sumie do becyrku, i przecież dostaliśmy paszport; więc zaraz w poniedziałek 17go września świtem polecieliśmy do Przeworska, do żelaznej kolei. Wkrótce za nami przyjechał także i nasz pan Dąbrowski, kupił dla siebie i dla nas bilety, i o godzinie 9 z rana wsiedliśmy do pociągu.

Skoro zadzwonili raz i drugi, jak to ruszy, jak zacznie jechać, Chryste Jezu! powiadam wam, że z Przeworska do Krakowa mil 26 za sześć godzin, bo o godzinie trzeciej z południa byliśmy już w Krakowie. Ale rozbajałem się o jechaniu, a to chciałbym wam powiedzieć jak też tam okolica wygląda, bo choć się ta nie znam dobrze na glebie, ale przecież uważałem z pociągu przez okna w tę i w tę stronę; więc po lewej stronie jadąc do Krakowa jeno góry i lasy, a po prawej równiejsza okolica; widać tam po obu stronach wioski, miasta, a w pośrodku tych świątynie pańskie. Jedziemy tak i jedziemy, a jeno lekki turkot wozów słychać, aż tu przed godziną trzecią z południa zobaczyliśmy Kraków, to stare i wielkie miasto, stolicę dawną królów polskich! Ale tą razą nic w Krakowie nie mogliśmy widzieć, bo my ta w mieście nie byli, bo po krótkim czasie mieliśmy wsiadać na inne wozy i jechać aż do granicy do Maczek, gdzie jest komora.

II.

Przyjechaliśmy do Maczek o godzinie 8 wieczór, zastaliśmy już malarza z obrazem, bo to widzicie pan Dąbrowski odebrał od malarza przez pocztę wiadomość, na który dzień mieliśmy się na umówione miejsce zjechać. Malarz człowiek jeszcze młody i uprzejmy, nazywa się Teofil Błażej Lux z Częstochowy. Po przywitaniu się z panem Dąbrowskim krótki czas z sobą pogawędzili, poczem kazali nam obraz z kurytarza wnieść do sali, gdzie nam z paki wyjęty pokazany był.

Otóż ucieszyliśmy się okrótnie, zobaczywszy taki śliczny obraz, prawdziwy wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Byli tam i zdaleka panowie, jak to zwyczajnie na trakcie, a nawet jeden pan z Litwy taki sam obraz u tegoż malarza obstalował, a inni napatrzyć się nie mogli.

Nazajutrz rano 18 września nasz pan Dąbrowski mówi nam: Teraz ja z obrazem wracam do Krakowa i tam na was czekać będę, a wy jedźcie do Częstochowy zobaczyć święte miejsce na Jasnej górze i złożyć najgłębszy pokłon Maryi Pannie w jej cudownym obrazie. Ja i mój towarzysz Wojciech Woś ucałowaliśmy rękę naszego dobrodzieja, i z płaczem radości, iż Bóg łaskawy dozwoli nam oglądać święte miejsce, rozstaliśmy się z panem Dąbrowskim.

Siedliśmy do nowego pociągu i jechaliśmy do Częstochowy, a co chwila patrzaliśmy, czy widać już sławny kościoł na Jasnej górze, a tu nie i nie, aż koło godziny dziewiątej z rana zobaczyliśmy nad lasem sterczącą wieżę po raz pierwszy w naszem życiu. Nie mogę wam tej radości słowami opowiedzieć, jaka w duszy i w sercu mojem była z oglądania upragnionego miejsca świętego. Stanęliśmy wreszcie na głównej stacyi kolei żelaznej w Częstochowie, a dziwnie wspaniały widok przedstawił się nam, to jest widok Jasnej góry Częstochowskiej z kościołem i klasztorem.

Wysiedliśmy z pociągu, i nie tracąc ani chwili czasu, zdjęliśmy obówie i dla uszanowania świętego miejsca szliśmy boso od stóp góry ćwierć mili do kościoła. Weszliśmy przez pierwszą bramę, przy której ubodzy zwykli siadać dla wyproszenia jałmużny, potem przez drugą, która prowadzi na dziedziniec kościelny, aż weszliśmy do świątyni pańskiej wielkiemi drzwiami, padliśmy na kolana w tym przybytku pańskim. Aż tu słychać że gdzieś grają na organach. Znaleźliśmy drzwi boczne i wstąpiliśmy do kaplicy, gdzie jest obraz Najświętszej Maryi Panny, królowej polskiej, łaskami i cudami słynący. Zaś była wtenczas przed obrazem cudownym msza śpiewana. O co za błoga chwila, gdyśmy już w tak upragnionem miejscu świętem łzę radości przed obliczem Najświętszej Maryi Panny wycisnęli!

Przyszły mi na myśl słowa Symeona sprawiedliwego: Teraz puść sługę Twego Panie w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje. — Pomodliliśmy się w czasie mszy świętej, aż tu wychodzi druga, trzecia, ta i czwarta, a wszystkie śpiewane, a podczas każdej mszy świętej spiewanej, na

organach i na instrumentach muzycznych grają, a lud się gorąco modli, krzyżem leży, płacze, wzywa Matki Boskiej, aby się przyczyniła do swego Syna Pana Jezusa. Aż wreszcie wychodzi suma, kapłan celebrujący i czterech assystujących, z tych dwoch w kapach, a dwoch w dalmatykach.

Po skończonem nabożeństwie w kaplicy Matki Boskiej wyszliśmy obejrzeć wielki kościół. Powiadam wam, że wielki kościół i kaplica Matki Boskiej, są jakby dwa kościoły obok siebie wystawione, a wielkiemi ołtarzami na wschód słońca obrócone. Wielki kościół jest widoczny i bardzo piękny. W wielkim ołtarzu przedstawia się wniebowzięcie Najświętszej Panny Maryi snycerskiej roboty. Po prawej stronie gdy wchodzi się do wielkiego kościoła, znajduje się kaplica dolna, do której wchodzi się w głąb po kilku kamiennych schodach; po wszystkich ścianach pełno relikwij świętych pańskich z trzema ołtarzami. Nad tą kaplicą dolną jest kaplica górna, świętego Anioła, z trzema także ołtarzami, w jednym z tych, w środkowym ołtarzu, Pan Jezus w tej postaci, jak go Piłat przedstawił ludowi, mówiąc: Oto człowiek. Wstępuje się po kilku także kamiennych schodach do góry.

Wróćmyż teraz do kaplicy Matki Boskiej. Ta jest obok wielkiego kościoła od strony północnej, lecz nie tak widoczna, owszem ciemna, ponieważ od strony południowej wielkim kościołem, a od strony północnej celami klasztornemi zasłoniona, z amboną, chórem i organem; są tu także po obu stronach krużganki, ołtarzami i obrazami ozdobione. Obraz cudowny Bogarodzicy jest na stole cyprysowym, któren święty Józef dla Najświętszej Panny w Nazarecie zrobił, a obraz przez świętego Łukasza Ewangielistę jeszcze za życia Najświętszej Panny, jako prawdziwy wizerunek wymalowany.

O z jakiem uniesieniem wpatrywaliśmy się niegodni i grzeszni w oblicze Bogarodzicy, w ów prawdziwy portret Maryi, gdzie tyle chorych zdrowie otrzymało, umarłych do życia powróciło, grzeszników odpuszczenie grzechów otrzymało i wiele łask doznało. Zdawało się, że Matka Boża woła na nas grzeszników: Pójdźcie do mnie, a ja was pocieszę.

Pomyślałem sobie: Co za szczęśliwi mieszkańcy okolicy Częstochowy, że mają w pośrodku siebie prawdziwy wizerunek Maryi! Ale i my szczęśliwi, żeśmy oglądali jej święty obraz tylu łaskami i cudami słynący.

III.

Nie mam ta tyle w mojej głowie nauki, abym miał dokładniej i lepszym konceptem opowiadać wam o świętej Częstochowskiej górze i kościele, bo tak człek na wsi, jak sami wiecie tylko ciężko pracować na swoje utrzymanie musi i powinien; ot, choć cośkolwiek, i to tylko co naocznie widzieliśmy, to wam opowiemy:

Wyszliśmy z kaplicy Matki Boskiej przez wielki kościół, przyszliśmy do bramy od strony południowej, a tu sobie stoi xiądz miejscowy, człowiek młody i uprzejmy zakonu świętego Pawła pierwszego pustelnika, bo taki jest zakon. Mówię:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedział, ta i ucałowaliśmy go w rękę jak zwyczajnie kapłana.

— A z daleka wy przyjaciele?— zapytal nas, bo widział żeśmy byli ubrani po wiejsku; a tamtejsi wieśniacy inaczej się ubierają

— O z dalekich stron proszę Jegomości, aż het z Galicyi, cyrkułu Rzeszowskiego, mila od Leżajska, czterdzieści kilka mil, odpowiedziałem. A widać, że stoi pomnik xiędza Kordeckiego przeora, któren tu kiedyś dawno ten kościół od napaści szwedzkiej bronił, za żelazną bramą, lecz cały czemsi niby płachtami okryty, nabrałem śmiałości i mówię:

— Proszę też Jegomości, aby byli łaskawi kazać odemknąć tę bramę, żebyśmy mogli opatrzyć tego xiędza Kordeckiego.

— A, moi kochani, kiedy jeszcze nie przyszło od rządu pozwolenie aby go odsłonić, dla tego teraz widzieć go nie będziecie.

Po krótkiej rozmowie z tym kapłanem udaliśmy się do kościoła świętej Barbary, któren o parę set kroków od kościoła Bogarodzicy stoi na pochyłości Jasnej góry od strony południo-

wo zachodniej, w tem samem miejscu, gdzie Hussyci w roku 1430 najeżdżając Czechy, Morawę, Szląsk, a słysząc o cudownym obrazie na Jasnej górze, tuż przy granicy szlązkiej, napadli na klasztor, uderzyli na zakonników, z tych pięciu zamordowali, resztę rozprószyli i ozdoby obrazu świętego zabrali z opisem o malowaniu tegoż przez Łukasza świętego, zachowaniu go w Jeruzalem, Konstantynopolu i Bełzkim zamku.

Lecz nie poprzestali złośliwi Hussyci na zabraniu kosztownych ozdób obrazu, owszem świętokradzka ich ręka odważyła się targnąć na sam nawet obraz święty, który z ołtarza zuchwale wydobywszy, uwieźć zamyślali; i w rzeczy samej, z złożonym na wozie uchodzić zaczęli. Inne jednakże w tej mierze były Najwyższej Opatrzności wyroki. Gdy bowiem złoczyńcy spiesznie ku szląskiej granicy zmierzali, wóz, na którym obraz święty znajdował się, w miejscu gdzie dziś kościół świętej Barbary widzim wzniesiony, niewzruszony stanął i dalej od ulubionego Maryi przybytku na Jasnej górze oddalić się nie mógł. Wtenczas jeden z świętokradzców owych, obrazowi świętemu złorzeczyć począł, iż tak ciężkim i z miejsca nieporuszonym jest, a z zapalczywością wszedłszy na wóz, pochwycił obraz święty, i tak silnie nim o ziemię uderzył, iż ten na trzy części rozbił: twarz tylko Najświętszej Panny i Boskiego jej Syna w całości zostały. Co widząc drugi, przyskoczywszy, dwakroć ciął szablą w prawą stronę oblicza; trzeci raz gdy jeszcze zamierzał tenże obraz uderzyć pałaszem, wzniesionej ręki opuścić nie mogąc, upadł zdrętwiały i zaraz nieszczęśliwy wyzionął duszę. Taką to oczywistą karą nieba przestraszeni Hussyci opuścili złupany i błotem zeszpecony obraz święty i spiesznie do Szląska uciekali. Widząc to w małej liczbie ukryci zakonnicy, zgromadzili się na miejscu, gdzie obraz święty rozbity zostawał, w którem nigdy przedtem nie było wody, aby go z błota obmyć można było: Bóg jednak sprawił to, iż w owem miejscu wytrysło źródło wody, którą obmywszy obraz święty na Jasną górę wprowadzili.

Otóż to w tem samem miejscu teraz jest na cmentarzu przy kościele świętej Barbary studnia, gdzie wtenczas to źródło wytrysło.

Odwidziliśmy kościół świętej Barbary i po krótkiej modlitwie udaliśmy się do tej studni; jest na kształt wzniosłej kaplicy wymurowana z obrazem Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej z napisem tym:

Lat trzysta w Jeruzalem,
Pięćset w Carogrodzie.
Słynęłam władzą wszelką
Na ziemi i wodzie.
Pięćset na Bełzkim zamku
Byłam strażnikową,
Piąte sto Jasna góra
Czci mię za królową.

Dalsze opowiadanie Stanisława Pysza i Wojciecha Wosia o pielgrzymce do Częstochowy będzie w przyszłym Dzwonku.

PYCHA.

Kochani ludzie! jedna z najgłówniejszych wad człowieka jest niezaprzeczenie pycha, bo to grzech śmiertelny, stojący na czele siedmiu grzechów głównych, co ma znaczyć, iż z niego pochodzi mnóstwo innych grzechów. Wiadomo wam, iż za ten grzech lucyfer z dziewięcioma chórami aniołów został strącony z nieba na wieczne potępienie do piekła. Niczego zatem tak się wystrzegać nie potrzeba jak pychy. Taż pycha tak w naszym wieku się rozpowszechniła, iż prawie wszędzie znaki jej ukazują się. Znana wam może powieść następująca:

Czasu pewnego widział za dopuszczeniem boskiem pewien pobożny młodzieniec stojący podczas całego nabożeństwa za wielkim ołtarzem, tuż obok siebie czarta, który, trzymając wielką xięgę w ręce, zapisywał do niej wszystkie przychodzące do kościoła osoby, które w jakikolwiekbądź sposób przewiniły naprzeciw przepisom, jak się ma człek zachowywać na każdem miejscu świętem. Z wielką ciekawością przypatrywał się on młodzian zapisywaniu nazwisk w onę xięgę. Z wielkiem zadziwieniem i boleścią zauważył, iż prawie wszystkie osoby do kościoła weszłe nie uszły bystremu oku czarta, który wy-

nalazł i w najmniejszem uchybieniu powód wciągnienia nazwiska do swych zapisków. I tak jedni zostali zapisani za śmianie się, inni za rozmowę, za szepty, inni, iż powierzchownie się tylko modlili, ustami a nie sercem, lecz najwięcej zostało tą razą zapisanych za pychę. I tak jedni, iż spoglądając na swój ubiór wynosili się, że ten i ów takiego nie miał, drugi zaś, że siedział w ławie a wielu z jego znajomych stać musiało, inni z swej postawy, inni z urody, inni z tego iż dali na ofiarę i t. d. Nareszcie już nikt więcej nie przychodził do kościoła. Po niejakim czasie spostrzega jednakże rozciekawiony młodzieniec spóźnione jeszcze dwie osoby, pani z swą służącą, wcale pospolitą dziewczyną. Na pierwszy rzut oka pomyślał sobie młodzieniec, iż owa bogato ubrana pani nie ujdzie tego, by czart wysłany z piekła nie zapisał jej nazwiska; lecz jak bardzo omylił się młodzieniec, nawet oczom swoim nie chciał wierzyć, gdy widział czarta, jak zamiast pięknej pani, zapisywał jej służącą do xięgi, a to za to, iż pyszniła się z nowego fartuszka, który od swej pani dzień przedtem w podarunku odebrała. Pani zaś, że nie przyszła na listę czartowską, to pochodziło ztąd, iż będąc wprawdzie bogatą na majątku, była pokorną w duchu, nie kochała się w swem bogactwie, bo używała go tylko na dobre cele.

W tej przytoczonej powieści jest wielka prawda, moi drodzy ludzie, możecie z niej się nauczyć z jak wielką przyzwoitością, uszanowaniem i skupieniem ducha należy w kościele się zachowywać, możecie zarazem też wziąć i wyobrażenie na jak wielki sposób rozgałęziona jest pycha.

Najgorsza jest jednakże pycha czyli duma tego, który się ze swego stanowiska i ze swego bogactwa wynosi, który drugiemu przez ramiona patrzy i go za nic nie trzyma i ani mówić z nim nie chce. Głupie to w jak największym stopniu takie istoty, pyszałki.

Głupi są ale i ci, którzy się wynoszą nad drugich z swojego rozumu, którzy drugiemu ciągle swe zdania narzucają, jakoby wyłącznie najmądrzejsi byli, mówię głupi to ludzie, którzy z swą mądrością się wynoszą, bo prawdziwie mądry człowiek, ten nigdy nie wynosi się z swego rozumu, bo wie

dobrze, że małą odrobinę wiedzy tylko posiada i że takie mnóstwo wiadomości jest jeszcze, których on wcale nie zna, nie wie, ani wytłómaczyć sobie nie może. Mądry człowiek stara się prawda o nabycie coraz więcej wiadomości, by takowe użył na swoje i swych braci potrzebę i naukę, lecz czyni to w pokorze przed Najwyższym Bogiem, który sam tylko jest istotą najmędrszą.

A więc moi drodzy widzicie, że nikt zgoła nie ma powodu z czegokolwiekbądź się wynosić, a zatem precz z pychą, wyrugujcie ją z korzeniem z pośród was, z serc waszych, by nie rozrosła się i namnożyła innych grzechów jako to: niezgody i nienawiści, gdy człowiek jeden drugiego kochać powinien i to całem sercem, kochać jako brat brata jako Bóg przykazał.

Wszyscy bowiem równi jesteśmy, tak pan jako i najuboższy człowiek, jeden dla nauki i potrzeby drugiego stworzony, bo na cóż innego byłby Pan Bóg dał przykazanie: będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego.

My zaś kochani bracia szczególniej powinniśmy jeden drugiego kochać jak brata, bo i wiarę mamy jedną i tę samą i językiem od Boga nam danym wyrażamy się i modlimy w kościele jednym i tym samym, jak Bóg przykazał. Jestem ciekawym więc, ktoby chciał jeszcze odróżniać się jeden od drugiego, ktoby miał być tak zarozumiałym, a Boga nie słuchać. Wyrodek to chyba by być musiał, któryby brata nie miał kochać, przeklęty taki już tu na ziemi.

Starajcie się więc moi bracia, żebyście przez pracę i pilność, przez zgodę i jedność zasłużyli sobie na szacunek jeden u drugiego. Bo człowiek człowieka ma zawsze szanować, bo gdy kto przez złe swoje postępowanie w obec swych braci stracił uszanowanie, to biada takiemu, nie dziw, że takiego każdy unika, nikt w towarzystwie takiego nie cierpi i brzydzi się takim. Mimowolnie tak się naprzeciw wyrzutkowi postępuje, kara to Boża już tu na ziemi. — Starać się więc potrzeba, by nie stracić przez złe postępowanie szacunku u drugich. Nie wynośmy się zatem pod żadnym względem jeden nad drugiego, lecz kochajmy się gorąco całem sercem, wzaje-

mnie, w każdym stanie i pod każdym względem tak młodzi jak starzy, ubodzy i bogaci.

Tak być powinno, a jeźli tak będzie, czego się spodziewam, bo każdy jak powinien, tak ku temu dąży, to raj, jak to się mówi, będziemy mieli już tu na ziemi, Pan Bóg błogosławić nam będzie i zakończą się narzekania na to i na owo, co każdego dolega, i wspólnie cieszyć się będziemy ze zgody i miłości, co daj Boże, Amen. *Prz. L.*

RÓŻNOŚCI.

Nieporadna gospodynia. Jak to źle, kiedy kto nie ma w głowie dostatek rozumu, poznacie moi mili zaraz z tego zdarzenia. Opowiadał mi xiądz proboszcz, iż niedawno idzie przez wieś i widzi, że Tomkowa okrótnie zapłakana niesie gęś pod pachą prosto do karczmy. Woła więc na nią i pyta:

— A co to wam kobieto, czego płaczecie?

— Zaś proszę jegomości — pocznie lamentować Tomkowa – okrótna już na mnie przyszła bieda. Icek arendarz pożyczył mi pięć złotych, a te mam jemu oddać niebawem. Przed tygodniem przyszedł do mnie i mówił żeby oddać mu, bo zaskarży do urzędu i zagrabi. Com się naprosiła, co napłakała i nic nie pomogło. Naostatek zobaczył gęsi, i wziął jedną za procent.

— Więc to ta gęś, co ją niesiesz? — zapyta xiądz proboszcz.

— Gdzietam — odpowie Tomkowa — to już druga, bo wczoraj znowu przysyłał, aby mu dług oddać, bo już na żaden sposób dłużej czekać nie chce, Więc idę go prosić, aby wziął znowu za procent gęś jedną a poczekał na dług.

— I wieleż ta gęś warta? — pyta xiądz proboszcz.

— Proszę jegomości, dawali mi przedwczoraj na targu cztery złote za nią, ale mi żal było zbywać, więc nie sprzedałam.

— A tamta gęś, co ją wziął Icek, czy taka była także? — pyta jeszcze xiądz proboszcz.

— Jużci taka sama — powie Tomkowa.

— No kobieto, tożto u ciebie dopiero pomiarkowanie — rzeknie dobrodziej. Zamiast pięciu złotych, dałaś żydowi gęś za cztery złote procentu, a teraz chcesz mu dać drugie cztery złote, więc razem ośm złotych samego procentu. A jakbyś była obie gęsi przedała na targu, więc i dług byłabyś zapłaciła, i zostałoby ci jeszcze trzy złote. I gdzież tu rozum, he?

Tomkowa strasznie się zdziwowała, a nakoniec rzecze:

— Jużci prawda proszę jegomości, ale cóż ja teraz pocznę!

— Oto teraz masz naukę — powie xiądz proboszcz — że powinnaś mieć lepszą ufność do pana dziedzica i do xiędza, jak do żyda. Masz tu cztery złote za gęś, a piąty dopożyczam ci, abyś wszystko oddała żydowi. Zaś na drugi raz miej lepsze pomiarkowanie i poradź się zawczasu mądrzejszej głowy.

Tomkowa okrótnie się ucieszyła, odniosła żydowi dług, i od tego czasu chodzi zawsze po poradę do xiędza proboszcza, kiedy jej zdarzy się jaka turbacya.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 7.

1. Września 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cudowne sny.

Przyszedł w tym miesiącu do mnie chłop staruszek z Bierbówki o 2 mile od Myślenic, zwie on się Malina, i jął mnie prosić, abym tę rzecz o nim, którą on mi opowiedział, do Dzwonka spisała, aby wszyscy ludzie o tem wiedzieli, a jako że to prawda, to on gotów przysięgą stwierdzić.

Otóż tak mi ten pobożny staruszek prawił:

Jeszcze w 1829 roku w miesiącu styczniu byłem złożony wielką chorobą, i leżałem więcej niż 40 dni i nocy i widziałem się bliskim śmierci, pragnąłem przeto bardzo świętej spowiedzi i komunii; i dał mi Bóg przyjąć świętą komunię, za co niech będą dzięki Bogu!

Potem we śnie słyszałem głos taki: „Wstań na Imię Boga i chodź, a nie powrócisz tu, aże dnia trzeciego.“ Wtedy przeżegnałem się i zasnąłem, i wziąłem się gdzieś na północ, i tam zobaczyłem piekło, które jest tak głębokie, jak wysoko jest niebo; a tam w piekle słyszałem płacz i zgrzytanie zębów, i widziałem najstarszego Lucypera, który tysiącami łańcuchów jest przywiązany. Potemu wziąłem się gdzieś na wschód słońca,

które to słonko takie wielkie i takie piękne mi się widziało, że tego opowiedzieć nie umiem. Potem dalej, stanąłem nad płomieniem czysca, i wziął mnie wielki strach, tak że włosy na głowie mi stanęły, gdy się okrótna jaskinia za mną zawarła. Lecz nie długo pokazał mi się po drugiej stronie śliczny młodzieniec w postaci xiędza, który mnie się spytał: „Coś odebrał na chrzcie świętym?“ Odpowiadam, żem był ochrzczony w Imię Trójcy świętej i w Imię Jezus. Wtedy strach mnie opuścił, a młodzieniec ten śliczny rzekł mi: „chodź teraz, kiedyś wyrzekł to imię“, i wiódł mnie ten śliczny młodzieniec przez prześliczny raj i pokazywał mi wielką moc złota, i różnych śliczności, i zapytał mnie, co jest droższe czy te wszystkie skarby, czyli to imię, com wyrzekł? Jam nie wiedział jak odpowiedzieć; to on mi powiedział, że nad wszystkie skarby, i nad niebo i ziemię, jest droższe to Imię Jezus! i żebym sobie o tem imieniu zawsze pamiętał.

Wtedy wprowadził mnie do nieba, gdzie zobaczyłem takie szczęście, taką miłość, i takie wesele i takie piękności, której żadną miarą ani opowiedzieć, ani opisać nie umiem. Ojcowie święci rozmawiali się ze mną, a ja czułem w sobie słodycz niezmierną. Wielkie procesye szły z imieniem Jezus na przodzie, wszystkie ubrane w bieli. Najprzód szły małe dzieci, a potem starzy. Gdym się już tak napatrzył, kazali mi ztamtąd pójść do domu, o co mi się bardzo markotno zrobiło, aż oni mi powiedzieli, że dosyć mam to słowo Jezus. Wtedy obudziłem się, i wyzdrowiałem.

W kilkanaście lat potem, bo już 1846 roku wspomniałem sobie raz gorąco na to imię Jezus, i znowu zasnąłem, i ukazała mi się na niebie wielka jasność, a w niej stał ślicznej urody młodzieniec, obrócony był od południa ku północy, prawą ręką niby żegnał świat, a na lewej ręce trzymał wypisane I m i ę J e z u s!

Potem znowu, zeszłego roku pokazała mi się we śnie śliczna pani, niby Najświętsza Panienka, i rozkazała mi, abym to wszystko, com we śnie widział, jakby testamentem światu zostawił, co ja też usłuchawszy, przyszedłem do Jejmości prosić, aby to pięknie spisali i światu oznajmili, aby ludzie, jako

się to teraz często dzieje, nie zapominali na to drogie imię Jezus, i nie zapominali na srogie boleści w piekle, i na to wielkie szczęście i rozkosz, jaka czeka sprawiedliwych w niebie!

Na tem skończył swoje opowiadanie pobożny i zacny człek Malina, a ja wam to do razu spisała, abyście sobie tem częściej to najdroższe imię Jezus wspominali, i często gęsto o piekle i o niebie sobie rozmawiali; a z taką myślą nie wpadniecie nigdy w pokuszenie.

Ludka z Myślenic.

Pieśń krawca.

Z mą igiełką, nożycami, przejdę wszystkie kraje,
Bo tym, co pracować lubią, każdy chleba daje.
Umiem dobrze sukno krajać, i umiem brać miarę,
Umiem nowe robić suknie, i naprawiać stare.
Gdy od kroju co zostanie, zwracam jak należy,
Miłoż to pomyśleć sobie, że nam każdy wierzy!
Kto rzetelny, sprawiedliwy, ma zawsze robotę:
W jakimkolwiek będziem stanie, to kochajmy cnotę.

Stan. Jachowicz.

Pieśń szewczyka.

Jestem szewczyk na dorobku,
Na sto butów na warsztacie,
Hej panowie, słudzy, chłopku,
Próżno grosza nie wydacie.

Robię mocno, to mą chwałą,
O ja dratwy nie żałuję,
Możesz hasać przez noc całą,
A mój bót się nie rozpruje.

Codziennie się ludzie rodzą,
Zarobek to będzie suty,
Niechaj gęsi boso chodzą,
Kto rozumny, to ma bóty.

Pobłogosław pracy Boże!
Co zarobię nie przepiję
I na starość co odłożę.
Wiwat! niechaj szydło żyje!
Stan. Jachowicz

Pieśń garncarza.

Patrzcie chłopaki, patrzcie dziewczyny!
Co to ja robię z gliny.
Toczę żwawo moje koło,
I śpiewam sobie wesoło.

Bryła staje się garnuszkiem,
Dzbanuszek wychodzi z uszkiem,
Tu ryneczka z rączką spieszy —
Jakże mnie to wszystko cieszy!

Chcąc mi moję odjąć chwałę
Powiecie, wszystko nietrwałe.
Ależ przeczyć nie będziecie,
Że trwałego nic na świecie.

Twarde żelazo się skruszy,
Mury gmachów czas poruszy,
Dębem silny wiatr pomiata,
Garnuszek maż przetrwać lata?

Niech się tłuką garnki moje!
Ja się o ich los nie boję.
Żwawo sobie toczę koło,
I zawsze śpiewam wesolo.
Stan. Jachowicz

Pielgrzymka do Częstochowy,

którą odprawili Stanisław Pysz i Wojciech Woś włościanie z Grodziska, a potem do Dzwonka opisali obaj.

(Dokończenie.)

IV.

Weszliśmy do studni, gdzie cudownym sposobem Bóg źródło wyprowadził, w towarzystwie jednego kapłana, któren o mil 24 do Częstochowy przybył; tenże nam historyę łaciń-

skim językiem na studni pisaną tłumaczył, a są tu i malowidła tej historyi.

Naczerpaliśmy wiadrem wody, pierwej kapłan napiwszy się wody i twarz sobie obmył, bo to trza wam moiściewy wiedzieć, że woda w tej studni na ból oczu i na różne słabości skutkuje, kto jej z żywą wiarą używa, ale pierwej potrzeba swoją duszę z brudu grzechowego przez Sakrament pokuty obmyć. Za przykładem tego kapłana i my także tej wody napiliśmy się i obmywszy się wyszliśmy z tej studni, a idąc razem pomiędzy innemi rozmowami zapytał nas, jeżeliśmy znali xiędza Antoniewicza? Nie, odpowiedzieliśmy.

Po uprzejmem pożegnaniu się z kapłanem udaliśmy się napowrót do kościoła na Jasną górę, aby w czasie nieszporów pomodlić się przed cudownym obrazem Maryi. O błoga chwilo! do samej śmierci nie zapomnę tej chwili; a gdy niegodny spoglądałem na oblicze Maryi i na te rany w prawej stronie twarzy, które bezbożny Hussyta pałaszem zadał, rozrzewniony pomyślałem sobie: może to pierwszy i ostatni raz w tym świętym przybytku Maryi jestem, może ostatni raz moje łzawe oczy podnoszę do oblicza Maryi, błagając jej, aby się za mną grzesznikiem wstawiła do swego syna i uprosiła mi odpuszczenia grzechów.

Wyszliśmy wreszcie z kaplicy Najświętszej Maryi Panny przez wielki kościół, rzuciliśmy okiem po przybytku pańskim, i rozrzewnieni idąc ku wielkim drzwiom kościoła, opuściliśmy świątynię o godzinie piątej wieczorem. Wyszedłszy za ostatnią bramę spojrzeliśmy z Jasnej góry na wszystkie strony; co za śliczny widok! co za śliczna okolica! a przytem zdrowe i letkie powietrze, zdawało się, że człowiek o lat kilkanaście odmłodniał. Bardzo daleko widać z tej góry różne wzgórza, pola, lasy, wioski i kościoły.

Czas zmuszał nas opuścić już tę świętą Jasną górę. Spiesznie zstępowaliśmy ku stacyi żelaznej kolei. Wsiedliśmy o godzinie szóstej wieczór, dopóki można było widzieć to święte miejsce, patrzyliśmy, aby się jeszcze choć widzeniem nasycić, bo Bóg tylko wie, czy jeszcze kiedyś pozwoli nam tę świętą górę oglądać.

Ale gadam a gadam, a podobnoś nie powiedziałem wam, gdzie ta Jasna góra Częstochowy znajduje się; bo chociaż ta wielu z was byliście i wiecie, to przecież są tacy co o tem nie wiedzą, ani żadnego wyobrażenia nie mają.

Częstochowa jest na naszej polskiej ziemi pomiędzy Krakowem i Warszawą pod szląską granicą, pod rządem moskiewskim. A jeszcze wyraźniej powiem, że jadąc żelazną koleją z Krakowa do Częstochowy, mil dziewiętnaście się liczy.

V.

Nazajutrz dnia 19 września o godzinie 10 przed południem stanęliśmy w Krakowie. Wysiedliśmy z pociągu żelaznej kolei, natychmiast udaliśmy się dla obejrzenia tak wspaniałego Krakowa, jako też i wyszukania naszego pana Dąbrowskiego, któren na nas czekał z świętym obrazem.

Najprzód wstąpiliśmy do kościoła Panny Maryi gdzie jest przewielebny xiądz Kogotowicz infułatem, a nasz grodziski rodak, jest on świadkiem dawniejszych nauk szkolnych, że i z Grodziska dawniej rodzice swoich synów do szkół posyłali, którzy na wielkich ludzi wychodzili, a teraz co macie? wszystko to ustało. Synowie wasi nim dorosną bydło pasą, a gdy podrosną to najpierwsza ich nauka fajeczkę pykać, na hulatykę i pijatykę do przebrzydłych karczmarzy chodzić, a żaden nie pomyśli aby czegoś pożytecznego w szkole, albo jakiego rzemiosła się nauczyć.

Znowu rozgadałem się o czem innem, a zaniechałem opowiadania o Krakowie. Otóż po wysłuchaniu mszy świętej w kościele Panny Maryi, wyszliśmy z kościoła i udaliśmy się wprost do zamku na górze Wawel, w którym niegdyś nasi polscy królowie mieszkali. Weszliśmy najprzód do kościoła na Zamku, aż tu na pierwszy rzut oka zobaczyliśmy trumnę srebrną w pośrodku kościoła stojącą, w której spoczywają zwłoki świętego Stanisława biskupa krakowskiego, z kratą żelazną naokoło obwiedzioną, a na wierzchu śliczny baldachin. Po krótkiej modlitwie zaprowadził nas kościelny na wieżę, gdzie jest dzwon Zygmunt bardzo wielki, który 300 cetnarów, a serce 7 cetnarów waży. Potem odwidziliśmy trumnę świętej

Jadwigi, Jana III Sobieskiego i żony jego Maryanny, które po lewej stronie wielkiego ołtarza są umieszczone. Weszliśmy nakoniec do podziemnych grobów królewskich z zapaloną świecą; i tam także spoczywają królowie i wodzowie polscy w marmurowych trumnach.

Wyszliśmy z kościoła zamkowego i udaliśmy się wprost do kościoła na Skałce, któren tuż nad samą Wisłą się wznosi, gdzie był zabity święty Stanisław przez króla Bolesława Śmiałego, lecz kościół zastaliśmy zamknięty, tylko o kilka kroków od kościoła znajduje się nie wielka sadzawka, której brzegi są kamieńmi obmurowane, a w pośrodku stoi figura świętego Stanisława biskupa w naturalnej wielkości w infule i z pastorałem w ręku, a u stóp tegoż Piotrowin. Jest to ta sama sadzawka, w którą ciało męczennika Chrystusowego po zabiciu wrzucone było. Mój Boże! pomyślałem sobie i przemówiłem do mego towarzysza, a gdzież są orłowie co strzegli ciała świętego męczennika? wy tylko góry, co piętrzycie się za Wisłą, jesteście świadkami owych czasów!

Opuściliśmy Skałkę powróciwszy do miasta i samym wieczorem znaleźliśmy naszego pana Dąbrowskiego na ulicy Floryańskiej. Po uprzejmem przywitaniu się z powrotu z Częstochowy poszliśmy na spoczynek nocny.

Nazajutrz 20 września równo ze świtem wyruszyliśmy na Mogiłę Kościuszki. Co za wspaniały widok, Kraków przedstawia się jak na dłoni z kościołami i wieżami. Tu na tej mogile jest teraz forteca i kaplica świętej Bronisławy.

Powróciwszy z Mogiły Kościuszki do miasta Krakowa po odwidzeniu jeszcze kilku kościołów i po mszy świętej w kościółku świętego Wojciecha przed 11 godziną przed południem opuściliśmy Kraków i tegoż samego dnia wieczór już byliśmy z świętym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w Grodzisku. Przyszedłszy szczęśliwie do mego domu, zastałem już Sebastyana Sadła i Piotra Baja, którzy mego powrotu czekali i ciekawością zdjęci, jakem im zaczął opowiadać to o Częstochowie, to o Krakowie, to o Skałce i krakowskim zamku, to aż gęby porozdziawiali a słuchali, a tak do samego prawie świtu przegawędziliśmy, ta pono myślą kiedyś wybierać się do Częstochowy i Krakowa.

VI.

Jużem wam ta dosyć mojem opowiadaniem uszów naklepał, ale jeszcze ta i nie na tem koniec, bo muszę wam ta jeszcze coś powiedzieć o wprowadzeniu tego świętego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej do kościoła grodziskiego.

Od powrotu naszego z Jasnej góry Częstochowy obraz spoczywał na końcu wsi w porządnym domu aż do Różańcowej niedzieli pierwszej października, gdzie w naszym grodziskim kościele bywa odpust. Otóż po południu o godzinie trzeciej, wyszła liczna procesya, a było ta ludu do 5000. Pięciu kapłanów przewodniczyło tej procesyi blisko pół mili, gdzie obraz święty był już wystawiony na przyrządzonym umyślnie do tego ołtarzu. Przy odsłonięciu tegoż obrazu xiądz pleban miejscowy Jakób Dziedzic zaintonował Salve Regina, Zawitaj królowa, monarchini nieba, ziemi cesarzowa i t. d. W ten moment na powitanie królowy nieba i ziemi naszej, ozwały się echa z moździerzy kościelnych. Po odśpiewaniu tej pieśni panny wzięły na swe ramiona ten święty obraz i procesya wolnym krokiem postępowała ku kościołowi, a nucąc przytem nabożne pieśni aż pod sam kościół. Tuż na wchodzie na cmentarz stała tryumfalna brama obrazami i lustrami przyozdobiona, w tej bramie kapłani zatrzymali się z obrazem, a Wielebny xiądz Józef Panek proboszcz z sąsiedniej wsi Giedlarowy, miał stosowne kazanie, a tak rozczulające, że lud słuchający rozpłakał się. Po skończonom kazaniu obraz do kościoła wnieśli i na ołtarzu umyślnie do tego przyrządzonym złożyli; znowu wielebny xiądz proboszcz miejscowy Jakób Dziedzic wyszedł na ambonę i powiedział witające kazanie. Potem nastąpiły nieszpory, a po ukończeniu tychże procesya, i na tem solenne nabożeństwo już późno wieczór zakończyło się a zawsze przy odgłosie strzałów z moździerzy. Teraz dla obrazu sprowadzonego Matki Boskiej Częstochowskiej parafianie Grodziska składają dobrowolne ofiary na wystawienie ołtarza drugiego temuż odpowiadającego.

Teraz zakończam moiściewy moją pogadankę, a co powiedziałem wam o Jasnej górze Częstochowskiej, o kościele, nieco o obrazie cudownym, także o Krakowie, wszystko to jest szczera prawda, bo co tylko na własne oczy wraz z moim to-

warzyszem Wojciechem Wosiem widzieliśmy i w sercu mojem uczułem, i w pamięci dotąd zatrzymałem, to wam opowiadam i opisuję. A gdyby kto z was czytelników naszego Dzwonka nie chciał wierzyć, to niech się tylko zechce pofatygować do Grodziska, to mu to samo ustnie opowiemy. Wszak to nie daleko, bo ode Lwowa cosik z osiemnaście mil, a przy tej okazyi odwiedziłby Leżajsk tylko mila od Grodziska, gdzie jest kościół Matki Boskiej cudami słynącej Tomaszowi Michałkowi w Borku na piasku roku 1590 objawionej.

Ja mieszkam w Grodzisku górnym, a Wojciech Woś w dolnym, kowal blisko kościoła.

Stanisław Pysz z Grodziska.

Konstancya żebraczka,

co się wsławiła w częstochowskim klasztorze podczas napaści Szwedów.

Wyczytawszy w Dzwonku piękne opisanie pielgrzymki do Częstochowy, przypomniała mi się zaraz jedna historya z tamtego miejsca, i dlatego podaję ją wam tutaj za świeżej pamięci.

Działo się to za panowania króla Jana Kazimierza, kiedy to Polska była ustawicznie trapiona najazdami różnych nieprzyjaciół i nie miała ani chwilki miłego spokoju. Jeszcze się Polacy nie uporali z Kozakami, a jużci czereda Szwedów i heretyków Moskali wpadła do naszego kraju i zaczęła w nim swoją gospodarkę nieprzymierzając jak teraz okrótny Moskal, na którego wspomnienie człek się wzdryga cały, jakby nim febra zatrzęsła. Posłuchajcie jeno, jak to jeden świętobliwy xiądz, co to żył w owych czasach, opisuje te nieszczęścia.

Biskupi i najznaczniejsi panowie musieli uciekać z kraju i na obcą ziemię chronić się. Poburzone zamki, wywrócone miasta, dziedzice w pęta okuci, kobiety więzieniem lub sromotną niewolą niszczeni. Kościoły świętokradztwem splamione, święte naczynia i sprzęty potłuczone i ołtarze powywracane,

podarte i spalone. Ciało Chrystusa Pana po ziemi rozrzucone i zdeptane, grobowce umarłych pootwierane, trupy powyrzucane, słudzy ołtarza męczeni, więzieni, mordowani, wieszani! Wszystkiego się dopuszczano, co tylko szalona rozpusta na myśl przyniosła. Dymiły się pożarem święte przybytki, ze wsi zostały jeno popioły, po polach leżały trupy pomordowanych ludzi z żadnej innej winy, tylko że byli Polakami.

Owóż kiedy tak cała Polska była umęczona i na łup nieprzyjaciół wydana, jeden tylko klasztor częstochowski stał nienaruszony. Wszystko co żyło jeszcze w pobliskich stronach uciekało tutaj z majątkiem i życiem, ażeby się pod opieką Matki Boskiej bronić do upadłego. Niebawem też nadciągnęły wojska szwedzkie i otoczyły klasztor Jasnogórski do koła, chcąc go siłą mocą zdobyć koniecznie. Jak się tam ta garstka oblężonych pod opieką Najświętszej Panny broniła walecznie, i jakie tam cuda się działy, to każdy musiał już o tem czytać nie mało, dlatego też ja opowiem wam tylko o jednej kobiecie, która się także bardzo wsławiła podczas tego pamiętnego oblężenia.

Owóż pomiędzy tymi, którzy w częstochowskim klasztorze szukali przed nieprzyjacielem schronienia i przytułku, była także jedna staruszka, co to ją wszyscy nazywali Kostusia. Pochodziła ona z wieśniaczego stanu, a nie mając żadnego majątku zarabiała sobie uczciwą pracą na kawałek chleba. Dlatego też i teraz uciekłszy z życiem do klasztoru, pracowała jak mogła: obsługiwała rannych, zbierała kule nieprzyjacielskie, co to się nieszkodliwie odbijały od murów klasztornych, i temu też wszyscy tak ją lubili, że nikt jej nie żałował kawałka chleba. A już co na Szwedów, to tak ci była zawzięta, że choćby się ich było i dziesięć nawinęło, toby wszystkim była oczy wydrapała. Skoro tylko miała chwilę wolnego czasu, zaraz ci szła przed cudowny obraz Najświętszej Panny i leżała tam krzyżem po parę godzin, prosząc Matkę Boską o lepszą dolę dla nieszczęśliwej ojczyzny, a potem zerwawszy się porywała za kawałek jakiego drąga i szła na mury i waliła po łbach drapiące się na wały plugastwo szwedzkie.

I trwało to ci tak już dwa miesiące jak szczupła załoga

klasztorna opierała się niezliczonym wojskom nieprzyjacielskim, bo nawet sami xięża musieli być cały dzień i noc na nogach, nie mając czasu spokojnie mszę świętą odprawić i porządnie pacierzy odmówić. Zbliżały się już święta Bożego Narodzenia, a xiądz przeor Kordecki chcąc je uroczyście obchodzić, nie wiedział na to innego sposobu, jak tylko wysłać kogoś z proźbą do szwedzkiego jenerała Milera, ażeby podczas świąt zaniechał dobywania klasztoru, coby się xięża mogli spokojnie Bogu pomodlić. Ale w tem właśnie był sęk, kogo by to wysłać z tą prośbą do tego okrutnego jenerała, bo kiedy xiądz przeor jeszcze pierwej dwóch zakonników wysłał po interesie do obozu Szwedów, to jenerał Miler nie wysłuchawszy nawet ich żądania, kazał ich okrótnie męczyć, a odesławszy ich potem do klasztoru, kazał im w odpowiedzi oświadczyć, że wszystkim tak później zrobi, jeżeli mu się dobrowolnie nie poddadzą. Dlatego też byłby każdy poszedł raczej do piekła, aniżeli do obozu Szwedów, i z tej racyi xiądz Kordecki nie mało się tem martwił i kłopotał.

Widząc to Kostusia żebraczka, zastępuje raz xiędzu przeorowi drogę i rzecze:

— Z przeproszeniem Jegomości, ale czy wolno zapytać, dlaczego to xiądz dobrodziej od jakiegoś czasu taki zafrasowany i zakłopotany?

— Ej nie poradzisz ty w tem nic moja Kostusiu — odrzeknie xiądz przeor — chciałbym ci ja posłać pismo do szwedzkiego jenerała, a tu ani rusz kogo znaleść, coby się odważył tam pójść.

— Ta jeżeli tam nie ma żadnej ważniejszej sprawy, jeno oddać pismo, toć przecie i ja mam jeszcze zdrowe nogi, a śmierci się nie stracham, bom się już dosyć nażyła na tym bożym świecie, a za pomyślność ojczyzny i na chwałę Najświętszej Panny tobym nie raz, ale sto razy życie oddała.

Uradował się niezmiernie tą odpowiedzią xiądz Kordecki, a dawszy Kostusi opieczętowane pismo i błogosławieństwo na drogę wysłał ją do szwedzkiego obozu. Tutaj dopiero zaczęli ją szwedzcy żołnierze popychać, poszturkiwać, i różnemi sposobami nad nią się zdziwiać, aż nareszcie stawili ją przed

samego jenerała. Ten odczytawszy pismo, uśmiechnął się z ukontentowania, bo widać że jakaś zdradziecka myśl przyszła mu do głowy, i odpisał zakonnikom, że przez dwa dni świąt nie będzie im przeszkadzał w nabożeństwie, bo i on także czci i kocha Najświętszą Pannę.

Z tą odpowiedzią powróciła Kostusia do klasztoru, wszyscy obnosili Kostusię na rękach, i ufając słowu Milera cieszyli się bardzo, że przez dwa dni będą mieli spokój i wypoczynek. Ale zaledwie na drugi dzień zaczęli xięża odprawiać nabożeństwo, chytry Miler podsunął się pod sam klasztor i zaczął go całą siłą dobywać, myśląc że znajdzie zakonników nieprzygotowanych. Ale Matka Boska zasłaniała płaszczem swoim klasztor od kul nieprzyjacielskich, a załoga klasztorna zebrawszy się czemprędzej odparła i tą razą napad niespodziewany.

Widząc Miler, że mu się i teraz sztuczka nie udała, naklął co nie miara, zwinął ogon i jak nie pyszny odstąpił od klasztoru.

Na drugi dzień po uroczystem dziękczynnem nabożeństwie za pomyślność ojczyzny zgromadzili się wszyscy do refektarza na ucztę, gdzie xiądz Kordecki żebraczkę Kostusię i Jacentego Brzuchańskiego, o którym już także musieliście słyszeć, posadził pomiędzy najdostojniejszymi gośćmi, i złocistym puharem wypił po kolei za ich zdrowie.

Niebawem też zjechała i królowa Marya Ludwika, żona Jana Kazimierza w to bezpieczne miejsce na jakiś czas na mieszkanie, a dowiedziawszy się o tym odważnym czynie Kostusi, którym niejednego rycerza zawstydziła, zaprosiła ją chociaż w podartych łachmanach do siebie na obiad, a ponieważ Kostusia nie miała żadnej rodziny, której królowa chciała nadać szlachectwo, więc złożyła tylko w klasztorze dostateczny fundusz, z którego Konstancya po koniec życia swego miała przyzwoite utrzymanie.

Po śmierci Kostusi zapisano całe to zdarzenie na wieczną pamiątką w xięgach klasztornych, a dla waszej wiadomości i zbudowania opisałem to wszystko do Dzwonka.

Jacenty z Magierowa.

Rady gospodarskie.

O pożytku z pokrzywy.

W niedzielę po nieszporach wyszedł mały Jędrek do sadu. Położył się pod gruszą, i zasnął. Aż tu we śnie posunął się na gęstą pokrzywę i poparzył jak nieboskie stworzenie. Zacznie ze złości wykrzykiwać na pokrzywę. Aż usłyszała Walentowa i nadeszła. Zapyta go więc:

— A cóż ci to takiego mój Jędrku, żeś tak gębę rozpasał?

— Aj powiadam wam — mówi Jędrek — takem się sparzył okrótnie, żem aż gwiazdy zobaczył w oczach. Żeby już raz wszyscy kaci porwali te pokrzywy!

— Ej co też gadasz głupi chłopcze — zawoła Tomasz co z Jędrkiem razem był w ogrodzie — żebyś wiedział jaka to roślina pożyteczna, tobyś ano na nią ani słówka nie pisnął.

— I cóż za pożytek z tego zielska, co ani torby sieczki nie warta? — ozwie się ciekawy Jędrek.

— Jużciż! kto nie wie, to mu łatwo takie głupstwa gadać — rzeknie Tomasz — ale poczekaj to cię zaraz przekonam. Nie wiesz to co na przednowku ludzie jadali a najwięcej Wojciechowie? Widzisz, że liście z pokrzywy, a są one daleko lepszą jarzyną aniżeli szpinak, rozumie się wtedy, gdy są jeszcze młode. Teraz z łodyg, co są bardzo włókniste, mają ludzie wyśmienitą i najdelikatniejszą przędzę. Zaś robi się ona tym samym sposobem co i ze lnu zwyczajnego.

I korzeń z pokrzywy gdy się wygotuje i zmiesza z ałunem i solą, jest bardzo wyborny, bo daje doskonałą żółtą farbę.

Zaś gdy nasienia z tej rośliny dasz koniom, to ci to dopiero nabierą żywości, a i włos się robi z tego świecący.

Znowu jak kurom dasz tego nasienia, to niosą daleko więcej jaj jak zwykle.

— Ho, ho, ho co to za dobre zielsko ta pokrzywa — zawoła Walentowa.

— A to jeszcze nie na tem koniec — mówi Tomasz — bo i dla bydła służy ona za smaczną i zdrową strawę, a można ją byle gdzie nadybać i nie potrzebuje ona żadnej uprawy. Daje się pięć a nawet sześć razy kosić do roku, gdy się ją zbiera na potraw — a jak na co innego, to może rość dopóki do krzty nie dojrzeje.

— A toć prawdę gadacie — powiedział Jędrek — że to użyteczna roślina.

— Ano przekonaj się chłopcze. Choć ona nie da poufałości robić ze sobą, ale w gospodarce jest ci ona nie lada rośliną. Tak widzisz z liścia, łodygi, nasienia i korzenia może przemyślny gospodarz ciągnąć korzyści, owóż rób i ty tak a nie narzekaj żeś się poparzył. To przejdzie, a dobytek się pomnoży, co przecie więcej daje użytku, aniżeli bywa szkody z tego, że czasem nieostrożnych poparzy.

Józef z Bochni.

Uroczystość w Rzeszowie.

Ogłoszono teraz uroczyste nabożeństwo w Rzeszowie na pamiątkę stuletniej rocznicy koronacyi statuy cudownej Matki Boskiej królowej polskiej, któreto nabożeństwo będzie się obchodzić przez trzy dni, to jest od dnia szóstego września aż do ósmego.

Ta statua cudowna, która jest w Rzeszowie w kościele Bernardyńskim, taką ma historyę.

Za polskich czasów jeszcze była ona w Rzeszowie. Był także jeden pan polski bardzo znaczny, Jerzy Lubomirski chorąży koronny, który zachorzał okrótnie na oczy. Otóż w nieszczęściu takiem pomogła jemu cudowna Matka Boska Rzeszowska. Na pamiątkę i podziękowanie starał się ów pan, aby statuę cudowną ukoronować za pozwoleniem ojca świętego. Zaś jeszcze było nie nadeszło pozwolenie ojca świętego, kiedy umarł pan Lubomirski.

Po śmierci starała się rodzina, aby ukończyć koronacyę cudownego obrazu. Zaś coraz większe bywały już cuda. Piszą

w starych xięgach, iż jeszcze przed koronacyą za pomocą cudownego obraza 12 ślepych przejrzało, 35 śmiertelnie chorych uzdrowiało, 5 konających i dwóch utopionych przyszło do życia, dwóch opętanych zostało od czarta uwolnionych, i inszych trzydzieści kilka cudów było.

Otóż będzie temu właśnie sto lat, kiedy postanowiono ukoronować statuę cudowną. Dnia 8 września roku pańskiego 1763 ukoronował ją przy wielkiej uroczystości xiądz arcybiskup lwowski Wacław Hieronim Sierakowski. Było wielkie nabożeństwo i ludu mnóstwo.

Otóż teraz będzie się obchodzić znowu uroczystość na pamiątkę, iż temu już sto lat. Daj panie Boże, aby Najświętsza Marya królowa polska wysłuchała naszych modlitw, i po dawnemu opieką świętą uchroniła nas od wszystkiego złego.

RÓŻNOŚCI.

Plotkarki. Zeszły się kumoszki kolo chaty Jackowej, co to stoi wedle czerwonego krzyża, trzecia od lewego z kraju wsi. Zaczną tedy rozmawiać i pytlować, co jeno języki starczą.

— Bo to widzita moiściewy — traskota Jagna Pytlowa — jużci to oczywiste skaranie boże z tą Halką Sierotą. Jać jej pewnie nie krzywa i miłosierdzia mi nie braknie, ale jakżeż tu nie powiedzieć prawdy na takie dziewczęcisko. Toż ona Bóg wie co sobie nie myśli o swojej piękności i radaby się wydziwiać a wynosić nad wszystkie dziewczęta we wsi.

— Ho! ho! to mądralka, paniątko — huczy Marta Gembarzowa — to to sobie ani nie pamięta, że jest niby żebraczyna, chudzina największa we wsi. a stroi się zawsze, jakby tu przez cały rok jeno odpust był i święto. Ani rusz temu paniątku ubrać się w stare szmaty i nie świeże. Bóg wie, zkąd ją stać na takie parady.

— Ach! moje miłe — lamentuje Maciejowa Kwoczka — a toć ja na nikogo słowa złego nie powiem, a toć ja nie taka jak drugie, coby po całych dniach jeno obgadywały, a toć ja także noszę Boga w sercu i grzechu się boję, ale na tę Halkę to i trudno spojrzeć bez złości. Taka to święta niby i potulna i uczciwa, a już trudno nie widzieć co się święci. A Wojtek Buczyk darmo łazi za nią, a pan dziedzic co? a czyż to nie wstyd i hańba dla całej wsi.

— Oj pewno, pewno — wołały kumoszki — i dalej wygadywać na Halkę niestworzone rzeczy, tak iżby sobie mógł kto największe okropności na nią pomyśleć.

Nadszedł w tem Kuba stary, człek zacny i uczciwy, co się naj-

bardziej sromal obmowy, a wysłuchawszy całego gadania kumoszek, zacznie im prawić:

— A plotkarki jakieś, a nie wstydzita się takiej obrazy boskiej i takiej nieuczciwości. Więc najlepszą i najpoczciwszą dziewuchę obgadujecie, i to za co? Dla tego że piękna i dobra, a skromna i o piękności nie myśli, więc ją Jagna obgaduje, bo jej Kaśka i nie piękna i zła jak czarownica albo jak matka, co na jedno idzie. Że Halka dziewucha porządna, i zawsze koło niej czysto i biało, bo pamięta o tem, że

choć ubogo
ale chędogo,

to Marta wykrzykuje na nią, bo razem z curunią swoją jest największą na wsi niechlują. A iż Halka dziewczyna skromna i uczciwa, że się podobała Wojtkowi, który się z nią wnet ożeni, że ją pan dziedzic lubi i daje posag, to ją Maciejowa także obgaduje, bo chciałaby dla swojej dziewczyny Wojtka, najdzielniejszego parobka i stangreta pańskiego. Ale dziewka Maciejowej letkoduch i taka świętoszka jak mamunia, co to

modli się pod każdą figurą
a ma dyabła za skurą,

więc i nic z tego nie będzie. A czyż to nie grzech obmawiać pana dziedzica, człeka starego i zacnego, który dla całej wsi jest ojcem a żadnej rozpusty za największe skarby nie dozwoliłby? A czyż to nie grzech czepiać się niewinnej dziewczyny jeno przez zazdrość, i obgadywać ją jak najostatniejszą lampartkę?

Rozgadał się Kuba, i aż pięście zaciskał ze złości, a babiny zbiły się w kupę i żadna ani gęby nie otworzyła.

Na drugą niedzielę wyszły zapowiedzi Wojtka i Halki, a niebawem było wesele. Oboje zaprosili wszystkie trzy kumy na wesele, i żadno im złego słowa nie powiedziało za obmowę. Wtedy powie Kuba do kumeczek:

— Otóż tu macie uczciwość i dobroć. A możebyście sobie znowu pogadały jak ongi koło krzyża czerwonego?

Ale kumoszki zawstydzone prosiły Kubę, aby już im nie dogadywał a poprawią się. Zaś czy się poprawiły na prawdę, jeszcze tego nie wiem.

Przysłowia.

1. Nie zje żaba wołu, choć nań gębę rozdziawi.
2. Ze złej gęby nie dobra mowa; z błota nie zaczerpnie czystej wody.
3. Zazdrość największa choroba.
4. Z pustej stodoły rade lecą sowy; mało rozumu nie urodzi mądrej mowy.
5. Ten młody, co zdrów; ten bogaty, co nie winien; ten szczęśliwy, co ma czyste sumienie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 8.

11. Września 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.





DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Grobowy kamień.

Przejeżdżałem niedawno przez wieś Zabawę — ładna to wieś, na jednym końcu dwór murowany z ogrodami i gumnami, jakby tam stało jakie miasto, w środku kościół między lipami i parkanami, widać nowo fundowane wszystko; a domy gazdowskie w całej tej wsi porządne z kominami, ogrodzone płotami i sadami, aż miło widzieć takie drzewa i szczepy. Stoi ci także porządna szkoła, nito plebania druga, na około sztachety i furtka ładna i widać uczą się tam dziatki, bo przez okna widziałem dużo dzieci z xiążkami i skazówkami przed sobą. Ale co porządek to porządek we wsi, aż miło popatrzyć. Otóż jadąc tak przyjechałem przed cmentarz, aleźbo to i cmentarz jak ogródek, do okoła przekopa głęboka i drzewa pono kasztany i brozy płaczące, a na cmentarzu stoją ci co grób, to krzyż i napisy pobożne, gdzie ci wypisano każdego nieboszczyka po nazwisku, a niejednemu dodano, że był pobożny albo miłosierny, albo też taki a taki grzesznik. Otóż wołam na mego Mateusza furmana:

— Hej! stańno trochę, bo to warto oglądać taki cmen-

tarz, gdzie groby idą za porządkiem nito grządeczki w ogrodzie. I poszedłem furtką na cmentarz, zdjąłem kapelusz i począłem mówić: Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie! i przeszedłem cały cmentarz, aż w rogu cmentarza zobaczyłem zamiast krzyża jakiś prosty kamień, ot taki z drogi i to bez napisu i znaku jakiego. Przypatruję się i dumam sobie, coby to mogło być takiego z tym kamieniem na grobie i poszedłem do grobarza, który właśnie brał grób, powitałem go pięknie z Bogiem i pytam go:

— Mój ojcze dobry! na co to leży tam w rogu taki prosty kamień na jednym grobie? toćby się patrzało zawołać kamieniarza, aby to jakoś młotkiem wyrównał i porządnie osadził na grobie.

Na to powiedział stareńki grobarz:

— Oj mój Jegomość dobry! tego kamienia nikt nie może ruszać z miejsca, bo powiadają ludzie, żeby zaraz uschły obie ręce temu, ktoby śmiał to ruszać.

A ja ciekawy pytam zaraz:

— No! cóżby to był za kamień taki dziwny i cudowny, żeby od niego usychały komu ręce?

A grobarz postawił łopatę w grobie i mówił:

— Oj cudowny to! boć cudowny ten kamień — bo gdzie to kto słyszał albo widział, żeby z małego kamyka taki wielki wyrósł i powiadają ludzie, że co rok go przybywa i nawet mają być na nim znaki jakiejś krwi.

— Otóż proszę was! grobarzu — mówię mu — pójdźcieno ze mną do tego kamienia dziwnego i opowiecie mi różności o nim, bo to widać coś strasznego się podziało na tem miejscu. I podałem rękę grobarzowi staruszkowi, aby go z grobu wyciągnąć i poszliśmy oba do kamienia, mówiąc po cichu „Anioł pański“ za temi duszyczkami, które już zabrał Pan Jezus z tego świata. Grobarz tak jął opowiadać:

— Bo to widzi Jegomość! pono nigdy już nie będzie dobra między głupim ludem, bo to nieraz ani po dobremu ani po złemu nie poradzisz temu, jak się to na co uprze i dobrzeto gadają starzy, że lepiej z mądrymi zgubić, niż z głupimi znaleźć. Takto tak bywało i w naszej wsi kiedyś. Było

pijaków i zbijaczów co nie miara, to też dokazywało to rozmaicie, a Pan Jezus robił też swoje, jakto zawsze bywało. Otóż i tu niedaleko tego cmentarza było dwu braci na jednym gruncie, co to teraz siedzi na jednym niejaki Maciej Gora, a drugi przeszedł całkiem w obce ręce. I widzi Jegomość jak to się zaczęło żreć i gryźć od niedzieli świętej do niedzieli, od rana do wieczora, to tam temu nikt a nikt nie poradził, ani ich pogodził, i już wie to Bóg, co tam się ludzie nie napróbowali, aby to pogodzić, a ono nic nie pomogło i ciągłe swary i kłótnie aż strach.

A ja poderwałem grobarza mówiąc:

— A przecie tu we wsi był jakiś pan i xiądz, albo był i urząd gromadzki i jacyś starsi nad nimi, toć można było to jakoś załagodzić i uciszyć.

A grobarz kiwając głową gadał:

— Ta gdzieta Jegomość pomoże głupiemu jaka rada, toćto pono prawda, że złego psa to i kijem nie odgonisz, tak samo i ze złym człowiekiem. Toć starzy gadają, że dostali oni oba więcej kijów w karczmie i pod kościołem, niż włosów na głowie, a to przecie nie pomogło, bo zły to tak, jak worek z mąki, bij kijem a ono się zawsze kurzy i kurzy i nie dasz temu rady.

A ja ciekawy o ten kamień pytam:

— No! i cóż się stało mój ojcze! bo ja muszę jechać, a chciałbym też i dowiedzieć się.

A grobarz gadał:

— A i cóżby innego, jak kara boża i utrapienie! oto raz się starszy napił, a był on daleko gorszym od młodszego, i podybał tu koło furtki cmentarza swego brata, i nuż dalej do wyzywania, do bitki i jak nie złapie kamienia do ręki i pal nim jeden i drugi raz w głowę i zabił na śmierć brata.

A mnie aż włosy stanęły na głowie na to gadanie i mówię do grobarza:

— A najświętsza panno! a cóżto za Heród taki, aby aż brata zabijać, a to Kain, co zabił brata Abla gałęzią na czystem polu!

A grobarz gadał:

— Oj tak! tak! zabił go zabił na publikę gromady i ta publika została i zostanie pono na wieki dla naszej wsi, ale bo też i jemu nie podarował Pan Jezus i dał mu za swoje, bo nie minęło tydzień, a on już nie żył i widzi Jegomość tu są oba groby i tu leży brat koło brata.

A ja się zapytał:

— To może ten sam kamień leży tu na grobie, którym zabił brat brata?

— A jeno, że tak, odpowie mi grobarz, jeno ten kamień był pierwej tak mały, jak kocia głowa, a teraz taki, jak ceber i ani go nie ruszysz z miejsca, bo widzi Jegomość rośnie i rośnie jak na drożdżach, i nikt nie wie, jak wielki on będzie. A co to się porobiło z tym kamieniem, to aż strach opowiadać.

A ja ciekawy zawołam mego furmana, aby też i on posłuchał takiej historyi i pytałem:

— A jakże! czy to się nie wydało, czy nie było kary jakiej na tym świecie i od ludzi dla tego grzesznika?

A grobarz gadał:

— A jakże było karać, kiedy o tem z początku nikt nie wiedział — bo ledwo pochowała gromada tu zabitego, to potem nie wytrzymało i tydzień, a drugi brat już konał, a gromada myślała, że on z żalu za bratem umiera, a to było inaczej, bo widać sumienie go dręczyło, a Pan Jezus zesłał karę widoczną, bo czem kto wojuje, to od tego ginie, a zabić kogo niewinnie, to ciężka krew i woła pono o pomstę do nieba, taki pono przeklęty na wieki od samego Boga!

— Oj prawdę gadacie — mówiłem grobarzowi — ani pan chłopa, ani chłop pana nie może zabić — ani bić ani kaleczyć nie wolno nikomu, a w naszym polskim kraju to my wszyscy sobie bracia, mamy kościoł święty, świętego Ojca na ziemi, a w niebie jednego Pana Jezusa i Najświętszą Pannę, bośmy się powinni kochać i stać jeden za drugim, bronić jeden drugiego, boć wiecie mój ojcze! że to dziś taki czas, abyśmy tym pomagali, którzy na dobre ciągną i tych ratowali, co nam dobrze robią. Ale gadajcieno dalej o tym kamieniu:

I znowu grobarz gadał:

— I widzi Jegomość, jak gromada tych dwóch braci po-

chowała, to zwołał xiądz gromadę, nagadał się im aż mu tchu prawie zabrakło i kazał wziąć ten kamień i położyć na grobie na znak, że tym kamieniem zabił brat brata i to przed samym cmentarzem.

I gromada zaniosła kamień i złożyła na grobie. Aż oto jakoś za tydzień dają znać xiędzu, że ktoś kamień przełożył z grobu na drugi grób, gdzie leżał ten brat, co to zabił brata. I xiądz sam poszedł i wziął do ręki kamień, zażegnał go i znowu położył na swoje miejsce i kazał pilnować. Na drugi dzień przychodzi, a kamień znowu przełożony, więc znowu go położył na dawne miejsce i kazał grobarzowi, memu dziadkowi pilnować i na krok nie odchodzić. Ba! ale kamień sam się ruszył i posunął się na drugi grób, a na to patrzył się mój dziadek i tak się przestraszył, że aż upadł na ziemię i dopiero po chwili wstał i poleciał do xiędza i opowiedział to wszystko. Zlecieli się ludzie na taki cud, zaczęli płakać i modlić się, a xiądz nie ruszył tego kamienia, jeno go zostawił i powiedział, że to pewnie na to robi tak sam Pan Jezus, aby was gromado przekonał, że to ten zabił brata swego, na czyim grobie sam Pan Jezus kładzie ten kamień, aby ten kamień ciężył na grobie tego, co zabił drugiego. I widzi Jegomość! odtąd leży tu ten kamień, ani go nikt nie tknie, a co rok jest on większy i dotąd nie każą mi tu ani ruszać tego grobu, bo go i trudno ruszyć, kiedy takie kamienisko zaległo cały grób, i wie to sam Bóg, jak wielki on urośnie, a ludzie tak gadają, że urośnie albo taki, jak wielki był zabójca sam, albo aż taki, jak wielka była jego grzeszna chałupa, a może i większy. To też gadają ludzie, że tu ciągle coś stęka, coś płacze, a te czerwone kropki na tym kamieniu, to ma być krew brata zabitego i ta krew ma tak pozostać aż do dnia sądnego.

Na takie gadanie ciekawe aż pobladł mój furman, a ja zapytałem grobarza:

— Ale dla Boga świętego, czy to jeno prawda, że brat ten zabił drugiego? bo to się nie należy posądzać nikogo o takie grzechy bez dowodów.

A grobarz odrzekł:

— Ba! Jegomość! kiedy on sam konając zwołał żonę i

dzieci i sąsiadów i powiedział im, że jego dusza pójdzie na same dno do piekła za brata i napominał ludzi, stojących koło łóżka śmiertelnego, aby oni nigdy tak nie robili, aby się nie kłócili z dworami, kościołami i z nikim, jeno aby żyli zgodliwie jako polscy katoliki. A jak skonał to mu w ręce sama gromnica zagasła i coś całe okno wyrwało i na drobne kawałki pocharatało, a ludzie tak się polękli, że uciekli i nikt potem ani tam do jego chałupy nie zajrzał, a żona z dziećmi wyprowadziła się aż na drugą wieś do siostry, i dopiero potem xiądz chałupę poświęcił, nabożeństwo odprawił, i ona się sprowadziła. Nic tam nie straszy w chałupie, ale kamień na jego grobie jak rośnie tak rośnie, a na miejscu, gdzie miał zabić brata, postawiła żona mękę bożą i ta tam stoi do dziś.

A ja dodałem teraz tak:

— Otóż macie żywy dowód pokarania boskiego, za Abla niewinnego przeklął Bóg Kaina i ziemię, za krew cudzą karze Bóg różnemi sposobami na ziemi, a na tamtym świecie wysyła duszę taką na wieczne potępienie. Dobry to przykład dla gromad wszystkich, i szkoda, że o tym kamieniu nie wiedzą wszyscy nasi krajanie. Ale mój ojcze, powiedźcie mi jacy też tu u was są ludzie dzisiaj, czy tacy pijacy i zbijacze, jak dawniej? czy się kłócą i zabijają, jak ci bracia nieboszczyki?

A grobarz mi powiedział:

— A gdzieby ta! mój Jegomość! dziś mamy xiędza dobrego, dba o kościół i uczy nam dziatki, ot! stoi szkoła, którą on i pan fundowali, a pan i pani to szukać takich na świecie, pobożni, przystępni, miłosierni, a wójt i urząd cały to ludzie dobrani, gorzałki nie piją, sprawy w domu sądzą a sprawiedliwie i porządnie robią, aż miło na świecie, a chłopi też teraz mają rozum, trzymają z dworem i kościołem i dobrze nam teraz, i przykład mamy dobry i chleb mamy, jeno ten kamień jest nam publiką i cięży nam na sumieniu.

— No! to chwała Bogu — mówiłem do grobarza — ja myślałem, że w waszej wsi tylko hulają i bawią się, bo to śmiesznie zowie się wasza wieś Zabawa, a tu macie widać zabawę z Bogiem, bawcie się tak zawsze i zostańcie z Panem Jezusem, a ja opatrzę jeszcze tę mękę bożą i pojadę z Bogiem.

I opatrzyłem figurę, gdzieto zabił brat brata kamieniem, pokazałem ją memu furmanowi, a wam też opisuję tę ciekawość o kamieniu tym strasznym, abyście wiedzieli o cudach w naszym polskim kraju i nie robili nigdy żadnego grzechu.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Pogrzeb Moskala.

A z chałupy kowala
Będzie pogrzeb Moskala;
Starszy sierżant Nikita
Kowala się zapyta:
— Gospodarze moi mili,
Możeście go zamorzyli?

A on rzecze od miecha:
— Idźcie sobie do grzecha,
Całe życie żołnierki
Takiej nie miał wyżerki;
Lecz co prawda to nie grzech,
Takie życie, to nie śmiech.

Czemu nie miał mrzyć,
Kiedy bieda żyć?
Stare płaszczysko,
Karabinisko,
Z kulami worek,
I pies Azorek,
I tornister cielęcy,
Ponoś nie miał nic więcej?

— Gadasz chłopie marne słowo,
Nasz brat służył honorowo.
— Nie potrzebne te przechwałki,
Widział ci ja jak brał pałki,
Lepiej służyć żydowi
Jak takiemu królowi.

— Małczy chłopie kowalu!
— Ej głupiś ty Moskalu —
Rzekł Bartłomiej ze śmiechem,
I jął węgle dąć miechem,
Fajkę sobie nakłada,
I nic do nich nie gada.

Wzięli tedy sołdata
Na ramiona, jak brata,
I nieśli go pospołu
Sześciu ludzi do dołu.
Dobosz z bębnem skórzanym
Przed umarłym Iwanem,
I piszczałka mała
Moskalowi świstała.

A przy oknie we dworze
Mówi dziedzic: majorze,
Zabiliści biedaka.
Major łyknął araku:
Szczo tam pane Polaku,
Nu, taki zdechł sobaka.

Teofil Lenartowicz.

Kto sieje z płaczem, zbiera z weselem,

czyli:

Historya o biednym Mikołajku i nieuczynnym Franciszku Rzepce.

Niedawno, bo dopiero ze dwa tygodnie będzie temu, szedłem sobie przez wioskę Chełm, która leży niedaleko od Bochni nad rzeką Rabą. Jestci tu okazały kościół farny, zaś przy nim stoi wysoka dzwonica, wielka plebania murowana, a i domki gospodarzy wyglądają pięknie, znać że są gospodarni i pracowici.

Niespodzianie zeszedłem się tam z jakimś gospodarzem, i nie długo zaczęliśmy gawędkę, i tak bałakając to o tem i o owem, zaprosił mnie ów gospodarz do swojej chaty, poczęstował chlebem i masłem, a nakoniec poszliśmy razem do sadu na gruszki, które żółte jak cytryny wisiały na drzewie.

— Czem mogę to was częstuję — mówił do mnie ów gospodarz — boć z tego człek nie zubożeje, a drugiemu jaką taką wyświadczy przysługę.

— Bóg zapłać za dobre serce — powiedziałem do niego — ale dzisiaj mało ludzi postępuje wedle zwyczaju naszych przodków, którzy nietylko łaknącego, ale każdego nieznajomego jako najmilszego gościa w dom swój przyjmowali, częstując go czem mogli — teraz przeciwnie nawet swego krewnego się zapierają gdy on jest biedny, a im się cokolwiek lepiej wiedzie.

— Oj, świętą mówicie prawdę — rzekł gospodarz — w naszej bowiem wsi przed kilkoma laty żył niejaki Franciszek Rzepka, bogaty niezmiernie człowiek, a taki skąpy, że ani biednych nie wspierał ani krewnemu swojemu nie dopomógł; ależ miałci on za swoje także.

Zacząłem rozpytywać gospodarza o owym Rzepce, a kiedy usiedliśmy sobie na darniowej ławce pod rozłożystem drzewem, gospodarz zaczął prawić w ten sposób:

— Było to jeszcze za życia mojego ojca, kiedy niedaleko od naszej zagrody stała stara i pochylona chałupa, w której z łaski kmiecia Dybczaka siedział biedny wyrobnik Jakób ze żoną swoją.

Nie mieli oni żadnego dobytku, a bieda jak się do nich przyczepiła, takci się i trudno było jej pozbyć. Jakóbowie pracowali od świtu do wieczora, mało jednak mogli zarobić, bo od starości opadły ich już siły, a tu jeszcze mieli syna Mikołaja, który chodził do szkoły.

Ostatnią nadzieję pokładali oni w tem dziecku, myśląc, że gdy ukończy wszystkie szkoły, zostanie panem, to im na starość da jakie takie utrzymanie, a więc nie zważając na słabe zdrowie gorzej bydląt pracowali.

Ale inaczej zarządziła Opatrzność boska! Kiedy Mikołajek po wakacyach poszedł do miasta dalej na naukę, zachorowała Jakóbowa, codzień było jej gorzej i gorzej, zeschła jak szczypa i po kilku dniach choroby umarła jednej nocy.

Biedny Jakób, staruszek już o siwym włosie, niechcąc martwić swego syna, nie doniósł mu o śmierci matki, jeno sam trzy razy więcej jak zwykle pracował, aby się doczekać pociechy ze syna.

Modlitwą koił on swoje boleści, to też często mawiał przed obrazem:

— O Boże miłosierny! dodaj mi siły do pracy, a nie spuszczaj choroby, bo syn mój zostanie sierotą!...

Nie długo atoli starczyło zdrowie Jakóbowi. Co dzień tak ciężko pracować to przecie nie żarty — i młody by się zmarnował, a cóż dopiero taki starowina. Zapadł też niebawem w chorobę, przyszedł xiądz z Panem Jezusem, a Jakób pojednawszy się z Bogiem zakończył życie.

Mikołajek został więc sierotą bez ojca i matki, a nie wiedział o tem ani słowa. Nie odbierając zaś za dwa tygodnie z domu żadnej żywności, zmartwił się i zafrasował okrótnie. Owoż poszedł do wsi, zachodzi do chaty, a tu drzwi zamknięte, ani ojca, ani matki.

Rozpłakał się żałośnie, serce stanęło mu w piersi od wielkiego bolu, usiadł przed drzwiami i długo nie mógł się ruszyć z miejsca. Nareszcie powstał i poszedł do sąsiada, aby się dowiedzieć o wszystkiem.

— Toś ty nie wiedział, mój Mikołajku — powiedział sąsiad — że rodzice twoi nie żyją?

— To oboje nie żyją! zawołał zafrasowany Mikołajek. — O cóż ja pocznę biedny teraz na świecie! Nic zgoła nie wiedziałem.

— Nie martw się moje dziecko — pocieszał go sąsiad — Bóg jeszcze jest na niebie. Masz przecie bogatego wuja, toć on nie będzie od tego żeby cię nie posyłał do szkoły, kiedy masz tak wielką ochotę.

Uspokoił się nakoniec Mikołajek, oczyścił się z kurzu i zamyślał iść do Franciszka Rzepki, swego wuja, który mieszkał blisko rzeki.

— Aha to to ten skąpiec był wujem Mikołajka! dodałem.

— On ci to był jego wujem, choć niegodnym był tego przezwania — odpowiedział gospodarz. — Kiedy Mikołajek przyszedł do niego, spytał się tylko co on za jeden, po co przyszedł, a potem jakby jakiego cudzego człowieka wyprowadził za drzwi i zawołał:

— Takich włóczykijów nie przyjmuję do mojego domu. Ja ciebie znać nie chcę, idź sobie świnie paść kiedy nie masz o czem chodzić do szkoły, a nie naprzykrzaj się daremnie spokojnym ludziom.

Tak jak Mikołajka odprawiał on prawie każdego, nie dopomógł nikomu, bo nie zważał na przykazanie boże, które każe mieć miłosierdzie dla biednych.

Nie potrzeba wam opowiadać, jak się biednemu Mikołajkowi zrobiło markotno. Nie wypadało mu więc nic innego, tylko udać się jeszcze do stryjenki, dosyć ubogiej wdowy, która w drugiej o milę odległej wsi mieszkała.

— O, jakże się masz moje biedactwo! — wołała uradowana stryjenka gdy Mikołajek do niej przyszedł — a usiądźże sobie i pokrzep się czemkolwiek, bo musisz być zmęczony z drogi.

I zaraz przyniosła mleka, chleba, masła i sera i zachęcała go do jedzenia, i widać było że się nie posiada z radości ujrzawszy swego bratanka.

— Oj biednyś ty teraz biedny — mówiła — możesz więc przy mnie zostać, a ja cię tu pożywię i odzieję.

A Mikołajek wstaje ze stołka, całuje stryjenkę w rękę i tak do niej mówi:

— Kochana stryjenko! wszystkobym zrobił, cobyście mi jeno kazali, ale jabym was prosił o jedną rzecz.

— O jaką, gadaj mój Mikołajku — poderwała spiesznie.

— Oto widzicie teraz chodziłem do szkoły i dopiero kilka dni temu jak przestałem chodzić, bo nie miałem żywności. Poszedłem tedy do domu i dowiedziałem się, że rodzice nie żyją, a ja mam bardzo wielką chęć do nauki. Jeżeli więc mogę was moja stryjenko prosić, to poszlijcie mię póki czas nazad do szkoły, a da Pan Jezus że się, jeżeli nie wam to waszym dzieciom odwdzięczę.

— O ile jeno będę mogła — odrzekła stryjenka — będę ci dopomagała, idź w imię Boże a pracuj tylko jak twój nieboszczyk ojciec.

Uściskał Mikołajek dobrą stryjenkę, przenocował u niej, a rano pożegnawszy się z nią poszedł do miasta do szkoły.

W szkole uczył się pilnie, nie wdawał się ze złymi chłopcami, uważał na każde słowo nauczycieli, to też go wszyscy bardzo polubili.

Spory już minął kawał czasu, gdy jednego dnia dostaje Mikołajek list z onej wsi gdzie stryjenka mieszkała, i dowiaduje się z niego, że dobra kobicina przed kilkoma dniami pogorzała, owóż poszła sama do dworu na służbę, a dwoje jej dziatek zabrała razem z nią do siebie litościwa pani dziedziczka.

Mikołajek zaczął już desperować, ale Opatrzność boska, która zawsze i wszędzie czuwa nad sierotami, zesłała jakoś na razie poczciwego a bogatego pana, który dowiedziawszy się o pilności i zdatności Mikołajka, wziął go we własny dom do swojego syna, aby go uczył, płacił mu za to, więc tym sposobem mógł Mikołajek dalej chodzić do szkoły.

I nie na długo znowu było tego szczęścia, bo pan, którego syna uczył, miał wyjechać w dalekie kraje, a więc odprawił Mikołajka.

Nie narzekał on i nie szemrał, modlił się owszem codzień nabożnie i chociaż był opuszczony powtarzał sobie: „Kto sieje z płaczem, zbiera z weselem“ — dlatego też pracował tem

ochoczej, a gdy mu wychodziły już zarobione pieniędze, często przemyśliwał jakimby sposobem nie odrywać się od szkoły i skończyć szczęśliwie nauki.

Siedząc raz przy okienku rozmyślał sobie napisać do wujaszka, aby go poratował. Owóż napisał zaraz bardzo składnie czuły list do niego i oddał na pocztę.

Minął tydzień jeden, drugi i piąty, a odpowiedzi jak nie było tak nie było. Mikołajek zaczął żyć coraz mizerniej, często tylko kawałek chleba z ciepłą wodą zjadł na dzień, bo chciał aby mu pieniądze na dłużej wystarczyły. Siedział ciągle nad xiążkami, a chociaż głód mu dokuczał, nie marudził, wspominał sobie Zbawiciela i mówił:

— On więcej cierpiał za nas grzeszników, to i ja cierpieć mogę, a może się dni szczęśliwych doczekam.

Ale bo też Mikołajek zgadzał się z wolą bożą, zaufał w boskiem miłosierdziu i we wszystkiem był cierpliwy.

Gdy się zaś nie mógł doczekać odpisu, napisał drugi list do wuja, a i na ten mu nic nie odpowiedział.

Mikołajek myśląc, że wujaszek może nie mą czasu odpisać, zebrał się w drogę i poszedł go sam prosić o łaskawość.

Idąc drogą przechodził sobie w głowie, jak się będzie z wujem witał, jak się do niego odezwie — przyszedłszy zaś przed drzwi bogatego skąpca, długo się zastanawiał czy się odważyć drzwi odemknąć czy lepiej iść do kogo innnego.

Ośmielił się nakoniec, otworzył drzwi i przywitał na stołku siedzącego wuja, który palił fajkę.

— A witaj miły Mikołajku! – zawołał wuj niby z uśmiechem — jak się masz? już długo cię nie widziałem, jak ci się też powodzi w szkołach? siadaj, a powiedz co cię do mnie prowadzi?

— Wszak wiesz kochany wuju! — odrzekł Mikołajek ze łzami w oczach — co mnie tutaj przyprowadziło. Jestem ubogi sierota, mam chęć do nauki, a więc potrzebuję pomocy. Przychodzę do ciebie, bo myślę że mi jej udzielisz. Ja nie chcę wiele, przestanę na odrobinie. Zlituj się przez Boga żywego nademną, przecież jesteś moim krewnym, dopomóż mi niech

skończę nauki i posil mię, bo gdzie na drodze z głodu omdleje jeszcze bardziej moje znędziałe ciało!

— Proszę, co za śmiałość! — ofuknie wuj skąpy. — Ja to samo mam dzieci, dla nich nie mało potrzebuję! Jak śmiesz się przyznawać, że ty jesteś moim krewnym? Znałem ojca twego żebrakiem, chcesz go i ty naśladować? Wstydź się, masz zdrowie, a zatem kiedy nie masz co jeść, to idź do szewca, a nie pchaj się do szkoły i nie zawadzaj ludziom.

— Pamiętaj wuju — odpowiedział Mikołajek — sumienie twoje dręczyć cię będzie; ty mnie teraz znać nie chcesz, ale przyjdzie czas, że ci się przydam i usłużę w potrzebie.

I skłoniwszy się wujowi wyszedł szukać noclegu.

— Co za bezczelnik — mruknął sobie wuj pod nosem — mówi, że on mi będzie w potrzebie usłużnym. Tfu! on — on zgnije gdzie pod płotem. Szkoda żem niegodziwca oknem nie wyrzucił... I ja mam takiego żebraka wspomagać? Nigdy na świecie!

Mikołajek wrócił do miasta wielce zafrasowany. Nie wiedział biedaczyna jaka go tu czeka niespodzianka. Oto ten sam pan, u którego uczył niedawno chłopca, zawołał go nazad do syna, bo sobie rozmyślał nigdzie nie jechać.

Mikołajek uradował się niezmiernie, uczył znowu pańskiego syna i tak ukończywszy wszystkie szkoły, wstąpił do seminarium, gdzie to uczą na xięży. Tu przebył cztery lata, a potem został xiędzem i dostał na wsi piękną plebanią. Wziął zaraz stryjenkę i jej dzieci do siebie, bo pamiętał że ona mu wiele zrobiła dobrego.

Dwaj synowie Franciszka pokończyli taki szkoły i zostali urzędnikami. Przeniesiono ich niebawem o kilka mil od rodzinnej wioski, i długo już nie widzieli się z ojcem.

Jednego razu pojechał więc do nich Franciszek w odwiedziny, a wziął ze sobą córkę Magdusię.

A że to był czas jesienny i wilgotny, dziewczyna w drodze okrutnie zachorowała i o mało że już nie umarła.

Zaturbowany Franciszek zajechał tedy do jednej wsi i stanął u jakiegoś gospodarza. Dziewczyna codzień słabła i słabła i nie wyszedł tydzień — umarła.

Owóż idzie Franciszek na plebanią, aby prosić o pogrzeb tamtejszego xiędza.

— A zkądżeściewy? — zapytał xiądz.

— A z tej a z tej wioski — odpowiedział Franciszek.

Xiądz zamyślał się na chwilę, spojrzał na Franciszka i tak dalej gada:

— Czy zaś macie tam jakich krewnych?

— Nie mam żadnych — mówi Franciszek — został się tylko jeden chłopiec Mikołajek po mojej siostrze, ale nie wiem gdzie się teraz obraca.

— O dla Boga miłego, toście wy Franciszku?... O wuju mój kochany! — wykrzyknął xiądz, a był to Mikołajek, o którym wuj na dobre zapomniał, i zaraz rzucił się na szyję wujaszkowi.

— To ty Mikołajku! — krzyknął znowu Franciszek — o jakże cudowne są rządy Boskie! Pierwej spodziewałbym się był śmierci, niżeli ciebie widzieć xiędzem. — O przebacz mi, przebacz — teraz dopiero poznaję, żeś prawdę powiedział, że i biedny może być w potrzebie usłużnym.

— Przebaczam wam serdecznie, drogi wuju — rzecze xiądz Mikołaj — pomimo że mię pierwej znać nie chcieliście i w przygodzie dopieroście się do mnie przyznali. Przy pomocy Boga i ludzi skończyłem nauki, a posiawszy z płaczem, zebrałem z weselem. Nie miałem nic swojego, dzisiaj dzięki ojcu niebieskiemu i drugiemu udzielić mogę, dlatego też chowam stryjenkę i jej dziatki, a to nie robi mi wielkiego uszczerbku, owszem bardzo mię to cieszy, że się jej odwdzięczyć mogę.

Zawstydził się Franciszek i oraz żałował, że był taki niedobry dla Mikołajka, ale widząc iż się na niego nie gniewa, prosił go mocno, aby zapomniał o wszystkiem i był tak dobrym odprawić pogrzeb.

Poczciwy xiądz Mikołaj napisał zaraz do synów Franciszka o całym wypadku, a kiedy się ci zjechali, odprawiono piękny pogrzeb.

Na cmentarzu miał xiądz Mikołaj przemowę, w której nauczał, żeby się ludzie miłowali i wspierali nawzajem, bo nie można wiedzieć, kiedy się jeden drugiemu przydać może czy

to biedny albo bogaty. Wszyscy płakali najbardziej zaś Franciszek, którego widać Bóg ukarał na przestrogę, aby pomagał bliźnim i nie przykładał wielkiej wartości do pieniędzy.

Przystąpił też niebawem do spowiedzi, poczem wcale innym zrobił się człowiekiem, poprawił swoje życie, poznał bowiem we wszystkiem palec Boży.

Smutne było rozstanie Franciszka z xiędzem Mikołajem. Na grobie Magdusi pożegnali się bardzo czułe i tu przyrzekli sobie dozgonną miłość i życzliwość.

I na tem skończył gospodarz swoją opowieść. A że ona może być nauką dla niejednego z was kochani ludkowie i miłe dziateczki wiejskie, owoż spisałem ją do słowa, jak mi gospodarz opowiadał. *Józef z Bochni.*

Pogadanka gospodarska o gnoju.

Przyszedł Janko Świstal do Filipa Łopaty prosić o pożyczenie wozu na jarmark jutrzejszy. Filip, człek bywały po świecie, dawny wojak a gospodarz zawołany na całą okolicę, był właśnie w stajni, dokąd zaszedł Janko. Patrzy on, aż tu Filip zamiata czyściutką podłogę, niby w chacie, a dalej na misce przygotował sobie cosik niby gipsu. Pyta więc Janko:

— Mój Filipie miły, a czy tu bal sprawiać będziecie chudobie, że takie czystości a porządki wyrabiacie?

— Balu sprawiać nie będę — powie Filip — a czystość to u mnie zawsze taka sama w stajniach.

— No juźci — powie Janko — i u mnie czysto, ale takiej elegancyi na co? tego to ja już zmiarkować nie mogę.

— W temci jeszcze nie racya, że ty nie możesz zmiarkować — mówi Filip — i ja także kiedyś bywało taksamo gadałem, a dziś przecie inaczej robię. Ba! wszyćko to furda na te rzeczy, jakie ja w inszych krajach widziałem. Toś ty Janku nigdy jeszcze takiej izby porządnej nie widział, jakie ja stajnie. A tegoćby ludzie dla samej zabawki nie robili, i juźci musi być w tem jakaś racya.

— Ba! a jakażto? pyta Janek.

— Oto taka mój miły, że to potrzebne. Jużci każdy z was wie, iż gnój pożyteczny. Każdy prawie ma gnojownię, ale cóż, kiedy jeszcze nie każdy umie się z tem obchodzić jak należy. Najpierw trzeba ci wiedzieć, że czystość taksamo potrzebna dla zwierzęcia jak i dla człowieka. Im czyściej będzie w stajni, tem zdrowsze będziesz miał bydło. A dalej znowu masz pamiętać, iż gnój gnojowi nie równy. Dobry jest zwykły gnój, aleć daleko lepszy zaprawiany, tak naprzykład jak u mnie gipsem. Gips ma to do siebie, iż ziemię robi pulchną i urodzajniejszą. Dlatego posypuję podłogę gliną i gipsem, aby się dobrze przymieszały z gnojem, a potem czysto stajnię uprzątam, aby bydło nie chorowało z niechlujstwa.

Nauczyłem się tego w Szwajcaryi, gdzie chowają najpiękniejsze bydło, i z tego prawie tylko żyją. Próbowałem, a iż mi dobrze się udało, więc trzymam się tego sposobu, i radzę ci Janku także tak uczynić, zamiast sobie z rozumu śmieszkować.

Janek skrobał się w głowę, cosik tam pomrukiwał, a wziąwszy wóz pociągnął go do domu. Zaś mówił Grześ Wściuba, iż u Janka jakoś dziwnie teraz czysto i elegancko w stajni, i dziwował się temu okrótnie, bo widać nie opowiedział mu Janek dokumentnie całej sprawy.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Dnia 2 września z rana wybuchł pożar w Kulikowie w obwodzie żółkiewskim u gospodarza Jana i zgorzało 7 domów mieszkalnych i 10 budynków gospodarskich, a także wiele zboża i jedna krowa.

W Załoścach nowych w obwodzie złoczowskim wszczął się ogień z niewiadomej przyczyny dnia 28 sierpnia i zniszczył 6 domów włościańskich z budynkami gospodarskiemi, tak iż 9 rodzin zostało bez przytułku i pożywienia.

Zaś dnia 29 sierpnia był wielki ogień w Oświęcimie. Zaczęło się palić zaraz z południa w jednym domie koło klasztoru, a iż był wiatr suchy, to niebawem połowa miasta stanęła w płomieniach. Takci zgorzały: kościół, bożnica, magistrat, urzęda, i 110 domów z budynkami gospodarskiemi. Na kościele i magistracie zgorzały tylko dachy, ale reszta wszystkie budynki do gruntu się spaliły. Zda się iż temu winna także nieostrożność. Szkody są ogromne, i szczęście tylko, że nikt z ludzi nie zginął w tem nieszczęściu.

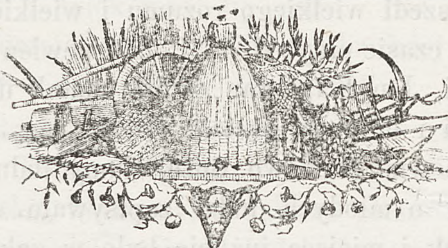
Niedawno także paliło się miasto Zaleszczyki, i coś tam dużo zgorzało, zaś jaka szkoda, to jeszcze nie wiem dokładnie.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 9.

21. Września 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Władysław z Gielniowa.

Jest w Sandomirskiem małe miasteczko Gielniów, niedaleko Radomia. Otóż w tem miasteczku żyli za czasów króla polskiego Władysława Warneńczyka zacni i pobożni mieszczanie, a między nimi jeden najbardziej z żoną swoją, który był dla wszystkich przykładem uczciwości i pobożności. Mieszczanin ten był dość zamożny, od wszystkich szanowany i kochany, więc nieźle mu się działo i szczęścia nie brakło. Jedna tylko rzecz trapiła go z żoną srodze, a to jest iż nie mieli dzieci. Modlili się więc szczerze o potomstwo, i naostatek dał im Pan Bóg syna, którego ochrzcili na imię Jan.

Piszą w starych xięgach, iż mało bywa takich dzieci jak ów Janek. Było to pobożne i zacne jak aniołek, w szkole w miasteczku uczyło się najpilniej, a już całą resztę czasu od nauki przesiadywało po kościołach na modlitwie. Kiedy tak podrósł Janek, oddali go rodzice do szkoły krakowskiej, którą ufundował i odnowił ojciec króla Władysława Warneńczyka, pobożny król Jagiełło. Szkoła ta była już bardzo sławna za czasów Jana, mnóstwo dzieci polskich uczyło się w niej rozumu

i pobożności, a nauczycielami byli sławni i święci ludzie jak Jan Kanty, Szymon z Lipnicy i inni. W tej szkole uczył się także Jan, i doszedł wielkiego rozumu i wielkiej pobożności.

W owymto czasie przybył do Polski pewien sławny i święty zakonnik włoski, Jan Kapistran, który umiał dziwnie nauczać ludzi pobożności i dobrego życia. Kiedy ten święty mąż jął w Krakowie opowiadać słowo Boże, tłumy ludu cisnęły się na naukę, a mnóstwo młodych ludzi zapisywało się do jego zakonu. Naostatek i miejsca już nie było w zakonie bernardyńskim dla nowych zakonników, a ciągle jeszcze chciało wstępować wielu ludzi. Między tymi był także nasz Jan, który sobie postanowił koniecznie zostać zakonnikiem, i to takim pobożnym a zacnym bernardynem jak Jan Kapistran.

Widząc iż w krakowskim zakonie nie ma miejsca, wybrał się Jan do Warszawy, i tam wstąpił do zakonu ojców Bernardynów w roku pańskim 1457, a więc za czasów panowania króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, brata króla Władysława Warneńczyka, pana zacnego, pobożnego i sprawiedliwego. Wstąpiwszy do zakonu, przybrał Jan imię Władysława, na pamiątkę onego króla Władysława Warneńczyka, za którego panowania się urodził, i który zginął broniąc wiary świętej przeciw Turkom.

Niebawem doszedł ojciec Władysław wielkiej świątobliwości. Zakonnicy wybierali go ciągle na swego starszego, a on nie rad był temu. Każdy człowiek zwykły lubi być starszym i znaczniejszym, lubi drugimi rządzić a nie słuchać nikogo. Inaczej myślał ojciec Władysław. On właśnie nie lubił być starszym i drugim rozkazywać, ale chciał być najmniejszym i najposłuszniejszym, chciał być pokornym i ubogim, maluczkim i posłusznym, a wszystko z wielkiej pobożności. Kiedy go zakonnicy ciągle wybierali na starszego, mówił im z płaczem:

— Bracia moi! toć pozwólcie mnie słuchać drugiego, toć uczyńcie sobie kogo inszego starszym. Ja nie godzien jestem rozkazywać wam, i niemam tyle rozumu i dowcipu, abym mógł dobrze rządzić drugimi. Ja chcę tylko w spokoju Bogu się modlić, słuchać i usługiwać drugim.

Ale zakonnicy odpowiadali mu i prosili:

— Ojcze miły, a cóż stanie się z nami, kiedy ty nie zechcesz rządzić i opiekować się nami. Nie ma u nas mądrzejszego i zdatniejszego, a już najbardziej niema świątobliwszego. Toć nie opuszczaj nas ojcze!

Tak był ciągle Władysław starszym w zakonie, prowincyałem na całą Polskę. Sprawował on gorliwie swój urząd, odwidzał wszystkie klasztory, a zawsze pieszo choćby najdalszą drogę chodził, wszędzie nauczał ludzi słowem Bożem i zacnym przykładem. Taka ciągła praca mocno jego zdrowie zepsuła, ale on na to nic nie zważał, jeno po dawnemu apostołował między ludźmi, pracował na chwałę Bożą i na pożytek narodu polskiego.

Tymczasem umarł już król Kazimierz Jagiellończyk, a na miejsce jego zasiadł na tronie polskim syn najstarszy, król Jan Olbracht. Król ten i brat jego Alexander poważali bardzo i czcili ojca Władysława, a cała Polska uważała go już za życia jako świętego, czciła i kochała.

Zaś jedną z najpiękniejszych cnót świętego Władysława była jego miłość dla ojczyzny, dla kraju polskiego. Jak wielka była ta jego miłość, pokazuje następujący przykład.

Za króla Jana Olbrachta Polskę napadli po raz pierwszy Turcy, naród dziki i pogański. Uczynili oni w Polsce okrótne zniszczenie. Miasta i wsie popalili, mnóstwo ludu zamordowali, a więcej jak sto tysięcy ludzi z niezmierzoną mocą różnych łupów i zdobyczy wzięli do niewoli, zawiedli to wszystko do swoich krajów dalekich. Cała Polska była w wielkim żalu i lamencie.

Wówczas to święty Władysław modlił się gorąco do Pana Boga o pomoc dla ojczyzny, nakazał zakonnikom post i nabożeństwo, a sam obiegał miasta i wsie, i zachęcał naród gorliwemi kazaniami do modlitwy i obrony, pocieszał i wspomagał wedle możności. Modlił on się wówczas do Pana Boga:

— Przebacz Panie, przebacz ludowi twemu, i nie podawaj czeladki twej w sromotę i pogardę, iżby nad nią poganie panować mieli!

Ułożył także krótką antyfonę, wedle której do dziś dnia po kościołach modlą się, w ten sens:

— „Jezu Nazareński, królu żydowski! powstań i zniszcz narody barbarzyńskie, daj zwycięztwo polskiemu ludowi chrześcijańskiemu, aby wysławiał potęgę wielkiego Boga na wieki wieków Amen.“

Jakoż pomogły te modlitwy i prośby świętego xiędza polskiego, bo kiedy Turcy znowu w tymsamym roku napadli naszą ojczyznę, pomścił się na nich Pan Bóg krzywdy polskiej, spuścił takie okrótne śniegi i mrozy, że prawie całusieńkie ogromne wojsko pogańskie wyginęło od nich i zmarniało.

Tak kilka lat jeszcze pracował święty Władysław na chwałę Bożą i pożytek narodu, aż naostatek umarł w Warszawie d. 4 maja w roku pańskim 1505, więc za panowania króla Alexandra.

Swięty ten mąż umarł w późnej starości, bo miał już podówczas 65 lat, a zapamiętał panowanie aż czterech królów polskich, Władysława Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Alexandra.

Zaraz po śmierci działy się u grobu świętego Władysława cuda różne przez długi czas, tak iż w kilkadziesiąt lat arcybiskup gnieźnieński Stanisław Karnkowski postarał się o podniesienie jego zwłok. Stało się to w obecności króla Zygmunta Augusta i jego zacnej a świątobliwej siostry, królowej Anny.

Zaś w dwieście lat potem, bo aż roku pańskiego 1750, Papież Benedykt XIV uznał publicznie Władysława za błogosławionego, wpisał go między świętych patronów Polski i Litwy, a nabożeństwo uroczyste na cześć jego przeznaczył na 19 niedzielę po Zielonych świątkach.

Otóż macie moi mili ludzie znowu jednego świętego patrona Polski. Zaiste! szczęśliwy nasz kraj, który tylu świętych rodaków i patronów liczy. Więc możemy śmiało spodziewać się, że Pan Bóg nie mało ukochał nasz naród, kiedy mu dał tylu świętych, że narodem tym opiekować się nie przestanie i zaginąć mu nieda.

Prośmy jeno o zmiłowanie, prośmy o tę opiekę, a prośmy także o przyczynienie się świętego naszego Władysława, który za życia modlitwami obronił ojczyznę naszą od dzikich a okrótnych pogan, którzy uciskali i ciemiężyli ojczyznę naszą.

Nasza kosa.

Już to święta prawda, że nie masz w gospodarce pożyteczniejszego narzędzia nad naszą kosę!

Każdy kmieć polski, jak gdyby zrósł z kosą... gdy ją weźmie do rąk, to tak mu z nią do twarzy, tak jurno i tęgo wygląda, że miło spojrzeć; a kiedy zaś znowu kosą ima się pracy, to tak zgrabnie i składnie robi nią na wszystkie strony, że się nic przed nim nie ostoi, jeno wszystko wali na ziemię.

To też gdy Pan Bóg na wiosnę oblecze ziemię w zieloną sukienkę — a poźniej z łaski Bożej deszczyk ciepły i skwarne słonko w czerwcu lub na początku lipca daje wzrost zbożu i trawom, z radością spogląda kmieć na nie i oblicza sobie niecierpliwie krótki czas, kiedy już będzie trzeba dobyć zardzewiałej ze strzechy kosy — a gdy czas kośby już bliski, stali ją i klepie, przygotowuje do użytku.

W końcu nadszedł już czas ten upragniony: kośby co nie miara! to też zuchy parobcy i siwi nawet gospodarze wychodzą i wychodzą z sioła na kośbę z ostremi kosami, a słoneczko Boże odbija swój złoty promyk o lśniące żelazo, że aż serce rośnie!

Tylko tu i owdzie błyśnie ostrze kosy, a trawa wali się na ziem i wali — nie minęło też dużo czasu, a cała łąka skoszona. Czy oset, czy łopuch, czy jakie inne zielsko, co to niepotrzebnie rośnie i zawadza, kosa nic nie pyta, jeno jednym zamachem wali wszystko na ziem, co jej tylko stanie w drodze.

Ptaszki świegocą sobie cudnie wzlatując do góry na Bożą chwałę; ukryty w trawie chrząszczyk lub muszka brzęczą sobie nieśmiało; barwny motylek łopoce skrzydełkami na kwiatku; a kmieć klepie swoją nieodstępną kosę. Toć miła to dla Boga muzyka i Pan Bóg z niebios błogosławi pracy i dodaje siły, kiedy już ręka zboli od razów.

Po skończonej kośbie grabią na łące trawę... a dużo leży wszędzie, bo wcale nie próżnuje i nie żartuje poczciwa nasza kosa!....

Przez rok cały karmi gospodarz wonnem sianem swoje krówki i koniki, a bydlęta tuczą się, że aż miło, i skorsze do pracy; a komu to wszystko zawdzięczyć winniście, moi mili? już ci ostrej naszej kosie!

Po kośbie nadchodzi żniwo.

Ludzie wychodzą na pole z sierpami, ba i teraz nie próżnuje kosa: sierp do pszenicy i żyta — kosa do jęczmienia, owsa, hreczki lub pszona, a przy żniwie daleko w tyle zostaje sierp za kosą. To też niech sobie kto co chce mówi — nie masz nic w świecie nad naszą kosę!

Lecz nie dość na tem

Kosa nasza nietylko jest prawą ręką w gospodarstwie dla człeka, ale także znakomite oddała usługi w czasie wojny.

Pzypomnijcie sobie jeno moi mili czasy pana Kościuszki. Ciężko podówczas bardzo było w naszej biednej Polsce, Moskal okrótnik srodze gnębił nasz naród i zabrał nam ziemię dziadów naszych, a potoki niewinnej krwi polskiej płynęły, ą łuny podpalonych przez Moskali włości przyświecały w nocy, jak gdyby w dzień jasny, a zewsząd słychać było okropne jęki rodziców po dzieciach, biednych sierot po rodzicach, wdów po mężach, siostr po braciach.

Straszne to były czasy spustoszenia na naszej ziemi, a jeśliście słyszeli opowiadania o srogich Tatarach, co to dawno na Polskę napadały i dużo złego robiły a kędy przeszły to krew i ogień za sobą zostawiały, to wszystko niczem jest jeszcze w porównaniu do tego, co w Polsce wyrabiali Moskale; człek na swojej ziemi nie miał ziemi i wolności, nie miał dachu gdzieby głowę swoją złożył, nie miał snu spokojnego, bo krew czerwona stawała mu przed oczy i dym pożarów dusił go do żywego.

Srogie te krzywdy napełniły wszystkich bez różnicy zemstą, a pan czy chłop, czy xiądz, czy mieszczanin lub rzemieślnik chwytali za broń, ażeby wypędzić z Polski Moskali, a serce rosło i Bóg błogosławił tej zgodzie, jaka podówczas panowała w Polsce pomiędzy wszystkiemi stanami.

Na czele naszych, jak wiecie zapewne stanął Kościuszko. Tęgi był to naczelnik, jakich mało w świecie a nadewszystko miłował on serdecznie stan kmiecy, a sam nawet chodził w prostej krakowskiej sukmanie.

Moskale mieli huk wojska, dużo armat i podostatkiem wszelkiej broni, kiedy nasi przeciwnie prawie nic nie mieli, to też uzbrojono się w kosy.

Zrazu myśleli Moskale, że nasi bawią się tylko w żołnierza, że z kosą idą na wojnę, aleć później dała się ona im we znaki, a djabeł wody święconej tak się nie boi, jak Moskal polskiej kosy.

Mówiąc o tych czasach przypomina się zuch Bartosz Głowacki i chwat Grzegórz z pod Racławic, którzy ostremi kosami jak trawę kosili Moskali, a nawet odebrali im kilkanaście armat. Po bitwie Racławickiej odetchnęła jakoś wolniej nasza ziemia ujarzmiona przez ohydnych Moskali, a naród cały jął się z otuchą raźniej do broni; w Warszawie udało się szewcowi Kilińskiemu oczyścić stolicę w sam Wielki tydzień z Moskali, jak to już nieraz słyszeliście.

Z owych to czasów pozostała jedna stara piosnka, którą Racławiccy kosyniery śpiewali, a którą i dziś jeszcze można gdzieniegdzie usłyszeć. Jest ona taka:

PIOSNKA KOSYNIERÓW.

Oj! ostre, oj! ostre
Polskie kosy nasze,
Wystarczą za krótkie
Moskiewskie pałasze.

Kiliński, Kiliński
Poruszył Warszawę,
Sprawił on Moskalom
Gody straśnie krwawe.

Nasz Bartosz, nasz Bartosz
Pod Racławicami,
Wykosił Moskali
Ostremi kosami.

Wykosił, wykosił
I zabrał armaty —
A Kościuszko wołał:
„Otóż to mi chwaty!“

Pamiętasz, pamiętasz
Wielki strach Moskali,
Jak przed nami draby
Prędko uciekali.

Oj! ostre, oj! ostre
Polskie kosy nasze,
Wystarczą za krótkie
Moskiewskie pałasze!

Grzela z Waszkowiec.

Jak sobie Franek wyszukał biedę w dziurawej wierzbie,

czyli

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Opowiem wam dziwną historyę, co to niby trochę wygląda na bajkę, a przecież jest to prawda, bo mi ją opowiadał człek taki, co to mieszka w tamtej wsi, gdzie się to stało, i który kłamstwa znieść nie może, ani sam nigdy pewnikiem nie kłamie.

Owoż było to w jednej pięknej wiosce, a wieś ta nazywała się Dębiny i leżała sobie w pięknej górzystej i lesistej stronie. Przy końcu tej wioski stało sobie porządne obejście, a w tem obejściu mieszkał zamożny, silny, rosły i barczysty kmieć, niby dąb rosochaty, co się nazywał Wojciech Zagrebelny, a przy nim chowało się dwoch dorosłych i szykownych synów Bartek i Franek, niby dwa młode dąbczaki, bo jużci mówiąc po prawdzie, w tej wsi Dębinach wszyscy chłop w chłopa byli jak dęby, co to sobie wyrastały w lesie do koła.

Było to jakoś na wiosnę, jaki taki cieszył się i radował, bo wszystko znaczyło na piękny urodzaj, aż tu naraz rozeszła się smutna nowina o wielkiej brance, a niebawem za tą nowiną nadszedł także i rozkaz, aby się stawić do werbunku. Z samych Dębin wybrali dwudziestu co najtęższych chłopców, a między nimi i Bartka, starszego syna Zagrebelnego, i zaraz ich ostrzygli, umundurowali, i przez góry i lasy gdzieś w obcy kraj popędzili.

Od tego czasu zaginął wszelki słuch o naszym Bartku, bo wszystkiego raz tylko pisał gdzieś aż het z za Dunaju do starego ojca, gdzie to straszliwie na swoją nędzę narzekał, a od tego czasu nikt nie wiedział, gdzie się Bartek podział, a złośliwy Franek powiedział nawet staremu ojcu, jakoby się z pewnością o tem dowiedział, że starszy brat jego zginął na wojaczce. Staremu Wojciechowi na taką wiadomość zrobiło się bardzo markotno, i od tego czasu zaczął potrochę chyrlać i chyrlać, aż nareszcie na dobre zaniemógł, i po kilku tygodniach pożegnał się z tym światem.

Młodszy syn jego Franek objął gospodarkę, i myślał że cała ojcowizna będzie jego, bo o starszym bracie nie było ni słychu ni dychu.

Tymczasem kiedy grób starego Zagrebelnego już siedem razy zielenił się i bielił, a krzyż nad grobem już dobrze mchem porósł, zjawia się naraz we wsi Bartek obdarty z kijem w ręku i z torbą na plecach i kiedy do rodzinnej chaty zapukał, to Franek nawet go wpuścić do niej nie chciał, nie poznając w nim jak to mówił swojego brata.

Skoro zaś na drugi dzień wykazał się Bartek że taki on pewnikiem jest jego bratem, dał mu Franek z jego połowy coś kilkanaście reńskich, bo mówił że ojciec nic nie zostawił, jeno pełno długów jeszcze, które on musiał poopłacać. Wiedział dobrze Bartek o tem, że to są tylko wykręty, ale trudno było bratu z gardła coś wydrzeć, a prawować się nie chciał za żadne pieniądze, bo wiedział dobrze, że prędzej by sobie oczy wypłakał, i nogi schodził po same kolana, anizeliby się czegoś doprosił i dochodził. Umyślił więc Bartek zacząć z innej beczki, i to mu się też setnie udało.

Poszedł on do dworu za parobka i w krótkim czasie zaczął się tak składać między ludźmi, jakby tam Bóg wie jakie miał pieniądze, i jakby tam nie wiedzieć jaki skarb znalazł. W jednem miejscu zaczął niby targować woły, to znowu dopytywał się o kupienie gruntu, i tak to wszystko doskonale udawał, że w krótkim czasie okrzyczeli go ludzie za bardzo wielkiego bogacza. Dowiedział się o tem także Franek, a ponieważ był ci to człek straszliwie zachłanny, więc też i owo mniemane szczęście brata zaczęło mu być, jak to o tem gadka mówi: w chlebie ością, w gardle kością — w moście dziurą, w drodze górą — świerszczem w uchu, szydłem w brzuchu — pniem na drodze, cierniem w nodze; zaczął więc Franek podchodzić Bartka, i zapraszać go często do karczmy na poczęstunek, aby się przed nim zwierzył, jakim to sposobem stał się on naraz z biednego takim bogatym. Długo uwodził go Bartek, ale kiedy się już dosyć najadł i napił z kieszeni Franka, powiedział mu w sekrecie, że on swoją biedę zapakował do jakiejś dziurawej wierzby, co tam gdzieś

stoi w lesie nad potokiem i kołkiem zabił, a od tego czasu ni ztąd ni z owąd płyną mu gdzieś pieniądze jak woda. Zaklinał go jednak Bartek na wszystko, ażeby o tem nikomu nie wspominał, bo skoroby się jeno kto o tem dowiedział, i przypadkiem tę wierzbę odszukał, i biedę wypuścił, to ona by go na powrót przez zemstę jeszcze więcej przysiadła jak pierwej.

Uwierzył głupi Franek temu gadaniu swego brata, i przysiągł mu nawet, że nikomu o tem wspominać nie będzie, ale sam za to zaczął w duchu przemyśliwać, jakby to tę biedę odszukać i wypuścić, ażeby brata swego napowrót do nędzy przyprowadzić.

Na drugi dzień skoro świt, udał się Franek do lasu nad potok, i zaczął tam z wielką uwagą szukać dziurawej wierzby, ażeby z niej uwięzioną biedę Bartka wypuścić. Po długiem szukaniu nareszcie natrafił Bartek na jakąś dziurawą i spruchniałą wierzbę, i z wielką uciechą zaczął wygartywać z niej pruchno i trzaski, bo myślał z pewnością że tam owa bieda siedzi, i że ją teraz z pewnością wypuści. Ale ukarał go też Pan Bóg przykładnie za tę krzywdę, którą on bratu wyrządził, i za to jego złe serce. W tej wierzbie bowiem gnieździły się dzikie osy i szerszenie, którym Franek przypadkowo gniazdo zburzył, i które teraz z wielką złością wyleciały, i całego Franka obsiadły.

Nie potrzeba wam mówić, że jak tylko kilka szerszeni człowieka ukąsi, to już trudno się wyratować, a cóż dopiero, jeżeli tysiąc żądeł w ciało się wpije. Cały opuchnięty, tak że nawet twarzy nie można było poznać, powrócił Franek do domu, a kiedy go Bartek odwidził, i on mu swoją przygodę opowiedział, rzecze tenże do niego:

Widać że to już taki dopust Boży, bo ja żadnych skarbów nie miałem i nie mam, a o tej biedzie powiedziałem ci tylko tak żartem, aby ciebie zaspokoić; a ciebie zaś, to już widać Pan Bóg sam zaprowadził na ukaranie do tej wierzby, jeżeli ty mnie chciałeś zaszkodzić.

Poznał Franek swój błąd, przeprosił pięknie brata, wy-

spowiadał się szczerze, i wnet się z tym światem pożegnał, bo już dla niego żadnego nie było ratunku.

Bartek objął teraz prawnie całą ojcowiznę i był sobie poczciwym i porządnym gospodarzem.

Jacenty z Magierowa.

Smutne skutki nieporządku.

Pewien szewc tak opowiadał o swojem nieszczęściu, które szło z nieporządku:

Byłem majstrem szewskim, miałem piękny sklep w mieście, roboty podostatkiem, duże gospodarstwo, ładną bieliznę, garderobę i 225 reńskich w Kasie Oszczędności. Pracowałem od rana do wieczora, pomimo to jednak przyszedłem do nędzy, i niech was to nie dziwi moi drodzy. Biedna żona moja (niech w Bogu spoczywa) nie była porządna, i to nas zgubiło. Rano gdym wstawał do roboty, musiałem zawsze szukać zapałek. Małgorzata nigdy ich na swojem nie położyła miejscu; szukając po ciemku, zmaczałem nieraz rękę w garnku z wczorajszym rosołem, który najczęściej zostawiała na warsztacie, w pośród skór, podeszew i klajstru; nie wiedząc o tem, plamiłem materye przykrojone na trzewiki, a ztąd znaczne ponosiłem straty. Na śniadanie mleko najczęściej się zwarzyło, bo rondel był nieczysty i trzeba było kupić inne; jedzenie zgotowane w brudnym garnku i na nieumytym podane talerzu tak było niesmaczne, że większa jego połowa zazwyczaj zostawała niezjedzoną, szło więc w pomyje i marnowało się. Naczynia i statki nieustawione porządnie, tłukły się i wyrzucały na śmiecie; słowem wydawało się dużo, a żyliśmy bardzo mizernie. Panie kupujące u mnie porzuciły wkrótce nasz sklep, gdyż odbierały robotę z materyi poplamionej, a obszycie brudziło im pończochy. Zadłużyłem się już za skóry i materye w sklepach, w domu bieda, roboty brak, a tu zima się zbliża.

Wsparty łokciami na warsztacie, dumałem zasmucony, przeklinając w duszy prześladujące mnie nieszczęście, choć byłem zdatnym i pracowitym rzemieślnikiem. Chciałem już bluźnić przeciw Opatrzności, gdy w tem wyrwało mnie z za-

myślenia wejście i powitanie sąsiada, który miał sklep obok w drugim domu.

— Słuchaj Szczepanie, rzekł on, przychodzę dać ci korzystną robotę: dostałem pilny obstalunek na sto par trzewików prunelowych i jedwabnych. Wiem, że robisz prędko i dobrze, chciałbym ci zrobić przysługę, odstępując połowę obstalunku; za robotę zapłacę zaraz, zdaje się więc że to niezły interes, tylko żebyś mi nie zrobił zawodu.

— A broń Boże! dziękuję ci mój poczciwy Tomaszu, zobaczysz, że wszystko zrobię sumiennie i na termin ukończę.

— O! wiem to dobrze, ale widzisz, boję się aby twoja żona nie popsuła roboty, chciałbym więc, żeby nie obszywała, lepiej nająć szwaczkę.. Dobiłem targu, chociaż przykrym mi był ostatni warunek; mój sąsiad oszedł, jeszcze raz powtarzając: „pamiętaj Szczepanie, żeby robota była czystą, bo inaczej nie przyjmę.“ — Małgorzatę dotknęło wprawdzie to uprzedzenie, jak nazywała, pana Tomasza, jednakże dałem słowo, trzeba było dotrzymać. Przyjąłem dwóch czeladników i obszywaczkę; za odebraną z Kasy Oszczędności resztę naszego kapitaliku kupiłem zaraz skór i materyi — wziąłem się zaraz szczerze do roboty, kilka nawet nocy nie dospałem i nareszcie obstalunek był gotów zupełnie. Nazajutrz miałem go oddać: zmęczony tak pospieszną pracą i bezsennością położyłem się wcześnie, ustawiwszy trzewiki na komodzie. Rano wstaję zadowolony, że mogę słowa dotrzymać i dostanę odrazu piękny pieniądz do ręki. Ubierając się, przychodzę, aby jeszcze raz obejrzeć robotę... O Boże! Boże!... trzewiki pływają w oleju!... zaledwie kilka par ocalało, reszta na nic zniszczona. W rozpaczy biegnę do łóżka, gdzie żona spała jeszcze, porwałem ją gwałtownie za rękę, wołając: Olej! zkąd się wziął ten olej?

— Czego chcesz? — odpowiedziała rozespana, przewracając się na drugi bok.

— Trzewiki zlane olejem!... trzewiki...

— Co? trzewiki! — krzyknęła, zrywając się na równe nogi. — Boże wszechmogący! Wczoraj nalawszy lampkę, postawiłam olej na komodzie, i musiał się rozlać!...

— Tak! musiał się rozlać; gubisz, niszczysz mnie kobieto przez twe niedbalstwo i nieporządek!...

— Ależ mój kochany, jeśli ja rozlałam olej, tośty więcej winien, żeś na nim położył trzewiki.

— A czyż ja wiedziałem?

— Trzeba było patrzyć!

I tak kłóciliśmy się, jedno drugiemu robiąc wyrzuty, gdy wszedł pan Tomasz. Zobaczywszy trzewiki porzucone w nieładzie i zatłuszczone, zaczął okropnie wyrzekać, łając i grozić, że zapozwie nas o zawód, jaki mu robimy. Wśród takiego hałasu i zamieszania wbiega właścicielka domu, cała zdyszana, mówiąc: Mości panie! dość już tych krzyków i nieładu — proszę wyprowadzić się od kwartału — zniszczyliście mieszkanie nieporządkiem i brudami; dziękuję za takich lokatorów i raz jeszcze powtarzam: proszę się wyprowadzić!

Tak tedy pozostałem naraz bez grosza i przytułku; sprzętów nawet trudno było sprzedać, tak były zniszczone przez nieporządek. Pogłoska o moim ostatnim wypadku prędko się rozniosła i odstręczyła resztę moich kupców. Zeszedłem na czeladnika, ale i tak jeszcze każdy obawiał się dać mi roboty, abym jej nie popsuł. Biedna moja żona zachorowała, nie miałem czem jej ratować; musiałem oddać do szpitala i tam umarła. Odtąd nie mogłem już powstać na nogi; ciągle jestem w niedostatku i zaledwie na chleb zarabiam, naprawiając stare obuwie; gdy tymczasem wielu innych żyją wygodnie, choć nie są tak dobrymi, jak ja robotnikami; a wszystko to stało się dla tego, że nie było w naszym domu porządku, który jest prawdziwem źródłem dobrego bytu, a nawet i dostatku.

Cz. N.

Przestrogi dobrego przyjaciela.

O CHLEBIE.

Któryż posiłek jest zwyczajniejszy dla każdego z nas od chleba? Każdy go rad je, każdemu smakuje, bo się od dziecka do niego przyzwyczaił. Przecież nie każdy chleb jest zarówno zdrowy.

Jeżeli jest z niedobrego zboża, albo niewypieczony, wtedy nie posila ale szkodzi. Zboże niewyczyszczone dobrze, pomieszane ze sporyszem, albo kąkolem, lub też z wołkami, nie powinno się brać na chleb, bo bardzo szkodzi. Jeżeli nie ma ziarna innego tylko porosłe, to trzeba je wprzódy w piecu po chlebie wysuszyć, potem dopiero zemleć, ciasto dobrze wyrobić, dłużej kwasić aniżeli ciasto ze zwyczajnej mąki. Dalej, bochenki robić płaskie a szerokie i wypiec je doskonale, żeby mało było ośrodki, a jak najwięcej skórki.

Zboże ze sporyszem czyli z czarnem ziarnem, co na boku żytnego kłosa wyrasta, jest najszkodliwszem, gdyż ziarno to jest trucizną i może na człowieka jedzącego chleb upieczony z zarażonego sporyszem zboża śmierć sprowadzić.

Oprócz tego chleb spleśniały jest także ludziom szkodliwy, bo sprawuje gorączki albo rznięcie w brzuchu, a tembardziej kiedy się po nim wody napije.

Żeby chleb był dobry, trzeba go piec z mąki suchej, dobrze przesianej, gdyż otręby i oście w mące razowej wcale żadnego posiłku nie dają; ciasto powinno dobrze się wyruszyć, żeby się nie robił zakalec, bo ten nietylko że nie posila ale szkodzi, osobliwie też dzieciom.

Chleb gorący, chociaż niejeden go bardzo lubi, jest bardzo szkodliwy zdrowiu, zwłaszcza też jeżeli się kto po nim wody napije, wtedy można dostać kolek i strasznego morzyska; a zdarzało się nawet nieraz tak że po zjedzeniu chleba prosto z pieca, wkrótce potem ludzie umierali. Osobliwie też pilnować trzeba, żeby dzieci gorącego chleba nie jadły. Najzdrowszym jest chleb do jedzenia we 24 godzin po upieczeniu. Żeby chleb był strawny, czyli żeby szedł człowiekowi na posiłek, to koniecznie do niego trzeba dodać coś tłustego, jak naprzykład trochę masła lub kawałek mięsa.

Niejednemu wydawać się to może zbytek, ale to wcale nie jest zbytek, bo kto do chleba dodaje trochę tłuszczu albo mięsa, ten sobie dużo oszczędza krwi i ciała, i staje się sposobniejszym do pracy.

Mięso i tłuszcz dodane do chleba, przydają człowiekowi bardzo wiele siły i robią go wytrwalszym w każdej robocie.

O OKRASIE, OWOCACH I GRZYBACH.

Bez soli i okrasy jeść prawie nie można. Okrasa czy to będzie słonina, czy masło powinna być młodą, a nie starą, bo stara nietylko że jest gorzka i niemiła, ale w gardle drapie i co gorsza zdrowiu szkodzi. Stary olej ze wszystkich najszkodliwszy. Więc po co kupować zestarzałą omastę, kiedy nie zdrowa; jeżeli parę centów oszczędzisz na kieszeni, to za parę złotych stracisz zdrowia. Oszczędzisz trzy centy, a jak cię porwie morzysko, to cały dzień nic nie zarobisz, — to mi oszczędność! Sól także jest koniecznie potrzebną, bo po soli człowiek lepiej trawi.

Owoce dojrzałe i dobre, są dla ludzi zdrowe, ale niedojrzałe i zielone, sprowadzaja krwawą biegunkę i rznięcie, więc też ojcowie i matki powinni przestrzegać dzieci aby zieleniny, niedojrzałych jabłek, gruszek i śliwek nie jadły, bo choroba może przyjść z tego, a nawet śmierć. Owoce dojrzałe jak mówiłem, są zdrowe i każdy powinien starać się, ażeby miał przy domku sadek, a w nim kilkanaście drzewek. Gdybym to widział przy każdym domu, w każdej wsi sad, a w nim dużo i dobrych drzew owocowych, toby się rozradowała dusza moja, bo owoc i w domu się zda i grosz do kieszeni niesie, a ja bym rad byście mieli w domu wygodę i dostatek.

Jest jeszcze jeden gatunek pokarmu, który dodany do kaszy albo klusek na rzadko ugotowanych dodaje i smaku i posiłku. Są to grzyby, ze wszystkich roślin które ziemia wydaje najbardziej w posiłku podobne do mięsa.

Ale z grzybami trzeba bardzo ostrożnie się obchodzić, bo między zdrowemi są i trujące, a zamiast posiłku, można sobie śmierć kupić. Kto zje trujące grzyby, to ma gniecenie w żołądku, zbiera mu się na wymioty, czasem usta, gardziel i język spuchną, dostaje strasznego morzyska, biegunki krwawej, potem mdłości, drgawek, nudów, potów zimnych, a potem przychodzi śmierć.

Ktoby więc zjadł trujące grzyby niech co żywo weźmie na womity; niech pije jak najwięcej ciepłej wody z mlekiem,

palec wsadzi do gardła, a tymczasem posłać jak najprędzej po doktora, żeby od śmierci ratował.

Nigdy więc braciszkowie nie jedzcie, ani nikomu w swem domostwie nie dopuszczajcie, ani zbierać, ani gotować, ani jeść takich grzybów, których dobrze nie znacie, abyście tej nieostrożności życiem nie przepłacili.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo w Rzeszowie. Pisałem wam moi mili w poprzednim Dzwonku, iż w Rzeszowie zostało zapowiedziane na ten miesiąc uroczyste nabożeństwo, a to na pamiątkę stuletniej rocznicy, jak tam ukoronowano cudowną statuę N. Maryi Panny, Królowej Polskiej. Otóż nabożeństwo to odbyło się takim porządkiem.

Już w sobotę 5go września rozpoczęło się nabożeństwo solennemi nieszporami i kazaniami, na których było mnóstwo ludzi, a także xiądz arcybiskup lwowski, xiądz bi-kup przemyski i inni xięża. Ciągle też przybywały procesye z biższych i dalszych okolic. Kiedy w poniedziałek przy solennej procesyi wyniesiono z kościoła bernardyńskiego cudowną statuę Matki Boskiej, aby ją ustawić na ołtarzu pod gołem niebem, gdzie się ciągle odprawiało nabożeństwo, było już wtenczas więcej jak 50 tysięcy ludzi.

Pobożność była wielka i wszyscy modlili się gorliwie. Ciągle prawie nauczali xięża lud kazaniami, a już najwięcej xięża Padowicz, Jabczyński i Dzikowski. Nauczali oni lud o dawnych dziejach i dawnej pobożności polskiej, o tych czasach, kiedy to szczęśliwą i błogosławioną była ojczyzna nasza, bo miała uczciwość i pobożność, łaskę Bożą i cudowne jego miłosierdzie. Xiądz Dzikowski wezwał lud cały do modlitwy za uciśnionych braci naszych, którzy walczą przeciw okrótności moskiewskiej za wolność wiary świętej i za swobodę życia. Przypomniał on okrócieństwa, jakie Moskale popełniają na Polakach, jak męczą wszystkich i katują, jak mordują starców, kobiety, dzieci i xięży, a kościoły boskie plugawią.

Lud modlił się ciągle gorąco do Pana Boga i cudownej Matki Boskiej. Było aż 136 xięży, którzy odprawiali nabożeństwa. Trzy dni trwała uroczystość, a naostatek odniesiono cudowną statuę na dawne miejsce. Wszyscy rozeszli się z wielkiem nabożeństwem i nauką

Nieszczęśliwe wypadki. W Lesienicach w obwodzie lwowskim kopało 5go września dwoje glinę, a to pietnastoletni chłopak Wasyl Szwed i starsza jego siostra Marynka. Nieszczęściem oberwała się ziemia i zasypała oboje, tak iż chłopcu rozgnietło głowę i umarł, a dziewczynę uratowano. — Zaś w Sieniawie w obwodzie przemyskim utonął jeszcze tamtego miesiąca flisak Jan Michałowicz, kąpiąc się w Sanie, i dopiero na drugi dzień znaleziono trupa.

Pożary. Tych jest ciągle dosyć dużo. Tamtego miesiąca dnia 27go wybuchł pożar w Makowiskach w obwodzie przemyskim i spalił sześć gospodarstw do szczętu. Zaś 5go września wybuchł ogień w miasteczku Kamionce w obwodzie złoczowskim, i spalił dom jeden żydowski.

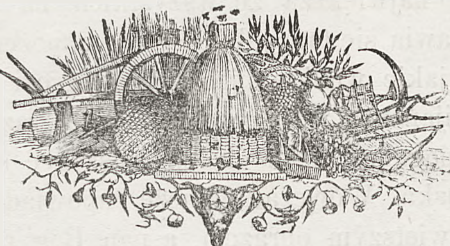
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 10.

1. Października 1863.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uroczystość jubileuszowa w Rzymie.

W zeszłym miesiącu przez dwa tygodnie odbywała się w Rzymie z rozkazu ojca świętego wielka uroczystość jubileuszowa za naród polski. Działo się zaś wszystko w taki sposób.

W jednym kościele rzymskim, który się nazywa Najświętszy, jest cudowny bardzo obraz pana Jezusa, najcudowniejszy ze wszystkich które są na świecie. Obraz to bardzo dawny, i miał go malować święty Łukasz apostoł dla Matki Boskiej. Jakoż aż do wniebowzięcia Najświętszej Maryi zostawał u niej ten obraz. Potem obraz ten ciągle zostawał w Jerozolimie, a kiedy poganie przyszli zburzyć to miasto, uratowano szczęśliwie świętą pamiątkę, i przychowywano już odtąd w mieście Carogrodzie. Ażci i tam razu pewnego stała się wielka wojna pogańska. Biskup tameczny, święty Germanus, bojący się aby co złego nie spotkało obraz, a ufający w cudowność jego, spuścił obraz do morza. I owoż nowym cudem obraz ten zapłynął aż do świętego miasta Rzymu.

Taka jest dawna historya tego obrazu najcudowniejszego. Skoro on już raz był w Rzymie, zachowano go tam w najwięk-

szem nabożeństwie aż do tego czasu. Osobny ma kościół, i tam zostaje pod wielkiem zamknięciem. Ponieważ to jest taka wielka świętość, największa ze wszystkich na świecie, więc tylko wtedy odprawia się tam jubileuszowe nabożeństwo z prożbą o pomoc, kiedy jakie wielkie nieszczęście grozi całemu światu i całemu chrześcijaństwu. Było to tak kilka razy za dawnych czasów, kiedy poganie różni chcieli zniszczyć święty Rzym i wiarę chrześcijańską. Wówczas papieże zapowiadali uroczystość i procesyę z najświętszym obrazem, a pan Bóg ratował od nieszczęścia.

Taksamo stało się i teraz. Ojciec święty wydał pismo, w którem powiada, iż teraz potrzeba znowu takiego nabożeństwa za Polskę, ponieważ ona jest w niebezpieczeństwie od Moskala, który naród polski i wiarę świętą okrutnie uciska i chce wygubić. Dalej tak jest powiedziano w tem piśmie ojca świętego: „Obraz ten przenajświętszy nie bywa nigdy poruszany z miejsca, chyba że jest wielkie niebezpieczeństwo i wielka potrzeba, aby uczynić zadość sprawiedliwości Boskiej i uprosić dla ludów miłosierdzia i łaski szczególnej. Jest wolą ojca świętego, aby teraz modlono się najbardziej za nieszczęśliwą Polską, która okrutny ucisk cierpi, co znowu bardzo smuci ojca świętego. Naród polski który był zawsze katolickim, który zawsze bronił chrześcijaństwa od pogan, zasługuje pewnikiem, aby się za niego modlono, aby został oswobodzony od nieszczęść.“

Te słowa sam ojciec święty napisał i kazał ogłosić ludowi.

Otóż w niedzielę dnia 6 września odbyła się główna uroczystość. Sam ojciec święty chciał koniecznie celebrować na niej, ale iż zasłabł i wyjść nie mógł, więc posłał jeno swoich biskupów i kardynałów, a sam modlił się w domu. Zaś obraz święty z onej kaplicy gdzie się przechowuje, niesiono w wielkiej procesyi do kościoła Najwiętszej Panny Maryi Śnieżnej. Było najpierw kilka tysięcy xięży, a ludu było sto i kilkadziesiąt tysięcy. Wszyscy najznaczniejsi xięża i panowie byli na tem nabożeństwie i modlili się za Polskę. Jest w Rzymie od każdego cesarza i króla jaki znaczny pan, który się nazywa posłem, i zastępuje w Rzymie miejsce swego cesarza albo króla.

Otóż poseł taki cesarza austryackiego był także na owem nabożeństwie i modlił się.

Tak się odprawiła uroczystość dnia pierwszego. Jeszcze dwa tygodnie trwał odpust, i każdy ktoby się w onym czasie modlił za Polskę, dostępywał odpuszczenia grzechów. Piszą ze Rzymu, iż po wszystkich kościołach mnóstwo ludzi pobożnych modli się.

Piszą także, iż ojciec święty chce rozkazać, aby w Krakowie także zaprowadzono taki odpust.

SUPLIKACYE.

Święty Boże, Święty mocny,
Święty nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!

I ogarnął postrach nocny
Twój lud niegdyś dzielny,
Zmiłuj się nad nami!

Jako kłosy wstajem z bolem
Zgłuszeni kąkolem,
Zmiłuj się nad nami!

Od powietrza, głodu,
Ognia i niewoli,
Wybaw nas Panie!

Od wrażego rodu
Pastwy i swawoli,
Wybaw nas Panie!

Od bratniej niezgody
Przy czerpaniu wody,
Wybaw nas Panie!

Od zgonu nagłego,
Bez skruchy pacierza,
Zachowaj nas Panie!

I od zelżywego
Z wrogami przymierza,
Zachowaj nas Panie!

Od pokus do grzechu,
Bluźnierczego śmiechu,
Zachowaj nas Panie!

My grzeszni Ciebie
Boga błagamy,
Wysłuchaj nas Panie!

Przez ojców w niebie
Bez grzesznej plamy,
Wysłuchaj nas Panie!

Przez pełnię czaszy,
Łez i krwi naszej,
Wysłuchaj nas Panie!

K. U.

Królowa Jadwiga i Murarz.

W naszym Krakowie, gdzieto dawniej siedzieli królowie polscy i tam mają do dziś swoje groby, stoi do dziś kościół jeden na Piasku, tak bo się zowie jedno przedmieście, a w tym

kościele jest w ołtarzu wielkim obraz nawiedzenia Najświętszej Panny. Jestto kościół bardzo dawny, mury porosły już mchem, ale idą tam Krakowianie na nabożeństwo, przychodzą też tam i rozmaici ludzie, zwyczajnie jak do cudownego obrazu królowej nieba i ziemi, a dla nas Polaków królowej i matki naszej. A kto jeno tam zajdzie i jest ciekawy wypytać się, kto to fundował ten kościół, jakie to cuda działy się na tem świętem miejscu, to mu tam każdy dziadek lub babka koło kościoła to wszystko pięknie opowiedzą i wszystkie ciekawości pokażą i zaprowadzą cię, gdzie jeno żywnie zechcesz. Otóż w zeszłym roku wybrał się do Krakowa jeden ciekawy gazda z Krościenka, co to się nasłuchał tyle gadania o Krakowie to od xiędza, to od pani i panienek we dworze, że go we dnie i w nocy korciło i korciło, aby jak najprędzej polecieć do Krakowa i na swoje własne oczy to wszystko widzieć i dobrze się wszystkiemu przypatrzyć.

I byłci on tam w Krakowie, i jechał sobie na wozie żelaznym i siedział tam w Krakowie dobry cały tydzień i widział wszystko.

I nie tak trudno byłoci temu gazdowi dostać się do Krakowa, boć on mądry chłop, dałci sobie wyuczyć syna jednego dobrze na xiążkach rozmaitych i teraz ten syn został profesorem aż w samym Krakowie i tam sobie żyje po pańsku i chwali Boga za takie łaski i za taki rozum u swego ojca.

Otóż byłci ten gazda Michał Michno od Krosna w zamku krakowskim, to na mogile Kościuszki, to na kopcu Wandy i Krakusa i wie to jeden Bóg, gdzie on tam nie chodził i nie zazierał z ciekawości wielkiej. Aż przyszedł on i na piasku do kościoła tego, gdzieto jest obraz cudowny Najświętszej Panny, o którym to od początku zaraz pisałem. Wlazł on sobie cichuteńko drzwiami wielkiemi do kościoła, przeżegnał się święconą wodą z kamiennej kropielnicy, potem klęknął i zmówił pobożnie paciorek i wstał sobie uczciwie i obchodził i opatrywał ołtarze, organy, dzwony, chorągwie i inne ciekawości. Aż tu naraz stanęła przed nim babinka stareńka jak krzaczek i na lasce oparta i zagaduje go:

— A zkąd wy to człowieku? ho! ho! wy widać ciekawi, kiedy tak oglądujecie ten kościół boży!

A gazda Michał odzywa się:

— A czyżto chłop Polak nie ma wiedzieć o tem, coto jest w Krakowie i coto za miasto takie?

Na to babinka staruszka rzecze:

— Oj dobrze gadacie gazduniu, bo to wstyd dla chłopów naszych, jakto oni ani znają kraju swego, ani znają Krakowa, ani wiedzą o tem, że to przecie te kraje to starodawne polskie nasze, a ten Kraków to dwór dawnych królów polskich. Ale ja wam też pokażę coś ciekawego tam na ścianie, jak tu wszystko opatrzycie dokumentnie.

I zaprowadziła go ta babinka za kościół i pokazała mu w murze coś niby do nogi podobne, niby jakby bucik bez cholewy, wyrobiony młotkiem w kamieniu. A gazda Michał patrząc na to odezwał się:

— No! i cożtu takiego wielkiego pokazujecie mi — toć to jest nito but nito noga zrobiona.

A babinka na to:

— Toć zgadliście dorazu, że to bucik taki, ale słuchajcieno, co to za historya taka.

I wyprostowała się babinka, podparła się obiema rękami na kiju swoim i tak gadała:

— Oho! mój gazduniu, ten kościół od początku, jak go zaczęli murować, to już dobre 800 lat stoi. Ta to widzicie w naszej Polsce miało być do 40 królów jeden po drugim, co to byli katolikami jak się patrzy, a ojciec święty lubił to jakby rodny ojciec swoje dzieci i posyłał im to krzyżyki święte, to korony, to rożańce, a to wszystko złote i poświęcane od samego ojca świętego. Otóż miarkujcieno sobie, jakto już dawno musi być, kiedy ten kościół fundował szósty król polski i nazywał się Władysław I a jakoś go to nazywali polacy przez kpinki coś z niemiecka nito pan Herman, a to dla tego, że on czasami lubił Niemców, ba! pono się dwa razy ożenił, a i to jeno z Niemkami. Otóż uważacie sobie raz zachorował ten król Władysław Herman, a siedział on sobie w Krakowie; coś mu się stało, że mu cała gęba spuchła i ani rusz co wypić, ani

zjeść, i przychodziło takiemu panu z głodu umierać, jakby ostatniemu jakiemu biedakowi. Ale był on i pobożny i posłał swego biskupa z Krakowa do ojca świętego, a ten mu przywiózł błogosławieństwo, ale nic a nic na tę gębę nie pomogło. Aż jakoś czwartego dnia przyśniła się królowi Najświętsza Panna i tak mu powiedziała:

— Królu! idź sobie jutro rano za miasto, tam znajdziesz śliczne fiołki na piasku wyrosłe, narwij sobie fiołków i weź sobie piasku czystego i tem okładaj gębę spuchłą, a wyzdrowiejesz, jak rybka. I patrzcie moi dobrzy! za dwa dni wyzdrowiał król cudownym sposobem! A zato też zaczął fundować ten kościół, ale mu Pan Jezus nie dał dokończyć tego, jeno umarł sobie, ale jego ciało nie leży tu w Krakowie, jeno w Płocku mieście, tam het! za naszą Warszawą. Ale muszę sobie usiąść tu na kamieniu, bo ja też już stara i chorowita a wy też zaczekajcie to ja wam też dalej opowiem o tym kościele krakowskim.

A gazda Michał obszedł ten kościół do okoła opatrzyć sobie dokumentnie wszystko i wrócił do tej staruszki i pyta:

— Ale że też to fundowali ten kościół na takich piaskach, że tu trudno drzewa jakie posadzić, a to przecie pięknie wydaje się, jakci koło domu twego a tem bardziej koło kościoła stoją drzewa.

Na to powiada staruszka:

— Toć uważacie! to umyślnie na piaskach fundował król ten kościół, bo tu miał zbierać te fiołki i tu sobie nabrał piasku czystego i od tego mu gęba sklęsła — i odtąd zowie się ten plac na piasku.

A gazda Michał na to:

— Aha! to teraz już rozumiem dobrze, naco to tak stoi tu ten dom boży. Ale któż dokończył po śmierci tego króla ten paradny kościół:

A staruszka rozgadała się znowu tak.

Otóż widzicie stało to domostwo pokryte ale w środku niedokończone aż do króla innego, co to zwał się tak samo Władysławem i miał za żonę tę pobożną i jak aniołek piękną Jadwigę, o której pamiętają aż do dziś ludzie w Krakowie i

het! poza Krakowem — tocto już temu 400 roczków, a co dobre było, to gadają o tem, jakby to jeszcze żyło do dziś między nami.

A Michał gazda poderwał i zaczął gadać:

— To to ten król Jagiełło, co już stary dał się ochrzcić i potem się ożenił w Krakowie z tą polską królową Jadwigą, a ona choć młodzienka jak wianuszek z kwiatków, choć miała iść za młodego innego, co się jej bardzo podobał, to przecie poszła za tego Władysława, bo on jej obiecał, że jak się z nią ożeni, to całe kraje pogańskie swoje każe ochrzcić i to wszystko przyłączy do Krakowa. Hej! hej! jaki to rozum u takiej młodej dzieweczki, że wolała iść za starego i brzydkiego, aby jeno dla Pana Jezusa pozyskać tyle dusz, a dla Polski nabyć za darmo i bez pieniędzy i bez wojny najmniejszej takie kraje wielkie, het! tam za Warszawą aż do morza dalekiego — to to za to samo powinna być jej dusza w niebie koło samego Pana Jezusa.

A staruszka na to gada:

— To wy widać piśmienny, kiedy wy tak gadacie o polskich królach — i dobrze robicie mój gazduniu, żeście taki ciekawy, bo to i za to zapłaci nam kiedyś sam Pan Jezus, że my też sami wiemy co nieco o takich królach dobrych i pobożnych, jacy to byli w naszym polskim kraju, ale też i drugim o tem opowiemy i nauczymy ich niejednej dobrej ciekawości.

Ależ słuchajcieno dalej o tym kościele! Otóż jak się już ożenił ten król z Jadwisią naszą pobożną, to ta Jadwisia jeno o modlitwie i postach myślała, a jak tam zaleciał do jej okienka jaki płacz, albo gwałt, to ona już na mieście stoi, to pomaga sama ręką, to sypie dukaty, to znowu leci po szpitalach, to wejdzie też i do jakiego domu chłopskiego i tam włoży pod pościel cichutenko dukata, aby było czem okryć biedne sierotki, to z dworu swego posyła nabiał, chleb i gotowane jedzenie dla chudaków — a jak jej niestało już w kieszonce ani krajcarka dla kogo, to biedactwo prześliczne zapłakało się gorzej od samego dziadka jakiego i już ani się uciszyć ani rozweselić nie mogło nieraz po całych dniach i nocach. Oj Boże! Boże! coto

za serce było u tej młodziuchnej pani, że zaraz się odwracała i nie mogła się patrzyć, jak komu łzy kapały z ócz — to też wszystkim było dobrze na świecie z taką panią i do tego królową.

A gazda Michał odezwał się:

— Toćto ja wyczytał w Dzwonku dawniejszym, że ona raz prosiła króla za chłopami i król zrobił, co jeno ona chciała dla chłopów; a potem król jej powiedział, żeby się nie trapiła więcej, boby mogła z tego rozchorować się — ale ona otarła oczka i mówiła:

Toć prawda, żeś królu uczynił wszystko dobrze i sprawiedliwie dla tych biedaczków, ale kto im wróci te łzy, które ich oczy wypłakały jak tu do mnie szli po prożbie? kto im zapłaci za ten żal ich i za to utrapienie, jakie oni cierpieli przez noc i dzień?

A babusia starowinka rozpłakała się i gadała:

— Oj! wiemy my to wszystko tu w Krakowie i chodzimy tu do tego kościoła codzień modlić się za jej duszę świętą. Ale ja wam też chce dokończyć o tym kościele. Otoż widzicie na prożbę tej Jadwigi kazał król jej mąż dokończyć fundacyi tego kościoła, a królowa znowu wyfundowała domy i sprowadziła tu zakonników, aby dzień i noc modlili się za całym krajem do Najświętszej Panny. I widzicie było dużo luda i murarzy co niemiara do roboty, a jeden murarz tu na ścianie wyrobił młotkiem ten oto bucik, ale to nie bucik jeno stopa naszej królowy.

A gazda Michał zaraz na to odezwał się:

— A to dopiero nie miał co robić ten majster, aż stopę Jadwigi na murze w kamieniu, toć było składniej wyrobić serce, albo rękę tej pani.

A babusia gada:

— Poczekajcieno trochę aż ja dokończę. Boć miał ten majster żonę i troje dzieci, i był biedny, a królowa go znała dobrze i nieraz też jego kobicinie podała zapomogę. Ale raz cały dom mu się rozchorował i widzicie królowa to wszystko uratowała od śmierci za pomocą Pana Jezusa. Poszedł ten majster do zamku, gdzie siedziała Jadwiga, a wtedy to pusz-

czali każdego do króla i każdy mógł się wygadać i dostał swoje jak się patrzy i to zaraz na poczekanie. Otóż ten majster uchwycił za nogi królowę i króla i podziękował za wszystko, a odtąd cały dom jego chodził codzień do tego kościoła i mówili po 5 pacierzy za temi pobożnemi ludźmi do tej Najświętszej Panny — a majster znowu wydłubał sobie młotkiem tę stopę, i on z dziećmi całowali zawsze ten kamień, kiedy jeno wychodzili z kościoła. I widzicie jakto ten kamień aż poczerniał i małoco znać już tę stopę, a ludzie starzy gadają, że to od łez tak poczerniało wszystko. I do dziś też jest ta stopa Jadwigi na tej ścianie a ludzie to obzierają, jakby jaki święty obrazek a niejeden to i pocałuje — oj! bo też warta pamiętać długo długo o takiej matce!

A gazda Michał zapytał:

— Toć pono nie zostało nic dzieci po tej pani polskiej a wy babusiu zowiecie ją matką.

Na to babusia w ten sens:

— Ale co wy gadacie! To prawda, że pono jakie 12 lat była ona za Jagiełłem królem, i nie dał jej Pan Jezus pociechy z dziateczek, ale ludzie wszyscy uprosili jej u Najświętszej Panny w tym kościele, że powiła córeczkę i to maleństwo trzymał sam ojciec święty do chrztu świętego, a biskup krakowski chrzcił to i dał takie same imię, jakie miał ojciec święty — ale i to dziecko drobne umarło i matka też umarła — a cała Polska płakała długo za tą królową, a król Jagiełło mało co nie umarł z żalu za taką pobożną i dobrą żoną. Otóż macie historyę taką o tym kościele, a jak też do domu wrócicie zdrowi, to pamiętajcie też to wszystko opowiedzieć drugim, aby też każdy polski chłop wiedział, jakto bywało kiedyś w tym polskim kraju.

I wzięła babusia stara laskę do ręki, gazda Michał podźwignął ją z ziemi, pożegnał ją pięknie, potem podumał sobie w swej głowie:

— Hej! hej! mocny Boże! ani wiatr tego nie wypowie, ani ptaszki nie wyśpiewają, ani te mury święte nie powiedzą, co to było dobrego kiedyś w tym kraju, jacy to byli chłopi, bis-

kupi, królowie! to wszystko wymarło a dziś to już nie tacy ludzie!

I włożył gazda Michał czapczynę na uszy, ręce włożył do kieszeni, wrócił do domu napowrót żelaznym wozem i czyta sobie Dzwonek i pamięta sobie o każdym królu polskim.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Pogadanki starego rolnika.

Na pogadance niedzielnej u starego Goździaka rozprawiano o powietrzu, a kiedy Goździak zaczął tłómaczyć, że ono jest czemsić a nie niczem, tak to rozciekawiło wszystkich gospodarzy w Marusicach, że jęli strasznie długą rozprawkę w ten sens. Najpierw odezwał się Bąbała:

— Jużcić macie prawdę za sobą mój Janie, że powietrze to coś, a nie nic; bo jak wetknie się butelka w wodę i potem woda bulbocze, to mówimy, że to powietrze tak z niej ucieka. Ale równie powietrze musi być strasznie delikatniutkie, kiedy przez nie tak daleko przejrzy, i dlatego nigdy nie mogę tego pomiarkować, jak się niem karmić mogą rośliny; boście ostatniej niedzieli mówili, że rośliny pożywioł dla siebie ciągną z ziemi i powietrza. Na ten przykład dojadek ludzki ziemniaki, szpyrkę, albo ta co innego, to człek widzi, i w rękę weźmie, i w gębę, potem zgryzie, posmakuje; a powietrze Boże odpuść! ni to jak woda, ni jak dojadek, zwyczajnie powietrze i jużcić.

— Ej! odezwał się na to Marcin Guz cokolwiek niecierpliwie, bajecie ta bajecie, a jedno drugiego się nie trzyma. Wy właśnie radzibyście, żeby po powietrzu latały ziemniaki gotowane, kasza, kluski, czasem kawał jakiej sztuki, wódka we flaszkach, piwo w butelkach, i ta inne różności. A przecież co innego moi kochani człowiek, a co innego trawa lub zboże, albo jakie inne ziele. Człowiekowi Pan Bóg dał zęby, a zbożu albo trawie przecież ino korzenie i liście.

— No jużcić prawda, odrzekł na to Bąbała, ale równie zawdy to dziwna rzecz, że człek tego widzieć nie może.

— Ba! jużcić że dziwna, to dziwna, odezwał się Guz, i wszyscy uciszyli się, czekając zapewne, co im na to odpowie

Janek Goździak, bacznie przysłuchujący się rozmowie. Jakoż po chwili Janek w te się odezwał słowa:

— Moi ludzie! takich dziwności to wiele jest po świecie, i jeżeli z ochotą będziecie słuchać moich rozgadek, to się pomału dowiecie o takich ciekawościach, iż z nich dopiero dowodnie przekonacie się, jak jest Bóg wielki, mądry i miłosierny i jak dobry zarazem, że człowiekowi dał taki sposób w głowie, iż tego może potrochu dochodzić i szykować się ze swem gospodarstwem, jak wypada.

Otóż widzicie moi ludzie, powietrze, choć go niby nie widzi się zaraz przed sobą, równie jednak spojrzawszy w górę, to widzicie, iż się tam cosić niebieszczy. Ludzie mówią, że to jest niebo, co w niem przemieszkuje Bóg miłosierny — ale moi kochani! to jeno nam się zdaje, bo gdzieżby to mogło być, żeby człowiek takie grzeszne stworzenie, mógł swemi grzesznemi oczami dopatrzeć takiej świętości?

— A jużcić, a jużcić, odezwano się gwarnie, człowiek niewarty, żeby się mógł takiej świętości za życia dopatrzeć.

— Prawda moi ludzie, odezwał się Goździak, dosyć dla grzesznego człowieka, iż choć w myśli swej wie, że jest niebo i że w niem Bóg miłosierny przemieszkuje. Otóż widzicie, to co się tak w górze niebieszczy, to właśnie jest powietrze: przez to pokazuje, że ma kolor błękitny, niebieskawy. Teraz więc, kiedy już wiecie, że powietrze jest taką rzeczą jak każda inna, że ma kolor błękitnawy, to wam powiem jeszcze dziwniejszą rzecz, że powietrze składa się głównie z trzech części...

— A jakże ludzie tego doszli? zapytał się zaraz Bąbała, ze wszystkich najciekawszy.

— Moi sąsiedzi, trzeba wam o tem wiele mówić, coby nas sprowadziło do innej zupełnie rozgadki, a nam zawdy wypada wszystko nakręcać do gospodarstwa. Otóż tego wam dziś nie wytłumaczę, jeno wam wszystko przełożę innym sposobem, z czego dowodnie przekonacie się, że tak jest, jak powiadam. Wszakże w barszczu, co go z łaski Bożej wszyscy codzień pożywamy, jest i kwasek z ciasta, jest i mąka i sól, czasem kawał słoniny, albo trochę mleka dla przyprawy, a równie wszystko razem nazywamy barszczem. I choć co innego jest

kwasek, co innego sól, mąka, mleko i ta inne przyprawy, a równie wszystko dobrze smakuje, i tak się pomiesza z sobą, że stanowi jedność, co nie przypomina każdej rzeczy oddzielnie. Tak samo się też dzieje z powietrzem; a ponieważ jest to rzecz delikatniutka, że się jej nie widzi prawie i nie czuje, więc i części, które składają powietrze, muszą być takie same. Naprzód więc są to gazy, które....

— A co to jest gazy? zapytał Bąbała.

— Jużcić powietrze, odrzekł Guz z niecierpliwością, niekontent z przerywania mowy Janka.

— Macie racyą mój Marcinie! odezwał się Janek, że gaz jest to część powietrza, bo kiedy przyjdziecie do obory, to czujecie jakiś odór, ale go nie widzicie....

— Oj! prawda, odezwał się Bąbała, bo nieraz tak nosem zakręci, że aż człek kichnie.

— Więc z tego dowodnie możecie się przekonać, że z gnoju, choć się tego nie widzi, ale musi się cosić wydobywać, kiedy kręci w nosie. Otóż widzicie, to się nazywa także gazem — ale gazy co powietrze składają, to są inne zupełnie, i tych jest właśnie trzy, to jest: *azot*, *kwasoród* i *kwas węglowy*. Azotem i kwasem węglowym człowiek nie może żadnym sposobem oddychać, bo jak się wypadkiem kwasów tych nałyka, tak mdleje, a nawet umiera. Gaz zaś kwasoród służy ludziom do oddychania.

— A to pocóż tamte gazy, co przynoszą szkodę człowiekowi, znajdują się w powietrzu? zapytał się Bąbała — czy nie byłoby lepiej, żeby się sam ino kwasoród w niem znajdował?

— Mój sąsiedzie, odrzekł Janek, kwasoród jest to gaz bardzo ostry, i ma taką nadaną od Boga własność, że wszystko trawi i niszczy. On to moi ludzie robi rdzę na żelazie, która go zupełnie pomału zjada, on pomaga ogniowi, że się w powietrzu pali, i on także robi to, że wszystko, co ino jest na świecie, pomału w proch się rozsypuje. Gdyby więc sam tylko w powietrzu znajdował się kwasoród, toby i ludzie i zwierzęta bardzo krótko żyli i wszystkoby wnet niszczało. Dlatego też Bóg Wszechmogący pomieszał te gazy tak z sobą, że tworzą jednę całość i stanowią powietrze zdrowe, którem człowiek żyje

i oddycha. Wszakże okowita, z której robi się wódka, żeby była nie taka tęga, i nie odbierała człowiekowi zdrowia, to się dolewa do niej woda, i robi się z tego napitek, co w miarę użyty pokrzepia człowieka i dodaje mu sił do pracy. A równie woda jest co innego, a okowita co innego, razem zaś pomieszane robią wódkę, którą znacie wszyscy dobrze.

— Ba! wódki byśmy nie znali, odezwał się jeden z gospodarzy, ale najlepiej to ją zna Józwa Grudziak; ino jakoś nie żyją z sobą w przyjaźni, bo wczoraj to się tak nim naponiewierała, narozbijała, że gdyby brat był nie odprowadził do domu, to pewnikiem utknąłby gdzie w błocie i zalał się na śmierć.

— O! już to wy do obmówiska to jeden, odezwał się Marcin Guz, i wyście nieraz kaczki uczciwie zaganiali, a równie nikt z was nie wykpiwał.

I jeszcze sobie więcej zaczęli wymawiać: ten dołożył trochę, ten trochę, ten słowo, ten dwa, i byliby pewnikiem powadzili się z sobą, ale z gniewem odezwał się Bąbała:

— Przygania motyka gracy, a oba jednacy. Nikt pono kieliszka za kołnierz nie wyleje, ino prosto w gardziel, to i po co po próżnicy takie gadki wywodzić. Oj! bajbugi! zamiast słuchać Jana, co nam takie ciekawe rzeczy rozpowiada, to oni się wadzą, nikiej maluśkie dzieci.

Na takie odezwanie się ludziska zaraz pomiarkowali, że Bąbała ma racyą. Uciszyli się więc natychmiast, a Janek po chwili odezwał się:

— Moi ludzie, widzicie, że z wódki to nigdy nic dobrego nie wychodzi. Ot na ten przykład teraz, nie pijecie, ino o niej mówicie, a o mało co nie przyszło do kłótni, swarów, obrazy Boskiej Cóż się to dopiero dzieje, kiedy człek naleje jej w żywot co niemiara, i już nie człowiek wódką, ale wódka rządzi człowiekiem? Ileż to wtenczas musi człek nagrzeszyć, naobrażać Pana Boga, naniszczyć zdrowia? Ale dajmy temu pokój; muszę wam skończyć o gazach, co powietrze składają.

— Dobrze mówicie mój Janie, odezwał się na to Bąbała; grzechów na świecie i tak co niemiara, pocóż więc o największym z nich, o gorzałce marnować waszą poczciwą i mądrą

gadkę? Gadajcie więc dalej swoje, a gorzałka żeby się zatraciła, toby pono najlepiej było na świecie.

— Oj! to prawda, oj! to prawda, potwierdzono do koła. a jeden dodał ze złością!

— Żeby zdechła, jak pies nie przymierzając.

Wszyscy się na to rozśmieli, potaknęli, a gdy się uspokoili, Janek znowu prowadził swoję naukę:

— Otóż moi ludzie, żeby więc niebardzo niszczył kwasoród to, co Bóg stworzył na świecie, pomieszany z nim został azot i kwas węglowy, z których znowu kwasoród robi to, że powietrzem możemy oddychać. Żeby zaś was przekonać, że gazy te są takie, jak o nich mówię, to wam przypomnę to, co słyszeliście może nieraz, że jak się przypadkiem gdzie odkryje jaki stary loch, albo starą piwnicę, zawaloną gruzem albo ziemią, to ludzie naprzód pomaluśku, ostrożnie, wpuszczają tam latarnią zapaloną, albo jakie łuczyno, i jeżeli ogień zgaśnie, to nie wchodzą, i póty czekają, póty z ogniem probują, aż ten tak się palić będzie jak na świecie. Wiele razy bowiem takiej próby nie robiono i człowiek śmiało wszedł do lochu lub piwnicy, to najczęściej nieostrożność swą przypłacał śmiercią.

— A prawda, prawda, potwierdzono do koła, ale dlaczego to się tak dzieje?

— Dlatego widzicie, że ponieważ kwasoród wszystko niszczy i rozkrusza, więc się wytrawia i ginie, jeżeli go zkądinąd nie przybywa. W zamkniętym więc od dawien dawna lochu pomało kwasoród znika zupełnie z powietrza, a zostaje sam tylko azot i kwas węglowy, któremi, jak wam to już przełożyłem, człowiek ani żyć ani oddychać nie może, ani też w nich nic się nie może palić płomieniem. Jak więc loch przewietrzy się, czyli jak najdzie świeże powietrze z kwasorodem, co poznaje się, jeżeli ogień w lochu będzie się palił, to dopiero śmiało w loch iść można, bo ogień pokazuje, że w powietrzu jest dosyę kwasorodu, więc człowiek będzie miał czem oddychać.

Że powietrze czasem różne składają gazy, to się można przekonać z tego, iż często czuje się jakby jaki miły zapach, albo smród nieprzyjemny. Na ten przykład z kwiatów, z pieczonego chleba, z różnej warzy, co się w garnkach gotuje, albo

wreszcie z jakiej zgnilizny, co ledwo nie urwie nosa. Że zaś kwasorodu naprawdę ubywa, to się możecie przekonać o tem każdego dnia w domu u siebie. Bo jeżeli ze świeżego powietrza wejdziecie rano do izby, gdzie ino co dzieci i żona wstaną ze spania, to mówicie zaraz: ach! jaki zaduch, i otwieracie drzwi albo okno, żeby wpuścić świeże powietrze. Zkądże bierze się ten zaduch? a jużcić z tego, że ponieważ ze świata powietrze nie miało wiele przystępu do zamkniętej izby, więc ludzie, co w niej spali, wyłykali wiele kwasorodu, więc z tego zrobiło się powietrze inne, zwłaszcza, że przymieszały się do tego różne inne wyziewy, które ciągle z człowieka wychodzą, przez poty, oddychanie i t. d.

— Dobrze to wszystko mój Janie, odezwał się Bąbała, ale powiedzcie mi, dlaczego Pan Bóg miłosierny w swej mądrości nie stworzył jedno ino powietrze, ale go dopiero z trzech gazów ufundował? Przeciećby to było lepiej na świecie, i ludzie przy robocie różnych nie miewaliby wypadków, jak to i u nas się zdarzyło przy odwalaniu starej piwnicy.

— Moi kochani sąsiedzi, odrzekł Janek, wszystko, co ino Bóg stworzył, jest tak mądre, tak wielkie, że każda rzecz nietylko jest dobrą i pożyteczną, ale nawet koniecznie potrzebną, bo bez niej strach pomyśleć, coby za nieszczęścia mogły wypaść dla ludzi. Dlatego też widzicie moi ludzie, żeby powietrze składało się z jednego tylko gazu, toby ludzie, zwierzęta, ptaki, wyłykały go po malutku, zostałyby same wyziewy i wszystkie stworzenia musiałyby wyginąć. Bóg więc Wszechmogący chroniąc świat od tego, zrobił tak, że na świecie nic nie ginie ino wszystko przerabia się, to w to, to w owo, i co jednej rzeczy z tej strony ubywa, to jej z drugiej przybywa, i tak ciągle het! bez końca. Dlatego kwasorodem z powietrza żyją ludzie i zwierzęta, poczęści azotem, a głównie kwasem węglowym wszystkie rośliny, tak najmniejsze jak i największe. Jak więc człowiek połknie w siebie powietrze, to kwasoród ginie przez to, a człowiek wyziewa z siebie kwas węglowy. Jak znowu rośliny z powietrza wciągną w siebie liściami kwas węglowy, to zatrzymają to w sobie co wypada, a kwasoród nazad oddają. Co więc w powietrzu człowiek psuje oddychaniem, to znowu napra-

wiają rośliny, i dlatego to w ogrodzie, albo w lesie tak miło jest oddychać, ponieważ w tych miejscach jest dużo drzew i roślin, co wydają zdrowe wyziewy, ów najzdrowszy gaz dla człowieka, a łykają z powietrza kwas węglowy, którym człowiek oddychać nie może.

— A to dziwy, a to dziwy! zawołano dokoła, pokręcając głowami, a Janek dodał:

— Moi ludzie, cieszy mnie to bardzo, że tak baczycie na moję gadkę, bo z niej widzicie najdowodniej, że każda nauka, nietylko jest na to, żeby z niej było człowiekowi lepiej na świecie, ale i na to, że z nauki przekonywa się człek dowodnie, jak jest maluśkiem i nic nieznaczącem stworzeniem, że ino korzyć się powinien przed wielkością Boską i Jego Opatrznością, za wszystkie dary i dobrodziejstwa, jakie z Jego łaski odebrał. Nauka więc nietylko przynosi człekowi różne wygody, ale i robi go codzień lepszym, poczciwszym, i że dlatego i kochać i bać się Go powinien.

— Oj! prawda, oj! prawda, potwierdzili wszyscy, a Bąbała odezwał się:

— Mój Janie na wszystko przystaję, co mówicie, bo tak jest, że człek czy to chłop, czy pan, czy wielki, czy mały, to nic nie znaczy; ale powiedzcie mi, jakim to sposobem się robi, że rośliny łykają, jak mówicie kwas węglowy?

— Moi sąsiedzi, o tem powiem wam poźniej, bo to obszerna gadka, a teraz zostańcie z Bogiem.

I na tem ukończyła się pogadanka Janka o powietrzu i jego składowych częściach. *Cz. N.*

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo w Kościejowie. Dnia 17 września odprawiło się w kościele parafialnym w Kościejowie pod Lwowem żałobne nabożeństwo za dusze wszystkich braci naszych, którzy zginęli tego roku w wojnie z Moskalem. Nabożeństwo to sprawili włościanie tameczni własnym kosztem. Na środku kościoła był dziwnie piękny katafalk, oświecony rzęsiście, a do okoła opasany ogromnym wieńcem z liści dębowych. Po obydwóch stronach katafalku stało ze świecami w ręku 18 dziewcząt wiejskich, biało ubranych, w żałobnych wstążeczkach, a między niemi 8 panienek w grubej żałobie. Modlono się bardzo gorąco i serdecznie, i śpiewano także pieśni nabożne.

Uczyniono także składkę, a po zapłaceniu kosztów kościelnych zostało jeszcze 10 reńskich. Xięża nic za nabożeństwo nie chcieli wziąć. Zaś owe 10 reńskich posłano naszym biednym braciom rannym w wojnie, którzy leżą w szpitalu Sokalskim.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

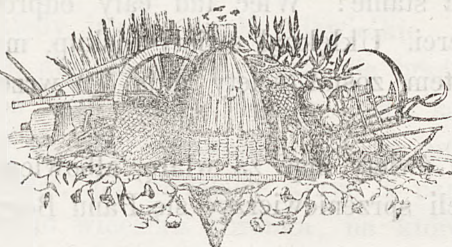
Tom IX.

Nr. 11.

11. Października

1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty biskup Cypryan.

Był w Afryce za bardzo dawnych czasów zacny i święty biskup Cypryan, o którym tak piszą w xięgach świętych.

Biskup Cypryan był pobożny, pokorny, łagodny i bardzo uczony. Był także ojcem dla ubogich, bo ojciec dla dzieci własnych lepszym być nie może. Żaden biedny z próżną ręką od niego nie wyszedł, bo dom jego i dostatki stały otworem dla wszystkich.

Za tę dobroć jego i świętość okrótnie prześladowali go poganie. Najpierw rok cały był na wygnaniu, a potem zginął za wiarę.

Rządził wówczas Afryką, gdzie Cypryan był biskupem, pewien poganin Maxym, a ten wiele krwi niewinnej przelał. Kazał więc pojmać biskupa Cypryana i stawić przed siebie. Kiedy się ta wieść rozeszła między ludźmi, zbiegło się całe miasto do biskupa. Powstał między ludźmi płacz okrótny, i wszyscy modlili się gorąco, aby Pan Bóg obronił biskupa.

Zaś Maxym okrutny tak rozkazał: biskup ma być ścięty. A biskup odpowiedział: Bogu dzięki, boć to śmierć za wiarę świętą.

Teraz więc okrótny płacz rozległ się między ludźmi i wołano zewsząd: i my pójdziemy z nim na śmierć, bo cóż się z nami bez ojca stanie! Więc lud cały odprowadzał biskupa na miejsce śmierci. Uklęknął święty biskup, modlił się krótko i gorąco, a potem został ścięty dnia 12 września roku pańskiego 258.

Tak zginął święty mąż za wiarę, albowiem lepiej jest ginąć za nię, niżeli sprzeniewierzyć się Panu Bogu i świętej jego nauce.

Stróż nocny.

Hej! panowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze;
Módlcie się wprzód przed uspieniem,
Rachujcie się z swem sumieniem.
Kto czysty, niech spi bezpieczny,
Bo nad nim czuwa Bóg wieczny.

Hej! panowie gospodarze,
Jedenasta na zegarze;
Kto jeszcze ciężko pracuje,
Lub w zabawie czas marnuje,
Niech go własne dobro wzruszy,
Niech spocznie ciału i duszy.

Hej! panowie gospodarze,
Już dwunasta na zegarze;
Komu boleść serce kraje,
I noc spoczynku nie daje;
Niech tego Bóg uspokoi,
Niech mu rany serca zgoi.

Hej! panowie gospodarze,
Już jest pierwsza na zegarze;
Kto z szatańskiej rady, chęci,
Po drogach zbrodni się kręci,
Niech nie myśli, że bezpieczny,
Bóg go widzi, sędzia wieczny.

Hej! panowie gospodarze,
Już jest druga na zegarze;
Kogo nim ranek zaświta.
Boleść budzi, a żal wita,
Ten nie zamknie już powieki,
Niech szuka Boskiej opieki.

Hej! panowie gospodarze,
Już jest trzecia na zegarze;
Zorza wschodzi złotolita —
Kto spokojnie dzień powita
Niech klęknie do Bożej chwały,
I pracuje przez dzień cały.

PODPALACZ.

Na naszej polskiej Kalwaryi, co ją to fundowali pobożni dawni Polacy na chwałę bożą i dla nabożeństwa ludzi, są przeróżne kaplice męki pańskiej, a koło tych kaplic widać tam

starych dziadków, co to życie swoje oddają teraz całkiem pobożności i modlitwom i gotują się na śmierć i na sąd boży, a jeźli ta mieli kiedy jakie grzechy niewielkie, to żałują teraz i pokutują za nie, aby na tamten świat nie brać z sobą żadnych grzechów. Otóż koło jednej kaplicy siedzi sobie dziadowinka skulony, chusty na nim zwyczajnie jak na pustelniku, głowa siwiutka jak śnieg, na piersiach krzyż z panem Jezusem, a w ręce od rana do wieczora koronka, na której odmawia paciorki to za swoję duszę, to za dusze wszystkie, to za błogosławieństwo żywych, a westchnie też nie raz i za tymi Polakami, co to się biją z Moskalami za wiarę świętą i za swój kraj polski. A kto też koło niego idzie, to mu tam wrazi zawsze co do ręki i wymieni swoje potrzeby. Otóż tego roku przyjechała tam jedna fura, na której leżał chłop chorowity, a chłopak jakiś poganiał konie. I wysadzili z wozu tego chorego i prowadzili do tej kaplicy, gdzie sobie siedział pustelnik.

Chory chłop wszedł do kaplicy, klęknął i modlił się, leżał krzyżem z godzinę a potem wstał, usiadł sobie na ziemi około pustelnika i tak go zagadał:

— Oj dziadku! dziadku! jaki z was szczęśliwy musi być człowiek, że macie sumienie spokojne, że tu siedzicie tak blisko samego Pana Jezusa i nie robicie nic złego, ani nawet pomyślenia na to nie macie, a o duszyczkę swoją tak się staracie, aby też to stworzenie boskie nie zmarniało i nie zaginęło na wieki na tamtym świecie.

A pustelnik przestał mówić paciorek z koronki i odezwał się:

— A cóżto wam takiego, że mi niby zazdrościcie tego chlebusia i życia cichego? toć i wasze samienie może być czyste i spokojne.

Na to mu rzecze z płaczem chory chłop:

— Oj dziadusienku dobry! poszło moje sumienie z złym wiatrem! o już ja nie będę spokojny pono i na tamtym świecie.

A pustelnik zadumany pyta się:

— A cóż to wy takiego zrobili na świecie bożym? toć przecie nie zabiliście nikogo, ani okradli?

A chory chłop gada:

— Ani jedno ani drugie, to prawda święta, ale mam ja straszny grzech na duszy — oj dziadku! dziadku ja spaliłem mego sąsiada i to z gniewu i zemsty.

Na to gadanie, aż odleciał od niego pustelnik na kilka kroków, złożył ręce i podniósł oczy do nieba i ze łzami się modlił długo i długo. Potem otarł sobie zapłakane oczy, zbliżył się do chorego chłopa, założył na krzyż ręce i kiwając głową siwiutką mówił mu:

— A co też ty grzeszny człowiecze gadasz? i ty byś mógł to zrobić i spalić kogo drugiego z jego pracą i zarobkiem? A toćby to na to dawał Pan Jezus miłosierny ręce i palce u rąk, aby gubić drugiego? a głowę na to, aby aż przemyśliwać nad zgubą czyją? a serce na to, aby się gniewało na kogo i gubiło go? a duszę na to, aby ją grzechami struć i diabłu przeklętemu oddać na wieki?

A chory chłop na to gadał:

— Tak dziadku dobry! i ręce moje przeklęte, i głowa moja przeklęta, i serce przeklęte, a z duszą moją, to już nie wiem co tam będzie, ta jest w mocy Pana Jezusa, jeźli moja pokuta nie przemieni tego, to trza zaginąć na wieki. Odejdźcie dziadku pobożny odemnie, bo ja nie wartem tego, abyście stali blisko mnie, ja nie wartem za wasz cień ani za jedno słowo wasze — a jeźliście łaskawi, to zaczekajcie troche, a ja wam opowiem wszystko.

I stanął pustelnik zadumany z daleka, a chory chłop tak jął opowiadać.

— Ot widzicie dziadku dobry! niejeden chłop na wsi to nieraz ani podobny na stworzenie boskie — bo to ani nie chodził do szkoły, ani na żadną naukę, jeno trochę matka przeuczyła za młodu, a potem ma naukę z dworu i kościoła. Jeźli nie słucha matki, ani rady z dworu ani nauki w kościele, to taki chłop nie wart i za dobre bydle, które ciągnie i robi na niego.

I ja byłem taki głupi i durny, o matkę nie stałem nic a nic, rady od pana i pani nie brałem sobie do serca, a do kościoła to kiedyś niekiedyś poszedłem, a choć tam xiądz gadał jakie kazanie, to mi tam ledwo piąte przez dziesiąte lazło do

głupiej głowy, ale za to do tańca i do bitki to byłem herszt najpierwszy. Było co jeść, bo ojciec zapracował krwawo i pozostawił pracy dosyć. Ożeniła mię matka, ale ta i taka była moja baba, jak i ja sam — do Boga i do ludzi to mało co podobne, jeno na złe i na pijatykę to zawsze gotowiusienka. I widzicie dziadku jeden mój sąsiad był pobożny człek i zawsze mi po trzeźwemu gadał:

— Ej Szymku! Szymku nie masz ty głuptalu! w sercu ani Boga ani miłość dla ludzi, o zobaczysz, że marnie pójdziesz ze świata! a weź babę pijaczkę w karby i zostań gospodarzem, jak się patrzy i jak to był twój pomarły rodzic, a będzie ci dobrze.

Na to odpowiedział pustelnik:

— To był dopiero mądry sąsiad, co wam tak dobrze gadał! ale czemu to nie było posłuchać?

— Ha! czemu nie było słuchać! — odpowie chory — toć to wiecie, co to znaczy zła baba na wsi, to i za sto złych obstoi i przetrzyma cię. Otóż jakoś nam to było trochę wstyd, że to jeden i drugi jakoś żyje nie źle, jeno ja sam byłem niedobry, a potem było mi markotno, że sąsiedzi patrzali krzywo na mnie, a osobliwie ten jeden, niejaki Jantek Piątek, co mi tak dopiekał gadaniem rano i wieczór — moja zła baba buntowała mię zawsze na niego i raz, pamiętam jak dzień dzisiejszy było to w niedzielę, przyszliśmy do dom oboje pijani, bośmy i na mszy świętej nie byli wtedy, moja baba wzięła dębowy węgiel, rozdmuchała go dobrze, obwinęła w kawałek szmaty i wraziła mi koniecznie w palce i kazała pójść i włożyć pod strzechę stajenki tego Jantka Piątka — i ja to zrobił i spaliło się wtedy troje dzieci temu Jantkowi i chudoba cała i do tego 5 gospodarzów prawie o północy samej.

Na to gadanie płakał ciągle pustelnik, a potem zapytał:

— I jakto nie było za to żadnej kary? i ty grzeszniku żyjesz jeszcze i chodzisz po tej ziemi? a cóż się stało z twoją babą?

— A coby innego — rzecze chory — jeźli nie oczywista kara boska! ona niby udawała niewinną i poszła ratować chałupę jednę, w tem powała spadła na nią i wypaliło jej oczy

jak cebule, a ręce i nogi opiekło aż po łokcie i po kolana, bok jeden i plecy oparzyło tak, że aż było wnętrzności widać, a ona przecie żyła jeszcze dobę całą i z jękiem strasznym umarła o tej samej godzinie, o której my podpalili sąsiada stajenkę. Co się tam porobiło z jej duszą na tamtym świecie, to wie to sam Pan Jezus, ale ciągle coś dotąd straszy koło tego grobu, gdzie ona pochowana leży. Ja zaś zostałem z tym chłopakiem sam jeden jak palec, i odtąd jakby uciął wszystko i jakby kto odjął odemnie błogosławieństwo boże, bo wszystko po ojcu poszło w poniewierkę a ja na starość zostałem dziadem, ale grzesznym dziadem, a nie takim, jak wy dziadku dobry i pobożny!

Na to rzecze mu pustelnik:

— A widzisz teraz na żywe oczy i masz znak boży sam na sobie i na twojej pracy, że to do czasu nosi dzbanek wodę — dzbanek z gliny zbije się i człowiek każdy jest gliniany i rozsypie się na rozkaz boży — jeno jeden rozsypie się cicho bez wielkiego bolu, a drugiemu połami Pan Jezus to ręce to nogi za grzechy wielkie, to mu zatka złe oczy, to mu pokrzywi kości jak bednarz obręczki, to mu popsuje wnętrzności, aby usechł powoleńku jak drzewo w ogrodzie, to go utrapi wyrzutami sumienia — ale to wszystko zostanie w grobie i ziemia święta to przykryje, jeno dusza! dusza! ta pójdzie na tamten świat takusienka, jak ją sam głupi człowiek pokrzywi i pokaleczy grzechami i taka pozostanie na wieki, chyba że znajdzie zmiłowanie jakie od Boga, ale i to zmiłowanie nie przyjdzie darmo, jeno trza pokutą, łzami i naprawą dobrą wyprosić go sobie u Boga.

— Oj prawdę gadacie dziadusiu dobry — odpowie chory — i ja byłem jak dąb mocny, ani mię palec nie zabolał nigdy, a co to się porobiło ze mną? oto zawiał jakiś niedobry wiater na mnię i odtąd prawa ręka, jak sucha gałęź na drzewie, bez czucia i życia, a nogą prawą zamiatam, jakby starą miotłą po izbie — i to mi się stało rok potemu, kiedym podpalił sąsiada, i to w ten sam dzień i o samej północy — śniło mi się, że moja nieboszczka wołała na mnię: Idź Szymku i podpal Jantka, a ja się zerwał, a tu ręką i nogą ani rusz, i upadłem na ziemię

jak długi i teraz ani mię jedzenie jakie, ani picie, ani spanie jeno utrapienie i utrapienie i schnę cały jak gałązka złamana na wierzbie i widzę to, że już nie długo pochodzę po tej ziemi — ale ciało jak ciało, boć to jeno glina, jeno dusza moja mię obchodzi strasznie, bo to nie żart wpaść w rękę Boga sprawiedliwego.

I zaturbował się strasznie ten chory chłop i zaczął płakać i obrócił się ku kaplicy, gdzie stał Pan Jezus przykuty łańcuchem do słupa a pustelnik tak mu jął prawić:

— Widzisz teraz, jak to nie minie nikogo kara boża! ujdzie nie jeden podpalacz kryminału i kary ludzkiej, to prawda, ale nie ujdzie żaden Boga, bo gdzież się schowa przed Bogiem? Kara boża zaczyna się na ziemi za życia, a nieraz zaczyna się koło grobu dopiero, ale za grobem nie mija nigdy i cesarza i króla, i pana i chłopa, i xiędza i biskupa i nikogusienko z ludzi! ciebie i tysiące takich pokarał Pan Jezus niedługo, a innych połapie po śmierci, jak ptaka do klatki — ciebie połamał za życia, bo ci odjął rękę, coś nią pił i podpalił sąsiada, odjął ci nogę, coś nią pierwszy krok za próg do złego uczynił, a teraz schniesz, jak siano na słonku, i musisz umierać i stanąć na sąd boży — ale ty jeszcze może nie zaginiesz na wieki, boś tylko raz tak zgrzeszył i teraz ci żal tego i pokutujesz za to ciężko, ale co będzie z tymi podpalaczami, co to nieraz jeden robią ten straszny grzech i nie żal im tego, ani się nie poprawią nigdy? co będzie z tymi, co to buntują drugich do tego grzechu, albo nieraz mają złe pomyślenie na to? Ja ci radzę jeszcze ty grzeszniku, abyś jeździł po wszystkich wsiach i opowiadał to, coś ty porobił jakby na złość Panu Jezusowi, a co tobie znowu za to zrobił Pan Jezus sprawiedliwy, aby też grzeszni ludziska wiedzieli raz na zawsze, że to nie trza nigdy przenigdy drugiemu robić krzywdę ani ogniem, ani cygaństwem, ani ręką ani językiem, bo to obraza boska i publika straszna i hańba co nie miara tak na tym jak i na tamtym świecie. — A teraz idź sobie dalej po kaplicach i proś miłosierdzia bożego dla siebie i dla innych podpalaczów, proś, aby się oni tak upamiętali i poprawili, jak ty zrobił.

I odszedł chory chłop i poszedł na kulach dalej, tam gdzie siedział na ziemi koło pustelnika, zostały po nim łzy, a może też widział Pan Jezus z tej kaplicy jego żal i zmiłuje się nad jego duszą i nie potępi ją na wieki! Pustelnik zmówił paciorek za nim i przeżegnał go ręką. A gdzie on teraz? może już w grobie i osądzony! A gdzie jego biedna dusza? Dowiedzą się ludzie na sądnym dniu.

I wy też moi kochani ludzie! nie palcie jeden drugiego ani w złości, ani w zemście, ani z namowy, ani po pijanemu — pilnujcie ognia dobrze i nie róbcie z nim złego, aby i was nie karał Pan Jezus tak, jak tego biedaka Szymka.

Xiądz Wojciech z Medyki.

PTAKI.

Niepodobna znaleźć człowieka, któryby nie lubił ptaków. Te miłe i wdzięczne stworzenia sprawiają wiele przyjemności i wiele także dają pożytku. Kiedy na wiosnę zaczyna się praca koło ziemi, kiedy jeszcze chłód na dworze a w około czarno i pusto, już wtedy miły skowronek podlatuje nad pługiem i przyśpiewuje oraczowi, że aż praca ciężka lepiej idzie. A jak się już lasy zazielenieję i kwiatów moc niezliczona wyrośnie, toć ptaszęta jeszcze więcej piękności i życia dodają wszystkiemu. Gdyby nie śpiew ptasząt po polach i lasach, mniej wesołości byłoby na świecie, mniej uciechy dla ludzi. Kiedy rankami i wieczorem dzwoni słowik w wiklinie, toć miło człowiekowi posłuchać tego śpiewania; a kiedy w lesie gęstym natrafisz na całe chóry ptasząt, to wnet jakoś weselej i śmielej na sercu ci będzie. Więc niema gadania, iż ptaszki są stworzenia wdzięczne i miłe.

Zaś na tem jeszcze nie koniec, bo ptaszki są także użyteczne, i w gospodarstwie wiele pomagają człowiekowi, tak iż się obejść bez nich trudno.

Jakiżto pożytek z nich? zapyta niejeden z was moi mili. Oto daleko większy niż się spodziewacie. Popatrzcieno w lecie nad bagna, jakie to tam mnóstwo much i komarów lata nad

niemi. Każde z nich znosi tysiąc jaj, a gdyby to wszystko urosło, więc i słońce pewnikiem zasłoniłyby takie chmury. Otóż kto temu zaradzi? — Jużcić nikt inszy jeno ptaki. Ptaki zjadają dziennie ogromną ilość takich owadów, bo już tak Pan Bóg stworzył świat, aby na każde nieszczęście była zaraz i pomoc łatwa.

Idźmy teraz dalej moi mili, idźmy w lasy. Ktoby z was pomyślał, że tę zieloność drzew, że życie drzew należy także zawdzięczyć ptakom. A toż znowu jakim sposobem? zapyta który. Oto takim, iż bez nich poniszczałyby lasy całe od owadów. Spojrzyjcie tylko, ile tego jest na każdym krzaczku, ile tam gąsieniec po liściach. Bywały takie wypadki, iż całe lasy zaczęły niszczeć i niknąć. Ludzie w głowy zachodzili za sposobami, jakby temu zaradzić. Więc kopano najpierw rowy szerokie i zalewano je wodą, aby tak gąsienice nie mogły przechodzić na drugą stronę. Ależ kto nastarczy rowów takich po lasach. Więc znowu wpędzano trzody do lasów. I cóż się stało? Oto pomocy prawie żadnej a szkody huk, bo świnie ryjąc psuły korzonki u roślin a żarłoczniejsze zjadały gąsienice i zdychały od nich. Naostatek zbierano gąsienice i niszczono. No to już każdy łatwo zmiarkuje, że cała ta praca była na nic, bo jakżeż nastarczyć ludzi do takiej roboty. Otóż pokazało się wreszcie, że tylko ptaki temu pomogą, bo ich na to sam Pan Bóg stworzył. Na ziemi bożej nic nie próżnuje, chyba tylko człowiek jaki leniuszysko. Patrzcież że te maleńkie stworzenia, ptaszki mają także robotę, i wedle rozkazu Bożego muszą ją wypełniać, a pracują one daleko chętniej i pilniej niż wielu ludzi.

Abyście nie myśleli że ja wam bajki prawię, to wam rozpowiem jedną historyę, która się stała nie tak bardzo dawno, a wie o niej świat cały:

Był u Prusaków król niemiecki, a ten się zwał Fryderyk II, i byłci czasami dziwak z niego. Otóż lubił on okrótnie wiśnie, a iżby ich wróble nie zjadały, więc wydał rozkaz aby w całym kraju łapać, strzelać i niszczyć wróble, i przeznaczył za każdego wróbla 3 grosze nagrody. No i cóż się stało? Oto do dwoch lat wypłacono na nagrody wiele bardzo tysięcy złotych,

wyniszczono wróble, ale od tego czasu nietylko wiśni nie było, ale nawet listka zielonego nigdzie nie ujrzałeś, tak owady różne objadły wszystko. Król Fryderyk musiał z dalekich krajów sprowadzać wróble, i od tego czasu nakazał je szanować.

Do najszkodliwszych owadów w lasach iglastych należy sosnowiec. Samice tego owadu składają w lipcu i sierpniu jajka na pniu i gałęziach, a każda najmniej 800 jajek znosi. Otóż łatwo zmiarkować, jakieby z tego były szkody, żeby nie sikory leśne, które je wyzbierają. Każda sikora zjada na dzień parę tysięcy jajeczek takich. Oprócz sikor łowią także owady takie kowaliki czyli dzięcioły małe, które biegają zręcznie po pniach, i kują dzióbem dla wystraszenia gąsienic i chrząszczów z pod kory drzewa.

Inny bardzo pożyteczny ptaszek jest kukułka, a tę już każdy znać będzie. Prawią o niej dziwa i bajki, iż wypija innym ptakom jaja a potem się w krogulca przemienia. Jużci to bajki jeno, i tylko ten będzie je gadał, co się na niczem nie rozumie. Kukułka wywodzi małe jak każden inny ptak, a jest tak użyteczny jak mało który. Przed kilkunastu laty zaczął na Pomorzu schnąć las sosnowy od gąsienic. Radzili ludziska różnie nad sposobami, a nic nie pomagało, i już było turbacyj a lamentów nie mało. Na ostatek już pod zimę nadleciały tam kukułki wielkiemi stadami, i takci wnet uratowały las od zniszczenia a potem dalej poleciały.

Znowu dzięcioły także bardzo użyteczne bywają. Trzeba wiedzieć, iż dzięcioł nigdy w zdrowem drzewie nie kuje i nie psuje go nigdy, a jeno w takiem, gdzie pod korą znachodzi się robactwo.

Takie bywają pożytki z małych ptaków. Ale i z większych także nie mało jest pomocy, a nawet z takich, jak sowa i jastrzębie. Toć to te ptaki łowią po polach myszy, a jaki to szkodnik mysz, to każdy będzie wiedział i bez długiego gadania.

Toć moi mili powtarzam wam jeszcze raz, że Pan Bóg nic nie stworzył bez potrzeby, i że wszystko co żyje, jest użytecznem. Długoby o tem gadać, aby wszystko dokumentnie pokazać, więc tylko wam krótko przypomnę, że Pan Bóg dla

tego zwie się najmądrzejszym, iż wszystko co stworzył, jest rozsądne i mądre. Dlatego moi mili dbajcie o to, aby nie krzywdzić te stworzenia boskie ze swawoli jeno i z pustoty. Niszczenie gniazd ptasich przez chłopców, to swawola i grzech, i szkoda. Więc tego nie pozwalać im. Zaś na takiej psocie przyucza się chłopak do gorszego, więc i na to baczyć należy.

Na ostatek moi mili proszę was, jak usłyszycie piękne śpiewanie ptaszków, to pomyślcie sobie zawsze o mądrości Boskiej. Takie pomyślenie o Bogu wiedzie do dobrego, a tego życzę wam serdecznie.

Piękne przykłady.

Pobożny dozorca Michał Łosik.

Słyszeliście już nieraz, kochani gospodarze, o mieście Bochni, gdzie to jeszcze od czasów Bolesława Wstydliwego, króla polskiego a męża świętej Kunegundy, która się najwięcej przyczyniła do odkrycia kopalni tutejszej, sól kopią i gdzie do dziś dnia stoi bardzo wielki i wspaniały kościół, co miał być założony od tej świętej królowy polskiej.

Owoż w tem mieście najwięcej mieszka górników, bo ich też dużo potrzeba do kopania soli. Zaś są to ludziska bardzo poczciwi i pracowici jak rzadko; dlatego więc każdy z nich chociaż przy małym zarobku za ciężką pracę, ma jakie takie obejście, ładny ogródek i spory kawałek pola.

Są też przytem pobożni, chodzą licznie co niedziela i święta do kościoła i na każdą procesyę — a co do szkoły, to dzieci posyłają bardzo pilnie, aby się przecie nauczyły pożytecznych wiadomości i zostały dobrymi ludźmi na świecie i nie potrzebowały tak ciężko jak rodzice pracować na kawałek chleba.

Gdy się znowu spuszczają na dół do pracy na linie albo po schodach, każdy mówi pacierz albo śpiewa pieśń nabożną, aby go Pan Jezus zachował od jakiej przygody i niebezpieczeństwa, o co na dole nie trudno: dlatego też źli ludzie rzadko się znajdują między nimi.

Kilka lat temu poznałem się z jednym takim górnikiem, a że on może być przykładem i dla was moi mili ludkowie, owoż chcę wam o nim co nieco opowiedzieć. Jest on cokolwiek więcej starszym od innych, albowiem służy za dozorcę, co znaczy, że doziera kilku górników przy robocie na dole.

Zaś jaki to człek zacny i uczciwy, to warto o nim posłuchać.

Jestci niedaleko za miastem niewielka, murowana kapliczka, podobno na tem samem miejscu wystawiona, gdzie dawnemi czasy miał stać kościół Najświętszej Panny Maryi, który Szwedzi niewiary spalili i zrabowali tak okrótnie, że tylko mury pozostały i nic więcej.

Mury pozostałe nazwali ludzie Murowianką, a od tego czasu nazywa się tak samo owe miejsce i kapliczka, co tu teraz stoi.

Jak prawią starzy ludzie, pamiętne to jest miejsce i z tego, że tędy miała uciekać święta Kunegunda, kiedy na Polskę napadli dzicy Tatarzy.

Przed niedawnemi czasy było to miejsce na rolę obrócone, pusto tu było i głucho, często jednak przychodzili tu ludzie z Bochni na wodę do studzienki, która i teraz znajduje się przy samej kaplicy.

Każdego coś tutaj nęciło, a miarkując sobie, że to musi być miejsce, które sobie szczególnie upodobała Najświętsza Panienka, uradzili ludzie aby tu na Jej cześć wystawić kapliczkę. Ale z czasem jakoś zapomnieli o tem i nic nie zrobili.

Gdy się zaś Michał Łosik dowiedział o co rzecz idzie, pomimo że nie miał dużo pieniędzy, idzie on do swoich braci i tak do nich powiada:

— Musimy koniecznie zrobić między sobą składkę i wystawić za te pieniędze kapliczkę, boć to przecie będzie ładna pamiątka dla naszych dzieci.

I zaraz bracia Tomasz i Wincenty przystali na to, ale cóż z tego! kiedy pieniądze, które złożyli nie wystarczały jeszcze na kaplicę.

Owoż poczciwy Michał jak nie zacznie prosić obywateli i mieszczan o wsparcie, tak ci w krótkim czasie dużo nazbierał

pieniędzy, i nie tylko na drewnianą ale na murowaną wystarczyło kaplicę. Było to roku 1854.

Niebawem rozpoczął on budowę kaplicy i wszystko już miał przygotowane — rozchodziło mu się jeno o obraz do ołtarza.

Zdarzyło się akuratnie, że w tym czasie poszedł Michał po jakimś interesie do Stanisława Cyza także górnika ze salin.

Gdy wszedł do izby, zobaczył dziwnie piękną figurę Matki Boskiej Anielskiej. Aż poweselał na to widzenie; nie gada już o interesie tylko mówi:

A zkądeściewy mój Stanisławie, wzięli taką piękną figurę? Nie moglibyście mi jej podarować do kaplicy, którą buduję?

A Cyz jął w ten sens opowiadać:

— Słuchajcie! tej figury to jest taka historya. Najprzód zostawała ona u xiędza proboszcza w Krzyżanowicach. Jeden zaś krawiec Gargul nazwiskiem robiąc tam na plebanii, upodobał sobie tę figurę i prosił o jej darowanie. Xiądz proboszcz zezwolił na to, a krawiec przyniósł ją do domu. Po nie długim czasie darował on tę figurę swojemu krewnemu Łapińskiemu, który bez poszanowania miał ją w swym domu. Dowiedziawszy się o tem niegodziwem postępowaniu, poszedłem do niego, i kupiłem figurę za cztery reńskie. Dałem ją zaraz naprawić i odnowić i nieraz stała ona na ołtarzach na Boże Ciało. A kiedy się wam mój Michale tak bardzo spodobało, weźcie ją sobie, niech się ludzie modlą do tej miłosiernej Opiekunki naszej.

Michał ucieszył się niezmiernie, podziękował pięknie Cyzowi i wziął figurę ze sobą. A że kaplicy wtenczas jeszcze nie było, złożył ją na ołtarzu w kościele parafialnym w Bochni, gdzie prawie ze trzy lata zostawała.

A gdy nareszcie szczęśliwie stanęła kaplica, wsadzono figurę do ołtarza sprawionego przez Michała Łosika, który oprócz tego dał piękne firanki, kilka obrazów na ściany i kupił skrzynkę na świece i inne rzeczy.

Nie długo potem za staraniem jego zgromadziło się tu mnóstwo pobożnego ludu, i przy odgłosie muzyki salinarnej odprawił szanowny xiądz dziekan bocheński pierwszą mszę świętą,

a w czasie nabożeństwa miał kazanie brat jego xiądz Franciszek Gluziński. Nauczał on aby ludzie w każdej potrzebie i utrapieniu udawali się do tej królowy niebieskiej, a otrzymają jak nasi przodkowie rozlicznych łask od Pana Boga.

To też odtąd przychodzą tu ludzie prawie codziennie i modlą się z pokorą zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy na świecie dzieją się takie okropności.

Kilka razy do roku bywa w tej kaplicy msza święta, a 2 sierpnia jako w dniu Najświętszej Panny Maryi Anielskiej odprawia się rano uroczyste nabożeństwo, zaś po południu przychodzi tu 'z procesyą prawie połowa ludzi z miasta a razem z nimi i z poblizkich wiosek i spiewają litanie i nabożne pieśni, a po kazaniu idą znowu w procesyi do kościoła farnego.

Każde takie nabożeństwo płaci Michał Łosik ze swojej kieszeni, a za pieniądze z puszki kupuje światło i wszystko co tylko potrzeba. Często też widzieć go można w kaplicy jak naprawia to i owo i jak ubiera ołtarz na święto.

W każdą znowu sobotę wieczorem dzwoni on w kaplicy a kiedy się zejdą pobożni ludziska, spiewa z nimi różne pieśni, odmawia koronki i pacierze, boć to jest człowiek bardzo nabożny, pracowity i spokojny, umie pisać i czytać, dzieci wychowuje po chrześciańsku, a wiedząc jakie to z pijaństwa okropne bywają skutki, nie jest żadnym pijakiem i dlatego błogosławi mu Najświętsza Panna i wszyscy go kochają.

Taki to moiściewy jest ten Michał Łosik i dlatego piszę tu o nim, aby go i inni ludzie naśladowali i modlili się tak pobożnie jak on, a Bóg zlituje się nad nami i nad biedną ziemią naszą, czego daj Panie Boże!

Józef z Bochni.

Rady gospodarskie.

Jak dawać bydłu sól?

Na podwórzu przy płocie stał Tomasz zamyślony i raz po raz pogądał na oborę, która zaraz była przy chacie.

W tem nadszedł Mikołaj i pyta:

— A cóż wam to brakuje, mój kumotrze, żeście się tak zadumali? Musi wam coś strasznie dolegać, bom was jeszcze nigdy nie widział takiego zaturbowanego, jeno zawsze byliście weseli i rezolutni.

— Oj mój Mikołaju! — odrzeknie Tomasz — jakże nie mam być smutny, kiedy najpiękniejsza krowa coś mi nie zdrowa.

— Ale któż wie z czego? — zagada Mikołaj — abo może bydłu za dużo dajecie soli albo co?

— I cóżby też to miało szkodzić! — odpowie zdziwiony Tomasz.

— Oj dużo znaczy, mój kumoterku — mówi Mikołaj — bo się przekonali ludzie, że nie każda krowa może znieść za dużo soli, a więc z tego dostaje bolenia, albo jej co innego stać się może.

— Dalibóg ani słowa o tem nie wiedziałem — powie Tomasz — toć to dla mnie jest wielka nowina, muszę więc przestać dawać sól mojemu bydłu.

— A nie róbcież zaś tego – zawoła Mikołaj — wszakże sól jest dla bydła bardzo wyśmienita i potrzebna, ale trzeba wiedzieć jak jej dawać. Wyście zawsze sypali sól w jednakowej ilości każdej krowie czy ona tyle potrzebuje albo nie. Zaś prawdę powiedziawszy nie można też wiedzieć dokumentnie ileby soli potrzeba dla jednej krowy. Owoż ludzie, którzy się dobrze znają na gospodarce, wynaleźli na to wyborny sposób. Zrobili sobie ze soli jakby walec jaki i ten wieszają w stajni na sznurku lub rzemieniu a więc bydło może sobie lizać do sytości ile mu potrzeba, i ani tknie potem jak już ma dosyć. W jadle zaś musiało zjeść ile mu się dało, potem coś mu się zrobiło i niktby nie powiedział, że to sól takie niedobre skutki za sobą pociągnie. Ba jużcić wszystko nad miarę użyte, zaszkodzić może, owoż i żołądek bydlęcia nie zawsze może znieść wszystko.

Ja już sobie tak zrobiłem w mojej stajnie, godziłoby się abyście i wy tak samo zrobili. Zaś nauczył mię tego jeden człowiek, co to widzicie daleko podróżował po świecie.

— Dziękuję wam bardzo mój Mikołaju — powiedział Tomasz — za ten nowy sposób. Bóg by dał żeby tylko był

skuteczny, a wtenczas to się już za poradę dobrego miodku napijemy.

Jakoś niespełna w trzy tygodnie Tomasz z Mikołajem spijali miód w mieście, bo krowa przyszła do siebie i rada wydała się pożyteczną, którą tu spisuję z tej racyi, że z niej nie jeden gospodarz korzystać będzie.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Poświęcenie kaplicy. Jest we Lwowie przedmieście, które się zwie Wulka panieńska. Na tem przedmieściu stała od bardzo dawnych czasów kapliczka na cześć Panny Maryi. Była to mała i niebogata kapliczka, drewniana, tak iż niedawno ze starości rozsypała się. Otóż dwaj mieszczanie lwowscy, panowie Stefan Łoziński i Antoni Bogdanowicz, wybudowali na tem samem miejscu bardzo piękną, murowaną kapliczkę, gdzie jest obraz Najświętszej Panny Maryi, i ołtarz do odprawiania nabożeństwa. Otóż dnia 27 września odbyło się poświęcenie tej kapliczki. Przyszła procesya ze Lwowa, xięża święcili kapliczkę, a potem jeden xiądz kanonik mówił naukę do ludzi, a w niej powiedział tak: iż tę kapliczkę odbudowano najpierw z pobożności, a potem na pamiątkę, iż właśnie tysiąc lat kończy się, jak u nas zaprowadzono wiarę świętą; zaś jeszcze i na pamiątkę, że dziś prowadzi się wielka wojna z Moskalem o wiarę świętą. Kiedy car moskiewski – mówił dalej xiądz kanonik — który jest szyzmatyk, postanowił wygubić i wyniszczyć w Polsce wiarę katolicką, i okrótnie ją uciskał, więc Polacy bronić jej zaczęli, i tak przyszło do wojny dzisiejszej. A iż na tej wojnie zginęło dużo chłopców tutejszych, więc na tę pamiątkę także wyfundowano tę kapliczkę, i tam na tablicy wypisano to pięknie.

ZDANIA MORALNE.

Serce prawe i czyste jest największem szczęściem na świecie.

Dobra xiążka to dobry przyjaciel.

Kto kupuje, bez czego może się obejść, ten potem sprzeda to, co mu jest koniecznie potrzebnem.

Szczęściu nie trzeba ufać, bo jest niestateczne.

Tylko w nieszczęściu możesz poznać, kto jest twym prawdziwym przyjacielem.

Pierwszy stopień do cnoty, jest samego siebie dobrze poznać.

Życie chciwych i łakomych jest nieszczęśliwe, bo się ustawicznie trapią, ustawicznie pragną i ustawicznie się boją, aby nie utracili tego, co mają.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX.



Nr. 12.

21. Października 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa chocimska

i nabożeństwo kościelne na jej pamiątkę.

W niedzielę dnia 11 października odprawiło się w Zagajowie uroczyste nabożeństwo. Po kazaniu przemówił xiądz proboszcz w takie słowa do gromady:

— Dziś moi mili, taksamo jak tutaj odprawia się wszędzie wielkie nabożeństwo na pamiątkę sławnej bitwy, jaką Polacy wygrali pod Chocimem. Dawno to się stało, bo dziś już temu lat dwieście czterdzieści i dwa, a od tego czasu odprawia się za rozkazaniem Ojca świętego takie nabożeństwo corocznie. W onej bowiem bitwie obronili Polacy kościół katolicki i całe chrześcijaństwo od pogańskich Turków, i zasłużyli się wówczas bardzo. Otóż moi mili podziękujcie za tę łąskę Panu Bogu także dzisiaj, i pomódlcie się za dusze tych, którzy naonczas za wiarę świętą zginęli.

Potem skończył xiądz proboszcz nabożeństwo, a ludzie zaczęli gromadnie wychodzić z kościoła. Jaki taki spieszył do domu, ale bardzo wiele zostało jeszcze z ciekawości przed

kościołem, i jęli między sobą prowadzić rozgadkę. Otóż mówiono tam o różnych rzeczach, a także było dosyć gadania o owem nabożeństwie na pamiątkę bitwy Chocimskiej. Jeden i drugi kiwał na to głową, bąkał ni to ni owo, a żaden nie umiał rozpowiedzieć rzecz mądrze i dokumentnie.

— Już ja wam powiadam — rzecze Grzela Mądral — iż to pewnie dobrodziej mieli mówić o królu Janie Sobieskim, który kiedyścitam okrótnie poganisków wyłomotał.

— Baj, baju — zawołał Franek Gąska — oto się zmiarkował, a dyć król Jan Sobieski wybił Turków pod Wiedniem a nie pod Chocimem.

— A ja ci taki powiadam — huknął zapyrzony Grzela — iż także pod Chocimem bił poganów, i tak stoi wyraźnie wydrukowano w xiążce, bo ja sam czytał.

Powiedziawszy to, poprawił sobie Grzela pasa, i rękę założył, i takci się popatrzył na drugich nikiej bocian na wróble. Bo niedaremnie nazywa się Grzela Mądral; umie on nietylko czytać doskonale, ale i pisze także, więc ma honor w całej gromadzie za swoją naukę. Ale Franek także się rozjendyczył, i już coś chciał odpowiedzieć, kiedy nadszedł xiądz proboszcz z zakrystyi i zapytał:

— A o czem rozgadka moi mili?

Zaczną mu ludziska rozpowiadać, a xiądz proboszcz wysłuchawszy wszystkiego tak powie:

— Otóż moi kochani powiem wam, iż żaden z was niema racyi. Prawda to, co mówił Grześ, iż król Jan Trzeci pobił także poganów pod Chocimem, ale to nie było w ten dzień. Jeszcze wówczas król Jan nie żył, kiedy była owa bitwa, na której pamiątkę dziś się modliliśmy. Zaś abyście sobie wszystko dobrze zmiarkowali, rozpowiem wam dokumentnie całą sprawę.

Jest temu już lat dwieście czterdzieści i dwa, jak wam powiedziałem, a więc działo się wszystko w roku pańskim 1621, kiedyto panował w Polsce król Zygmunt Trzeci. Był także wówczas u Turków młody cesarz pogański Osman, któremu zachciało się koniecznie zawojować Polskę i zgubić chrześcijaństwo. Już tak parę lat była wojna, aż na on rok zebrała się największa.

Widzieli Polacy, że to nie żarty, i że trzeba serdecznie się bronić, aby nie popaść w nieszczęście. Otóż co jeno było wojska w Polsce, wszystko wysłał król przeciw Turkom, a nawet własnego syna Władysława, który potem był także królem polskim. Poszło to wojsko aż do miasta Chocimia, które jest na Wołoszczyźnie. W mieście był zamek, więc się tam zamknęli Polacy, a było ich dosyć, bo coś siedemdziesiąt tysięcy. Zaś całem wojskiem dowodził stary i sławny hetman Karol Chodkiewicz.

W tem uderzyli Turcy, a była ich moc niezliczona, bo jak piszą więcej niż trzysta tysięcy. Jużci trudno było z nimi poradzić, a choć Polacy zaraz poszli do bitwy, i dzielnie się spisali, przecież musieli znowu zamknąć się w mieście, bo wszystkim od razu rady dać nie mogli. Było to jeszcze w sierpniu, a od tego czasu aż do października ciągle bili się Polacy z Turkami.

Na nieszczęście zachorował ciężko hetman i w końcu umarł. Obrano na jego miejsce drugiego, ale to już zawsze było z przykrością dla Polaków. Zaś im dłużej ciągnęła się wojna, tem gorzej też było z Polakami. Brakowało żywności i paszy dla koni, a naostatek zaczęło brakować prochu do strzelania, co już najsmutniejsza rzecz dla żołnierza. Już przy końcu września pewnego dnia uczynili Turcy okrótny szturm do Chocimia. Od rana do poźnego wieczora była bitwa, a Turcy tak okrótnie z armat strzelali, że ludzie głuchli. Ale i ten raz odegnali ich Polacy i zwyciężyli. Zaś wszystko na nic się nie przydało, i ani jednego dnia dłużej nie można było bronić się, bo została Polakom tylko jedna baryłka prochu.

Otóż na drugi dzień myślano posłać do cesarza tureckiego, aby uczynić pokój. Nie wiedział on nic o biedzie Polaków, ale myślał, że im bardzo dobrze jest i że mają dostatek wszystkiego, kiedy go tak dzielnie biją. Otóż po niedługiej rozgadce przystał on na pokój, bo widział że z Polakami nic nie wskóra, więc mu się odechciało zgubić chrześcijaństwo.

Otóż taka jest cała sprawa moi mili. Gdyby wówczas nie byli Polacy wytrzymali Turków, toby to pogaństwo i Polskę zdobyło, i Niemców by pobili, i całemu chrześcijaństwu byłoby

nieszczęście. Dlatego to była radość ogromna ze zwycięztwa, i Ojciec święty zaraz nakazał, aby 11 października obchodzono corocznie pamiątkę jego nabożeństwem.

Kiedy xiądz proboszcz skończył, ozwał się wnet Grześ Mądral:

— Proszę Jegomości, więc to pewnikiem nie stało się za króla Jana Trzeciego?

— Jużci że nie — odpowie xiądz proboszcz — i powiadam ci, że jego wtenczas nie było jeszcze na świecie, jeno ojciec jego Jakób Sobieski, który wiele bardzo pomógł, że ów spokój uczyniono z Turkami.

— Zaś proszę Jegomości — pytał Grześ dalej — a kiedyto król Jan Trzeci także pod Chocimem pobił Turków?

— To się stało znacznie później — odpowie xiądz proboszcz — bo aż w kilkadziesiąt lat potem, i już całkiem inszego cesarza tureckiego pobił król Jan na tem samem miejscu, gdzie ojciec jego pierwej bił się z Turkami i obronił od nich Polskę i chrześcijaństwo. Rozpowiedziałbym wam i o tej drugiej bitwie dokładnie, ale teraz czasu mi już brakuje, bo muszę jechać do chorego z przenajświętszym sakramentem. Zaś kto ciekawy, niech przyjdzie do mnie po nieszporze, i rozpowiem wam.

— O przyjdziema, przyjdziema, proszę Jegomości — wołali wszyscy.

— Więc zostańcie mi z Bogiem moi mili — odpowie xiądz proboszcz, i poszedł prędko do domu. Ludziska rozchodzili się także powoli, a Grześ z Frankiem już całkiem po przyjaźni rozmawiali o bitwie chocimskiej.

Szkoła wiejska.

1.

Na końcu naszej wioski stała się nowina;
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy;
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze berwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,

Jeszcze okna nie wbite złożone pod ścianą.
A już wniesiono ławki, coś nakształt kościoła,
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano,
Tu będzie szkoła!. .

2.

A może to i dobra, może zła nowina,
Każą chłopców posyłać tam do tego czarta,
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą, rzecz kłótni nie warta.

3.

Sprowadzili jakiegoś jegomościa z miasta,
Broda mu jak miotełka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan — nie pan, bo nie hardy; chłop — nie chłop, bo czyta;
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
Pójdzie czasem do xiędza, a czasem do dwora,
A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora;
Najął chatę u chłopa, je co pan Bóg zdarzy,
I pędzi do roboty mularzy i szklarzy,
Sam pomaga w robocie choć mało co zna się;
Chce szkolę w jak najprędszym wybudować czasie.

4.

Pobudowano szkołę, xiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyśli,
I xiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasancie co sam uczył dzieci;
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada.
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź Duchu Przynajświętszy! a ty ucz się dziatwo!“

Władysław Syrokomla.

Trumna złego człowieka.

Przed laty, w parafii Błogie zagnieździło się złodziejstwo. Czterech tam było kolonistów i kowal, na których miano porozumienie, a nawet i pewne oznaki; ale chociaż tu i owdzie

za wyprowadzoną krówkę, konia, wołu lub zboże ze stodoły albo z komory, były narzekania, płacz i złorzeczenia, nikt jednak krzywdy swojej nie poszukiwał u żadnego z pięciu złych ludzi. Jeden na Boga zdawał krzywdę, inni milczeli z bojaźni, aby się na nim nie mścili złodzieje. Nikt pierwszy nie chciał w oczy spojrzeć złym ludziom, tylko w cichości sobie imiona szkodliwych sąsiadów podawali, od nich stronili i palcem ich wytykali, tak, że najmniejszy dzieciak wiedział ich nazwiska, a starsze dzieci umiały ich poznać pomiędzy wieloma.

Wszystko bo też przekonywało, że to są źli ludzie. Mieszkali blisko siebie, a nieraz o północy świeciło się u nich i tylko sami wyprawiali sobie w tak pożnej porze pohulanki. Do kościoła nie chodzili, na rodziców chrzestnych nikogo z ich domu nie proszono, jeno sami sobie kumowali. Po odpustach nie ujrzałeś z nich żadnego, a organista mówił, że xiądz proboszcz dużo miewa kłopotu z nimi, gdy przyjdzie wielkanocna spowiedź, i że najczęściej biorą kartki pozwolenia do innego kościoła klasztornego. Na zarobek nigdy nie chodzili; konie i woły swoje tak często przemieniali jakby handlarze jacy. Zawsześ ich zobaczył w mieście Piotrkowie, niby jakieś handle prowadzących. A chociaż często lichy z pola sprzęt mieli, nie na czasie zasiali, nie na czasie zebrali, to jakoś nie ubogo koło nich było. A o kowalu to jeszcze dodać można, że o robotę nie stał, a kuźnia często była zamkniętą.

Ale coraz więcej i częściej pobijały ich łzy pokrzywdzonych przed Bogiem, a ludzie przepowiadali dla nich srogie ukaranie. Co ludzie gadają, to i wygadają, bo Bóg często dla przykładu innych za grzechy i krzywdy wyrządzone bliźnim, nie tylko w przyszłem, ale i w tem życiu karze.

Na rządową dzierżawę w Błogiem nastał pan dobry, dzielny, dawny wojskowy polski. Gdy się dowiedział jakie to złe w jego gminie szerzy się, zaraz kilka kradzieży wyśledził, i jako wójt gminy pod sąd oddał sprawców, i takim sposobem cokolwiek złodziejstwo zmniejszył. Najwięksi jednak herszci, ze złodziejstwa zamożni, w wybiegi wprawni, zawsze się umieli wyśliznąć z rąk sprawiedliwości sądowej. Utyskiwała okolica

cała, zżymał się dzierżawca, ale nie mając nic dowodnego, do czasu odkładał ich skarcenie, baczne oko mając na wskazanych mu pięciu, na ich postępki i ruch każdy. Lecz kara nie ztąd na nich padła zkąd się jej obawiali złodzieje, nie od tego co im skarcenie obiecał, i nie w taki sposób, aby się od niej wykupić lub też jej uniknąć mogli.

Ostatnią kradzież popełnili u biednej wdowy Pawłowej komornicy, uprowadzając jej krowę, która była całem majątkiem dla jej dwojga dzieci. Biedna Pawłowa, nie mogąc się ani dopytać, ani odszukać krowiny swojej, zalana łzami poszła do kościoła i Bogu łzy swoje sieroce i nędzę złożyła. Trafiła na mszę świętą, krzyżem przez całą przeleżała, a po mszy świętej proboszcz o jej smutku się dowiedział i pocieszał strapioną.

Łzy biednej wdowy i sierot dopełniły miary złego pięciu złodziei i wkrótce potem prawie nagłą śmiercią, bo po kilkodniowem konaniu, jeden z nich umarł.

Nazajutrz po skonaniu, na wołach przywieźli zmarłego przed kościół. Dwie kobiety: żona zmarłego i krewna i dwóch sąsiadów, weszło do mieszkania proboszcza, a oznajmując śmierć z imienia i nazwiska, zażądali sutego na jutro pogrzebu, a dziś wprowadzenia do kościoła, i nie pytając ileby proboszcz za pogrzeb zażądał, wyliczyli na stół 100 złp.

Proboszcz wszystko wymiarkował, a pomyśliwszy chwilkę, napisał list do dzierżawcy i jednego z przybyłych z listem posłał, a pozostałym kazał się zatrzymać.

Dzierżawca te wyrazy czytał w liście: „Jeden z pięciu głównych złodziei umarł. Mam go niedługo na cmentarz odesłać dla pochowania; proszę pana, abyś rozkazał stawić się do mnie zaraz czterem towarzyszom zmarłego, gdyż pogrzeb tak szkodliwego człowieka w parafii powinien być uroczysty, i trzeba aby jego kamraci na pogrzebie byli.“

Był wówczas proboszczem w Błogiem xiądz Marszulewicz, znany z dobrego humoru i rozmaitych pomysłów dziwnych; więc spodziewał się dzierżawca jakiegoś dziwnego pogrzebu, i zaraz wysłał polecenie do sołtysa, aby rozkazał stawić się czterem żądanym gospodarzom do proboszcza, i aby tego dopilnował.

Pogrzeb jednego z pięciu szkodliwych we wsi i wieść, że sołtys nakazuje jego towarzyszom, aby się stawili na plebanią, tak zaciekawiła wszystkich, że wkrótce nie tylko owi czterej poszli do proboszcza, ale prawie cała wieś zeszła się na cmentarz kościelny, ciekawi co to będzie, bo przeczuwali coś niezwykłego.

Proboszcz widząc wszystko po myśli swojej, spisał akt zejścia, poszedł do kościoła, ubrał się w zakrystyi w komżę, stułę, kapę i biret; organista poniósł za księdzem kropidło i kociołek ze święconą wodą, a wyszedłszy wielkiemi drzwiami stanął nad trumną zmarłego. Obok trumny kazał stanąć czterem towarzyszom nieboszczyka, a mając lud ciekawy około siebie, zmierzył wszystkich bystrym wzrokiem, zatrzymał go na trumnie i ukazując na nią ręką, w te odezwał się słowa:

„Mizerny człowiecze! Całe życie głuchym byłeś jako i teraz na moje przestrogi, na swoje sumienie i na przykazania Boże, całe też życie twoje było niepewne i błędne. Parafianie palcem cię wytykali, lękali się ciebie, a wiele łez z twojej przyczyny wyleli pokrzywdzeni. Nie ma też teraz kto nad tobą zapłakać. Raduje się okolica, że ubył jeden szkodliwy człowiek, i raduje się piekło ze swej ofiary, bo wszyscy co są tu obecni, nie z nabożeństwa się tu zeszli, ale z ciekawości.“ Spojrzał po gromadzie proboszcz i dalej mówił: „Ale pocóż ja się ubrałem w szaty kościelne do takiego zbrodniarza? Byłoby to skalaniem stroju kościelnego, więc je zdejmę.“ I zdjął z siebie biret, kapę, stułę i komżę. Wziął kropidło w rękę, a podniosłszy nad trumną powiedział: „Mamże cię święconą wodą pokropić? a tobym poparzył szatanów co twojego ciała strzegą. Nie żegnałeś się za życia święconą wodą, i teraz ci ona nie pomoże!“ Oddał kropidło organiście nie kropiąc trumny. Wziął spory głaz w rękę i mówił: „Oto kamieniem przycisnę wieko trumny twojej, zamiast piasku i święconej wody, bo sumienie twoje i serce twoje było jak kamień za życia. Nie słuchałeś dzwonów za życia, odmawiam ci i teraz dzwonienia. Nie chodziłeś do kościoła, więc i teraz kościół przed tobą zamykam. (I drzwi kościelne zamknięto.) Wszystko może jest cudze coś za życia zebrał, cudzą własność szarpałeś, na ludzki dobytek

godziłeś, więc wyprzążcie woły z woza, co go przed drzwi kościelne przywiozły, na cmentarz go nie powiozą.“ I skinął na czterech towarzyszów zmarłego, a oni leniwo, ale dopełnili rozkazu. Ksiądz zaś prowadził rzecz dalej: „I wóz, na którym przywieziono trumnę nie był może z jego pracy, może go z obcego drzewa i z cudzą krzywdą sprawił: zdejmcie więc tę trumnę z woza.“ I znowu wskazał na towarzyszów, co jak trupy wybledli i zsinieli stali, niespodziewając się takiego kazania, a oni znów usłuchali i zestawili trumnę z woza na ziemię. Proboszcz jeszcze mówił: „Sto złotych któreście na pogrzeb u mnie złożyli, odbierzcie, wynagrodźcie temi pieniądzmi krzywdy, jakie nieboszczyk wyrządził. Oddajcie to co wdowom pozabierał, co gospodarzom pokradł, co panom pobrał. Należało to jeszcze za życia zrobić, za życia z Bogiem się pojednać i oddać co do kogo należało. Lżejszą miałby śmierć, szczęśliwsze życie przyszłe, i nie stałby przed Bogiem w szacie złoczyńcy i wydziercy cudzej własności.“ I jeszcze coś xiądz prawił, ale jużem tego nie słyszał, gdyż żona nieboszczyka skostniała, a od sromu i żalu płakać i mówić nie mogąc, padła jak długa i zemdlała....

Ruszyli na ratunek zemdlałej poczciwi ludziska. A proboszcz tymczasem kazał wziąć na barki czterem towarzyszom trumnę i zanieść na cmentarz. Błoto było wielkie, cmentarz daleko w polu, a jeden tylko dziadek szedł za trumną, aby wskazać miejsce w niepoświęconej ziemi, na pogrzebanie ciała.

Okrutne to wrażenie zrobiło na wszystkich. Z pół roku o niczem nie gadano, jeno o tem: jak nieboszczyk umierał, jak go pilnowali towarzysze, aby nie zażądał xiędza, albo wójta gminy i aby nie powydawał kradzieży; jak mu śmierć przyspieszyli, bo pono w szaleństwie wszystkie sprawki wywoływał; jak wołał że przy nim moc szatanów i prosił aby ich wypędzono; jak przeklinał dzień swego urodzenia, matkę, ojca, że go nie karcili i że on przez nich tak cierpi.

I tysiączne inne jeszcze wywodzono gadki o tem, a z tego dla wszystkich była taka nauka, że ciężko grzesznikowi ze śmiercią, i że lepsze ubóstwo z cnotą, niż bogactwo z krzywdą ludzką.

O towarzyszach powiadano, iż dwóch zaraz się w inne okolice przenieśli, i tam pono złodziejki zaprzestali. Jeden znów zaraz był wzięty do kryminału, bo go jakiś jego spólnik wydał w sądzie i tam umarł. Ostatni po śmierci żony swojej sprzedał wszystko co miał, prócz jednej krowy, którą biednej Pawłowej komornicy darował, pieniądze rozpożyczył, porozdawał, a sam od chałupy do chałupy chodząc, pomagał w robocie, i za to miał przytułek i pożywienie, bo więcej nie żądał. Nie lubiał on opowiadać dawnych zdarzeń, ani odpowiadał jak go ci i co różne powiastki o nim słyszeli, z ciekawością pytali, ale młodszych upominał, aby byli rzetelni, pracowici, uczciwi, pobożni, na cudze grunta i cudze majątki nie łakomili się, a krzywdy nikomu nie robili. Karcił też i rodziców gdy widział jakie pobłażanie, a często bardzo powtarzał:

Od łyczka do rzemyczka,
Od rzemyczka do koniczka,
Od koniczka szubieniczka.

Temu pogrzebowi cała okolica zawdzięcza, iż się źli ludzie upamiętali, a w parafii całej, a szczególnie we wsi samej Błogie, kwitnie dziś uczciwość, rzetelność i pobożność.

Cz. N.

Rady gospodarskie.

O zimowaniu bydła.

Teraz w jesieni najwięcej jarmarków na bydlo i najwięcej go też sprzedają ludziska. Smutna to rzecz, i niejeden gorzko się spłacze, zanim wyprowadzi bydlątka na targ. Toć to nieraz cały majątek człowieka; wołem obrabiasz pole i zarabiasz nim jeszcze nie mało, a już krowa, to jakby druga matka w gospodarstwie. I dzieci i starzy mają z niej nieraz całe pożywienie, a gdzie jest krowa dobra, tam już przynajmniej śmierci z głodu nie będzie. Jeszcze kiedy człek sam wyhodował takie bydlę od cielęcia, kiedy się do niego przyzwyczaił, to sprzedawanie takie bywa przykre jakby pogrzeb jaki. A dlaczegoż

sprzedawać koniecznie? Jużci nie dla innej racyi, jeno dla trudności zimowania.

Kto ta nie nasłuchał się dosyć o kłopotach zimowania. Także nie fraszka to porachować jeno, jak długo trzeba wykarmiać bydło bez paszy. A toć już najdalej we dwie niedziele po Wszystkich Świętych idzie bydło do stajni; do Bożego Narodzenia jest niedziel sześć, a od Bożego Narodzenia do Gromnicznej drugie sześć. Znowu od Gromnic do Popielca także jakiś tydzień, a potem postu niedziel siedem, a od Wielkanocy do Wojciecha zejdzie się także nieraz tydzień. Więc takci razem wszystkiego niedziel dobrych dwadzieścia i cztery, a to czyni dni sto sześćdziesiąt i ośm, a każdego dnia trzeba dać bydlęciu zjeść i to dobrze, bo jak się zamizeruje, więc i wszystko na nic. O dla Boga moi mili! a któż ta temu wystarczy, a toć nie tylko ziarna niema, ale i słomy gołej nie wystanie, i sukmanę zjadłyby na końcu. Toć lepiej sprzedać jedno albo i drugie, no a kiedyś ta się znowu co przykupi wedle okazyi, i grosz zdałby się teraz bez gadania.

Tak to rozprawia niejeden, i prowadzi na targ bydlę, zmarnuje go a pieniądze także i jak nadejdzie lepsza okazya przychowku, to już niema ani bydlęcia ani pieniędzy.

Tymczasem na wszystko są sposoby, a skoro człek zechce, to wnet poradzi sobie dobrze i uchroni się od szkody. Stało się tak Grzegorzowi, który mi opowiadał o sobie w ten sens.

Wiecie dobrze iż mój dobry kum i przyjaciel Paweł kocha się bardzo w bydełku, i na milę w około znają go, iż je umie pięknie chować i nawet przy złym urodzaju paszy dostatnio zimować, a masło i sery jego żona tak czyściutko i sprawnie robi, iż na targu w mieście z rąk ludzie sobie wyrywają. Otóż jednego roku, kiedym właśnie wedle Matki Boskiej Gromnicznej obejrzał stodołę, widzę że na żaden sposób nie dociągnę do nowego. Że lepiej zawsze przykupić coś wcześniej jak czekać przednowku, wziąłem więc kilkadziesiąt złotych w kieszeń i poszedłem do Pawła, bo byłem pewny, że jeżeli ma co na zbyciu, to mi sprzeda taniej jak drudzy.

Kiedyśmy się powitali, i gdym mu opowiedział co mam na sercu, tedy on wypytywał, wiele mam słomy a wiele siana,

i powiedział na koniec: Mój bracie, nie sprzedam ci choćbym mógł sprzedać, bo tem co masz obejdziesz się do wiosny.

— A to jakim sposobem? — zapytałem.

— A to rób tak, jak my robimy — odpowiedział Paweł.

Na to nadeszła Pawłowa i powie mi:

— Chodźcie kumeczku a ja was nauczę i pokażę, jak się to przyprawia pasza dla naszych pięciu krówek i trzech jałowic. Oto widzicie kumie, mam trzy beczki z kapusty, prawdziwe winówki, każda z wiekiem. Parobek urznie drobno sieczki z czterech snopków słomy ozimej, do tego jeden snopek słomy jarej albo grochowianki, i garść siana dla zapachu. To wszystko wymięsza się dobrze, a potem sypię tej sieczki na piędź grubo w beczkę, polewam wodą zimną miejsce wedle miejsca, i ubijam ciężkim fasulcem, zaś wodą tak długo kropię, póki się nad sieczką nie zaświeci. Kiedy się już pokaże, sypię znowu sieczki na piędź wysoko, i taksamo ciągle polewam i ubijam, aż się cała beczka zapełni. Kiedy już ostatnia warstwa u wierzchu dobrze jest ubita i woda się nad sieczką ukazała, to trzeba nakryć wiekiem i przyłożyć kamieniem. Tak stoi przez trzy dni, a potem daje się bydłu cebrzykiem. Krowy jedzą tak ochotnie jak największy specyał; od sieczki rozchodzi się zapach wina, a siano czuć jakby gotowane. Powiadała dalej Pawłowa, iż codzień jedną beczkę zaparza i codzień jedną spasza. Co wieczór, jak bydło zje, każe dziewce wymyć beczkę z sieczki czyściuteńko, przechylić na bok tak, aby ściekła i wyschła a nie skwaśniała.

Dalej jeszcze mówiła Pawłowa:

— Tak kumie karmiemy co rok nasze bydełko, i tą słomą, co krowy w sieczce zaparzonej zjedzą, tobyśmy nie utrzymali ani troje bydląt przez zimę, i mleka nie miałabym pewnikiem tyle co teraz. A przecież przez cały mięsopust siedmioro ludzi je z mlekiem, i nie mało jeszcze sprzedaje się. Pasząc tak krowy, już im nie daję słomy, jeno dwa razy na dzień po kłaczku. Na rano do dojenia daję po cebrzyku dwugarncowym na krowę. Tak samo w południe i na wieczór, zaś na trzy jałowice po dwa cebrzyki na raz. W godzinę daję na wszystkie ośm sztuk sporą wiązkę słomy i poję. Potem w południe znow sieczkę z słomą, a na wieczór także taksamo.

— A siana nic nie dajecie? zapytał Pawłowej.

— Tak jest, to się daje — odpowie ona — a jak się go zabraknie albo drogie, żeby kupienie dużo kosztowało, więc dajemy otręby, albo nieco pośladów zmielonych, albo też makuchów czy buraków trochę, to się tym potrząsa sieczkę dla omasty w cebrzyku. Otręb daje kwartę na krowę a pośladków jeszcze mniej, zaś buraków albo ziemniaków pół garnca na jednę.

Podziękowałem dobrym ludziskom za radę przyjacielską, i już cztery lata zimuję tak bydło, a zawsze mi wystarczy i jeszcze zostanie, kiedy dawniej prawie nigdy nie mogłem dosiągnąć do zielonego. Zaś na paszonej sieczce wygląda bydełko bardzo piękne i aż się połyskuje i mleka więcej daje, niż kiedym je po dawnemu żywił.

Teraz jeszcze moi mili podam wam sposób zimowania jednej tylko krowy. Jużci tam gdzie jest kilkoro bydląt, to i łatwo parzyć sieczkę; ale kto ma tylko jedną krowinę, kto niema trzech beczek od razu ani nawet miejsca gdzie postawić, ten musi szukać inszego sposobu. Otóż tacy tak mają czynić.

Bierze się zawsze dobrą garść siana, którego jest funt najmniej, kładzie do garnka, nalewa wrzącą wodą i przykrywa deszczułką. Potem sypie do cebrzyka dwa garnce sieczki i na nią nalewa wnet ową wodę wrzącą ze sianem, więc sieczka nabierze zaraz zapachu siana. Kiedy to wychłódnie, należy dosypać parę garści oskrobin od ziemniaków i dać krowie. Krowy jedzą to tak ochotnie, że aż patrzyć miło. Jużci na takiej paszy nie daje krowa zbyt wiele mleka, ale się przynajmniej nie zabiedzi przez zimę.

Oprócz tego daje się krowie dwa razy na dzień po trochu słomy. Jeżeli otręby tanie, to sieczka parzona z sianem, a omaszczona otrębami i oskrobinami ze ziemniaków tak służy krowie, że przez całą zimę daje dużo mleka, i można od niej co tydzień garnuszek masła i parę serków na targ wynieść.

Jak się z jabłek robi napitek?

Daleko i szeroko potrzebaby szukać, żeby znaleźć tak rządnego gospodarza, jak jest Marcin Grzezulka. Ma ci on też rojne ule jak się patrzy, inwentarz nie ladajaki, stajnie i

stodoły szykownie pobudowane, a jakie znowu ciągną się sady koło jego chaty, to aż się dusza raduje Bo też Marcin sam wszystkiego dogląda, czyta xiążki gospodarskie i radzi każdemu co i kiedy ma zrobić, boć on dobrze pamięta przysłowie nasze: Gdy nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem.

Jużcić tam i żona jego Maryna dopomaga mu nie w jednem, rządzi domem i sługami, ale co już Marcin, to ma wszystko na głowie.

Owoż idzie mu też wszystko jak po mydle. Każdą rzecz umie sobie na użytek obrócić, mało co straci, a dobytek mnoży się i mnoży dla Wicusia i Jakóbka, bo tylko dwoje ma dzieci.

Dwa tygodnie ledwie temu jak byłem u niego w sadzie, a prawie wtenczas obierali tam kwaśne jabłka.

— I gdzież wy też to podziejecie tyle jabłek — powiadam do Marcina, boć prawie jak świat światem nie potraficie wszystkich spotrzebować i mogą wam pognić pewnikiem.

— Ej nie pletlibyście lepiej takich bredni, mój Józefie! — powie Marcin — czy myślicie że ja nie mam głowy na karku? Dobry gospodarz wszystko powinien umieć spotrzebować, żeby się i odrobina nie zepsuła.

— A to pewnie będziecie je suszyć — gadam znowu do niego — a resztę sprzedacie może komu z miasta?

— Sprzedać to tam i mało sprzedam — odpowiedział — boć przecie ludzi dosyć mam w domu, wolę oto co nieco ususzyć, a ostatki to znowu obrócę na swoją wygodę.

— A jakto — przemówię ja — przechowacie je w świeżości przez całą zimę czy co?

— Nie mój Józefie — powie Marcin na to — zrobię sobie z nich dobry napitek, który się w domu bardzo przyda na zimę.

— A nauczcież mię drogi Marcinie — jąłem go prosić — jak się też to robi ten napitek.

A Marcin gada:

— Nie wielkie ci się z tem robi ceregiele; owoż bierze się tylko dojrzałych jabłek dobrego winnego gatunku trzy razy tyle ile słodkich; tak n. p. jeżli słodkich się weźmie dwa garnce, to kwaśnych sześć garncy — i wszystko się w całości tłucze doskonale w stępie, a potem tę miazgę daje się

do prasy i wyciska się sok do iskierki. Potrzeba zaraz podstawić pod prasę baryłkę z wina, z lejkiem do niej włożonym, ażeby sok mógł wygodnie ściekać do baryłki.

— A cóż się dalej robi? — zagadałem niecierpliwie.

— Ano gdy baryłka postoi w piwnicy z dobry miesiąc — prawił Marcin — a sok się już dobrze ustoi, zlewa się go we flaszki, które trzeba mocno zakorkować i oblać smołą, i stawia się je w piwnicy w jakiem dobrem miejscu, najlepiej zaś w piasku. Jak po kilku miesiącach otworzysz flaszkę, to ci to dopiero napitek kordyalny. I moc ma w sobie i smak przyjemny, że to kiep wino najlepsze przy nim.

Ale muszę wam i to powiedzić, że i z gruszek można robić doskonały napój tym samym sposobem.

— A to ciekawa rzecz wiedzieć o tem — rzeknę ja do Marcina — a kiedyście mi już o napitku powiedzieli, powiedzcie mi także jak wy też suszycie owoce?

A Marcin odpowie:

— To już wiecie Józefie, bo widziałem jak wasza babina to robiła, ale ja ze swojej strony muszę to powiedzić, że owoców nie trzeba do krzty w gorącym suszyć piecu, jeno po trochu ogrzewać i ostudzać, ponieważ przez to nie przypali się żadna gruszka ani jabłko i owszem jeszcze bardzo kwaśne nabiera smaku; a gdy się niby z kretesem wysuszy, to trzeba jeszcze rozłożyć owoce na świeżem powietrzu, więc dobrze także i na strychu, a po tygodniu należy je chować w suchem miejscu — toć takich suszek nie odjesz się człeku nigdy w życiu.

— A widzę że gospodarz z was nie lada — powiem Marcinowi — toć zazdroszczę wam waszego rozumu.

— Nie potrzeba zazdrościć — zawoła Marcin — bo jeśli każdy gospodarz będzie czytał gazety i xiążki, albo będzie słuchał co w nich stoi napisano, to nabierze niezawodnie rozumu, zkąd i ja nabrałem. I o sady powinien się każdy postarać, boć do tego nie dużego trzeba zachodu, a można mieć i grosik za owoc nie mały, zdrowy pokarm dla siebie i ludzi i wszelkie wygody w jesieni i na zimę. A czyż to nie dobra rzecz gdy drzewa od wiatru i ognia chronią budynki?

Ale ja widzę że gospodarze mało o to dbają, dlatego też jadąc przez niektóre miejsca, to aż oczy bolą, bo same pola i pola, a drzewiny niema ani na lekarstwo, a więc skarzą się na niedostatek, któryby pewnie zginął, gdyby posłuchali lepszych gospodarzy i sadzili drzewa owocowe.

— A to prawdę gadacie — powiedziałem i pożegnałem się z Marcinem Zaś teraz naszą rozmowę podaję dla was gospodarze na naukę i zachęcenie.

Józef z Bochni

RÓŻNOŚCI.

Pożary. W tych czasach było znowu mnóstwo pożarów, a między niemi takie:

Dnia 10 października wieczorem powstał ogień w stodole gospodarza Pawla T. w Radości, w obwodzie sanockim, i zniszczył dwom gospodarzom wszystkie budynki i wszystko zboże. Szkody jest na 829 reńskich a zdaje się że wszystkiemu winna była nieostrożność.

Zaś jeszcze 1 października powstał pożar przez nieostrożność w Malczycach w obwodzie lwowskim, i zniszczył pięć domów gospodarskich z całym dobytkiem. Szkody jest na 5300 reńskich.

Także w Kozłowie w obwodzie brzeżańskim był pożar dnia 5. Ogień zaczął się w stajni gospodarza jednego, i w krótkim czasie zgorzało 9 domów ze wszystkiemi budynkami i z caluteńkim dobytkiem. Szkody jest na 9400 reńskich, a jeden gospodarz przy ratowaniu swoich rzeczy został mocno pokaleczony.

Znowu dnia 7 października było aż dwa pożarów w obwodzie czortkowskim, i dotąd nie wiedzieć przyczyny. Pierwszy pożar był w Howiłowie małym, gdzie powstał ogień w domu gospodarza Andrucha J. i zniszczył dwa gospodarstwa z dobytkiem. Szkody w samem zbożu jest na 800 reńskich. Drugi pożar był we wsi Chorostkowie, gdzie zapaliła się stodoła gospodarza Mikołaja D, i zgorzało całe gospodarstwo ze wszystkiem, i jest tam szkody na 536 reńskich.

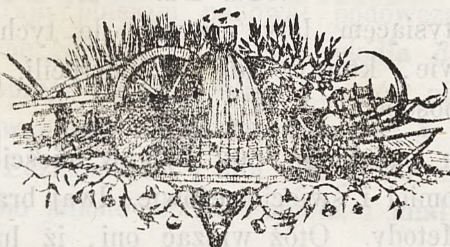
Naostatek tegoż dnia był ogień w Żerebkach szlacheckich w obwodzie tarnopolskim, gdzie pogorzało 11 gospodarzy do szczętu. Tu już był winien chłopiec mały, głupkowaty od urodzenia, który przez nieostrożność sprowadził nieszczęście.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX. Nr. 13.

1. Listopada 1863.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

L. 14.790.

Z c. k. sądu krajowego w sprawach karnych we Lwowie, do redakcyi czasopisma „Dzwonek“ na ręce pana Bernarda Kalickiego.

C. k. sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie, zważywszy że redakcya czasopisma „Dzwonek“ w numerze 11 zamieściła poezyę pod napisem „Krakowiaki,“ poszlakowaną z treści swojej o usiłowaną zbrodnię zamięszania publicznej spokojności w myśl §§. 7., 66. u. k., postanowił śledztwo z tego powodu wytoczyć i oraz zatwierdził uskutecznioną przez c. k. dyrekcyę policyi konfiskatę tego numeru.

Pohlberg.

Od c. k. sądu krajowego w sprawach karnych.

Lwów dnia 16. października 1863.

Dobrowolski.

Tysiącletnia rocznica

na pamiątkę

zaprowadzenia chrześcijaństwa w krajach słowiańskich.

W teraźniejszym roku obchodzą ludzie we wszystkich krajach słowiańskich rocznicę, na pamiątkę iż temu już tysiąc lat, jak zaprowadzono w nich chrześcijaństwo i nauczono ludzi prawdziwej wiary świętej. Do tych ludów słowiańskich należą Polacy, Rusini, Czesi, Morawianie, Serbowie i Bułgarowie. Owóż

wszyscy oni byli pierwej poganami, to jest iż nie znali wiary świętej, ale robili sobie bożków z drzewa i gliny i tym się kłaniali jak prawdziwemu Bogu. Działo się tak długi czas, aż dopiero przed tysiącem laty przyszli do tych krajów dwaj święci apostołowie, którzy ludy te nawrócili. Zaś wszystko stało się tym sposobem.

Około roku pańskiego 862 byli w mieście Konstantynopolu dwaj znakomici i święci mężowie, dwaj bracia, którzy się zwali Cyryl i Metody. Otóż widząc oni, iż ludy słowiańskie nie znają jeszcze wiary świętej, wybrali się do nich aby je nauczać i chrzcić. Tak zaszli najpierw do Morawii, któryto kraj jest na zachód od Krakowa, a naówczas był bardzo znaczny i potężny; więc opowiadali tam wiarę świętą, i ochrzcili xięcia tamtejszego i wiele bardzo inszych ludzi. A iż Słowianie nie umieli po łacinie, w jakimto języku odprawia się msza święta i spisane było pismo święte, więc ci apostołowie wynaleźli nowe pismo i spisali dla Słowian nauki święte po słowiańsku. Zaś w owym czasie wszyscy Słowianie jedną mieli mowę, więc Polacy i Rusini i Czesi i Morawianie jednakowo gadali i dobrze się rozumieli, a tak dla nich wszystkich razem apostołowie święci przetłómaczyli i napisali nauki święte.

Jak się o tem wszystkiem dowiedział papież, więc powołał obu apostołów do siebie do Rzymu i tam ich wyświęcił na biskupów. Tymczasem święty Cyryli rozchorzał i umarł niebawem w Rzymie, a już sam Metody powrócił do Słowian i dalej nauczał ich wiary świętej przez wiele lat, aż powróciwszy znowu do Rzymu, umarł tam także.

Otóż moi mili macie historyę obu pierwszych apostołów słowiańskich, którzy są świętymi. Onito najpierw nauczyli ojców naszych wiary świętej, oni ich uwolnili od pogaństwa, które jest grzechem, oni najpierwsi przynieśli ludom słowiańskim zbawienie duszy za pomocą prawdziwej wiary.

A iż ludów i krajów słowiańskich było bardzo wiele, zaś apostołów tylko dwóch, więc nie mogli oni wszędzie sami być i wszystkich nauczyć. Owóż chodzili ciągle z miejsca na miejsce i nauczali i nawracali ludzi, a gdzie dojść nie mogli, tam po-

syłali uczniów swych. Tym sposobem nauczano po wszystkich krajach słowiańskish wiary świętej, a także w kraju polskim.

Zaś w kraju polskim panował podówczas xiążę Popiel, który miał żonę Niemkę, a ta go wiodła do różnych złych spraw a do dobrego nigdy. Więc i naród nie był szczęśliwy pod jego panowaniem. Xiążę ten mieszkał w Kruszwicy, a to jest miasto w Poznańskiem i stoi nad jeziorem Gopłem. A naówczas było ono miasto stolicą Popiela, i miał on tamże zamek swój xiążęcy.

Otóż zdarzyło się pewnego razu, iż przyszli do zamku dwaj mężowie, i prosili o przyjęcie. Zaś Popiel z namowy żony swej kazał ich nagnać precz i nie przyjął w gościnę. Zasmuceni mężowie odchodzili od zamku, kiedy na drodze spotkał ich pewien zacny wieśniak i prosił do chaty swej w gościnę.

Wieśniak ten zwał się Piast i był bartnik, drudzy piszą iż kołodziej, człowiek dobry, prosty i sprawiedliwy, który miał żonę Rzepichę. Właśnie podówczas urodził im się syn, którego chcieli obyczajem pogańskim postrzydz. Na te postrzyżyny zaprosił Piast mężów nieznajomych, którzy mu dziecię ono postrzygli na imię Ziemowit, i powiedzieli ojcu, iż syn jego będzie najznaczniejszym człowiekiem, bo zostanie xięciem polskim.

Potem poszli dalej dwaj mężowie, a między ludźmi wszczęła się rozgadka, co oni za jedni. Zaś iż ich nikt nie znał, nie mogli ludzie nic wygadać. Dopiero jak się stało co oni prorokowali, jak Ziemowit syn kmiecy został xięciem, zaczęli ludzie domyślać się, iż to byli aniołowie, albo może apostołowie święci Cyryl i Metody.

Otóż i temu będzie teraz lat tysiąc, więc jest dla nas druga znaczna rocznica. Od Ziemowita syna Piastowego pochodzili nasi królowie polscy Piastowie, między którymi był Mieczysław pierwszy, który wiarę chrześcijańską zaprowadził w całej Polsce, i Bolesław Chrobry, który tyle dobrego uczynił dla Polski, i Kazimierz Wielki król chłopków, który lud wiejski tak bardzo miłował i taki dobry był dla niego, jak żaden król na świecie.

Na te obydwie pamiątki, to jest na zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej między Słowianami i na pamiątkę Piasta kmie-

*

cia, od którego pochodziłi zacni królowie Polscy, odprawia się przez rok cały wielkie nabożeństwo w całym kraju. Zaś w Poznańskiem, gdzie mieszkał Piast i gdzie najpierw byli Polacy, ogłosił xiądz arcybiskup za pozwoleniem ojca świętego jubileusz także na te same pamiątki, i cały naród tamtejszy odprawia go pobożnie.

U nas nie było jubileuszu, ale wszędzie nabożeństwa odprawiały się, i wszędzie ludzie z dobrej ochoty na nie się składali. Bo i jużcić święto to nie małe, i nie będzie takiego aż znowu za tysiąc lat, a takich dalekich czasów to nietylko prawnuki nasze ale i praprawnuki nie dożyją. Toćto rzecz nie mała tysiąc lat!

Otóż moi mili warto pamiątkę tę uświęcić jak kto może, a już najbardziej warto dobrze zmiarkować sobie, co ona znaczy. Otóż powtarzam wam moiściewy jeszcze raz, abyście sobie dobrze spamiętali, iż pamiątka ta jest najpierw wedle tego, iż teraz właśnie tysiąc lat mija, kiedy święci apostołowie Cyryl i Metody zaprowadzili między Słowianami chrześcijaństwo, a potem iż także temu tysiąc lat, kiedy w Polsce żył zacny kmieć Piast, ojciec królów polskich, którze narodowi naszemu panowali szczęśliwie i dobrze przez długie czasy.

PIAST.

Miasto Gniezno, Polski najpierwsza stolica,
Ztamtąd niedaleko stał zamek Kruszwica,
A pod zamkiem Gopło, jezioro przejrzyste
Jakby wiankiem kryły zarośla krzewiste,
I odwieczne dęby, ręką Bożą 'siane,
W górze gałęziami z sobą powiązane.

W tem to ojców gnieździe, w okolicy miasta
Słynęła poczciwość kołodzieja Piasta,
Co karczował lasy, zagony orywał,
Co raczył ubogie i nagie okrywał,
Co żył w swojej chacie zabiegliwy, czynny,
Sprawiedliwy, rządny, zawsze dobroczynny.

Mówią dawne dzieje, jak było przed laty,
Że ule z pszczołami stały koło chaty,
A pszczółek gromada na lipie się roi,
Co chatę w gałęzie zielone ustroi;
Na wysokiej strzesze bocian z gniazdem siedzi
I dzióbem klekocze nad głową gawiedzi.

Zaś koło domostwa zatrudnienia duże,
Piast kołodziej sprychy, dzwona do kół struże,
A na przyźbie przędzie i zgodna i cicha
Wierna żona jego, cnotliwa Rzepicha;
Siedmioletni synek po izbie wyskoczy,
Miluchne pachole, lecz ciemne na oczy.

Słonko z poza chmury w okienko się wciska,
I w podwórku czujne zaskowyczą psiska;
Gospodarz wybiega, dwóch młodzieńców wita,
— A toście strudzeni, jak widzę — zapyta,
— Gość szczęście przynosi, więc z dalekiej drogi
Raczcie wejść panowie w chaty mojej progi.

Przyjęli młodzieńcy Piasta zaproszenie,
A on gości sadza, szczęśliw nieskończenie;
I skrętna Rzepicha radość męża dzieli,
Porzuca wrzeciono, wstaje od kądzieli,
Niesie miodu, chleba, na co chatę stanie,
Więc i ryby z misą, świeże mleko w dzbanie.

Gdy już goście syci od stołu powstają,
Jasność wielka w izbie, oni skrzydła mają,
Szaty jak ze śniegu, wieńce na ich skroniach,
Przepaski niebieskie a lilije w dłoniach;
Piast z Rzepichą klękli, prawie oniemieli,
I poznali zaraz, że to są anieli.

— Piaście — rzekną mile — twojej my dzieciny
Chcemy sprawić dzisiaj sute postrzyżyny,
Syn Ziemowit ciemny światło dnia zobaczy,
Twemu pokoleniu korona się znaczy,
Będziesz wyniesiony i w możnej krainie
Twa gościnność, cnota, na wieki zasłynie.

Zniknęli anieli z pod strzechy słomianej,
Zaś wkrótce Ziemowit na xięcia obrany;
Przybyli posłowie z stołecznego miasta,
Aby na królestwo zabrać syna Piasta;
Ten pomny rodzica zachował do zgonu
Koło, pług i lemiesz obok swego tronu.

Według przepowiedni od aniołów danej,
Przejrzał był Ziemowit z swej ślepoty znany,
A prawnuk Mieczysław przyjął światło wiary,
I zniszczył pogańskie bożki i ofiary;
I odtąd już długo ród Piasta panował,
A polski lud z wielkiej miłości go chował.

A. K. z M.

Stach wędrowiec.

Gość w dom, Bóg w dom.

Siedzi sobie Bartosz na przyzbie swojej chałupiny i duma wsparty na obie ręce, a od czasu do czasu podniesie ku niebu łzawe oko i ciężko westchnie do Boga; ciemny już zapadł zmrok w koło, niebo przystroiło się srebrnemi gwiazdeczkami, nawet i xiężyc wychylił pół rogu z zachmury, a Bartosz jak siadł tak siedzi i wciąż duma i duma i wciąż wzdycha do Boga.

— Hej, Bartoszu dobry gospodarzu! co to ci tak ciąży jak kamień młyński na sercu? zdał się pytać oczyma wierny pies Kruczek, który przybiegłszy z razu łasił się i zwijał ogonem, później zaś spostrzegłszy smutek swego pana, zwiesił głowę i legł mu u nóg.

— Biedny piesku! — odezwał się Bartosz smutnym głosem — biedne zwierzę zmiarkowałeś mój smutek i nieszczęście moje i wraz ze mną zasmuciłeś się biedaku!

Na te słowa zerwał się Kruczek na równe nogi i począł lizać ręce swojemu panu; Bartosz zaś zamilkł, bo z wielkiego żalu nie mógł dalej mówić.

— Stary! stary! zakrzyczała raptem z chaty Bartoszowa żona Jagna — a pójdźno tu, chcę z tobą pogadać trochę, bo ja wyjść nie mogę, gdyż muszę gotować wieczerzę.

Bartosz atoli mając głowę pełną różnych ciężkich i trapiących go myśli, nawet nie słyszał wołania swojej żony, więc też ani się ruszył, ani też jej co odpowiedział; Jagna zaś lubiąc dużo zwijać językiem, nie lubiła bardzo, jeżli jej kto dłużny został z odpowiedzią, owóż więc i teraz wybiegła z trzaskiem i fukiem z chaty i wrzasnęła Bartoszowi nad samem uchem:

— Czyś ogłuchł?!

Ofuknięcie takie nie było żadną dla niego nowiną, bo też nie pierwszy to raz napadła go w ten sposób.

Jagna była sobie gospodyni jakich mało znaleść w świecie; czego się tylko tknęła, to jak ogniem paliła, a od świtu do póżnego wieczora ciągle się krzątała i ani chwili nie siadła z założonemi rękami; starała się ona o wszystko, to też na niczem w chacie nie zbywało — miała bowiem dużo drobiu, nabiału i ogrodowiny, a nie tylko tyle co sama dla siebie potrzebowała, ale nawet znalazło się jeszcze dosyć i na sprzedaż, za co nie raz piękny grosz oddawała mężowi; przytem nadewszystko lubiła ona czystość, którą pożal się Boże nie każda nasza gosposia pochwalić się może; dlategoż mąż i chłopak, któremu na czternasty rok poszło, byli zawsze w czystej bieliżnie, nie mówię już o niedzieli lub o dniu świątecznym, bo wtedy to aże miło spojrzyć na Bartoszów, kiej wejdą do kościoła. Dlatego też słynęła Jagna na całe sioło, a nawet w okolicy z dobrego gospodarstwa. Szkoda, wielka szkoda, że przy tej gospodarności, zapobiegliwości i tylu innych pięknych zaletach miała ona jedną bardzo brzydką wadę, która nie w czem innem była, jeno w języku: lubiła ona bowiem gderać i była kłótliwą. Znał ci też ją Bartosz dobrze z tej strony, dlatego unikał wszystkiego, co by najmniejszy dało jej powód do kłótni, ale nic to wcale nie pomagało, bo kiedy dwa dni przeszły spokojnie, na trzeci dzień nie mogło się już obejść w żaden sposób bez kłótni lub przynajmniej krzyku. Bartosz spokojny człowiek wielce gryzł się tem złem swojej żony ale nie mógł temu w żaden sposób zaradzić, gdy i to złe było tak silnie w niej zakorzenione, że nie wiem, czy znalazłby się jaki człowiek na świecie, któryby ją potrafił przerobić.

Otóż taka to była Jagna.

— Czyś ogłuchł?! — krzyknęła ona powtórnie jeszcze głośniej, gdy Bartosz napadnięty z nienacka, przytem zgryziony do żywego nie wiedział, co jej ma odpowiedzieć.

— Czyś skamieniał?!... mówiła ona dalej — że żonie nie chcesz dać odpowiedzi; to mi to wdzięczność za moją pracę, za moje trudy i starania?! teraz dopiero otworzyły mi się oczy dobrze, dobrze że wiem co ty za ptak! ha, niewdzięczny człowiecze.

— Ależ kobieto na miłość Boga! — zawołał Bartosz — miejże litość nademną, czy nie wiesz jakie wielkie nieszczęście spotkało nas, czy nie wiesz, że już może jutro spędzim noc na polu pod gołem niebem lub gdzie pod cudzym dachem.

— Bo to wszystko przez ciebie, gdybyś jak człowiek obchodził się z żoną, tak jak Bóg przykazał, toby nam się inaczej działo, bo Pan Bóg nie zesłałby takiego nieszczęścia na głowę naszą, ale kiedyś ty niedołęga, toć nie dziw, że tak się dzieje nic dobrego.

— A dajżeż ty mi spokój ty niedobra żono — mówił Bartosz jeszcze bardziej zgryziony — ty mnie prześladujesz nawet w nieszczęściu; czy chcesz się może napić krwi mojej?

— Twojej krwi?!!... zaśmiała się Jagna ze złości.

— Bo już sam nie wiem czego chcesz odemnie?

— Czego ja chcę toby i na wołowej nie spisał skórze: najpierw przez twój upor straciliśmy dotychczas Bogu dzięki sto reńskich, a sto reńskich to nie grajcar, kupił byś za nie parę dobrych wołów; ale gdzie tam, ty jak się uprzesz to ani rusz z tobą; Fryc dawał nam zrazu siedmset reńskich, potem jeszcze o tyle mniej i tak czem raz na dół schodzić będzie, aż w końcu nic nieda lub tyle co nic, a wtedy co zrobimy, czy może pójdziem w świat z torbami? ha, co? niechby i tak było, gdybyśmy byli sami, ależ przecie jest Jonek, moje dziecię jedyne. Zważno, że nikt inny nie kupi. Fryc ma grunta z obu stron naszego obejścia, to jemu co innego, ale pewnie nikt inny nie zechce kłaść palce między drzwi, żeby nabywszy za gotowe pieniądze ten kawałek, prowadził potem wojny z djabłami. Nie bądź uparty, nie namyślaj się zbyt długo, bo twój krótki rozum nic mądrzejszego nie wymyśli

— Kobieto! kobieto — rzecze Bartosz obcierając łzy rękawem — pięknie mówisz i prawdę, ale zważno czy to tak łatwo, tak miło jest zrzec się tego kawałka gruntu i tej strzechy, którą mi nieboszczyk ojciec jako świętość przekazał; z tej to racyi długo a długo nie chciałem ją oddać z rąk moich, myślałem że Bóg litościwy zmiłuje się nad nami, ale na próżno, widzę, że grzechy moje są wielkie kiedy muszę to tracić, co mi jest droższem aniżeli życie. Pójdziem więc z naszem dziecięciem w świat daleki, bo już jutro dobiję z Frycem targu.

To rzekłszy zakrył twarz rękami i począł gorzko płakać nad swoją niedolą; Jagna widząc ten żal męża rozpłakała się także, gdyż dobre z gruntu miała ona serce — i czem raz bardziej, ba w końcu na głos, zaczęła zawodzić i wśród płaczu przepraszać męża.

— Porzucać rodzinną strzechę! mówiła ona, niezrozumiale wśród gorzkiego płaczu — toć mi tutaj przez tyle lat było tak dobrze, jakby u Boga w raju, toć tutaj rodziło się nasze dziecko!

— Nie płacz, nie płacz — rzekł Bartosz po chwili, taka jest Boża wola, a z nią trzeba się zgadzać.

— Biedne moje gospodarstwo! moje pieszczoszki kureczki, moje bieluchne gąski porzucę was, zdam was na obcą opiekę, bo zabrać was z sobą trudno, oj trudno, zwłaszcza, że nie wiemy sami gdzie nasze głowy przyjdzie nam wkrótce złożyć. Oj biedni my, biedni! lecz my starzy, ale najbiedniejsze nasze kochane dziecię, nasz Jonek!

I bez końca zawodziła Jagna, Bartosz zaś wsparł się na rękę i ku niebu podniósł oczy do Boga błagając Najwyższego o łaskę; wpatrzył się biedak w niebieskie sklepienie, na którem tak cudnie migały śrebrzyste gwiazdeczki, a im bardziej się wpatrywał, tem więcej podziwiał siłę Bożą, która to wszystko stworzyła, tem więcej nabierało serce jego otuchy, bo ciągle jakby coś w sercu jemu szeptało: Miej nadzieję; ten Bóg potężny i łaskawy nie opuści ciebie! I Bóg nie wie jak długo byłby Bartosz tak dumał, gdyby Kruczek, który mu u nóg przez cały czas leżał spokojnie, nie był się zerwał i nie zaczął szczekać.

— To musi być ktoś obcy — odezwał się Bartosz — czujny pies zwietrzył go wprzódy, zanim posłyszeliśmy chód jego.

— Może Jonek wraca z Lublińca — rzekła Jagna.

— Oj to nie Jonek, Kruczek poznałby go z daleka; ale otóż i słychać już, zdaje mi się, że to dwoch idzie. Jakoż w rzeczy samej dwoch weszło na podwórze: jeden był Jonek a drugi jakiś obcy człowiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł przychodzeń na powitanie.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli Bartoszowie i ciekawie wpatrzyli się w obcego człowieka.

— Ojcze — rzekł Jonek przystępując do Bartosza — przyprowadziłem wam gościa do chaty.

— Gość w dom, Bóg w dom — rzekł Bartosz.

— Ależ posłuchajcie — mówił Jonek dalej — jakim dziwnym sposobem my się zeszli; kiedy już miałem się spuszczać do naszego sioła, patrzę a tu jakiś podróżny idzie do góry; niewiedząc co to za człowiek, nie śmiałem go zaczepiać na drodze i wypytywać, chociaż bardzo byłem ciekawy, ale tymczasem on mnie sam zaczepił, bo pragnął wypytać się o drogę do Rudy, ja też zmiarkowałem sobie w głowie, że do Rudy jeszcze spory kawał drogi, do tego piaszczysta droga, więc też rzeknę: „Spory kawał macie jeszcze przed sobą, do tego same piaski, teraz noc, wyście jak widać zmęczeni, więc ja wam dam inną radę.“ „Jaką“ — zapytał mnie podróżny; — ja też poradziłem, żeby wrócili nazad do naszego sioła i przenocowali u nas, a nazajutrz jak Bóg da doczekać będzie im lepiej i weselej iść sobie do Rudy, aniżeli teraz po nocy.

— Dobrześ zrobił mój chłopcze — rzekł Bartosz.

— Dobrzy ludzie — odezwał się podróżny — darujcie mi proszę was, że was w nocy nachodzę, nie był bym się na to odważył, gdyby nie wasz chłopiec, ale jeżeli się tak stało, więc będę was prosił o przenocowanie.

— Z całego serca — odrzekł Bartosz — czem chata bogata tem rada wam będzie; niepotrzebnie się też wymawiacie, bo w tem niema nic złego, owszem obowiązkiem jest katolika przyjąć podróżnego do siebie, a szczególniej u nas w Polsce

to jeszcze po dziadach odziedziczona cnota. dziś wy u mnie, jutro ja u was, a ani ja was, ani też i wy mnie nie wygonicie z chaty.

— Toć to prawda — rzekł podróżny — nasi przodkowie słynęli gościnnością, dałby Bóg żebyśmy wszystkie cnoty po nich odziedziczyli, to wtedy inaczej by było na naszej biednej ziemi.

— Ależ siadajcie — rzekł Bartosz — nogi was muszą boleć z podróży, ty Jagno zaś idź do chaty i daj nam wieczerzę.

Poszła więc Jagna do chaty i zaczęła się krzątać koło wieczerzy, a Bartosz, Jonek i podróżny zostali na dworcu. Ów podróżny był to młody człowiek, śniadej twarzy, na której się co tylko zasiał czarny wąsik, barczysty w plecach, jednem słowem tęgi chłopak co się zowie; suknie na nim nie były wytworne: miał on na sobie szaraczkową sukmanę, spodnie w buty, na plecach zaś mantelzak skórzany; po twarzy i po wszystkiem poznać było, że to nie jest prosty człowiek, a po mowie znać odrazu, że lubo jest jeszcze młody człowiek, ma w głowie dużo rozumu. Zmiarkował to i Bartosz, więc też już inaczej odezwał się do niego, niż poprzód.

— Pan pewno z dalekich stron? — mowił on do podróżnego.

— Bracie — odezwał się podróżny — co mi z tego państwa, wierzcie mi, że mi tak milej, jakieście mnie wprzódy nazywali; wszak my rodni bracia, jedna ziemia jest nam matką.

— To prawda, żeśmy rodni bracia, żeśmy się wszyscy na jednej polskiej rodzili ziemi, ale zawsze już to od Boga dane, że jeden drugiemu nie jest równy.

— Niech tam sobie i tak będzie, ale ja was proszę, żebyście mnie, mój dobry gospodarzu, nazywali jak pierwej, bo taki dalibóg lepiej przypada takie nazwanie do serca.

Ledwo co skończył podróżny te słowa, weszła Jagna z chaty i oznajmiła, że wieczerza już na stole, poszli więc za nią; podróżny przyszedłszy do chaty rzucił z plecy swój mantelzak i złożył go wraz z grubym sękatym kosturem, który miał z sobą do drogi, w kącie izby. Na stole stała misa z pie-

rogami hreczanemi, obsiedli więc stół w czworo a Bartosz się odezwał do podróżnego:

— Prosimy do wieczerzy, wybaczcie że chuda, ale to co jest bierzcie i jedźcie.

— Daj Boże zawsze mieć taką chudziznę — rzekł podróżny — i wziął się do pierogów.

Pulchniutkie pierożki nie długo postały, bo każdy jadł dobrze, nawet i Bartosz mimo umartwienia, a kiedy już się wieczerza skończyła, odezwała się Jagna do Jonka:

— Z naszym gościem tak nam czas biegnie, żeśmy nawet zapomnieli o naszej biedzie, a nawet nie spytaliśmy Jonka co wskórał w Lublińcu.

— Franciszek — rzekł Jonek — mówił, że nas przyjmie do siebie na tydzień, ale tylko na tydzień bo dłużej nie może, gdyż córka jego Zośka ma wkrótce wyjść za mąż.

— To są wymówki — mówiła Jagna dalej — to są wymówki, mocny Boże, już rok coś słychać o tem weselu, a kuma Michałowa klęła duszę na czem świat stoi, że już z tego nic nie ma, że to się całkiem rozeszło.

— Ja nie wiem — mówił Jonek

— Być może — mówił Bartosz — że to są wymówki, być może znowu, że to prawda, ale zawsze wolno Franciszkowi zrobić co mu się podoba. Ja myślałem, że on nam to uczyni, tak jak ja bym uczynił innemu nieszczęśliwemu człowiekowi, ale jeżeli im to trudno przychodzi, pójdziemy się gdzie indziej tułać, wszak świat szeroki! — to rzekłszy dwie łzy stanęły mu w oczach.

— Cóż to mój gospodarzu — rzekł podróżny, który o niczem nie wiedział — mówicie o tułaczce? niechże was Bóg dobry od niej zachowa, bo ciężko i gorzko tułać się po świecie: być na ziemi ojców, a nie mieć kawałka ziemi; ale zresztą nie wiem dlaczego wy o tem mówić macie, z łaski Bożej macie wszystkiego podostatkiem, w chacie jak Bóg przykazał, pewno i gumno nie próżne.

— Lecz cóż z tego — odrzekł Bartosz.

— Prawda — mówił podróżny dalej — że zaraz, jakiem tylko do chaty waszej wszedł, spostrzegłem jakowąś boleść i smutek na waszej twarzy.

— Alboż nie ma czego się smucić i boleć, ot żona, ot chłopak, a tu się trzeba rozstać z ojcowizną, porzucić ją na wieki, oddać obcemu!

— Dla Boga! — rzekł podróżny, któremu okrótny żal ścisnął serce, bo szczerze pokochał on Bartosza — cóż że was zmusza do tego?

— Prześpijcie jeno noc jedną w tej chacie, a nie będziecie pytać, co mnie zmusza; zły duch wygania nas ztąd – teraz pewno już zrozumiecie.

— Nie, jeszcze nie rozumiem — odrzekł podróżny — jestem ja katolikiem i wierzę w Boga Ojca i Syna i w Trójcę Przenajświętszą, ale nie wierzę ja, żeby djabli byli na tej ziemi i mogli wyganiać poczciwego człowieka z chaty, którą mu Bóg po ojcach i dziadach darował.

— Mówicie tak akuratnie, jakbym ja nie był katolikiem, ale trudno nie wierzyć własnym uszom i oczom.

— Ba, czasem oko źle dojrzy, a ucho źle zasłyszeć może, a nie potrzeba nawet djabłów, jeśli się znajdzie zły człowiek. Alež proszę was opowiedzcie mi tę ciekawą historyę.

— Nie przeminie noc jedna — mówił Bartosz — żeby on tutaj nie był, a jak przyjdzie, to niech Bóg uchowa jakie on tańce djabelskie wyprawia po strychu, jak piszczy, pieje, ryczy, trzaska, a z paszczy sieje ogniem, że aż włosy wstają na głowie, kiedy sobie człek na to wspomni; widziałem ja go, dwa razy na własne oczy: czarny jak węgiel, nibyto podobny do byka, ale na dwóch nogach, z rogami na głowie a w pysku zamiast śliny ogień. Już tydzień minął, jak on nas nachodzi, a od kilku dni nie nocujemy w chacie, jeno w stodole, a dziś i wy z nami musicie tam nocować.

— Powiedźcież mi moiściewy — pytał podróżny — czy dobrych macie sąsiadów?

— Nie złych; Gerwas Knot chyba Bogu ducha winien, bardzo spokojny i uczciwy człowiek, Fryc także nie zły człowiek.

— Fryc? — zapytał podróżny powtórnie, gdyż imię to nieswojskie uderzyło go trocha.

— A tak Fryc — mówił Bartosz dalej — to niemiec, kolonista, mój sąsiad z obu stron, po prawej ma swoje obejście, a po lewej pole, ktore niedawno nabył od Wojciecha; majętny to człowiek, pierwszy bogacz w naszem siole, ale choć niemiec, toć nie zły człowiek.

— Oj nie zły! — rzekła Jagna mieszając się do rozmowy — u ciebie nie zły i ten co ci kołki ciesze na głowie, co cię gotów obedrzeć do koszuli; nie wierzcie, to łotr, szachraj, złodziej, przez niego straciliśmy już sto reńskich, a gdyby mógł, toby nas bez grajcara puścił w świat i zabrał za darmo naszą ojcowiznę.

Posłuchajcie ano, jak on nas obcyganił: najprzód dawał o 100 reńskich więcej, potem zniżył jeszcze o 50 reńskich mniej a teraz Bóg wie, czyli i to da; innego kupca nie mamy, bo któż zechce wojować z djabłami, więc jemu tylko musi Bartosz sprzedać, on to wie, dlatego też tak nieuczciwie chce nas ocyganić.

— Więc to Fryc chce od was kupić? — rzekł podróżny, — ale powiedźcież mi dobrzy ludzie, dlaczego on się djabła nie stracha?

— A — rzekł Bartosz — bo on luter, niedowiarek, a sam mi mówił, że djabeł z lutrem żyje w przyjaźni i nigdy mu żadnej psoty nie wyrządza.

— Więc chcecie mu sprzedać?

— Ha, a cóż robić — rzekł Bartosz z wielkim żalem — muszę, chociaż Bóg duszy mojej świadkiem, wolałbym raczej umrzeć, aniżeli porzucać tę rodzinną strzechę.

— Moje gospodarstwo! — zawołała Jagna w rozpaczy, a Jonek milczał, jeno łzę miał w oku.

Po chwili zaś odezwał się Bartosz w te słowa:

— Długo biłem się z myślami, co robić? zrazu miałem nadzieję, że Bóg łaskawy odwróci odemnie to nieszczęście, że

może wynajdę jaki inny sposób, ale to na nic się nie zdało, bo nic mi innego nie pozostało, jak iść w świat, kiędy oczy powiodą.

— Kto wie? – odpowiedział podróżny, który przez cały ciąg tej rozmowy słuchał każde słówko z wielką uwagą — kto wie, może mi Bóg dopomoże, że wam potrafię zaradzić w tej biedzie.

Na te słowa osłupieli wszyscy obecni z radości.

— Czy Bóg z was mówi! — rzekł Bartosz uradowany.

— Co wy mówicie?! — rzekła Jagna odchodząc prawie od zmysłów.

— Ja to mówię, dobrzy ludzie, że za pomocą boską nie będziecie się tułać po świecie, nie postradacie rodzinnej strzechy!

Radość nie do opisania wielka wstąpiła teraz w serca strapione męża, żony i chłopaka, cieszyli się oni nadzieją, którą im uczynił podróżny, ale, że to nie pierwszy już raz robiono im nadzieję, a wszystko dotychczas nie odniosło pożądanego skutku, więc i tą razą kiedy się bliżej zastanowili, mniej ufali słowom podróżnego a Bartosz odezwał się w te słowa:

— Dałby najświętszy Bóg! ale nie wy to pierwsi czynicie nam nadzieję i pospieszacie z radą, radzono już nam dosyć i nikt poradzić nie umiał, ot nawet żona moja kropiła wodą święconą wszystkie kąty, a to nawet nic nie pomaga.

— Święta to prawda — rzekł podróżny — że djabeł boi się święconej wody, ale mnie się widzi, że ten djabeł co waszą nachodzi chatę, nie boi się wcale wody święconej, a zamiast kropidła, lepiej zda mi się, w takim razie przyda się ot ten kostur — i wskazał na swój kij gruby, który w kącie izby stał o ścianę oparty. — Bądź co bądź — mówił on dalej — pozwolicie mi mój dobry gospodarzu spróbować tej nocy moją sztukę, ale musicie mnie słuchać, co wam powiem.

— Dobrze — rzekł Bartosz — dlaczegoż bym nie miał was słuchać, kiedy to o moją skórę idzie; dałby Bóg tylko....

— Otóż — mówił podróżny — zaczynam od tego, żeby żona wasza z chłopakiem udała się na legowisko do stodoły, gdzie teraz zwykle od dni kilka sypiacie, oni nam tu wcale nie

będą potrzebni, tylko owszem zawadzać będą, wy zaś musicie pozostać ze mną.

— Ach, niechże Bóg broni — rzekła Jagna — żeby mój mąż tutaj nocował, jeżeli tracimy już ojcowiznę toć niechcę przytem stracić męża i ostać się wdową na stare lata — i wam szkoda mój wędrowny narażać swoje życie.

— Ja się boję nocować w chacie — odezwał się nieśmiało Bartosz — bo wy nie wiecie...

— No niech ojciec idą spać do stodoły — odrzekł chłopak — a ja zostanę z wami.

— Zawstydził was — rzekł podróżny — wasz własny chłopak, nigdy był bym się nie spodziewał po was, że wy jako Polak tak mało macie w sercu odwagi.

— Bóg mi świadkiem — mówił zarumieniony Bartosz — że niczego w świecie się nie zlęknę, ale co do tego....

— Wstyd! hańba! i djabła i piekła całego Polak lękać się nie powinien, i począł mu długo dogadywać, zanim Bartosz zawstydzony przystał na to i pozostał wraz z podróżnym w chacie, kiedy tymczasem Jagna z chłopakiem wyszła do stodoły.

Co się dalej stało, to już będzie opisane w przyszłym numerku, bo tu jak widzicie, zabrakło miejsca.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Nowe pożary były takie. Dnia 13 października wybuchł ogień w Kołodziejówce w obwodzie tarnopolskim, w domu gospodarza Franciszka K., i zniszczył całe jego gospodarstwo.

Dnia 12 po północy w Liskach w obwodzie żółkiewskim ogień spalił dwa domy włościańskie z całem gospodarstwem. A za dwa dni poźniej w Ostrowie, w tym samym obwodzie zgorzało jedno całusieńkie gospodarstwo.

Znowu jeszcze 1 października w nocy wszczął się pożar w Kobylnicy wołoskiej w Żółkiewskiem, i spalił stodołę arendarza ze zbożem, co wartało 600 reńskich. Zaś 9 października w Daliowej w Sanockiem wybuchł ogień w południe w domu gospodarza Iłka B. i spaliło mu się też wszyściuteńko do kapki, a szkody ma biedaczyna na 800 reńskich. Co najdziwniejsza że wszędzie nie dopytano się jeszcze przyczyny tych pożarów.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

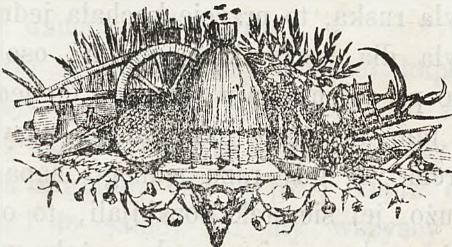
Tom IX.



Nr. 14.

11. Listopada 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.



Kosztuje rocznie przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Salomea.

Jużto temu dobre 650 roczków, jak żył król polski Kazimierz II, a byłci to król dobry, miłosierny i uczynny, i tak pobożny, że go lubił Ojciec święty i w całym świecie nazywano go Sprawiedliwym. Miał on dwóch synów: jeden starszy zwał się trochę z niemiecka Konrad, i siedział sobie na połówce ojcowizny tam, gdzie dziś stoi nasza Warszawa, a drugi młodszy miał na imię Leszek, i nazwali go Polacy Białym, bo nosił włosy długie i jak len białe, a siedział sobie w naszym ukochanym Krakowie. Obaj bracia kochali się serdecznie, pożenili się ładnie, i byli pobożnymi i dbali o wiarę świętą katolicką. Konrad sprowadził Krzyżaków do nawracania pogan, a Leszek Biały gospodarował w Krakowie, i bronił kraj swój od Niemców i Tatarów. Dałci mu Bóg bardzo dobrą żonę z Rusi Grzymisławę, która była pobożną, cichą, zgodliwą i miłosierną królową; onato pogodziła Rusinów z Polakami, aby się nie gryźli i nietrapili wojnami i trzymali z Polakami jako braćmi swymi, a nie słuchali Tatarów; ona

dostała od ojca swego wiano bogate, bo kraj ruski het za Lwowem, co to zwał się Ziemią Halicką, a choć mieszkała w Krakowie i była ruską, to przecie kochała jednako i Polaków i Rusinów i była dla wszystkich matką, osobliwie kochała sieroty, kazała je po całym kraju zbierać i do jednego klasztoru przyprowadzać, tam je sama okrywała i uczyła o Bogu i o wszystkiem dobrem. A gdy razu jednego napadli Tatarzy na ten klasztor i dużo jej sierotek pozabijali, to ona tąk płakała i lamentowała, że mało co nie umarła z żalu wielkiego.

Za takie dobre uczynki dał jej Bóg dwoje bardzo dobrych dzieci: córeczkę Salusię i syna Bolcia.

Salusia była o 7 lat starszą od Bolcia królewica, a pobożna matka Grzymisława tak je wychowywała za młodu, że te dwoje dzieci zostały potem oboje świętemi. Król Leszek pilnował kraju i wojny i sądził sprawy sprawiedliwie, a królowa Grzymisława wychowywała sieroty i swoje dziatki własne, i pamiętała o ubogich i chorych, fundowała szkoły, szpitale, klasztory.

Choć matka Salusi była bogatą królową, to ona sama uczyła swoje dzieci pacierza św. i odmawiała razem z niemi na kolanach, uczyła sama na xiążce dzieci, a małej Salusi gadała zawsze:

— O moje dziecko! Nie pysznij się przenigdy z tego, że masz ojca króla i matkę bogatą, i że na ciebie spada wiano takie jak Ziemia Halicka, bo grunt, majątek i pracę daje Bóg na to, aby wiele dobrego zrobić za życia, ale nie dla pychy naszej. Majątek to łaska boska, i tak długo mamy go na dobre obracać, jak długo tu żyjemy — a kto to marnuje i na zbytki i grzechy przeróżne obraca, ten ma śmiertelny grzech! Po śmierci musi król, pan i chłop zdać rachunek z każdego ziarneczka i z każdej okruszynki, gdzie się podziały, tak samo i z każdego grosza musi się każdy porachować, na co go obrócił. Obracaj na chwałę bożą i na zbawienie ludzi to, co ci Bóg udzieli kiedy!

A Salusia młodziutka słuchała tej nauki i nigdy się nie pysznila ani z rodu, ani majątku, nie wynosiła się nigdy nad drugie biedne dzieci, co do matki z całego kraju przychodziły,

choć były nieraz odarte, omurcąne, choć nie umiały tego wszystkiego, co ona sama umiała.

Ona sobie dumała tak zawsze:

— Czy kto w złocie, czy ubogiej kapocie, czy siedzi we dworze, czy w glinianej komorze, czy żyje o mięsie i miodzie, czy o chlebie suchym i wodzie, czy jest na tronie, czy gazduje na zagonie, czy to pan, ksiądz czy chłop, to to u Boga jedno i to samo, bo my wszyscy ludzie jednako stworzeni, mamy życie rozmaite na świecie bożym, a potem jednaki grób w ziemi świętej i jeden sąd u Boga i jedno zbawienie. Nic nas na świecie nie powinno różnić, jeno zasługa i dobre uczynki.

A gdy to Salusia opowiadała swej matce królowej o czemto ona dumała sobie, to matka ją głaskała po główce, przyciskała do serca i mówiła z płaczem:

— O tak! tak! moja perełko! tak być powinno, bo nas tak nauczył sam Pan Jezus! Pany, xięża i chłopy, to dzieci boże, na tej samej ziemi, w jednakim kościele, choć mają inne mieszkania i ubrania, to za to mają jednakie ciało z gliny i jednakie dusze od Boga i mają się starać razem i w zgodzie o jednakie szczęście za życia i o niebo po śmierci; a choć mają niejednakie rozumy i niejednakie nauki, to mają jednaką naukę od Pana Jezusa i tej się wszyscy rękami i nogami trzymać powinni, a głupsi mają słuchać mądrych, a wszyscy mają słuchać najpierw Boga, robić razem do jednego, co Bóg każe. Ty moje dziecko bądź zawsze dobrą i miłosierną.

To też bieżała Salusia z matką do każdej ubogiej chałupki, gdzie były wdowy, sierotki albo dziady jakie, niosła po kieszonkach pieniądze, lekarstwo dla chorych, w zawiniątkach zaś posilenie jakie dla głodnych, a gdy jej już nie stało nic, to z płaczem mówiła:

— Moja mamo! już nie mam nic przy sobie!

A matka królowa cieszyła ją tak:

— Nie płasz dziecino! jutro tu znowu przyjdziemy, a ty się nie wstydaj między drugiemi coś dobrego zrobić, a jeślibyś nie mogła zaraz, to miej zawsze serce miłosierne, łezkę w oczach i westchnij też do Boga za każdym biedakiem, a pamiętaj

zawsze o tych, co są najbliżej twego domu i co są z tobą w jednym kraju. A szanuj zawsze każdego starszego, choćby był najbiedniejszym.

To też młoda Salusia szanowała najpierw ojca i matkę, potem wszystkich starszych, robiła sobie cichutko i prędko w domu wszystko dobrze, modliła się zawsze po robocie, chodziła z matką do kościoła, dawała jałmużnę przy kościele i na drodze każdemu dziadkowi, nie wstydała się ubogiego, dla wszystkich była tak dobrą, że ludzie gadali:

— O! z tej panienki będzie kiedyś pociecha i chwała dla Boga i dla ludzi!

A był także w domu jej młodszy braciszek Bolcio, z nim żyła Salusia jako starsza i rozumniejsza zawsze zgodnie, nigdy mu na złość nie robiła, nigdy go nie przezywała, razem z nim przy łóżeczku paciorek mówiła, do kościoła go za rączkę prowadziła i gadała mu to wszystko dobre, co sama kiedy od swej matki się nauczyła.

I tak żyła sobie pobożnie i pięknie w pałacu krakowskim i świeciła tam swoją dobrocią jak gwiazdka na niebie, a wszyscy Krakowianie i het daleko po za Kraków wychwalali ją z jej miłosierdzia i pobożności i dziwił się wtedy niejeden mówiąc:

— Co to takiego! że to taka młodzieńka ta królewna polska, a ma już na tyle rozumu, że jej wszędzie pełno i każdego poszanuje i z każdym pogada i poradzi i poratuje, i co to dopiero będzie z tego, jak to wyrośnie i zostanie królową i dostanie jakiego króla za męża!

Ani przez myśl nie przeszło Polakom wtedy, że Salusia i Bolcio zostaną świętymi i patronami Polski!

Do dobrej studni każdy idzie po wodę, do dobrych ludzi każdy zapuka i szuka ratunku, tak też i dobrą dziweczkę każdy dobry chłopiec chciałby brać za żonę. I o Salusię polską starał się nie jeden królewic, a najbardziej zaś syn króla węgierskiego. Król węgierski Jędrzej miał syna Kolomana i tego chciał dobrze ożenić; posłał też swaty do krakowa, którzy stanęli przed ojcami Salusi i mówili:

— Pobożni ojcowie i królowie! dał wam tu Bóg dorodną i świątobliwą córkę, ma ona i wiano bogate, bo pono Halicka

ziemia po matce na nią spadnie, otóż nasz królewic Koloman szuka takiej żony, aby była dobrą i miłosierną, i miała też i wiano jakie i musi tu być w Polsce dobry lud, bo wszędzie po drodze widzieliśmy porządek i stodoły i gumna pełne i ogrody i lasy i rybne stawy i gościnę taką, jakiej nie ma na całym świecie; widać więc, jaka nać, taka mać — jaki lud, taki król, jaki pan, taki kram.

A ojcowie Salusi odpowiedzieli na to:

— Dziękując Bogu najwyższemu dobrze nam tu wszystkim w polskim kraju i błogosławi nam tu Bóg we wszystkiem, a naszą córkę Salusię damy chętnie za waszego królewica Kolomana, damy mu całą Halicką ziemię i dopomożemy, aby tam była obrona jaka przeciw tym Tatarom, co to idą i idą tam zkądsić od Wschodu i już pono zawojowali całe kraje, a teraz pchają się do Polski i do Węgier i chcą to zrabować; a tak wasz król i ja bronilibyśmy się przed Tatarami razem, jeno mybyśmy chcieli, aby o tem wiedział i Ojciec święty, aby on sam pobłogosławił nasze dzieci i koronował na królów Halickich. A posły z Węgier przystali na to i odeszli z tem do swego króla. I stało się tak wszyściutko dobrze; było wesele w Krakowie, Ojciec święty przysłał błogosławieństwo, biskup Krakowski święty Wincenty Kadłubek, co to został takim z chłopskiego stanu, dawał ślub Salusi i Kolomanowi, a potem zabrali się wszyscy z Krakowa do miasta Halicza na koronacyą Salusi na królowę Halicką, gdzie koronował ją arcybiskup węgierski koroną od Ojca świętego, gdzie był król Leszek Biały i królowa Grzymisława i król węgierski i święty Wincenty Kadłubek i pany i xięża i chłopy i wszyscy się radowali z tego. I została Salusia królową Halicką i siedziała sobie w mieście Haliczu za naszym Lwowem i była bogatą i młodzieńką jak lilia polna, boć wtedy miała ona dopiero jakie 13 lat, jak jej dał Bóg koronę ziemską za jej miłosierne serce i za dobre uczynki.

Ale była ona dla Rusinów i Polaków matką królową, boć sobie gadała słowa samego Pana Jezusa:

— Komu więcej dano, od tego będzie więcej żądano tak za życia jak i na sądzie Bożym.

A choć się wydała za mąż, to pozostała zawsze czystą i niewinną panną, bo sobie wyprosiła u swego męża Kolomana, aby mogła żyć zawsze w panieńskiej czystości. Ale i najpobożniejszego dotyka Bóg różnemi krzyżykami, aby wypróbować ich serce i wolę, czy też oni naprawdę są dobrymi. Tak też i Salusię królowę dotknął Bóg dorazu utrapieniem wielkiem, boć nie długo potem zabił jej ojca Leszka króla zdradliwie w Gąsowie niejaki Świętopełk, starosta pomorski i to za to, że mu dał król taki urząd, a on chciał sam być królem; potemu umarła matka królowa, Grzymisława święta, a potem znowu zabili Rusini jej męża Kolomana, z którym żyła Salusia jeno 3 lat w Haliczu, i to dla tego, że nie chcieli mieć Węgra za króla — i tak porzuciła Salusia Halicz, do Krakowa nie było po co iść, bo tam nie żyli już jej ojcowie, a o małego braciszka jej, Bolcia, który miał dopiero 7 lat i został sierotą biedną, kłócili się dwaj strykowie i każdy chciał być opiekunem jego, aby się zbogacić. W tem utrapieniu wielkiem poradziła ona sobie, bo sobie tak ułożyła zrobić:

— Ja sama na świecie, pójdę do klasztoru i zostanę zakonnicą i będę tam Bogu służyć, a mój cały majątek rozdam na ubogich, koronę odeszlę Ojcu świętemu z podziękowaniem, a mego braciszka weźmie w opiekę stryjenka, święta Jadwiga do Wrocławia, i tam go wychowa na chwałę Bogu i Polakom wszystkim.

I tak też zrobiła! sama poszła do klasztoru w Zawichoście, niedaleko Sandomierza nad Wisłą i tam była zakonnicą świętej Klary jakie 20 lat, tam się modliła, tam o sierotach pamiętała i uczyła sama, tam chorym i biedakom była matką i znowu dał jej Bóg pociechę, bo braciszek jej Bolcio urosł i wychował się u świętej Jadwigi na pobożnego króla i został królem polskim i siedział w Krakowie, a potem ożenił się z Kunegundą, co to została świętą. I było szczęście w polskim kraju i bogactwo z soli, którą święta Kunegunda odkryła w Bochni, a Salusia cieszyła się z tego, że miała stryka Henryka i stryjenkę Jadwigę we Wrocławiu, co oboje potem zostali świętymi; że miała brata i bratowę w Krakowie królami, co także oboje zostali świętymi, to jest: Bolesław święty Wsty-

dliwy i święta Kunegunda; cieszyła się, że nawet między mieszczanami, xiężami i chłopami było wiele takich, co potem zostali świętymi.

Ale znowu zesłał Bóg nowe utrapienie na całą Polskę, bo Tatarzy wpadli do polskich krajów i palili i rabowali co się jeno nadało; byłoto roku 1242, i wtedyto zrabowali Zawichost, Sandomirz, Kraków, Wrocław i szli także na Węgry. Salusia ledwo żywa uciekła do Krakowa do brata króla Bolesława, a z nim uciekła aż w góry węgierskie i wtedyto fundowała tam w górach klasztor w Sączu święta Kunegunda, gdzie z nią siedziała i Salusia, dopóki Tatarzy nie odeszli z Polski.

Nie było po co wracać do Zawichostu, bo był zburzony i nie było tam dla zakonnic pewnego życia, to też Salusia prosiła brata króla, aby jej wyfundował taki sam klasztor, jaki był w Zawichoście i w starym Sączu, i mówiła mu:

— Jam sobie upatrzyła dobre miejsce na klasztor niedaleko Krakowa, bliziutko Ojcowa i Skały Piaskowej, tam są góry, lasy i skały i tam będzie dobrze dla zakonnic, otóż wyfunduj mi tam braciszku taki klasztor, jakiś fundował dla mnie i w Zawichoście, a ja tam chcę życie zakończyć.

I wyfundował jej klasztor król Bolesław Wstydliwy na górze wysokiej, w Grodzisku, między lasami i kamieniami, gdzie Salusia poszła i tam sobie urządziła zakon świętej Klary, jaki był w starym Sączu i tam przeszło 20 lat przeżyła w cichości i modlitwie. Przeżyła potem drugi napad Tatarów, a góry i skały Ojcowa stały się dla Polaków wszystkich tak drogiemi dla tego, że święta Salomea tam żyła, tamtędy chodziła i tam za Polakami się modliła i tam miłosierdziem swojem tyle ludzi do siebie ściągała, że odtąd niejedna wieś początek tam swój wzięła. To też tam umarła święta Salomea roku 1268, przeżywszy w pobożności wielkiej 58 lat życia i wysłużyła sobie dwie korony ziemskie, to jest: Polską i Halicką, a w końcu niebieską!

Prośmy ją teraz, aby się modliła za nami!...

O święta patronko! tyś przeżyła Tatarów napady na polski kraj, tyś doznała za życia tyle utrapienia, módl się tam w Niebie za nami, aby dopomógł Bóg braciom naszym zwyciężyć wrogów

Moskali, co ich trapią dziś bardziej niż dawniej Tatarzy, i aby nam dał Bóg tyle pobożnych i dobrych panów, xięży i chłopów, ile ich było za twego życia w polskim kraju!...

X. Wojciech z Medyki.

Napad.

Rozedniało w duszy
Zatrwożonej Kasi:
A wszakżeć to nasi!
Wszak jadą Krakusy!

Sierżant:

Malino! kochanie!
Kto ciebie dostanie?

Kasia:

Oj nikt nie dostanie
Mój cacany panie!

Sierżant:

A to znow dlaczego?

Kasia:

Bo mam już mojego.

Sierżant:

Gdzież on? moje zdrowie!

Kasia:

Tam gdzie i panowie.

Sierżant:

Jakto? on na wojnie?

Kasia:

A czyżby spokojnie
Miał skryć się do dziury,
Kiedy inni żyją,
Kiedy inni biją?
Zkądże to jedziecie
Kiedy wej nie wiecie,
Gdzie dzisiaj Mazury!

Sierżant:

Nie gniewaj się mała!
Bo powiem ci szczerze,
Że prawie nie wierzę
Żebyś męża miała;
Boś mi taka młoda...
A co! zgoda?

Kasia:

Zgoda!

Sierżant:

No! to twoje szczęście,
Żeś łatwa do zgody!
Bo by i zamęście
Nie strzegło przygody —
Ach, jak w Boga wierzę,
Chciałem zsiąść z rumaka,
I za karę szczerze
Dać tobie buziaka.

Kasia:

Co panu buziaki?
We dworze za rzeką,
Ot, ztąd niedaleko
Rabują kozaki.
Sama pani w domu,
Sama i to młoda,
A szkoda jej, szkoda!
Bronić nie ma komu,
Bo mąż jej w Warszawie,
A to państwo nasze!
Toć tam pospiesz wasze!
Złapiesz ich na sprawie;

Was wprawdzie nie wiele,
Ale tylko śmiele,
Wszakcito kozacy
A wy dyć Polacy!
Rzekła - poskoczyli
I dwór otoczyli.

W dworze brzękło, jękło,
Sześć Kozaków padło,
A dwóch się wykradło,
A resztę uklękło.

Z Pieśni Janusza.

Stach wędrowiec.

(Dokończenie.)

— Sprobujemy — mówił Bartosz, udając niby spokój i odwagę, gdy rzeczywiście zbladł był od strachu.

— Tfe, nie bójcie się gospodarzu! nie taki to straszny ten djabeł jak go malują, przekonacie się sami.

— Ja się nie boję — ale co to ma być, co wy chcecie robić?

— Zobaczycie, a tymczasem kładźcie się spać na ławę, kiedy będzie czas, zbudzicie się sami, lub ja was zbudzę — świeczka niech się pali na stole.

Położył się Bartosz na ławę, i różne myśli poczęły mu się krzyżować po głowie: z jednej strony zdawało się jemu że to wszystko na darmo, że musi opuszczać swoje obejście, że z porady podróżnego naraża życie swoje na niebezpieczeństwo, z drugiej znowu strony mówiło mu coś w sercu: Miej nadzieję! i mimo obawy i różnych myśli miał przecie nadzieję; położywszy się na ławę nie myślał on wcale o spaniu, ale uczynił to tylko z nakazu podróżnego.

— Zachowujcie się cicho — rzekł podróżny — a ja muszę wyjść z chaty i czekać przywitania z waszym gościem — tylko powiedźcie mi, gdzie stoi drabina i gdzie mogę znaleść choć ze dwa okłoty słomy.

— Zaraz przyniosę — rzekł Bartosz, zrywając się z ławy.

— Nie ruszajcie się — ja sam potrafię to zrobić, tylko mi powiedzcie, gdzie mogę wyszukać.

— Za chatą zaraz znajdziecie i jedno i drugie.

Na te słowa wyszedł podróżny z chaty i udał się na to miejsce gdzie mu Bartosz wskazał, ażeby przynieść słomę i drabinę, jakoż w chwili było to już wszystko w sieni, a nasz podróżny zaczął tutaj zaraz swoją robotę: nasamprzód rozścielił słomę na ziemi, a potem przyłożył drabinę do strychu, po której wylazł aż na strych, i tutaj z kraju usiadł sobie tak, że siedział na powale, a nogami oparł się o szczeble drabiny, a trzymając gruby swój kostur w ręku, czekał na powitanie tego djabła, który prawdziwie po djabelsku usiłował wygonić poczciwych Bartoszów z ich ojcowizny.

Jakoż nie długo czekał na to powitanie; wkrótce przytarabanił się przez komin rzeczony djabeł na strych, i zaczął płatać swoje zwykłe sztuki, zrazu ciszej, potem głośniej począł stukać — tłumić się jak istny Marek po piekle — nakoniec piszczeć, zawodzić wilczym głosem i Bóg wie co jeszcze nie czynić; Bartosz usłyszawszy to w chacie, aż się zatrząsł ze strachu i począł biedak blednąć jak chusta; podróżny zaś jak tylko usłyszał że coś przez komin włazi — położył się na strychu i leżał spokojnie czekając, aż djabeł sam nie wpadnie mu w ręce; — owoż nie długo czekał, bo ten tłumiąc się po całym strychu, wlazł wreszcie i na niego, tak że podróżny mógł go schwycić silnemi rękami za nogi, schwyciwszy go nie namyślał się długo, jeno hepnął nim na dół do sieni, właśnie w to miejsce, gdzie był słomę rozścielił umyślnie dla tego, ażeby schwytany nie połamał sobie kości.

Z wielkim łoskotem spadł mniemany djabeł na dół, a równocześnie powstał wielki krzyk: zawodził bowiem nie swoim głosem strącony przez podróżnego djabeł i biedny Bartosz w chacie począł równocześnie ze strachu krzyczeć; podróżny zaś zlazł co prędzej z drabiny na dół, ujął silnie za rękę leżącego bez pamięci na słomie, i donośnym głosem zawołał na Bartosza:

— Pójdźcie tu ze świecą.

Ale Bartosz przestraszony bał się wyjść zrazu, potem zaś kiedy go zapewnił, iż niema się bać czego, nie bez wahania wyszedł z izby, otworzył drzwi, ale mimo że niósł świeczkę w ręku, ciemno mu było w oczach, i jakby przez mgłę tylko

widział coś czarnego z rogami leżącego na ziemi, a na nim siedzącego podróżnego.

— Ha, łotrze, złodzieju! mam cię! — wołał podróżny.

— Gwalt, zbój! — krzyczał rogacz powalony, przychodząc pomału ze strachu do siebie.

— Gwałtu! — krzyknął i Bartosz ze strachu, nie będąc jeszcze pewnym, czy nie jest to rzeczywisty djabeł.

— Cóż u pioruna — zawołał podróżny rozgniewany do Bartosza — krzyczycie gwałtu — zajrzyjcie mu w twarz, a przekonacie się, że nie żaden djabeł.

— To Fryc dla Boga! — zawołał Bartosz, ale dlaczego ma on skórę byczą na sobie?

— Zróć skórę — krzyknął podróżny, bo jak zacznę cię okładać kijem, to nie zajdziesz do domu.

— *Gut!*... zaraz! — mówił Fryc kłapiąc zębami, i w tej chwili zrzucił z siebie czarną byczą skórę, w którą się zawsze przyodziewał, kiedy szedł straszyć Bartoszów.

— To Fryc! dalibóg to Fryc! – mówił Bartosz poznawszy go dobrze.

— Więc to ten sąsiad wasz z obu stron, któremuście klinem wleźli, i dlatego was straszył, ażeby wasze mienie wam zagrabił. Ha, łotrze, złodzieju, tak to ty się wypłacasz za gościnność, za tę ziemię, która cię żywi, a po której nie godzień jesteś stąpać? więc za te dobrodziejstwa chcesz jeszcze pozbawiać naszych kmieci mienia, wypędzać ich z pod rodzinnej strzechy, korzystając z zabobonności?! ha, łotrze, zawłoko!

„Wara! nie leźć w ogród cudzy,
Bo połamiem kości!“

— Gwalt! gwalt! — krzyczał Niemiec blady jak chusta, łamać nóg! ja mam dzieci — *majne Lize! Francl!*...

— Aby cię djabeł wziął! — krzyknął wreszcie Bartosz, nie mogąc pomieścić w swojej głowie tak wyrachowane łotrowstwo.

— Gwalt! nogi!... ja mam *slabi nóg*, jak raz uderzycie, to odpadną — gwalt! darujcie *nóg!*

— Na nogi twoje podły łotrze — rzekł Bartosz — nikt się nie łakomi, ale za krzywdy, któreś nam wyrządził, dostaniesz twoje.

— Że ci plecy trzeszczeć będą! — dodał podróżny.

— Darujcie, darujcie! — błagał Fryc, padając obóm do nóg — już i na *wnuk* mój mówić będę, żeby sobie z Polak nie zaczynał.

— Dla takich łotrów niemasz przebaczenia! dostaniesz po cesarsku dwadzieścia pięć odlewanych!

Na te słowa zbladł Fryc jeszcze bardziej i aż czkawkę dostał od wielkiego strachu, ale to wszystko nic mu nie pomogło; podróżny ujął go silnie ręką, położył na ławie, a Bartosz zaczął bić.

— Daruj sąsiad! gwalt! gwalt! — zawodził on pod kijami w niebo głosy tak silnie, że aż Bartoszowa się przebudziła i wraz z Jonkiem wbiegła do chaty; właśnie wtedy, kiedy oni przyszli, skończył Bartosz swój obrachunek z Frycem; niemiec wstawszy uciekł co tchu z chaty Bartoszowej, krzycząc bez pamięci i opamiętania, a w strachu zostawił nawet swoję czapkę i byczą skórę, w którą się za djabła przybierał.

— Jezus, Maryja! — zawołała zdziwiona kobieta — a to co takiego — to Fryc!

Jakoż podróżny opowiedział o wszystkiem Bartoszom obszernie jak on obmyślił wprzódy sposób schwycić mniemanego djabła, jak potem rzucił z strychu na słomę, a Bartosz dokończył opowiadanie mówiąc o słusznej karze, jaka Fryca spotkała. słowem cała rzecz się teraz wyjaśniła, a wszyscy poznali, że to nie kto inny jeno Fryc udając djabła, straszył ich ażeby tem łatwiej nabyć ojcowiznę Bartoszową, na którą zaostrzył zęby, a którą za nic w świecie Bartosz by mu nie sprzedał.

Kiedy to się skończyło, nie posiadali się wszyscy z radości, więc też jak przystało, klękli przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polskiej, który wisiał na ścianie i poczęli się modlić w te słowa:

— Boże najlitościwszy i Ty Matko nasza, dziękujemy Wam za łaskę cudowną, że nam naszą ojcowiznę wracacie i niedozwalącie kosztować gorzkiego chleba na tułactwie bez chaty.

I modlili się jeszcze długo i szczerze, a z wdzięczności łza im oko zalała, potem zaś wstawszy od modlitwy zbliżyli się do podróżnego i poczęli mu najserdeczniej dziękować.

— Dziękuję ci całem sercem — mówił Bartosz, żeś nam oddał ojcowiznę, żeś nas wrócił tej chacie twoim rozumem za Boską pomocą. Kto jesteś nie wiemy, ale to wiemy, żeś jak prawdziwy anioł Boży wszedł do naszej chaty, ażeby do niej wnieść szczęście na wieki.

— Nie jestem ja ci żaden anioł Boży — rzekł podróżny, ale człowiek, katolik, Polak tak jak i wy moi mili, z dalekiej strony idę ażeby....

— Więc wy idziecie.... rzekł Bartosz.

— Tak, dobry gospodarzu — mówił podrożny.

— I że wy mieli tyle odwagi — odezwała się Jagna, która z uciechy i radości oniemiała prawie.

— Dobrzyście — odrzekł obcy uśmiechając się — idę na niedźwiedzia, a nie dałbym sobie rady z tym bykiem.

— Szczęść wam Boże! mówili wszyscy, niech Bóg litości strzeże was, ażeby wam nawet włos z głowy nie spadł — wyście nas uszczęśliwili — a sami nie wiemy jak wam za to dziękować.

— Nie potrzebuję ja podzięki, uczyniłem to, co mi sumienie uczynić nakazywało, a jedyną dla mnie podzięką będzie to, jeżeli sobie ztąd piękną wyciągniecie naukę na przyszłość i brzydzić się będziecie nadal zabobonami i przesądami, a czasem też wspomnicie sobie na Stacha wędrowca, który jak żóraw ciągnie tam, gdzie go bracia wołają.

— Do śmierci pamiętać was będziemy, poczciwy Stachu!

* *
*

Noc była śliczna, letnia noc, choć trochę ciemna, gwiazdki srebrzyste cudownie migotały nad głowami trzech wędrowców, którzy jakby wiatrem gnani zdążali do Rudy Rożanieckiej.

— Wędrowcy moi, czy wam tak pilno, że lecicie jako sokoły pośród cichej nocy?

— Oj pilno im — pilno — zdały się odpowiadać szumem sosnowe bory, których wierzchołki lekki wietrzyk umorzył.

To też mimo piasku szli wszyscy trzej szparkim krokiem, że za nimi aż się piasek kurzył.

Czy wiecie kto są ci wędrowcy?

To Bartosz z Jonkiem odprowadzają Stacha! Przez całą drogę gwarzą oni pomiędzy sobą, a najbardziej Stach opowiada im rzeczy, których obaj z otwartą gębą i z otwartem sercem słuchają. Wśród takiej pogadanki szybko czas im zbiegał, i ani się spostrzegli kiedy się już zobaczyli w Rudzie.

— To już Ruda — rzekł Bartosz.

— Więc tu się już pożegnamy, może i na wieki, a może Bóg mi jeszcze dozwoli oglądać was dobrzy i poczciwi ludzie.

— Szkoda, żem nie starszy — mówił Jonek ze łzami przy pożegnaniu.

Pożegnali się więc czule i serdecznie pomiędzy soba, a każdy poszedł w swoją stronę.

Od teraz szczęściło się we wszystkiem poczciwym Bartoszom, nawet Jagna zaprzestała jakby jakim cudem gderać i kłócić się, a nikt by w niej teraz nie poznał dawną swarliwą kobietę, — toć cieszy się Bartosz wielce z tej racyi, a Bóg szczęści im w dwójnasób.

Historya o Frycu rozeszła się nietylko po siole, ale nawet w całej okolicy o tem mówiono, a wszyscy śmiejąc się serdecznie żałowali tylko, że mu się jeszcze lepiej nie okroiło, chociaż prawdę powiedziawszy, dostał on tęgich bizunów i coś przez cały miesiąc ledwo się wylizał z siniaków.

Jeżeli Bóg pozwoli spiszę ja wam znowu kiedyś dalszą historyę Stacha, a będzie to — niechwaląc się — bardzo ciekawa historya; teraz zaś poleca was Bogu wasz brat

Grzela z Waszkowiec.

Co to jest przemysł?

— A jużci jakieś nowości — powie niejeden — bo ta o tem ani tatuś ani dziadek nic nie powiadali, więc ta i na licho zda się ono.

Że przemysł jest nowiną na licho, to gadanina po próżnicy, że tatuś i dziadek o tem nic powiadali, to jeszcze nie racya aby się ono na nic nie zdało. Ale najlepiej posłuchajcie co to jest przemysł, a sami powiecie co to warte.

Oto moi mili przemysł jest w tem, aby umieć z każdej rzeczy korzystać, aby nic nie marnować na darmo. Ot dajmy na to, gospodarz zabija na święta owcę czy barana. Więc jużci mięso nie wyrzuci, ale schowa do jedzenia; krwi nie zepsuje, bo wie że i coś warte: skóra jużcić na kożuch — a zresztą co?

— Ba a jakażta reszta? — zapytacie.

— Oto kości, flaki i insze.

— No to dla psa — mówicie — bo i na cóż innego?

— Na co? a toć wam zaraz powiem. Rzucicie psu kości i flaki, więc ta co nieco pożre, a resztę rozrzuci ta zponiewiera. Zamiast tego i dla psa znajdzie się jedzenie insze i tańsze, boć kości i flaki to nie taka rzecz marna. Owcze flaki toć to na stróny, a stróny do skrzypek i do basetli, a już każdy wie na co się one zdadzą. Znowu kości a toć już rozpisałem się w dawniejszych Dzwonkach nie mało, jaki z nich pożytek, więc przeczytajcie tam kto ciekawy.

Otóż to jest przemysł.

Więc znowu inszy przykład. U szewca czego huk? — odrzynków ze skóry. A wiecie jak przemysł potrafi zużytkować takie odrzynki? Oto z większych robią guziki, a mniejsze dają farbę. — Znowuż u stolarza heblowin mnóstwo, a i te nie idą marnie. Zbierają je w beczki, nalewają wódką, a wódka przecieka i robi się z niej ocet. — A z łachmanów różnych, płatków i takiego śmiecia, to co wyrabiają? Oto moi mili ten piękny i białuśki papier, na którym wam Dzwonek drukujemy i insze xiążki.

Tak moi mili dzieje się za granicą. U nas to jeszcze na takie rzeczy nie bardzo uważają ludzie, i co się ta od razu zjeść lub inaczej zużytkować nie da, to na śmiecie z tem i jużcić. Źle to źle. Gdyby inaczej było, gdyby każdy umiał najdrobniejszą rzecz zużytkować, więc by ta i biedoty mniej

było, i marnowania mniej. Z czasem do tego pewnie przyjdzie, a tymczasem warto o tem pomyśleć i warto zapamiętać sobie owe dwa wierszyki, które powiadają:

Przemysł i praca
Tylko zbogaca.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne. We wsi Milówce niedaleko Żywca urządzili tameczni włościanie „żałobne nabożeństwo za wszystkich poległych i pomordowanych polskich wojowników.“ Kazali oni także wydrukować sobie takie kartki, gdzie było o tem nabożeństwie wypisano, iż się ono tego dnia odbędzie, i że na to nabożeństwo zapraszają wszystkich Nabożeństwo odbyło się bardzo pięknie i z wielką pobożnością. Zaś niezawadzi donieść, iż nabożeństwa takie odprawiają gospodarze wiejscy także po innych wsiach, jeno że o wszystkich dokumentnie nie wiemy, bo nam do Dzwonka o tem nie donoszą, co jest szkoda, i prosimy aby zawsze nam kto napisał o każdem takiem nabożeństwie.

Jubileusz. Już wam pisałem niedawno moi mili o jubileuszu, który Ojciec święty kazał odprawić w Rzymie za Polskę, aby ją pan Bóg wybawił od złości i okrucieństwa moskiewskiego. Taki sam jubileusz odprawiono także w całym kraju francuzkim, gdzie wszyscy bardzo gorąco modlili się za Polską. Zaś i u nas będzie się ono odprawiać, jak skoro przyjdzie pozwolenie od rządu, i zaraz ogłoszą nasi biskupi owo nabożeństwo jubileuszowe, i w caluteńkim kraju będzie się ono odprawiać.

Pożary. Dziwna rzecz, ile to corocznie nieszczęścia bywa od ognia. Żeby tak o każdym pożarze wypisywać, toby pewnikiem miejsca w Dzwonku nie stało na insze pisanie; zaś i tak zawsze jest dosyć o znaczniejszych pożarach. Otóż o tych jeszcze nie pisaliśmy. Dnia 8 września spaliło się z całem gospodarstwem i dobytkiem aż ośmioro gospodarzów w Zdrocku w powiecie Zaszowskim; dnia 6 października zgorzało w Radomyślu pięć domów; dnia 9 października w miasteczku Dąbrowej spaliło się 6 domów ze wszystkiemi budynkami gospodarskiemi; znowu 12 października był ogień w Woli Rzędzińskiej w powiecie Tarnowskim, i spaliło się 6 domów z budynkami a także 4 sztuki bydła; tegoż samego dnia zniszczył ogień w Gruszowie Wielkim w powiecie Dąbrowskim dom jeden i stajnie; zaś 12 października był pożar w Mszanie w powiecie Skrzydlnieńskim, i spalił cztery gospodarstwa. Naostatek w Starej wsi, w powiecie Grzybowskim wybuchł także ogień przez nieostrożność służącej, i udusiła się od dymu owa służąca, chociaż ogień uduszono.

Redaktor: B. Kalicki. Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

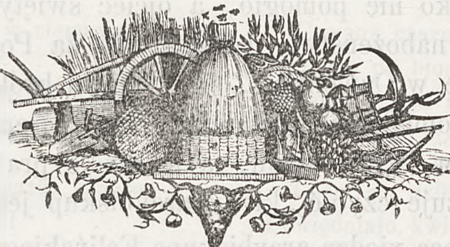
Tom IX.



Nr. 15.

21. Listopada 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żałoba kościelna

w królestwie polskiem.

Już od kilku miesięcy, bo od lipca tego roku, jest w królestwie polskiem żałoba kościelna, a to z tej racyi.

Był tamże arcybiskupem xiądz Szczęsny Feliński, mąż zacny i sprawiedliwy. Kiedy Moskal zaczął okrutnie Polaków uciskać, kiedy ich męczył i mordował nawet za modlenie się i za pobożność, kiedy okrucieństwami i rabunkami moskiewscy żołnierze kościoły profanowali, naonczas xiądz arcybiskup Feliński ujmował się za ludem polskim, i mówił Moskalom że się tak czynić nie godzi, albowiem sąd boski ich czeka za złość taką i za okrucieństwa takie. Ale nic to gadanie nie pomagało, a Moskale postanowili nakoniec zemścić się na zacnym i sprawiedliwym arcybiskupie. Otóż razu jednego aresztowali go i powieźli aż do Petersburga, gdzie sam car moskiewski mieszka, a ztamtąd wywieźli go hen w kraj moskiewski, i tamci tego zacnego ojca duchowego trzymają w więzieniu do dziś dnia.

Na taki gwałt powstał okrutny lament i żal. Sam ojciec święty upominał Moskala, aby takiej bezbożności nie czynił. Ale i to wszystko nie pomogło, a ojciec święty nakazał z tej przyczyny owo nabożeństwo jubileuszowe za Polskę, o którem już było pisanie w Dzwonku. Zaś w samem królestwie polskiem odbyło się zgromadzenie kościelne, na którem postanowiono ogłosić żałobę w całym kraju, a to wedle prawa kościelnego, które tak nakazuje czynić, kiedy arcybiskup jest w niewoli.

Otóż zastępca xiędza arcybiskupa Felińskiego wydał pisanie, gdzie zapowiedziana jest żałoba kościelna w taki sens:

„Moskale uwięzili i wywieźli z kraju naszego najdostojniejszego arcypasterza. Otóż według prawa kościelnego nakazuję wszelkiemu duchowieństwu, aby od tego czasu, to jest jeszcze od początku lipca, na znak smutku i żałoby ucichły we wszystkich kościołach dzwony, organy, muzyki i śpiew aż do czasu uwolnienia i powrotu naszego arcybiskupa. Zaś w xięgach świętych jest napisana o apostole Piotrze świętym taka historya. Bezbożny Herod wsadził Piotra świętego do więzienia, a chrześcijanie ówcześni ciągle modlili się do pana Boga o uwolnienie jego. I wysłuchał pan Bóg modłów ich, i uczynił cud, albowiem razu pewnego stanął przed świętym Piotrem w więzieniu anioł Boży, i rzekł mu: „wstań!“ I wstał Piotr, i kajdany opadły z niego, i wyszedł cudem z więzienia. Otóż arcybiskup nasz, xiądz Feliński, jest jako Piotr święty, którego uwięził Moskal niby Herod okrutny. Więc my wszyscy módlmy się do pana Boga o jego uwolnienie, wstrzymujmy się od wszelakich grzechów, a może pan Bóg wysłucha modłów naszych i wybawi z niewoli naszego arcybiskupa, albowiem pan Bóg rządzi wszystkimi monarchami i uczynić może co jeno zechce.“

Takie pisanie odczytano po wszystkich kościołach w królestwie polskiem. Lud wszędzie płakał okrutnie, bo wszyscy kochali arcybiskupa Felińskiego i wszędzie też odbywają się tam aż do dnia dzisiejszego nabożeństwa na jego uwolnienie, i wszędzie do dziś dnia jest tam żałoba kościelna.

Czemu?

Czemu, czemu w ciemnym borze
Oniemiało ptaszę?
Czemuż takie smutne, łzawe
Wioski, pola nasze?

Płacze ojciec, matka płacze,
Krwawo serce boli!
A dziewczyna, a jedyna
Z żalu klnie swej doli.

Nawet bociek zwiesił głowę
I smutno klekocze —
A bydlęta niebożęta
Łzawe mają oczy.

Czemuż czarnych kruków stada
Krakają po błoni?
Czemuż dzwon tak przeraźliwie,
Jakby jęczał, dzwoni?

Czem się dzieje że na łące
Powiędniało kwiecie?
I słoneczko promieniste
Ciemniej jakoś świeci?

Nawet gwiazdy tak nie świecą
Jak ongi świeciły —
A co dawniej było miłe,
To teraz niemiłe.

I ludziska snu nie mają,
Jeno łezki ronią,
I myślami rozpacznemi
Het daleko gonią.

Grzela z Waszkowiec.

Kościółek
świętego Leonarda na Bugaju.

Na samym krańcu ziemi polskiej, która teraz do Prusaka należy i zdawna Wielkopolską się nazywa, leży sobie niewielka i uboga wioszczyna Łagiewnik. Zaraz przy niej ciągnie się dosyć obszerne pustkowie, które ludzie Bugaj nazywają. Zaś na tem pustkowiu rosną niezmiernie stare dęby ni to strażniki tej ziemi polskiej, a pomiędzy niemi stoi sobie już trochę pochylony a bardzo starożytny modrzewiowy kościółek świętego Leonarda.

Już od dawna przychodzą tam ludzie tłumami, nieraz z bardzo dalekich stron i modlą się z całego serca do tego świętego, bo on ci jest patronem i opiekunem tamtejszej okolicy. Otóż naonczas, kiedy się zejdą procesye, całe owo puste pole,

a osobliwie miejsce pod dębami zasute jest tobołkami, na których legają ludzie noclegiem, gdy się w Łagiewniku w chatach pomieścić nie mogą i ludu tam pobożnego wówczas co niemiara.

Łońskiego roku wybrał ci się od Bochni na odpust świętego Leonarda do onego kościółka człek jeden, co to mu już nie dziwno było być w Kalwaryi Zebrzydowskiej i Pacławskiej, Milatynie i Kobylance, Częstochowie i Leżańsku, boć tam gadają nawet ludzie w sekrecie, że on był i w Rzymie u Ojca świętego i w domku loretańskim Matki Boskiej, a zwie on się Szczepan Bełkotka. Otóż przyszedł ci on na odpust, a mówiąc prawdę, szedł także wtenczas do swojego rodzonego brata, który mieszka het tam aże koło Poznania.

Szczepan zdziwił się nie pomału, że kościółek taki maleńki, bo słysząc o nim, zdawało mu się, że to będzie kościół ogromny i bogaty, ale najbardziej tego nie mógł zmiarkować, czemu on tak samotnie stoi w dębowym lesie. Owóż chodzi i chodzi do okoła, ogląda kościółek, i myśli sobie, że to chyba ktoś z wielkiej pobożności wystawił go w takiem ustroniu; aż tu chodzący tak i medytujący, ujrzał jak gołąbek siwiutkiego dziadka, do którego wnet przystąpił i powitał z uczciwością:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — odpowie dziadek — a zkądeściewy mój miły, zda mi się z daleka?

A Szczepan gada:

— Oj z daleka mój dziaduniu stareńki, aże het z Galicyi od Bochni, gdzie to, możeście słyszeli, sól kopią.

A dziadek zaraz powie na to:

— A toć ja znam te strony doskonale, byłem ci ja tam, pamiętam jakby dzisiaj, kiedym jeszcze szedł do pana Kościuszki do Krakowa, gdzie się zbierali nasi na Moskala. Oj pamiętam to dobrze! i wyście to ztamtąd mój miły, ztamtąd?

A Szczepan poderwie i gada:

— A ztamtąd przyszedłem się tu pomodlić po drodze, idąc do mego brata, boć to jest się czego modlić w czasach dzisiejszych.

— Słusznie gadacie mój miły — przemówi dziadek — owóż trzeba się modlić z całej duszy i z całego serca, aby Bóg

odmienił czasy nieszczęśliwe na lepsze. Dzisiaj to już dziwa na świecie, i dawno nie bywało takich. Ot, kto nie słyszał o różnych sprawkach tych niedźwiedzi za Wisłą? Bodaj się i to odmieniło, i bodaj się oni tak nawrócili jak ten pan grzeszny, co to fundował kościółek tutejszy.

— Alboż to pan jaki postawił ten dóm Boży?

Wtedy dziaduś odrzeknie:

— Widać żeście ciekawi historyi tego kościółka, kto go wybudował i na jaką pamiatkę. Nie prawda?

— A prawie miałem was prosić, abyście mi opowiedzieli, bom rad wiedzieć o tem wszystkiem.

Na to rzecze mu znowu dziaduś:

— Owóż usiądźcie sobie koło mnie, a ja wam chętnie opowiem, bo znam dobrze całą historyę, i już chwała Bogu mam lat ośmdziesiąt i ośm, a jestem przy tym kościółku prawie lat trzydzieści, od ostatniej wojny polskiej z Moskalami, na którą ci także chodziłem, i gdzie mi kula zgruchotała kolano i chodzić dobrze nie mogę o własnej sile, jeno tylko na kuli. A że mi moskale zabrali całe mienie, poświęciłem się oto na usługi Panu Bogu.

I pokazał dziadowina Szczepanowi nogę, potem usiedli sobie oba na kamieniu, a dziadek jął wnet tak opowiadać:

— Dawne, oj bardzo to dawne czasy, gdy w Łagiewniku żył gospodarz ubogi. Cały jego dobytek stanowiła licha chałupina i dwoje bydlątek, co musiały żywić oprócz niego jeszcze żonę i kilkoro dzieci, a grosza gotowego nie znalazłbyś człeku ani na paczkę tytoniu w chacie Macieja, bo tak mu było na imię.

Poczciwe to było chłopisko; pracował ustawicznie, a często ze łzami w oczach załamując ręce, prosił Boga o lepszą dolę; Bóg jednak, chcąc go wypróbować w cnocie, jak się to zwykle zdarza, że kogo miłuje, temu krzyżyki zsyła, zamiast mu poszczęścić, nawiedził go jeszcze wielką klęską. Jednego wieczora wszyscy gospodarze pospędzali już bydełko z pola, każdy przerachował swoje i zagnał do obory, lecz Macieja bydlątek rozstąp się ziemio nie ma i nie ma. Zamiast ryku słychać rzewny płacz głodnych dzieci, które u matki mleka wołały. Rozpłakała

się Maciejowa, rozżalił Maciej, bo i jakże nie miał żałować, kiedy niedawno dopiero odchował sobie krówki i te znikły z pastwiska.

Rozmyślając, czy je przypadkiem wilk nie zjadł, czy też kto nie ukradł, albo może czy same nie uciekły gdzie do zboża na polach — szukał nieborak po lasach i miedzach, aby przecież z pociechą powrócić do żony; pytał się ludzi czy nie widzieli, ale wszystko było na próżno, krówki przepadły jak kamień we wodzie.

Ogarnęła go wielka żałość, to też będąc na polu, ukląkł przed figurą i z płaczem modlił się do pana Jezusa:

— O Boże miłosierny! zmiłuj się nademną grzesznikiem, a racz sprawić, żebym znalazł moją zgubę, bo tym tylko sposobem mogę uratować moją żonę i dzieci. Próbowałeś mię Boże! ja wytrzymałem wszystko i z niezmienionem sercem proszę Cię o łaskę Twoją.

Owóż gdy tak przed figurą klęczy, naraz zaleciał go bardzo przyjemny zapach, a potem zrobiła się prześliczna jasność, że go aż raziła w oczy. Nagle patrzy, i widzi przed sobą młodzieńca, który był jak pielgrzym ubrany i tak do Macieja przemówił:

— Szczęśliwy kto nadzieję położył w Panu. Ufałeś człowieku, otóż wysłuchał Bóg twojej prośby i mnie zesłał do ciebie na twoje pocieszenie. Jestem Leonard, jeden z tych Świętych Pańskich, których przyczyny wzywałeś. Oddaję ci twoje zgubione krówki, wracaj czemprędzej do twojej żony i pociesz niebogą; zaś na pamiątkę postaw mi ołtarz albo figurkę na tem miejscu, gdzie teraz stoimy.

Wtem przerywa Szczepan i pyta:

— I to mu się na prawdę objawił święty Leonard?

A dziadek zaraz przemówi do niego:

— A i cóż to było dziwnego w czasach dawniejszych. Ludziska byli z kościami dobrzy i zgodni, miłowali się jak brat brata, pomagali jeden drugiemu, dbali o chwałę Bożą, chociaż za to ciężko nieraz cierpieć musieli — a toć też często pokazywał się to pan Jezus, to Najświętsza Panienka albo też który ze Świętych na ziemi, ale dzisiaj kiedy ludzie grzechami

splamili swoje serca, kiedy jeden czycha na zgubę drugiego, wydaje mu procesa, pozywa i niszczy jego dobytek, biednego nie wspomoże, w zgodzie nie żyje i za wiarę swoją nie stoi — mniej się też dzieje cudów, i rzadko pokazują się niebiescy mieszkańcy.

Potem dziadek pokiwał głową, machnął ręką, a drugą otarł sobie łzy w oczach i tak dalej mówił:

— Ledwie Maciej powstał ze ziemi aby podziękować świętemu pielgrzymowi, patrzy, a tu ani żywego ducha niema przed nim, ani jasności pięknej, tylko stoją dwie krówki zgubione. Przeżegnał się jeszcze raz, zabrał krówki i spiesznie szedł do chaty powiedzieć żonie o tem cudownem zdarzeniu, a po głowie ciągle mu chodziło przyrzeczenie, które dał świętemu mężowi.

Jak ci tylko uwiązał krówki w oborze, zaraz idzie on do xiędza proboszcza i skłoniwszy się nizko, rozpowiada o wszystkiem i prosi o poradę.

Xiądz proboszcz rozważył trochę, pokiwał głową i tak wyrzekł:

— Takać to już mój Macieju wola Boża; owoż nie zaniedbujcie przyrzeczenia, dotrzymajcie obietnicy, zróbcie wszystko z ochoczem sercem, bo świętą wolę szanować należy.

Podziękował Maciej za dobrą radę, wziął siekierę i poszedł do lasu budować ołtarz. Dni, tygodnie i miesiące schodziły w pobożnej pracy, i tak niebawem stanał ołtarz dla świętego Leonarda. Ale bo też i ludzie z Łagiewniku schodzili się gromadnie i razem z Maciejem pracowali koło ołtarza, a tylko pan dziedzic nic o tem wiedzieć nie chciał, i naśmiewał się z Macieja.

Tu Szczepan przerwał i gada:

— I ten pan odważył się czynić taką obrazę boską?

A dziadek odrzeknie:

— A nie inaczej mój miły; cóż to ta takiemu heretykowi szkodziło, kiedy on nie był Polakiem jeno lutrem, co to nie wierzą w Matkę Boską, Swiętych Pańskich, aniołów i piekło. Dokazywał ci on też dokazywał, zgrozę i postrach rozsiewał

między ludem, ale mu przyszło na szpiczasty koniec, bo Pan Bóg dumne karki umie naginać do pokory.

Wtedy zawoła Szczepan:

— Oj gadajcież prędzej mój dziadku stareńki, bo mnie ogromna ciekawość zbiera wiedzieć końca.

A dziadek mówi:

— Zdarzyło się razu jednego, że wyjechał panek ten na łowy w Łagiewnicką puszczę. Gonił po zaroślach i krzakach, aż uganiając się za jeleniem, zboczył z drogi i przybył na miejsce, gdzie stał nowy ołtarz i pobożni ludzie śpiewali religijne pieśni.

Porzuca zwierza, a uniosłszy się srogim gniewem, krzyczy na sługi, aby świętą budowę natychmiast ogniem zniszczyli, a sam rozwścieklony rozpędza wiernych, porywa głownię, i podpala swoją ręką dom Boży.

Ale jakże niepojęte są wyroki Boskie! Ogień nie ima się ołtarza, lecz o cudzie! powstaje gwałtowny wicher i przez lasy i łany niesie ogień na pańskie gumna i stodoły. Wszczął się okropny pożar, niebo zagorzało ognistym łukiem i prawie cały dobytek odszczepieńca znikł w płomieniach. Zaraz ci na puszczę przybyła wieść do niego, on na oślep przyleciał do domu; ale zamiast gniewu i rozpaczy, ogarnęła go głęboka pokora, bo poznał w tym cudzie wszechmocną i sprawiedliwą rękę Boga. Pojechał zaraz do xiędza, opowiedział o swym przytrafunku i z całą swoją rodziną przyjąwszy chrzest święty, przeszedł na religią katolicką, i stał się potem wiernym sługą kościoła, tak że z cnót, dobroci i łaskawości daleko i szeroko słynął.

— A toć to prawdziwie cudowna historya — przemówi Szczepan — że to z takiego heretyka stał się taki pan dobry.

A dziadek powiada w ten sens:

— A czegoż nie może wszechmoc Boża? Klęska, którą go Bóg nawiedził, stała się dla niego łaską, bo przez to uzyskał sobie wiarę i wieczność. Zaraz też pan nawrócony na wieczystą pamiątkę wybudował w onem miejscu modrzewiowy kościółek, który dotychczas oto widzicie. Cud ten rozleciał się po całej okolicy, i mnóstwo luda zeszło się nawet i z da-

lekich okolic, przyjechało kilku xięży i odbyło się tu uroczyste nabożeństwo i odtąd przychodzą kompanie na to cudowne i święte miejsce, a ściany starego kościółka ledwie mogą pomieścić pobożnych ludzi.

Na to rzecze mu Szczepan:

— Oj prawdę gadacie dziadusiu stareńki, bo widzę ile to ludu teraz się tu naschodziło.

A teraz dziadek tak powie:

— Otóż to taka historya tego kościółka; możecie się przekonać jakto często Bóg czynił cuda za wstawieniem się świętych swoich, kiedy ludzie tego wartali. I dziśby nas Bóg kochał i uczynił cud nad naszą niedolą, ale trzeba żyć w zgodzie i miłości, modlić się do Niego i prosić o pomoc Świętych Pańskich, a szczgólnie naszych patronów polskich, których jest więcej jak u innych narodów, co także pokazuje, jacy to dawniej zacni i świątobliwi byli przodkowie nasi.

Idźcie więc mój miły, powiedźcie to ludziom w waszej wiosce, żeby zawsze zachowywali wiarę ojców i stawali w jej obronie, to nam przecie Bóg pomoże, czasy odmieni, a tych co nas chcą gnębić i do innej nakłonić religii, stokroć gorzej ukarze jak onego pana dziedzica, którego dzieci są dziś dobrymi Polakami.

Na to rzeknie Szczepan ze łzami w oczach:

— O dziękuję wam mój dziaduniu miły za to powiedzenie, a nauki wasze nie tylko w mojem ale i innych ludzi zostaną sercu.

I pożegnał dziadunia Szczepan Bełkotka, poszedł do kościółka, a ja zaś donoszę wam o tem, kochani ludzie, abyście i wy to wiedzieli co dziaduś gadał i pomodlili się do świętego Leonarda, którego święto kościół 6 listopada obchodzi.

Józef z Bochni.

Piękne przykłady.

Wojciech Maślanka.

Pod samym Lwowem jest wieś Zubrze, w której mieszka pewien zacny gospodarz Wojciech Maślanka. Z własnej chęci

nauczył się on czytać i pisać, i przez czytanie dużo rzeczy się wyuczył. Po ojcach wziął piękne gospodarstwo, i był także jednym z najzamożniejszych gazdów we wsi. Więc wszyscy ludzie szanowali go i ufali jemu, nietylko we wsi Zubrzy ale i w całej okolicy, i każden miał ufność do niego. tak iż chciano go obrać posłem na sejm. Aliści niebawem przyszło na Wojciecha wielkie nieszczęście, bo ogień zniszczył Maślańce wielką część dobytku i on sam rozchorzał ciężko. Mieszkał naówczas we Lwowie pewien pan uczciwy Leszek Wiśniowski, który znał Maślankę i wszystkiemi sposobami chciał jemu pomódz. Więc zbierał składki dla niego, i także od rady miejskiej wyprosił, iż Wojciechowi z lasów miejskich dano drzewa budulcowego za darmo. Zaś kiedy rozchorzał się Maślanka, to pan Leszek przyjeżdżał do niego, doglądał go i lekarzy sprowadzał choremu. Wojciech Maślanka był wdzięczny za to staranie i dobrodziejstwo, i nigdy tego panu Leszkowi nie zapomniał.

Zaś kiedy zaczęła się wojna z Moskalem, pan Leszek Wiśniowski poszedł wnet także bić onego okrótnika, co męczy i katuje Polaków. Przez dłuższy czas trzepał on doskonale Moskali, i bali się oni jego okrutnie. Nareszcie w jednej bitwie dopuścił pan Bóg, iż okrutnicy ci zabili dzielnego Leszka Wiśniowskiego, co się stało z wielkim żalem dobrych ludzi.

Maślanka żałował także okrutnie, a naostatek postanowił sobie, aby za duszę dobrodzieja swego odprawić nabożeństwo żałobne. Kupił więc mszę wielką na dzień 11 listopada, i sprosił na nią wszystkich znajomych, do których rozpisał listy. Zaś w tych listach tak stało napisane: „Proszę, by na 10 godzinę przybyli ci, którzyby mieli chęć pomodlić się za obrońcę Ojczyzny naszej i dobrodzieja mego.“

Maślanka jest brat starszy w swojej parafii, i pod jego przewodnictwem odprawiło się piękne nabożeństwo. Mnóstwo ludzi było, więc i wieśniaków z gminy zubrzyckiej i z okolicy, a także wielu panów przyjechało z miasta. Po nabożeństwie zaprosił Maślanka sąsiadów i obcych do swojej chaty. Tam najpierw rozpowiedział pięknie, dlaczego owo

nabożeństwo odprawiło się, a potem ugościł ich wedle możności, powiadając: „czem chata bogata, tem rada.“

Otóż macie moi mili piękny przykład wdzięczności. Daj Boże aby między ludźmi więcej takich było, którzyby nie zapominali dobrego, co im kto uczynił. Toć wtenczas chętniej każdy uczyni drugiemu dobrodziejstwo, jeżeli widzi że mu ten wdzięczny będzie, a nie tak jak się dzieje nieraz, że za dobrodziejstwo jeszcze złem ludzie płacą. Nie idzie tutaj o nabożeństwo, jeno o wdzięczne serce Maślanki. Nie każden może sprawić zaraz nabożeństwo i nie każden potrzebuje tego. Ale wdzięcznym każdy być powinien za dobrodziejstwo, bo wdzięczność sam pan Bóg rozkazał, a niewdzięczność to już i grzech znaczny. Bierzcie sobie mili ludzie przykład z Wojciecha Maślanki, miejcie jak on zaufanie do panów, bądźcie dla nich wdzięcznymi i dobrymi jak on, a wtedy każden pan chętnie wam pomoże i opiekować się wami będzie, i nieda wam popaść w nieszczęście.

Marcin Fabich, włodarz z Szarleja.

Piszą w gazetach taką historyę o pewnym zacnym włodarzu. W wielkiem xięstwie Poznańskiem, w Szarleju pod Inowrocławiem umarł dnia pierwszego października Marcin Fabich włodarz tameczny. Urodził on się i wyrósł w Szarleju, a przez całe swoje życie był przykładem poczciwości i prawości. Za jego staraniem i namową stało się, iż między wieśniakami szarlejskimi niema ani złodzieja ani pijaka, bo on umiał namową i przykładem zachęcać braci swoich do cnoty i moralności, a odprowadzać ich od złego i nieuczciwego życia. To też cała wieś kochała go jak ojca i razem z dziedziczką okrutnie płakała nad śmiercią jego.

Zaś umarł on także z bardzo smutnej przyczyny. Nieboszczyk Marcin był chłop silny i zdrowy, a także stary nie był, więc nie ze słabości umarł jeno ze zgryzoty. Zaś ta zgryzota przyszła z tej racyi. Miał Marcin brata, który od dawna osiadł w królestwie polskiem, i przez długi czas nie miał o nim żadnej

wiadomości. Aż tu razu jednego dowiaduje się poczciwy Marcin, że brat jego niecnota razem z Moskalami rabuje Polaków i morduje. Tak się tem okrutnie zmartwił nieboraczysko, boć to i despekt wielki dla całej rodziny, że się znalazł u niej łotr taki, iż od tego czasu chodził ciągle jak obłąkany, i nie jadł ani nie pił, aż naostatek powalił się na łoże i już z niego więcej nie powstał.

Jużci okropna to rzecz była dla Marcina poczciwego, i nie dziw, że mu się aż zmarło ze zgryzoty. Zaś pani dziedziczka przez wdzięczność sprawiła Marcinowi suty pogrzeb, a na jego grobie kazała wystawić piękny pomnik kamienny, na znak iż tam spoczywa zacny człek i dobry Polak. Także chciała pani dziedziczka pokazać ludziom, iż panowie umieją szanować cnotę w każdym człowieku. Daj wiec panie Boże wieczny odpoczynek jego duszy, i daj także aby przykład jego poczciwości wzięli sobie ludzie do serca i pamiętali o nim zawsze.

Pisanie ze wsi Grodziska koło Leżajska

do pana pisarza Dzwonka.

Kochany nasz Panie pisarzu!

Donosimy Ci panie pisarzu, że tu u nas robi się coś niedobrze na wsi. Nasza wieś jest bardzo wielka, ma ludności bardzo dużo, jest podzielona na dwie połowy: na Dolne i Górne a do tego jest w samem środku miasteczko i zaraz stoi kościół parafii naszej. Otóż nasz xiądz pleban chce jedną szkołę na całą gromadę blisko kościoła, aby był jeden profesor dobry, a xiądz mógł codzień tam dochodzić. A gromada się uwzięła i nie chce i nie chce, jeno chce dwie szkoły i to ni siakie ni takie. Nam to bardzo dziwno, że Grodziszczanie tacy rozumni ludzie i bywalcy po świecie i sztudery na wszystko, i porządni gazdowie, a pokazuje się, że nie mają ze wszystkiem dobrego wyrozumienia. Toćby dziś jeno szkoły i szkoły fundować, aby się dzieci uczyły pana Boga chwalić, a tu Grodziszczanie tacy

mądrzy ludzie, jeno się kłócą i swarzą i nie ma temu końca i miary, a dzieci mitrężą i nie idą do szkoły, a zima po zimie idzie jak woda, a szkoły nie ma porządnej, bo Grodziszczanie jednej połówki wsi nie chcą przystać. Mój Boże! jest tam między nimi porządny gazda i kowal Wojtek Woś i piśmienny gazda Stach Pysz, co to byli w Częstochowej, a potem znowu gazda Pałys, co to ma dzieci w szkole pono w Przemyślu, a potem pobożny Maciej Mach i Kliny i Wróble i jeszcze więcej, a przecie oni też nie zrobią jakoś ugody raz, aby było pięknie i ładnie i zgoda i cicho jak to we wsi porządnej przynależy, aby było tak, jak Bóg i kościół każe. Otóż prosimy cię panie pisarzu, napisz też ten list do Dzwonka, i odpisz nam na to, a może też wasze słowa pomogą co do zgody — bo Grodziszczanie trzymają Dzwonek i czytają go. A jeżeli się dobrze porobi, to niech Grodziszczanie podadzą do Dzwonka, że już dobrze wszystko, aby cały świat wiedział o tem, co to są Grodziszczanie i że to ludzie rozumni i dbają o gromadę i o dzieci. A tak oddajemy was Bogu i Najświętszej Pannie, i życzymy wam zdrowia.

Z Grodziska dnia 8 listopada.

Najpierw dziękuję bardzo pięknie za to pisanie, a potem donoszę, iż mnie bardzo zmartwiła taka brzydka zwada. O Grodzisku to ja zawsze myślałem najlepiej, i zdało mi się, że nie ma zacniejszych ludzi nad tamecznych. No i patrzcież moi mili, co się dzieje. Tocto ci sami ludzie swarzą się między sobą, aby nie ufundować szkoły, co jest najpotrzebniejsze.

Jużci widzę ja, że tam jakiś zły duch jest między nimi, który przeszkadza aby co dobrego uczyniono. Pewnikiem rzecz to bardzo smutna, a trzeba na nią jak najprędzej poradzić.

Czyż mam wam pisać moi mili, do czego szkoła potrzebna? A toć ja piszę już o tem przez całe dwa lata w Dzwonku i w każdym prawie numerku jest przykład, iż nauka bardzo potrzebna człowiekowi. Toć powtarzam wam, że nauka daje rozum, a rozum dopiero daje prawdziwe szczęście. Człowiek rozumny i nauczony potrafi z najmniejszej rzeczy korzystać,

nie zazna nigdy biedy, a co najbardziej, że będzie umiał jak należy Boga chwalić i strzedz się złego.

Mili Grodziszczanie! a toć pamiętajcie na pana Boga i na dobro waszych dzieci. A toć pamiętajcie, że będziecie musieli przed sądem Bożym zdawać rachunek z waszych postępków, i że swary wasze będą wam za grzechy poczytane. Pamiętajcie i na to, że wam się patrzy wstyd i hańba za takie rzeczy, że ludzie będą was palcami wytykać, iż kiedy dziś w daleko uboższych wsiach są szkółki i nauka, u was o tem ani słychu.

Wierzę ja bardzo, iż między wami są zacni i poczciwi ludzie, którzyby radzi najlepiej. A toć Woś i Pysz także z Grodziska i wielu innych. Otóż proszę bardzo, abyście już raz ukończyli pięknie swą sprawę, a ja wnet w Dzwonku opiszę to, i na piękny przykład wypiszę nazwiska tych, którzy do zgody i do dobrego dopomogli. Zaś i to wam zapowiadam, że także w Dzwonku wypiszę nazwiska każdego, którył się tej pięknej sprawie przeciwił i do niezgody prowadził, a takiemu będzie to na wieczną hańbę.

Otóż uczyńcie mili bracia, jak wam nakazuje sumienie, i zostańcie mi z panem Bogiem.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pisarz Dzwonka.

Rady gospodarskie.

Kiedy drzewo spuszczać na budowle i porządki?

Każdy to wie dobrze, że na budowle i porządki najlepiej drzewo spuszczać w zimie, kiedy już niema miazgi, bo takie drzewo jest najmocniejsze i najtrwalsze. Ale zima jest długa; w którym więc miesiącu najlepiej je spuszczać? I tego ludzie uczeni doświadczali, a te ich doświadczenia i wypadki chętnie wam podajemy, abyście wiedzieli, że to nie jest wcale zarówno, w którym miesiącu się drzewo na budowle i porządki spuszcza.

Wzięto najpierw 4 sosny blisko siebie rosnące, i to równego wieku i równie zdrowe; jednę spuszczono na końcu

Grudnia, drugą na końcu Stycznia, trzecią na końcu Lutego, a czwartą na końcu Marca. Wyrobiono z nich zupełnie równe belki, a te oparto w obydwoch końcach na podporach, a w środku kładziono centnary, póki nie pękły. I tu pokazała się ogromna różnica, bo taki wypadł stosunek: Jeżeli przypuścim, że belka z sosny spuszczonej na końcu Grudnia potrzebowała do pęknięcia 100 ctn. to belka z Stycznia pękła już pod 88 ctn. — z Lutego pod 80, a z Marca już pod 62 ctn. — A więc ztąd widzicie wszyscy jasno, bo macie jak na dłoni, że drzewo spuszczone w Grudniu jest na budowle najmocniejsze, i że jego moc, czem się bardziej ma ku wiośnie, tem bardziej słabieje.

A i trwałość drzewa także wypróbowano. Z powyższych sosien wyrobiono zupełnie równe słupy, i wkopano je w zupełnie równą ziemię; i przekonano się, że słup z sosny w Grudniu spuszcznej po 16 latach był jeszcze zupełnie zdrowy, gdy tymczasem drugie słupy po 3 i 4 latach tak skruszały, że je łatwo przełamać można było.

Również robiono doświadczenia i z dębami. Podobnie jak sosny spuszczono je w owych czterech miesiącach i wyrobiono z nich zupełnie równe dna do równych naczyń blaszanych, które napełniono wodą, i pokazało się, że dno z dębu spuszczonego w Grudniu wcale wody nie przepuszczało. Styczniowa dębina przepuściła wodę w 48 godzinach; w trzeciem naczyniu już przed upływem drugiego dnia wody nie było; a dno z dębu spuszczonego w Marcu już po 10 godzinach na dobre sączyć zaczęło.

A więc i tu dowód oczywisty, że drzewo spuszczone w Grudniu w każdym względzie jest najlepsze i najtrwalsze.

Jeszcze jedno zrobiono doświadczenie. Zupełnie równe wybrano dwa dęby; jeden spuszczono na końcu Grudnia, a drugi na końcu Stycznia; wyrobiono z nich zupełnie równe klepki, a z nich zrobiono równe beczki po 240 kwart; wlano w nie najpierw wody, a gdy nią dostatecznie nasiąkły, wylano wodę, a napełniono je zupełnie równem winem. — Po roku przemierzono wino, i pokazało się, że beczka zrobiona z dębu spuszczonego w Grudniu, ledwo półkwaterek wina straciła, a

natomiast w drugiej beczce wyrobionej z dębiny styczniowej brakowało aż 7 ½ kwarty.

Dlatego też uważajcie to sobie dobrze, abyście na porządki innego drzewa nie brali, jak tylko takie, które w Grudniu spuszczono, bo takie tylko drzewo jest trwałe, mocne i nabite.

Szk. N.

RÓŻNOŚCI.

Przekupka. Pani Cebulewicz! zawołał sędzia, jak pani na imie?

Co panie sędzio, jak mi na imie? jeszcze mi się nikt o to nie pytal, jestem sobie poczciwa kobieta, 12 lat tu już w mieście mieszkam a jeszcze mi się nikt o to nie pytał. Przypominam sobie bardzo dobrze, kiedym tu się sprowadziła.

Ale ja się pytam, jak pani na imie?

A ja panu sędziemu powtarzam, że mi się jeszcze nikt o to nie pytał, bom zawsze była poczciwa od samej młodości, i poszłam za mąż i byłam poczciwą, i owdowiałam i jestem poczciwa. A jeźli mnie nie wiara, to niech powie pani Cierlicka, albo pani Pytelska, one mnie dobrze znają.

Ale zamknij pani buzię, i powiedz jak ci na imię?

Ja mam zamknąć buzię? i co panu sędziemu moja buzia zrobiła? kto zaś widział tak przychodzić grubo poczciwej kobiecie jak ja! jeszcze mi tego nikt nie powiedział.

Czy pani powie jak jej imie, czy nie? zawołał rozgniewany sędzia.

Co mam powiedzieć?

Swoje imie.

Czy pan sędzia myśli, że ja bez imienia? o mój panie, co się w tej głowie roi! ja mam tak samo imie, jak każdy inny, i nie potrzebuję się wcale mego imienia wstydzić.

A więc pani je powiedz.

Naturalnie, że nie potrzebuję go się wstydzić, bom nie zawiniła. Tak tak, Dorotko nie potrzebujesz się wcale swego imienia wstydzić.

Więc pani imie Dorota?

A co to komu do tego że mnie imie Dorota? no Dorota! czy to Dorota brzydkie jest imie? Ale Dosia piękniejsze, bo mój mąż nieboszczyk, odpuść mu Panie wszystkie grzechy. tak mi zawsze mówił.

Przeto słuchaj pani Doroto Cebulewicz! Pani tu jesteś oskarżona, żeś wczoraj na wieczór tak się upiła, iż leżałaś w rynsztoku, a potem hałasowałaś na ulicy i zawadzałaś u wszystkich przechodzących ludzi.

Jeźlim się upiła, panie sędzio, tom się upiła za swe własne pieniądze, nikt mi nie da darmo trzech groszy, ciężko mi przychodzi zapracować sobie uczciwie na kawałek chleba — a co komu do tego, żem się upiła? co komu do tego? niech każdy swego nosa patrzy; a nie wtrąca się do mnie — wielka sztuka żem się upiła.

Ale nocne hałasy karzą się 10 dniami więzienia, i ja też skazuję panią Dorotę Cebulewicz na 10 dni więzienia; dozorca odprowadźcie ją.

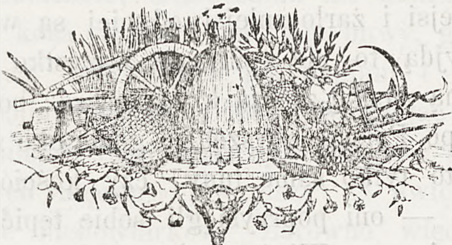
Dopiero teraz przejrzała pani Dorota Cebulewicz, że to nie przelewki, zaczęła płakać, prosić, przepraszać, zaklinać się na wszystko, że już tego nie będzie; ale już naprożno — wyrok zapadł, i pani Dorota Cebulewicz spokojnie odsiedziała 10 dni więzienia.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX.  **Nr. 16.**

1. Grudnia **1863.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Andrzej Bobola.

Śmiało powiedzieć możemy mili bracia, że nie masz na tej ziemi żadnego narodu, któryby położył tyle prawdziwych zasług około św. wiary katolickiej jak my Polacy. Nasza nieszczęśliwa ziemia była ustawicznie przez kilkaset lat narażaną na okrótne napady pogan i heretyków; już to raz przez to, że oni chcąc podbić wszystkie narody chrześcijańskie koniecznie musieli przez Polskę przechodzić, gdyż tędy droga wiodła, powtóre że wielka potęga i chwała narodu naszego kłóła ich nie dobre serca, a obfitość i bogactwa nasze znęcały tych rabusiów jeszcze bardziej. Okropne to były takie napady! mocny Boże, kiedy człowiek sobie wspomni na nie, to aż włosy ze zgrozy powstają na głowie; jak gdyby chmury szarańczy spadali poganie na ziemię naszą, ale stokroć razy większe zostawiali za sobą spustoszenia, aniżeli ten owad zwany „plagą Bożą“; szarańcza zeżre wszystko — czy trawa, czy zboże — jej wszystko jedno, nie ma ona litości nad ludźmi, i ani myśli o tem, że biedni ludzie po jej odejściu mrą z głodu — ona tylko siebie patrzy,

tylko swój głód zaspakaja, a żarłoczna to bestya, kiedy po sobie zostawia pustkowie tam, gdzie dawniej zieleniła się bujna trawa, gdzie na zagonie giął się ku ziemi pełny kłos; ależ stokroć okrutniejsi i żarłoczniejsi od niej są wrogowie Polski; gdzie oni przyjdą to nie tylko że wszystko wyniszczą, ale jeszcze tę czarną ziemię zroszą krwią naszą, bo krwawe muszą być ich ślady po Polsce, a wszędzie gdzie oko zasięgnie wzdłuż i w poprzek, to tylko same łuny, czy kościół czy chata im wszystko jedno — oni poprzysięgli sobie tępić zarówno naszą wiarę, jako też i nas. Więc też wtedy powstawał cały naród jak lew rozżarty do walki w obronie najdroższych rzeczy: wiary i wolności; wróg był silny — stokroć od nas silniejszy i już nie raz zdawało się obcym, że mu ulegniemy, że okrutnik po trupach naszych posiędzie naszą Ojczyznę — ale naród ufny w Bogu nie tracił nigdy nadzieję, jeno ze wszystkich sił tępił okrutne plugawstwo, a Bóg dopomagał mu zawsze, gdyż szło tu o wiarę katolicką. W owym czasie wsławił się polski oręż, tak że inne narody wzywali nas na pomoc, kiedy i im zagrażali zagładą poganie. Przypomnijcie sobie tylko zwycięstwo naszego króla Jana pod Wiedniem, kiedy Turcy w zwycięzkim swoim pochodzie oparli się o mury stolicy cesarstwa niemieckiego. Król polski proszony o pomoc przez cesarza i ojca świętego chętnie wyruszył w pole przeciwko poganom i dognawszy ich pod Wiedniem pobił tak na głowę, że niezliczone wojska sułtana w dzikiej ucieczce jak który mógł zdążali do Tureczczyzny; od tego czasu nie ważył się Turek już nigdy targnąć na katolickie ludy. Ależbo nie z jednym tylko Turkiem miała nasza Polska do czynienia — dzikszy jeszcze Tatarzy plądrowali, mordowali i rabowali po naszej ziemi, a prócz tych także największy okrótnik Moskal nie jednokrotnie targnął się na nas, chcąc wiarę naszą wytępić w sposób jeszcze bardziej dziki i okrutny, aniżeli Turcy i Tatarzy. Dodać jeszcze należy, że prócz tych wrogów Szwed z zamorza także nas napadał. Przeciwko tak licznym wrogom musiała nasza Polska przez całe wieki mężnie walczyć, ażeby siebie i inne ludy chronić przed pogaństwem; cały świat i ojciec święty uznawali te wielkie zasługi nasze i jawnie przed światem zwali Polskę

„przedmurzem chrześcijaństwa“ a naród nasz narodem męczeńskim za wiarę. I słusznie — bo każdy Polak — a rozumie się tutaj zarówno szlachcic, mieszczanin lub kmieć — wyruszając z mieczem lub kosą w dłoni na pole bitwy, ginął za wiarę i był męczennikiem — zarówno jak kapłani i tacy, którzy do boju byli niezdolni, słowem Bożem zwalczając moc szatańską, nauczając i opamiętywając zażartą wściekłość heretyków ginęli wśród okropnych męczarń i katuszy za świętą wiarę, kiedy popadli w ręce niedowiarków. Zarówno więc tak walczący mieczem, jak walczący słowem Bożem byli męczennikami św. wiary — a słusznie cały naród zwie się męczeńskim narodem, bo wszyscy zwalczają wspólnie szatana.

Jednym z tysiąca takich męczenników był także błogosławiony Andrzej Bobola, kapłan katolicki, który słowem Bożem walcząc za wiarę, zginął okrutną śmiercią męczeńską. O jego to życiu i męczeństwie chcemy wam, mili ludkowie conieco opowiedzieć, ażebyście wiedzieli jak to nasi przodkowie lekce sobie ważyli życie, kiedy chodziło tylko o rzecz świętą. Posłuchajcie:

Rodzina Bobolów z dawnych bardzo czasów odznaczała się w Polsce z wielkiej pobożności, cnoty, rozumu i odwagi rycerskiej. Jeszcze za panowania Władysława Łokietka — ojca króla Chłopków, zasłynął z sztuki rycerskiej Jakób Bobola, który pomimo tej cnoty wielce Boga miłował i przedewszystkiem był najwierniejszym katolikiem. Piękną zostawił on po sobie pamiątkę, odbudował bowiem z cegły walący się ze starości kościół Wszystkich Świętych w Krakowie. Prócz Jakóba cała ta rodzina, jako rzekliśmy, była bardzo bogobojną, dlatego też nasi dobrzy królowie polscy ceniąc należycie tę najwyższą cnotę, zaszczycali ją swoją przyjaźnią i najwyższe jej oddawali urzędy. Z takiej więc rodziny pochodził nasz Andrzej. Już w dziecięcym wieku miał on głęboko w sercu wkorzenioną bojaźń i miłość Bożą, zda się jakoby to wszystko wyssał z piersi matczynej, a im więcej wzrastał w lata, tem bardziej jeszcze krzewiły się w nim te cnoty. Wielce cieszyli się rodzice takiem chłopięciem, a ich przyjaciele wynosili dziecię dla rzadkiej pobożności i rozumu aż pod niebiosa i już teraz poczęli przepo-

wiadać, że jeżeli chłopię dalej na tej drodze będzie postępować, zostanie pewno znakomitym człowiekiem, który nie tylko własnej rodzinie, ale całemu narodowi chlubę przyniesie. Ojciec Andrzeja żył w wielkiej przyjaźni z możnym panem hetmanem Janem Tarnowskim, który dowiedziawszy się od ludzi o rzadkiem chłopięciu, prawie siłą mocą zmusił ojca Andrzejowego, iż tenże przystał na to, że na wychowanie oddał syna na dwór hetmański.

— Panie Krzysztofie — mówił hetman pocieszając ojca — nie frasuj się wcale, syn twój nie zginie, a ja potrafię być mu ojcem; a wszakże i ty nie mieszkasz tak bardzo za górami, spodziewam się, że często do mnie zagaszczać będziecie; dlatego jedynie zabieram ci syna, ażeby nie zmarniał w zaciszy domowej strzechy, u mnie będzie miał sposobność czegoś się nauczyć, a kiedyś, jak Bóg dopomoże, będzie pożyteczny Ojczyźnie.

Wziął więc hetman do siebie młode pacholę, które w krótkim czasie tyle tam się nauczyło wszystkiego, że wszyscy poczęli się dziwić i nikt nie chciał dać wiary temu, żeby w tak krótkim czasie można się tyle wyuczyć. Z dnia na dzień stawał się nasz Andrzej mędrszym, a kiedy rozgłos o jego rozumie doszedł uszu królewskich, dostał się w końcu na dwór króla Stefana, który podówczas siedział na polskim tronie. Tutaj mając jeszcze więcej sposobności do nauki dniem i nocą przykładał się nasz Andrzej do xiążki. A kiedy król Stefan wyruszył na wojnę przeciwko Moskwie, nie został on w domu mimo wątłego zdrowia, jeno przy boku samego króla pospieszył z mieczem w dłoni przeciw szyzmatykom, których dla ich odszczepieństwa nie cierpiał. Po skończonej wojnie wrócił napowrót na dwór królewski i wziął się znowu do nauk, do których miał dziwnie wielką ochotę. W krótkim czasie pokończył wszystkie szkoły i jął się potem uczyć na xiędza, gdyż już w pacholęcym wieku miał największy urok dla niego stan duchowny. Skończywszy tę naukę z wielką pochwałą nauczycieli, wdział na się sukienkę zakonną i wstąpił jako braciszek na nowicyat do klasztoru OO. Jezuitów. Po dwóch latach został w Wilnie, mieście litewskiem, wyświęcony na kapłana w tymże

zakonie, a w krótkim nazbyt czasie zasłynął z wielkiej pobożności i rozumu nie tylko w samem mieście, ale po całej Polsce, a zakon OO. Jezuitów począł się młodym zakonnikiem chlubić przed całym światem.

Pod słońcem nie było w świecie kapłana, który był by gorliwszym w wypełnianiu swoich obowiązków aniżeli Andrzej. Modlił się zawsze ze łzami w oczach, upośledzał swoje ciało, jednem słowem żył tylko w Bogu. Kilka razy na tydzień miewał on w klasztorze wileńskim OO. Jezuitów kazania do ludu, a lud garnął się wtedy do kościoła i z otwartem sercem słuchał słodkie i ujmujące swojego kaznodziei słowa Boże, któremi on zbrodniarzów na drogę pokuty i cnoty naprowadzał, obojętnych w modlitwie skłaniał do pobożności, skąpych namawiał do miłosiernych uczynków, zwaśnionych godził. W wolnych chwilach od obowiązków i modlitwy nawiedzał szpitale i ubogich chorych po domach. Gdzie mógł, gdzie tylko jego siły starczyły, tam pomnażał chwałę Bożą i pełnił chrześcijańskie uczynki, a to wszystko zjednało jemu taką prawdziwą miłość u ludu wileńskiego, że kiedy król Zygmunt III, który po Stefanie zasiadł na tronie, znając wielką cnotę i rozum Andrzeja chciał go mieć przy swym boku, lud ten ze łzami począł błagać króla, ażeby mu takiej krzywdy nie wyrządzał zabierając na swój dwór Andrzeja. Dobry król wysłuchał prośbę swoich poddanych i zostawił im ulubionego kapłana, któremu atoli Pan Bóg nie długo pozwolił tutaj zostawać. W niespełna rok potem poczęła się rzerzyć po Litwie wielka morowa zaraza; okropne nastały w pięknej krainie czasy: codzień setkami ginęli ludzie, wszędzie gdzie tylko okiem zasiągniesz same trupy i trupy sine jak błękit nieba, z białkiem zaszłemi oczyma, z wykrzywionemi z wielkich boleści ustami — same trupy! a wszędzie w koło słychać płacz gorzki i rozpaczne żale pozostałych nad zwłokami zarazą tkniętych.

Owoż więc w tak ciężkiej potrzebie wzięli xięża na siebie chrześcijański obowiązek ratować nieszczęśliwych; zaś pomiędzy wszystkimi najbardziej odznaczał się niezmordowany i niczem nieustraszony w tej niebezpiecznej pracy właśnie nasz Andrzej. Gorliwość jego w niesieniu pomocy chorym była tak ogromną,

że wszyscy się dziwowali, ażali człowiek coś podobnego czynić może; w każdej chwili i na każde zawołanie pospieszał on do chorego, choćby i o pół nocy — przyszedłszy nie odstępował już łoża ani na chwilę, a na własnych barkach znosił tkniętych zarazą do szpitalu; prócz tego chodził on po domach możnych panów i zbierał jałmużnę na pogrzeby, na zapomogę sierotom i wdowom a nie wstydził się najpośledniejszych posług spełniać własnemi rękami — usługiwał w szpitalach i izby zamiatał; co tylko mógł to czynił dla biedaków, a wtedy tylko ustawał w pracy, kiedy po kilku nieprzespanych nocach nie miał już siły utrzymać się na nogach i oczy same zwierały się do snu. Dziwili się wszyscy tej odwadze i takiej uciążliwej pracy, więc też nie raz dogadywali Andrzejowi ażeby siebie choć trochę szanował i nie narażał się na takie niebezpieczeństwa.

— Ja się nie boję — odpowiadał on wtedy — mnie strzeże Pan Niebieski, a właśnie dlatego, że spełniam chrześcijańską powinność względem moich bliźnich. Wierzę, że śmierć znajdzie prędzej takiego, który się przed nią za piec chowa, aniżeli takiego, który z narażeniem swego życia spełnia dług święty Bogu i Ojczyźnie.

Król znając zasługi takowe, zrobił Andrzeja przełożonym klasztoru OO. Jezuitów w Bobrujsku. Skromny mimo swych zasług i rozumu li tylko dlatego przyjął to starszeństwo nad swoją bracią, bo mniemał, że będzie mógł więcej jeszcze czynić dobrego dla biedaków. Właśnie podówczas srogi Moskal, wróg najzaciętszy naszej katolickiej wiary począł srodze prześladować xięży i w ogóle wszystkich katolików w okolicach Orszy i Smoleńska, wypędzani wszyscy schraniali się do Bobrujska do Andrzeja, który się z nimi ostatnim kęsem chleba dzielił, jak to zawsze było w jego naturze.

Pięć lat pozwolił mu Pan Bóg tutaj przebywać w spokoju — po tym zaś czasie powołał go stwórca do innej pracy, bowiem podówczas szyzmatycy Moskale poczęli lud bałamucić i nawracać na swoją wiarę; Andrzej widząc to wszystko mocno zabolał nad takiem zgorszeniem i postanowił słowem Bożem walczyć przeciwko herezyi — udał się więc w tym celu z Bobrujska w okolicy Pińska, gdzie najbardziej grasowała błędna

nauka. Tutaj za pomocą pińskich OO. Jezuitów i możnego a gorliwego św. wiary obrońcy Alexandra Radziwiłła w krótkim bardzo czasie powrócił kościołowi bardzo wiele zbłąkanych owieczek. Najzaciętsi wrogowie miękli, kiedy Andrzej ze zwykłą sobie prostotą jął im opowiadać naukę katolicką, a jak dawniej byli zaciętymi przeciwnikami, tak teraz znowu stawali się najżarliwszymi obrońcami. Aże się wściekali szyzmatycy ze złości patrząc na to wszystko, przyczynę zaś tego widzieli u Andrzeja, więc jęli na niego podburzać, chcąc go się pozbyć koniecznie, gdyż jedynie w jego śmierci widzieli swoje zwycięztwo. Atoli z mieszkańców tamecznych nikt nie śmiał się targnąć na męża Bożego. Zdarzyło się, że wtedy byli kozacy napadli na Polskę — dziki ich dowódzca Anton szyzmatyk plądrując po Polsce, mścił się na katolikach i gdzie tylko napotkał jakiego kapłana, zabijał go w sposób okrutny. Za namową pińskich szyzmatyków wpadli tamże rozjuszeni kozacy Antonowi i wszczęli tutaj rzeź okropną, bo nie tylko kapłanów, ale nawet dzieci i niewiasty mszcząc się nad niemi mordowali okrutnicy. Podczas tego mordowania bawił nasz Andrzej w niedalekiem miasteczku Janowie, dowiedziawszy się o wszystkiem postanowił czcigodny kapłan nie ruszając się z miejsca czekać śmierci, jaką mu Pan Bóg przeznaczy, ale lud przywiązany do niego nie pozwolił na to, jeno wsadziwszy Andrzeja no wózek, wyprawił go w bezpieczne miejsce. Kozacy uprzedzeni o wszystkiem przez szyzmatyków wysłali pogoń za zmykającym, która go też na drodze dognała. Andrzej widząc, iż popadł już w ręce heretyków złazi coprędzej z wózka, klęka i poczyna się gorąco modlić do Boga.

— Niechaj się stanie — kończył on modlitwę — Twoja wola wszechmocny Boże! i powstał i oddał się sam w ręce swoim oprawcom.

— Głupi popie — rzecze bluźnierczo jeden z kozaków — słuchaj co ci powiem: zrzecz się twojej wiary, a przyjm naszą, to ci darujem życie, i zrobim ciebie naszym władyką.

— Precz pokuso! — zawołał Andrzej — oto mnie macie, zabijcie mnie, bo ja pragnę umrzeć za moją wiarę.

— Cha . cha.. — poczęli się śmiać kozacy nie pojmując taką świątobliwość — czy on zwarjował, czy co mu się stało.

— Słuchaj — rzecze drugi — tyś nas pewno nie wyrozumiał, my ci chcemy darować życie.

— Czyż wy myślicie, że ja się lękam śmierci? Polak i katolik nigdy się jej nie zlęknie, umrzeć za wiarę jest tak słodko!

Po tych słowach rzuca się jeden z oprawców na kapłana i zadaje mu nożem głęboką ranę w rękę; jakby na dany znak rzucają się teraz inni i obnażonego Andrzeja uwiązawszy go do płotu poczynają bić nahajkami tak okrutnie, że rolnicy opodal orzący przestraszyli się na sam odgłos i porzucali swoje pługi. Potem odwiązawszy zbitego zarzucili mu jak psu powróz z dwoma końcami na szyję i dwóch konnych ująwszy owe końce powrozu pędzili go do Janowa, kiedy znowu trzeci w tyle jadący kłół Andrzeja dzidą w plecy, gdy tenże zmęczony zwalniał krok. W Janowie stawili go kozacy przed swojego setnika czyli Assawułę, który powtórnie napróżno usiłował go namówić do szyzmatyckiej religii, poczem gniewem zapalony dobył swej krzywej szabli i zmierzył w głowę, którą byłby okrutnik na poły rozpłatał, gdy mąż Boży nie był się ręką zasłonił, w którą natomiast otrzymał wielką ranę — po chwili rzucił się Assawuła powtórnie na Andrzeja i zadał mu ranę w nogę, poczem on osłabiony przez upływ krwi upadł na ziemię. Teraz przybiega jeden kozak i końcem szabli wyłupia oczy męczennikowi i wieczna ciemność wśród nieznośnych bolów ogarnia męczennika — a krew ciurkiem lać się poczyna z miejsc gdzie dawniej były oczy.

Ależ nie koniec na tem, posłuchajcież jak dalej jeszcze znęcała się wściekła dzicz nad umęczonem już ciałem Andrzeja.

Na rynku w Janowie stał mały budynek, od dawnych czasów służył on za rzezarnię i za jatki; wierżch tego budynku był mierzwą pokryty, a ściany były na oścież otwarte czterem wiatrom; po tych więc wszystkich mękach zawleczono tutaj wpółżywego i obnażywszy go łuczywem rozpalonem opiekali boki i piersi męczennika, następnie nożami oberznęli

mu skórę na głowie i z wielkiem okrucieństwem zdzierali ją do pasa, a kiedy Andrzej wśród takich męk wielkich cierpliwie szeptał sobie cichą modlitwę, oprawcy jeszcze bardziej się rozwściekllili i obcięli mu wargi. Następnie ubrawszy konającego w ornat na pośmiewisko powiesili go za włosy na drzewo i ze źwierzęcą radością urągali wiszącemu w powietrzu mówiąc szyderczo:

Patrzcie jak katolik skacze!

I śmieli się przeraźliwie jak gdyby zębami zgrzytali szatani, i poczęli śpiewać tak dziwnym głosem, że ze zgrozy włosy wstawały na głowie — i długo tak biesiadowali sobie przy konającym, aż pisk puszczyka z wieży kościelnej przeraził wesołych kozaków tak dalece, że krzycząc z rozczuchranemi włosami rozbiegli sią ze strachu po mieście. Jeden tylko Assawuła zachował krew zimną — i nie dziw też, boć to twarde serce, twardsze aniżeli najtwardsza skała, a ręce jego więcej się myły krwią ciepłą, aniżeli siną wodą Dniepru. Więc przystąpił Assawuła do Andrzeja i odwinąwszy szablę ciął go w głowę i męczennik oddał Bogu ducha swego.

— Niechaj od mojej szabli ginie — mówił on w tej chwili.

Taką to okropną śmiercią zginął błogosławiony Andrzej Bobola.

Kiedy to się działo, w całem mieście jak gdyby sądny dzień nastał; kozacy upici i rozwścieklen, gdzie kogo zdybią tylko, mordują w sposób okrótny, gdzie tylko wejdą rabują a po odejściu podpalają; wśród ciemnej nocy rozwidniało się jak gdyby w południe, a krew ciekła strumieniem. Dopiero nazajutrz skończyło się to krwawe gospodarowanie — po trzech dniach odprawiono pogrzeb umęczonemu Andrzejowi, poczem zwłoki złożono w kościele farnym — wszyscy na pogrzebie obecni zanosili się od wielkiego płaczu W kilka dni potem OO. Jezuici zabrali czcigodne ciało do Pińska i złożyli takowe w kościelnym grobowcu, który atoli wraz z kościołem przez Tatarów spalonym został zniszczony, albowiem wszelkie wchody zatarasowały się rumowiskiem; dopiero w roku 1701 odbudowano św. kościół i zakonnicy zmuszeni przedtem szukać sobie

gdzie indziej schronienia, osiedli tutaj znowu. Jakoś z czasem poszło w zapomnienie, że właśnie w Janowie znajdują się zwłoki błogosławionego, aż oto pewnego czasu jawi się we śnie xiędzu Godebskiemu błogosławiony Andrzej i rzecze do niego:

— Ja jestem Andrzej Bobola, brat wasz: umarłem wśród nieznośnych katuszy męczony przez kozaków za wiarę, jak na katolika i Polaka przystało. Zwłoki moje spoczywają w podziemiach waszego kościoła — z woli Bożej szukajcie je. Owoż po tem zjawieniu zajął się xiądz Godebski poszukiwaniami, atoli tą razą nie podobna było odszukać najdroższego skarbu. Trzeciej nocy ukazał się błogosławiony powtórnie zakrystyjanowi i rzekł doń wyraźnie:

— Zwłoki moje znajdują się w podziemiu kościelnem, po lewej stronie od wielkiego ołtarza, tam je niezawodnie znajdziecie.

Nazajutrz z rydlem w ręku udał się rzeczony zakrystyjan na wskazane miejsce i z wielką uwagą począł szukać — jakoż w nie długim czasie znalazł trumnę jedną na której złocistemi literami było coś napisanego. Po odczytaniu napisu pokazało się, że to są zwłoki Andrzeja, a jak się potem nareszcie przekonano, zupełnie nienaruszone, a lud, który się do tej świętości w wielkiej liczbie garnął, doznawał najrozmaitszych cudów.

Tak to moi mili jak widzicie, umieli nasi przodkowie z wesołem obliczem ponosić śmierć, choćby najokrutniejszą, za wiarę i Ojczyznę. Pamiętajmy o tem:

Żeby nasze dzieci małe
Ojców swych się nie wyparły —
Żeby męże dawnej chwały.
Nie rzekli nam: karly!

Teraz zaś na zakończenie prośmy w pokorze błogosławionego Andrzeja Bobolę, ażeby się wstawił za nami do Boga, iżbyśmy się wszyscy stali godnymi synami naszych wielkich przodków i tej biednej Polski, którą pustoszy i uciemięża dziki Moskal — prośmy go gorąco, ażeby zjednał walczącej za wiarę braci naszej zwycięztwo nad ciężkim wrogiem.

Grzela z Waszkowiec.

Syn wdowy.

Miała wdowa synala —
A wielkiego drągala!
Że ze świecą po świecie
Mało takich znajdziecie!
Nad zuchami był to zuch —
Nic nie robił, jadł za dwóch!

Oj już słonko wysoko.
A Jaśko spi głęboko —
W polu kośby daj Boże,
Leń się zbudzić nie może;
I wciąż chrapie i wciąż spi,
A o wódce słodko śni.

— „Wstańże synku kochanie,
Boć nam chleba nie stanie!
W polu sypią się kłosy —
A jam stara do kosy!"
— „Czyż przestaniesz matko pleść?
Wstanę ale daj co jeść."

Senne oczy przeciera.
Do jadła się zabiera:
Jadł i golił gorzałę.
Alec zawsze zaspały.
Potem w pole poszedł zuch,
Kiedy poprzód zjadł za dwóch.

Żółty kłos aż się prosi,
A nasz Jaśko spiąc kosi —
Kosząc mierzwi on zboże,
Że aż pożal się Boże!
Górą tylko kłosy tnie —
A wciąż sapie, jak w miech dmie.

A gdy przyjdzie niedziela,
Toć się spije jak bela.
Na śmiecisko karczemne
Zatacza się — przyjemny
Pośród smrodów miewa sen,
Na śmiech ludzi w biały dzień. —

Płacze matka w komorze —
Wczasu — hulaj nieboże!
Już trzeci dzień nic nie je,
Jak trup jaki bieleje;
Ty nie pytaj — hulaj — pij:
Do południa sobie spij!

Czemuż jęczą tak dzwony?
Czemuż kraczą tak wrony?
Xiądz i ludu tak wiele!
Może jakie wesele?
Lecz gdzie skrzypka i bas gdzie?
I cóż znaczy tych łez dwie?

Ach, to pogrzeb jest wdowy
Biednej matki Jaśkowej!
Xiądz w ornacie na przedzie
Na smentarzyk ją wiedzie —
I złożono trumnę w grób —
W ciasny grób, w ciasny grób.

Jaśko teraz z rozpaczy
Pędzi żywot tułaczy —
Krwawa bieda go gniecie,
Gorżko płacze po świecie:
Za nim goni matki cień
Blady, straszny — w noc i w dzień!

Grzela z Waszkowiec.

Piękne przykłady.

Gromada w Krościenku.

Com widział na własne oczy dobrego po wsiach, to Ci opisuję panie pisarzu! Otóż w Krościenku koło Krosna, widziałem porządek między ludem. Patrzę! a tu ze starego kościoła, co go jeszcze fundował król polski Kazimierz Wielki z modrzewia, zrobił się tak, jak nowy kościół. — Gromada złożyła ofiary, i pomalowała calutki kościół, nawet go przedłużyła o starą dzwonicę i będzie o dwa ołtarze więcej w staropolskim domu bożym. Gromada nazwoziła kamieni wielkich i zrobiła tamę kamienną, aby im woda Wisłoku nie zabrała tej starej świątyni — wymurowała brzeg cały, jak długi kościół i jest tam teraz tak pięknie i dobrze zrobione, że woda żadna nie zrobi szkody kościołowi, a trumny stare nie wylecą do wody.

Jeszcze i dziś robi gromada składki, aby posprawiać chorągwie, ornaty i co jeno potrzeba do domu bożego. Osobliwie wypisuję Ci tu po imieniu gazdę Lorenca za Wisłokiem, który sypie i po 200 reńskich na ten dom boży. To też uradowało się serce moje, jak mi xiądz tamtejszy powiedział, że dotąd nie ma wypadku, aby kto z gromady powrócił do gorzałki od czasu zaprowadzonej wstrzemięźliwości. I widzisz panie pisarzu! że to dowód oczywisty błogosławieństwa boskiego! boć co dawniej przepijali gazdowie, to teraz idzie ziarnko do ziarnka i zrobiła się miarka, i stanął kościół jakby nowofundowany. Jest tam i szkoła w tej wsi i da Bóg, że będzie kiedyś dobra szkoła, jak jeno skończy się robota koło kościoła, boć to po kościele to szkoła najważniejsza rzecz. I Pan Jezus i Apostołowie nie uczyli ludzi jeno po kościołach samych, ale po domach na wsi i w mieście, na polu i gdzie się jeno przytrafiło. W każdej wsi powinna być dobra szkoła! I to Ci piszę panie pisarzu, że mówił mnie tamtejszy xiądz dziekan, iż nie ma pamiętnika o złodzieju jakim na całą gromadę. Widzisz więc, co to znaczy zgoda i zmowa na dobre! porobiła gromada z xiędzem drogę przez wieś od końca do końca, aż miło przejechać tamtędy —

jest nowy smentarz na górce, że go widać z całej wsi rano i wieczór — a choć nie ma gruntów wielkich i dobrych w gromadzie, choć luda dużo, to nie ma dziadów i darmojadów, bo każdy robi i składa, a gdzie trza na chwałę Bożą i zbawienie ludzi, to każdy rzuca po krajcarku. Jeno jedna paskuda i publika cięży dotąd na gromadzie z czasów rabacyi, bo byli i tu parszywi i głuptacy rozmaici! Ale się poprawili teraz, to niech to idzie w zapominek u Boga i u ludzi. Dla tego Ci panie pisarzu o tem piszę, bo mię to cieszy, kiedy moi krajanie robią po bożemu — ja ich rodak i wychowałem się w tej wsi — oni mię znają jako sierotę, ja im głowy ściskał na prymicję, ale za rabacyę bolało mię dotąd na nich moje serce — a teraz zapomnę o tem, kiedy oni się poprawili.

Dał też gromadzie Bóg dwór dobry i uczciwy i pamiętają też ludzie dotąd nieboszczkę panią i kochają i teraźniejszą panią — dał i xiędza dobrego, który już przeszło 20 lat pracuje dla zbawienia gromady. Otóż niech też cały świat wie o tem, że gromada Krościeniecka trzyma się pięknie i ładnie teraz i może nie jednej wsi i Grodziszczanom kłótnikom posłużyć za przykład i naukę.

Niech im Bóg dopomaga i prowadzi tak dalej coraz lepiej a lepiej, aż zajdą do Nieba i ja im tego życzę.

Dnia 25 Listopada 1863.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Nabożeństwo we Frysztaku i Łączkach.

Toć już każdy o tem wie, że nasz ludek wiejski coraz rozumniejszy, i że go niełatwo już bałamucić złemi a nieuczciwemi gadkami. Oto naprzykład piszą nam taki list z Kobyla:

W naszej okolicy jużby się roześmiał gospodarz gdyby mu kto powiedział: że Polacy rznąć będą, a przecież dawniej takie złośliwe głupstwo czepiało się głowy i rzucało strach okrutny. Dzisiaj ludek już rozumie, że sam jest Polakiem, bo na pol-

skiej ziemi urodzony, z niej żyje, polskim językiem mówi i do Najświętszej Królowej Polski modli się, dla tego już się nie boi Polaków, a widzi że Polacy są braćmi jego. Piękny przykład o tem, który zasługuje, aby o nim wszyscy wiedzieli, chcę Wam opisać. We wojnie z dzikim Moskalem, który łupi i plugawi kościoły, porywa biskupów, morduje xięży, panów, mieszczanów i wieśniaków, pali miasta i wsie a lud pędzi na Sybir, gdzie wieczna jest zima, słowem chciałby wytępić naród polski, zginął w bitwie Seweryn Zwoliński dziedzic z Kobyla dnia 21 października pod Jurkowicami. Skoro o tem usłyszeli Kobylanie, gorzko się popłakali i poszli do dworu gdzie mieszkają rodzice zabitego, użalili się nad nimi i powiedzieli im: Mój Boże! poco to było panu naszemu iść na Moskala, czemu nam nie powiedział o tem, a bylibyśmy za niego wysłali trzech chłopaków, coby Moskala tłukli, a możeby wszyscy nie zginęli, a gdyby i tak się stało, to nas jest dosyć i mielibyśmy pana naszego, który zawsze dobrze radził i był dla nas dobrym. Potem poszli do Frysztaku i dali xiędzu proboszczowi na mszę świętą za duszę świętej pamięci Seweryna. Jakoż 10 listopada było wielkie nabożeństwo, na które zjechało się dużo panów i pań, zeszli się mieszczanie i pełno luda z Kobyla. A kiedy xiądz z ambony przemówił, tak się wszyscy popłakali, że głośny jęk i szlochanie było w kościele. O nabożeństwie tem dowiedzieli się włościanie sąsiedni z Łączek i zaraz uradzili, aby i u nich odbyło się nabożeństwo za wszystkich przez Moskala pomordowanych. Rozumie się, że xiądz miejscowy rad był temu, i dlatego 17 listopada odprawiło się nabożeństwo, o którem ojcowie długo dzieciom opowiadać będą. Nabożeństwo było takie: W kościele zakryto wszystkie okna, na środku stał katafalk z trumną. Na około poustawiano kwiaty i drzewka jodłowe. Przed trumną umocowano na krzyż dwie kosy, któremi włościanie polscy tego prażą Moskala. Na trumnie był wieniec cierniowy na znak okrutnej boleści naszej, szabla, czapka rogata, xięża stuła i kielich, bo nabożeństwo było za wszystkich pomordowanych, a jest między nimi dużo xięży, dużo włościan, dużo mieszczan i panów, tak że się ich tylko Pan Bóg na strasznym sądzie doliczy. Cały katafalk płonął

od światła, a stało przy nim sześć dziewcząt wiejskich w żałobnem ubraniu ze świecami w ręku. Xięży zjechało się 20, to też od rana do drugiej godziny z południa bez ustanku wychodzili ze mszami świętemi. Ze wszystkich dworów na kilka mil przybyli panowie z żonami i dziećmi, a ludu wiejskiego nabiegło tyle, że napchany był kościół. I tutaj xiądz powiedział naukę z ambony, a mówił tak serdecznie i takie prawdy, że wszyscy szlochali na głos i zachodzili się od płaczu.

Przed końcem nabożeństwa jeszcze się odezwał drugi xiądz, i przypominając za kogo się modlimy, podziękował Łączkowianom, że za ich staraniem takie odbyło się nabożeństwo i mówił także, iż ono z pewnością wyjedna nam zmiłowanie boże. Aby razem poratować i tych co w walce za wiarę i Ojczyznę zostali kalekami, była składka po kościele. Odbierała ją na tacę dziewczyna wsiowa w żałobie, a szli za nią ze świecami xiądz miejscowy, pan którego dla jego dobroci i poczciwości wszyscy bardzo szanują, i wójt z Łączek. Nie można było patrzeć na to bez rozczulenia, tak to chwytało za serce, że gdzie idzie o wiarę i Ojczyznę wszyscy się łączą i wszyscy się czują dziećmi jednego kościoła i jednej Ojczyzny. Znaczna też była składka, bo we Frysztaku i Łączkach uzbierano 189 reńskich i 70 krajcarów.

Tak więc modliliśmy się za umarłymi, przynieśliśmy pomoc nieszczęśliwym i wyszliśmy z kościoła z nadzieją w sercu, że Bóg się zmiłuje nad uciśnionymi braćmi i da pokój wieczny duszom tych, co krew swoją wytoczyli za wiarę i ojczyznę. Naostatek wszyscy poznali, że włościanin, pan i xiądz są braćmi na polskiej ziemi. A to wszystko stało się za pomocą poczciwych Łączkowian i dlatego cały kraj znać, szanować i kochać ich powinien. Daj Boże! aby takich Łączek było dużo na ziemi naszej, bo wtedy przepadłyby zawiści, zazdrości i nieufności, a cały kraj nasz byłby taką Łączką, która w miłości i jedności łączy wszystkich.

Z nad Wisłoka 19 listopada 1863 roku.

RÓŻNOŚCI.

Nowy kalendarz dla ludu polskiego. Wydrukowano w Warszawie nowy kalendarz dla ludu, podobny do tego, o jakim wam tamtego roku pisaliśmy. Jest w nim najpierw zwykły kalendarz, a dalej także wiele innych ładnych opowiadek i nauk. Są także obrazki piękne dodane, i cała xiążeczka jest dość znaczna, a przecież kosztuje tylko tyle, co kalendarz tamtoroczny, to jest 40 centów. We Lwowie kupić go można albo zapisać sobie u pana xięgarza Karola Wilda.

Jasnowidzący. Piszą tak o jednym jasnowidzącym, który jest w Poznańskiem:

Pewien włościanin polski, gospodarz z bliskiej okolicy, powiózł na targ do Gniezna parę korcy zboża, sprzedał, pieniądze schował, do kieszeni, i w jakimś szynku się posilał, a podobno i trunku zażył, aż też i usnął siedząc za stołem. Obudziwszy się pospiesza do koni, czas powracać do domu; sięga do kieszeni by zapłacić karczmarce, ale o zgrozo! pieniędzy niema. Przeszukuje wszystkie kieszenie, wóz, miejsce gdzie siedział w izbie; pyta, wyrzeka, niema pieniędzy; nareszcie daje znać do policyi, że go okradziono, i wraca strapiony późno do domu. Tymczasem kiedy jeszcze był w mieście, a żona się kłopotała w domu, iż tak długo mąż nie wraca z targu, powiada syn, chłopczyna kilkoletni:

— Matusiu, ojciec w mieście płaczą i biegają, bo mu pieniądze ukradli, ja widziałem.

Zdziwiła się matka, ale myślała, że on tak sobie baje na próżno jak dziecko, aż kiedy powrócił zmartwiony gospodarz, i opowiedział swoją sprawę, zadziwili się oboje, i poczęli syna pytać; a ten opowiedział swoje jasnowidzenie z takiemi szczegółami, iż ojciec osłupiał, bo chłopiec wiedział, jakie były pieniądze, widział i opisał złodzieja, tak, że nazajutrz ruszyli wszyscy do Gniezna. Tam udał się włościanin z chłopcem najprzód do policyi, gdzie się najpierw śmiano z niego, ale wreszcie na zaręczenie chłopca, że pozna złodzieja, który był żołnierzem z tamecznej załogi, udali się do komendanta, który przez ciekawość kazał stanąć załodze do apelu. Chłopiec wkrótce wskazał widzianego wczoraj żołnierza, wyciągającego ojcu z kieszeni pieniądze, i zaraz dodał, że je ma przy sobie, takie a takie, i że 4 złote wydał tam a tam. Wszystko się okazało prawdziwem.

Ta dziwna sprawa wszystkim strasznie poszła do głowy, a ktoś zapytał chłopaczka, kiedy będzie Polska? Odpowiedział on na to: *„gdy się żyto zacznie wygrawać“*,.... a więc około czerwca.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

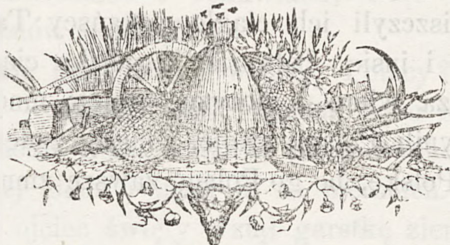
Tom IX.



Nr. 17.

11. Grudnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta ziemia polska.

Czy wiecie moi mili zkąd to poszło, iż ziemię naszą polską nazwano świętą? Czy myślicie że to sobie ludek sam wymyślił bez dobrej racyi?

Nie moi mili, nie tak to się stało. Zanim tę ziemię świętą przezwano, musiała ona sobie na to zasłużyć, musieli wiele dobrego uczynić ludziska, co na niej mieszkali. Dopiero za takie różne zasługi przezwano polską ziemię świętą.

A zasługi owe były wielkie i znaczne. Najpierw wzrosło i żyło na ziemi polskiej tak wiele świętych i błogosławionych, jak nigdzie indziej. Zaś gdzie w narodzie tylu świętych było, tam i naród cały musiał być zacny i uczciwy. I jużci naród polski był dziwnie zacny, pobożny i poczciwy. Przez wiele bardzo lat naród ten ciągle walczył za wiarę i ojczyznę. Mieszkalci on niby na drodze, kędy do Europy ciągle się zapędzali poganie różni, co chcieli zniszczyć prawdziwą wiarę chrześcijańską i wszystkie ludy chrześcijańskie chcieli dać w ciężką

niewolę. Otóż naród polski zasłaniał i bronił chrześcijaństwo i całą Europę od takiego nieszczęścia.

To bronienie sprowadziło wiele niedoli na ziemię polską i na Polaków. Niszczyli ich ciągle pogańscy Tatarzy i Turcy, okrótni Moskale i insi. Cała ziemia polska ciągle krwią była zalana, ciągle za wiarę i ojczyznę gineło mnóstwo Polaków. Ale zawsze uczynili Polacy swoje, i nigdy żaden poganin dalej nie poszedł za Polskę, bo go Polacy zawsze zmusili, aby wrócił zkąd przyszedł.

Za takie wielkie zasługi nazwano polskę „przedmurzem chrześcijaństwa,“ a to iż niby mur silny broniła ona całe chrześcijaństwo przed okrótnymi poganami. Także za takie świątobliwe zasługi otrzymali Polacy w kraju swoim wiele miejsc cudownych, i zdawało się, że święci najbardziej ukochali Polskę i w niej najchętniej cuda czynili. A toć na całym świecie nie znajdziesz tyle cudownych obrazów Matki Boskiej Królowej polskiej i tyle innych miejsc cudownych, jak w Polsce.

Tym sposobem stała się ziemia polska świętą ziemią, i tak ją już wszyscy nazywali od czasu, jak ją sam papież Paweł V tak przezwał. I stało się to z takiej okazyi.

Po onej wielkiej wojnie chocimskiej, o której niedawno pisaliśmy wam w Dzwonku, posłali Polacy do Rzymu posłów, aby rozpowiedzieli ojcu świętemu o zwycięztwie, oddali mu na pamiątkę i na cześć chorągwie, które Polacy zdobyli na Turkach, i aby prosili o błogosławieństwo dla całego kraju i o święte relikwie na obronę od pogan.

I przyszli posłowie do Rzymu, i było tamże naonczas wiele ludzi z różnych krajów, którzy przychodzili prosić także o błogosławieństwo i o święte relikwie, bo po całym świecie była trwoga wielka od pogan.

Ojciec święty błogosławił wszystkich i wszystkim dawal relikwie. I rozdał już wszystkie, a kiedy staneli posłowie polscy przed nim, to już nie miał żadnych relikwij. I rzekną do ojca świętego posłowie polscy:

„Ojcze święty, naród polski prosi Cię o błogosławieństwo na wojnę z poganami, i prosi Cię o święte relikwie, aby go one chroniły od złego.“

I ze łzami w oczach błogosławił papież posłów polskich i wychwalał zasługi Polaków około ziemi świętej. A kiedy przyszło mu powiedzieć o relikwiach, więc temi słowy rzekł na głos do posłów polskich:

„Czy macie garść ziemi waszej, Polacy?“

„Mamy“ — odrzekli oni i podali ojcu świętemu, bo już z dawnych czasów Polak każden, kiedy wychodził z ziemi swej, brał garstkę tej ziemi i nosił ją na piersiach.

Naonczas ojciec święty wziął garstkę ziemi polskiej, i ścisnął ją w dłoni, i z onej ziemi upadło kilka kropel krwi.

I rzekł ojciec święty:

„Patrzcie! oto z ziemi polskiej krew kapie, i cała ziemia krwią przesiąkła, boście za wiarę i ojczyznę dużo na niej krwi przelali. A toć jest cud i ziemia wasza święta jest jak relikwie, bo w niej jest krew męczenników waszych. I nie trza wam inszych relikwi, bo macie waszą świętą ziemię polską.“

Tak mówił ojciec święty papież Paweł V. I od tego czasu nazwano już polską ziemię świętą i tak ją zowią po dziś dzień. I jak dawniej przeciw innym poganom walczyli Polacy za wiarę i ojczyznę, tak i dziś walczą przeciw pogańskiej Moskwie, i bronią wiary świętej, i wiele męczenników ginie za tę wiarę i za ojczyznę w wojnie z Moskalami i od okrucieństw moskiewskich.

Bracia moi! a toć pamiętajcie że wielką łaskę dał wam Pan Bóg, bo dał nam ziemię świętą Pamiętajcie że trzeba być godnym tej łaski, wstydźcie się plamić tę świętą ziemię grzechem i złem, bo Pan Bóg pomści się za takie zhańbienie relikwi świętej.

ANUSIA.

(Powiastka z czasów pana Kościuszki.)

I.

Błysnął dzień — świat ze snu wstaje,
Pod nad Wisłą szumią gaje
Śród kwiecistych łąk;
Przy skowronka cichym głosie
Młode dziewczę mknie po rosie,
Zbiera kwiaty w pąk.

Cudnej dziewczę to urody:
Krew i mleko jej jagody,
Włosy niby len,
Z oczu tryska ogień żywy —
Stokroć młodzian on szczęśliwy,
Co weźmie skarb ten.

Stach i Jonek Hankę kocha,
Ale ona nie jest płocha,
  Tylko Stacha zna;
On jej życiem — w pierwszej chwili
Dziećmi już się polubili
  Jak aniołki dwa.

Z laty miłość rosła z nimi:
Czy to praca koło ziemi,
  Czy to w święto tan —
Oni razem, a ojcowie
Między sobą radzą w głowie:
  Znać ich złączył Pan!

Nieraz Stach wyjechał w drogę,
Wtedy trawił żal niebogę,
  Lecz gdy wrócił też:
To jej cuda prawił liczne,
Jaki Kraków miasto śliczne,
  Ile to ma wież.

A ulice jakie ludne,
A kościoły jakie cudne,
  A Zygmunta dzwon,
Jaka Wandy tam mogiła,
Co śmierć w Wiśle przenosiła
  Nad niemiecki tron.

Stary zamek na Wawelu,
Przy nim groby królów wielu
  I biskupów cnych,
I hetmanów, co dla wiary
Bili Turków i Tatary
  I Moskalów złotych.

A gdy dziewczę się wsłuchało,
To na oczy jej się zdało
  Widzieć powieść tą,
Zdało jej się, że śród ciszy
Głosy królów polskich słyszy,
  Co tam w grobach śpią.

I była jak w niebo wzięta,
I ojczyzny miłość święta
  Weszła w serce jej;
Stacha silniej pokochała
I dla Boga się wylała,
  Dla drużyny wszej.

Bo gdy czysta dusza, serce,
Miłość boża, co w iskierce
  Na dnie duszy spi:
W jasny żar się rozpłomieni,
I w anioła człeka zmieni
  Już na ziemskich dni.

Z takim siewem w cichej pracy
Wzrośli czuciem swem jednacy
  Jak gromnice dwie;
Stach do ojców w prośby o nią,
A oni mu jej nie bronią —
  Dziś zaręczą się.

Więc dziś Anna raniej wstała,
Polnych kwiatków nazbierała,
  W chatę wraca swą,
I Najświętszą stroi Pannę
I Jezusa, świętą Annę
  Na intencyę tą.

A tam ojciec, matka miła
Do swej piersi ją tuliła,
  Widząc kwiatów plon:
— Oj tyś rańsza dziś jak pszczoła,
Ale czas nam do kościoła
  Z wieży jęczy dzwon!

II.

Po mszy gwarno w chacie Anny:
Był pan dziedzic, z dworu panny,
  Xiądz i mnogi lud;
Zaręczono młodą parę,
Potem wino wnieśli stare
  I sycony miód

Stoły suto zastawiono,
Szczodrze gości uraczono
  Jak przykazał Bóg;

I muzyka brzmi wysoło,
Młodzież dziarska rusza wkolo
Nie żałuje nóg.

Tylko Jonek stoi smutny —
Stracił Annę; lecz nie butny,
On jej szczęścia chce;
A Stach bratem byl mu wszędzie,
To on jemu drużbić będzie,
Tylko tańczyć — nie.

Ale cóż to grzmi podkowa,
Pędzi jeździeć od Krakowa,
Co wyskoczy koń.
— Precz z muzyką w imię Boga,
Kosy w rękę i na wroga,
Co ćmi polską błoń.

Już się ruszył lud w Krakowie,
A wieśniacy i panowie,
Tam jak bracia dwaj!
A Kościuszko na ich czele
Na Moskale wzywa śmiele
Do walki za kraj. —

Tak rzekł goniec; na te słowa
Wzniósł się okrzyk: „do Krakowa!“
Głośny niby grom.
Ścichlo — nikt się już nie bawi,
Xiądz na drogę błogosławi,
I wnet pusty dom.

Z żalem Stach pożegnał miłą,
Lecz mu serce wnet odżyło
Tam gdzie kosy brzmią;
Boleść wielka zdjęła Hanię,
Ale w drodze mu nie stanie
Cichą skargą swą.

Bo ojczyzna przed nią stoi
Cała krwawa, więc ukoi
Ból, co w piersiach tkwi:
Polsko! ona by dla Ciebie,
Widzi wielki Bóg na niebie,
Z serca dała krwi!

III.

Cicho tęskno pośrod sioła,
A na modły do kościoła
Wzywa wiernych dzwon;
Krwawo zeszło boże słońce:
Od Racławic pędzą gońce,
Głoszą wrogów zgon.

Za zwycięztwo dzięki Bogu,
Ale nie dać miru wrogu
Pędzić z łanów tych:
Więc ruszyli na tę sprawę
Z Naczelnikiem pod Warszawę —
Zginął o nich słych.

Dlugo we wsi lud był w trwodze,
A i onej też niebodze
Serce ściska żal.
Zadnej wieści Boże miły!
Już nie stanie oczom siły
Patrzeć za nim w dal.

Jakiż to tam gwar śród sioła?
Lud się tłoczy do okoła —
Czy się skończył bój?
Wszak to nasi! — ale jacy
Frasobliwi nieboracy,
A gdzież Staszek mój?!

— Smutne dzieje — prawi Jonek,
— Nad mogiłą mu skowronek
Cichy nuci spiew;
Dlugie wiedliśmy tam boje,
Próżne walki, prożne znoje
I przelana krew!

Wróg zwyciężył — Naczelnika
Kozacka nam skuła pika
Tam w Maciejowicach;
Resztki z nas tu powracają,
Inni światem się tułają
Po obcych granicach.

I wróg znowu gaździ w kraju,
Pali, grabi po zwyczaju,
Polski gnębi lud;

Ale dziej się boża wola,
Kiedyś jeszcze na te pola
Pójdziem w nowy trud! —

Tak rzekł Jonek; jęki w koło,
Anna korne zniża czoło:
Dziej się wola Twa;
Starcy w proch schylili głowy —
Prysnąż Boże te okowy
I niedola ta!? —

IV.

Długo płynął czas z żałobą
Smutno doba szła za dobą,
Lat ubiegło dwa

I Anusia w skromnym wianku
Do ołtarza szła przy Janku,
Gdzie mu przysiądz ma,

Choć Stach żyje w jej pamięci,
I łza się jej w oku kręci,
Serce w piersiach rwie:
Jan niósł życie dla ojczyzny,
A przez czoło ma dwie blizny,
Niby gwiazdy dwie.

Więc mu rzecze: „Moskal broi,
A zabrakło rąk do zbroi,
To bądź mężem mym!
Da Bóg kiedyś dzieci nasze
Zabrzmią w kosy i pałasze
Na zgon wrogom złym!"

Lwów, dnia 26. listopada 1863.

Wincenty Srokacz.

Historya o Tomku Brodzicu

jak walecznie królowi służył i ocalił go w bitwie.

Dawno to już bardzo dawno, bo będzie temu lat ośmset przeszło, jak po różnych zamieszaniach został królem Kazimierz Odnowiciel.

Ojciec jego był w rządzeniu bardzo nieszczęśliwym, źle mu się wiodło, chociaż chciał jak najlepiej.

Ale czyż to zawsze wina gospodarza, jeżeli gospodarstwo źle idzie; cóż gospodarz na to poradzi, jeżeli słońce wypali, deszcze wymoczą, grady wybiją, zaraza bydełko wygubi, to chociażby się na głowie postawił, już na to nic nie poradzi, boć gdzie ręka Boża rozrządza, tam się rozum ludzki na nic nie przydał.

A jeżeli jeszcze do tego i czeladka nicpotem, jeżeli zamiast pracować, sama między sobą się swarzy i różne szkody wyrządza, to choćby najlepszy gospodarz nic a nic nie poradzi.

Tak się też działo i z Mieczysławem, ojcem Kazimierzowym; robił co mógł, starał się o wszystko, ale panowanie szło

mu jakby z kamienia i do czego się tylko wziął, to nic mu się nie darzyło.

Żonę miał też kobietę dumną i niegodziwą, poczęła ona po jego śmierci tak rządzić, że jeszcze większe nieszczęścia sprowadziła na kraj, a widząc potem, że wszyscy na nią narzekają, zabrała syna i skarby i pojechała z nim za granicę, myśląc sobie: róbcie jak wam się podoba.

Ale jako w gospodarstwie bez gospodarza, tak i w kraju bez rządu i króla być nie może, więc też i starsi wysłali do królowej, prosząc żeby syna przysłała, bo wszystko zmarnieje.

Przyjechał syn zwany Kazimierzem, a że był nieład i nieporządek wielki, więc król musiał wszystek zarząd z gruntu odnawiać; przeto ztąd nazwano go Kazimierzem Odnowicielem.

Ale jak się gdzie złe zagnieździ, to nie tak łatwo go wykorzenić, więc też król miał nie małą robotę. Wielu było możnych panów, którym się nie podobało, że muszą królewskiej woli słuchać, przecież widząc że nie dadzą rady i nie zdołają się oprzeć poddawali się. Jeden Masław wojewoda czyli rządca Mazowsza poddać się nie chciał, ale zbierał żołnierzy i królowi wojnę wydał.

Król nakazał także aby się zbierali wojownicy pod królewskie chorągwie, bo wtenczas tak jeszcze bywało że nie utrzymywano tyle wojska co dziś, ale kiedy przyszła potrzeba, to każdy na wezwanie królewskie musiał brać broń w rękę i iść na wojnę.

Przyszło też takie nakazanie i do wsi, w której mieszkał Tomek Brodzic i musiał on też razem z innymi do obozu królewskiego pociągnąć.

Tomek miał żonę i troje dziatek, więc się kobieta mało we łzach nie roztopiła, tak się bała, żeby jej kochanego męża na wojnie nie zabito, i na klęczkach prosiła go aby lepiej w domu został, a nie robił jej z dziećmi sierotą nieszczęśliwą. Wtedy rzekł Tomek:

— Moja kochana Marysiu! ani myśl o tem żebym został doma, król jegomość wzywa wszystkich do broni i widzisz oto Walek, Marcin i Kuba i Franek, wszyscy idą, a cóżby to powiedziała cała wieś żebym ja się wymawiał albo chorego udawał.

— Oto byś prosił króla, żeby cię puścił do domu, bo masz żonę i dzieci.

— A cóż to ty myślisz, że to król ma czas słuchać gadania mojego, kiedy idzie na wojnę, — daj sobie pokój, a lepiej proś Pana Boga abym nie zginął na wojnie, toć powrócę i całusieńki, bo mię wasze modlitwy będą strzegły na wojnie.

I zebrał się Tomek, poszedł do obozu królewskiego, a tam mu zaraz wyznaczono starszego.

Ruszyły wojska królewskie od Krakowa ku Mazowszu, i szedł z niemi Tomek z wielką ochotą.

Tymczasem Masław, widząc że trudno będzie sobie dać radę z królem, wezwał na pomoc pogan, którzy siedzieli na Podlasiu i zwali się Jadźwingami, a prócz tego innych co siedzieli w krajach położonych ku morzu i zwali się Prusakami, a tak myślał że króla zbije i sam panować będzie.

Więc spotkały się wojska obydwa, — po jednej stronie Masław objeżdżał na czarnym koniu szeregi swoje, klął na Pana Boga i na wszystkich Świętych, odgrażał się królowi i był pewny że go na nic pobije, i zetrze na miazgę potęgę królewską; a wrzaski pogan napełniały powietrze.

W obozie królewskim było cicho i pięknie, nabożeństwo odbywało się, kapłani modlili się prosząc Pana Boga o zwycięztwo dla króla, a król leżał krzyżem i ofiarował siebie i swoich opiece Wszechmocnego Stwórcy.

Nareszcie przyszło do bitwy, a bitwa była straszna i zacięta. Długo nie można było poznać która strona zwycięży, po obu stronach legło już dużo ludu, a przecież zwycięztwo się chwiało.

Widząc to król, zabrał co najdzielniejszych żołnierzy i rzucił się w największą czeredę nieprzyjaciół, którą sam Masław dowodził.

Król biegł naprzód, a drudzy za nim dążyli, ale nim dobiegli do króla już go chmara nieprzyjaciół obskoczyła.

Walczył król dzielnie i ze wszystkich sił odpierał nieprzyjaciół, ale trudno jednemu ognać się tysięcom. Już jakiś poganin ogromnej postaci zamierzył się i miał zabić króla, gdy jakiś chłop przyskoczył i zasłoniwszy króla mieczem jął ciąć

na prawo i na lewo, i oganiać się, aż przecie nadbiegli drudzy i zaczęli siec pogan.

Wtedy to zwycięztwo przychyliło się na stronę królewską, a Masław począł uciekać wraz z tłumami pogan, którzy go potem zgniewani o stratę obwiesili.

Po bitwie król przejeżdżając wojsko, począł się dopytywać gdzie ten żołnierz, co mu w najgorszej chwili na pomoc przybiegł i obronił. — Napróżno go wołano, nie chciał wyjść z szeregów, aż dopiero drudzy go wydali.

Był to Tomek Brodzic, który się wstydził swego pięknego postępku. Król podziękował mu pięknie w obec całego wojska i dał w nadgrodę duży i urodzajny grunt wieczyście, uwolnił go od wszystkich podatków i ciężarów z dziećmi, wnukami i prawnukami.

A kiedy wrócił do domu i wybiegła na przeciwko niego Maryna z dziećmi, uściskał ją pięknie, ucałował i opowiedziawszy co go na wojnie spotkało i co mu król dał, rzeknie:

A widzisz Maryna, żebym był twojej rady usłuchał i został na przypiecku, tobym nie dostąpił takiego szczęścia, ale to nic, to jeszcze wszyćko furdy, bo co ta o mnie, albo o moje gospodarstwo; ale coby się było stało z nieszczęśliwym królem? — ho, ho! byliby go poganie zabili. Widzisz Maryna, że ja tam był potrzebny.

— Oj prawda, — rzeknie żona Brodzicowa, we wszystkiem widno zrządzenie Przenajświętszej Opatrzności, bo ktoby też pomyślał żeby taki prosty chłop jak ty mógł królowi życie ocalić. — Cud Boski, dziękujmyż Panu Bogu za Jego łaskę.

I dziękowali i modlili się, a po wszystkich wsiach okolicznych w długie lata słynął Tomek Brodzic i jego piękny czyn.

Kazimierz Goralczyk.

Kmieć Wincenty Czuprynka.

Juźci każdy mi to przyzna, że wiele jest ludzi, którzy chociaż się dobrze mają, to przecież biednemu i potrzebującemu pomocy nie udzielą. Jak przyjdziesz do nich po jakim interesie,

to cię śliczniutko wysłuchają, a potem odprawią z kwitkiem, mówiąc, że teraz są złe czasy, a poźniej może być jeszcze gorzej, to się trzeba ścisnąć i zaopatrzyć przed biedą. Nie wiedzą oni że Bóg dlatego dał im dwa razy więcej od drugich, aby biedniejszych wspierali, a o przyszłość niech się nie troszczą, bo ona w ręku Boskiem, a potem kto pracuje szczerze i uczciwie, to się przecie złej doli spodziewać nie może. Nie pamiętają oni, że każden grosz, który ludzie dają ubogiemu, Pan Bóg im we trójnasób powraca. Ot bez długiego gadania jest wiele ludzi nieużytych — aleć znajdą się między nimi i dobrzy ludziska, których piękne uczynki warto sobie zapamiętać.

Znam ci ja jednego gospodarza, który dzięki Bogu nie cierpi głodu i bieda mu nie doskwiera, aleć mu się tam i nie sypie jak drugim ni ztąd ni z owąd. Zaś co to za uczciwy człowiek, to poznacie z jego pięknego uczynku, który wam ku pamięci i nauce spisuję.

Bogacza to tam rzadko kto odwidza chyba jaki lizus z wytartem czołem, a zaś Wincentego każdy pragnie poznać, bo u niego i czas przejdzie wesoło na pogadance i poczęstunek bywa zawsze, którego nigdy nie żałuje żona jego Rozalia.

Jeżeli zobaczy dziadka albo jakiego kalekę, zaraz go zawoła do izby, nakarmi i napoi, i szmat jakich udzieli gdy mu zbywają i przenocuje w chacie a jeszcze i na drogę da kęs chleba; dlatego każdy biedak błogosławi jego chatę, w której mieszka taki człek uczciwy i dobroczynny.

Zdarzyło mi się ano być teraźniejszego lata w onej wsi, gdzie mieszka Wincenty, a więc poznałem go, a nawet niechwaląc się powiem wam otwarcie, żeśmy się tak z sobą polubili, iż nawet pisujemy do siebie, bo trzeba wiedzieć, że Wincenty jest także piśmienny.

Będąc u jego sąsiada Michała raz po południu na pogadance, poszedłem z nim niebawem do rzeki, która tam płynie niedaleko, a w drodze o Wincentym tak mi on opowiadał:

— Niech tam ludzie gadają, że każda liszka swój ogon chwali, ja wam zaś powiem mój Józefie, że Wincentego pochwalić się godzi. Dosyć tam i ja świata zleciałem, ta i napatrzyłem się rozmaitym ludziom, alem rzadko widział takiego dobro-

czynnego człowieka jak Wincenty. Przeszłej zimi szliśmy oba na jarmark do pobliskiego miasteczka, a zimno było okrutne i zawierzucha straszna, żeśmy kłapali zębami jak bociany na gnieździe. Wiecie zaś że do miasteczka droga pusta, nie ma ani domu, ani karczmy, tylko pola i pola. Otóż uszedłszy kawał drogi, kiedyśmy się zbliżali do małego pagóreczka, usłyszeliśmy naraz głuche jęczenie i te słowa:

— O rany Boskie! o Jezuniu zmiłuj się nademną!

Wincenty przystanął na chwilę, pobladł na twarzy, nareszcie szybkim susem przeskoczył kupę śniegu i zobaczywszy jakichś ludzi na śniegu, rozpaczliwym zawołał na mnie głosem:

— Bój się Boga, Michale, chodź prędzej na ratunek!

Przerażony natychmiast przyszedłem i patrzę, a tu jakiś podeszły już człowiek leży na pół nieżywy, odarty i skurczony, a przy nim siedzi zapłakany chłopczyna oboma rękami trzymając go za szyję. Nie potrzeba wam gadać co się z nami wtenczas działo.

— A co robił Wincenty? — zapytałem niecierpliwie.

— Co robił? — mówił dalej Michał — rzucił płachtę, którą niósł do miasta, aby otulić przemrożonego chłopca, a sam przeżegnawszy się spiesznym pędem choć to już stary człowiek pognał do miasta, i niebawem przyjechał z panem doktorem do nieszczęśliwych ludzi.

Pan doktor obejrzał biedne ofiary, zaczął nacierać i Bóg wie co z nimi nie wyrabiał, jednakże wszystko było napróżno, bo ów podletni mężczyzna zaledwie jeno oddychał, a mały chłopczyna był wprawdzie przy życiu, ale nareszcie ani słowa nie mógł wymówić. Poczciwy Wincenty tylko załzawionem okiem poglądał na to wszystko, aż gdy pan doktor zawołał:

— Trzeba ich wieść do jakiej chaty, bo tu ani sposób co zrobić! — ocknął się z zamyślenia, razem z parobkiem wziął nieszczęśliwych na wóz, okrył ich własnym kożuchem, a sam pędząc w płótniance okrył się płachtą, na nogi nasunął słomy i co żywo kazał jechać do swojej chałupy.

— O Boże! tać stary już nie żyje! — zawołałem gdyśmy już byli blisko naszej wsi — ratujmy chociaż małego!...

— Podcinaj konie! — krzyknął Wincenty — bo i chwila dużo znaczy. Przyjechawszy zaś do jego chaty, pan doktor kazał zamarzniętych zanieść do nieogrzanej izby i zdjąwszy z nich wszystką odzież, obsypał całe ciało śniegiem oprócz twarzy i nosa, a skoro się śnieg w którem miejscu stopił, nakładał świeży; wszelakoż stary człowiek nie przyszedł do życia. Tylko chłopczyna począł się ruszać, dlatego pan doktor kazał go nacierać śniegiem, sam zaś nadymał mu powietrze w usta; to też gdy chłopiec okazał znaki zycia, osuszyli go i położyli do cokolwiek ciepłej pościeli pojąc ziółkami z octem.

Tu przerwał Michał, i poprawiwszy sobie fajeczkę, która mu już gasnąć zaczynała, tak mówił dalej:

— Nie długo pan doktor odjechał, bo to już było dobrze po południu, a do miasta spory kawał drogi. Wincenty zapłacił mu ze swojej kieszeni za fatygę i odtąd nie odstępował chorego chłopca, którym się tak szczerze zajmował jakby własnem dzieckiem, i cieszył się serdecznie, widząc, że mu co chwila było lepiej.

— A cóż zrobił z umarłym człowiekiem? — zapytałem Michała.

— Posłał po grobarza — odrzekł Michał — i kazał go odwieść do truparni. Na drugi dzień poszedł zaraz do wójta, opowiedział całą rzecz i złożył dziesięć reńskich na pogrzeb, prosząc zarazem o oznajmienie o tem na wsi, aby każdy chętny przyczynił się także do tego.

Jakoż na trzeci dzień odbył się można powiedzieć bardzo suty pogrzeb, tak że nawet i pani dziedziczka pomimo zimna była na nim jadąc za trumną w powozie.

Wincenty zalewał się rzewnemi łzami, pocieszał się jednak nadzieją, że mu chociaż Pan Bóg syna zmarłego do zdrowia przywrócić pozwoli. A że chłopiec codzień był starannie opatrywany, bo też Wincenty dbał o jego wygody i w południe i wieczór chodził do dworu po lepsze jedzenie dla niego; wyzdrowiał może niebawem we dwa tygodnie, a więc jął rozpowiadać co on był za jeden, dokąd szedł z ojcem i gdzie mieszka jego rodzina.

Dowiedziawszy się Wincenty dokumentnie o wszystkiem, odwiózł go sam do matki — a niedawno temu dosłał od pana dziedzica drzewa dębowego, a że się zna dobrze na stolarce, owóż wystrugał piękny krzyż i onegdaj dopiero osadził go na cmętarzu nad grobem Piotra Burczyka, bo takie było imie i nazwisko zmarłego.

— Ani słowa bardzo ładnie postąpił sobie — powiedziałem do Michała — dobry Wincenty ze wszystkiem, a więc godziłoby się aby wszyscy ludzie o tem wiedzieli.

— W naszej wsi — odrzekł Michał — wszyscy młodzi i starzy wiedzą o tym pięknym uczynku, ale zda mi się żeby wartało, by to kto pięknie opisał, i aby także inni ludzie dowiedzieli się o tem.

— Poczekajcie mój Michale, to ja o tem pomyślę — powiedziałem — i podam do Dzwonka, niechaj ludzie wiedzą że są dobroczynne dusze między nami, które tak robią jak Chrystus nauczał.

Otóż wróciwszy do domu, aby dotrzymać słowa, spisałem o tym uczynku Wincentego za świeżej pamięci, a mam nadzieję, że ta wiadomość wyjdzie na wasz pożytek kochani bracia.

Józef z Bochni.

Jeszcze o Grodzisku i Grodziszczanach.

Pisanie xiędza Wojciecha z Medyki do pana pisarza Dzwonka.

Wyczytałem panie pisarzu wasz list w Dzwonku do Grodziszczan pisany. Zadumałem się niemało na to pisanie, i mało mi serce z żalu wielkiego nie pękło, jakiem wyczytał, że Grodziszczanie swarzą się między sobą o szkołę i to już jakie trzy roki, i nie chcą tak zrobić, jak Bóg i kościoł święty każe. A żal mi setny Grodziszczan, boć ja ich znam bardzo dobrze, boć byłem u nich xiędzem jakie cztery roki, nim poszedłem do Medyki, i oni mię znają i pamiętają dotąd, a nawet wstępują do mnie, kiedy idą na jarmarki do Sambora lub Hussakowa.

Otóż jak wyście panie pisarzu napisali do nich w Dzwonku i radzicie im na dobre, tak też i ja piszę do nich, aby sobie przypomnieli na to, jak ja ich w kościele nauczał, i aby zrobili tak w gromadzie, by było szczęście i zgoda, chwała Boża i zbawienie.

Otóż moi kochani Grodziszczanie! miejcie też wyrozumienie dobre na siebie, dopóki wam Pan Jezus daje zdrowie i życie, i uważajcie na koniec życia i na wasze dusze — a toć dla dzieci nie macie lepszego wiana nad dobre nauki, nad dobre przykłady. Pan Jezus powiedział raz na zawsze: Chałupę spali ci ogień, zawali drzewo, wiater rozwieje i z czasem sama się rozwali — majątek zabierze złodziej albo krzywdziciel lub jaki niedobry człek — grunt zamuli ci woda, grad stłucze, robactwo zryje — i z tego nie weźmiesz na tamten świat ani reszki ani paździorka, a co się nauczysz dobrego i co masz w głowie i w sercu, to ci nikt nie może ani ruszyć ani ukraść, a znowu co narobisz dobrego, to sobie zabierzesz na tamten świat i staniesz z tem na sądzie pańskim.

Otóż Grodziszczanie moi! pamiętajcie sobie to, bo to słowa Pana Jezusa! Znam ja i pamiętam do dziś bardzo wielu gazdów i gospodyń z Grodziska i wiem to, że Grodziszczanie chodzą po świecie to na balarkę, to na bandus, to na flis, to na targi i mają przeróżne sposoby i sztuki do pracy i życia uczciwego — pamiętam, jak to oni pięknie spiewają w kościele podczas mszy i nieszporu, jak są pobożni i t. d. — i widać że jakiś niedobry człek wlazł do gromady i robi im psotę i hańbi przed całym światem. Otóż nie dajcie się kusić do złego, moi Grodziszczanie! Wy gazdowie: Wosie, Stysze, Kliny, Wrony, Koty, Czerwonki, Misie, Machy, Baje, Chmiele, Mazurki, Rydze, Wróble i wy wszyscy Grodziszczanie i Grodziszczanki! zastanowcie się też, po co wam te swary, po co obraza Boska, po co mitręga i durniczki, ta to nic dobrego na świecie! Zawszeście słuchali waszych xięży i było u was pięknie, nie było zaczepki najmniejszej od Wulki aż po Laszki, a teraz zeszliście już na to, że aż piszą o was po gazetach! Ja wiem że wy to naprawicie i da Bóg będzie wnet zgoda i dobrze i stanie szkoła co się zowie! Gdybyście byli dali to wszystko na szkołę, co

wy już natracili po próżnicy, toby stała szkoła malowana cała. A kto wam to zapłaci, co wyście się natrapili i nagryźli i namitrężyli? tacto ani kura nie zagdacze za to! a jeszcze trza będzie i odpowiadać za to na tamtym świecie, bo było niejedno głupstwo i gadanie różne przy takich sprawach. Otóż zróbcie dobrze moi Grodziszczanie! a będzie od was przykład na cały kraj, a wasze dzieci nie zrobią wam wstydu i hańby nigdzie.

Polecam was Bogu i Najświętszej Pannie w Leżajsku i będę czekał, co też Dzwonek napisze o was.

Wasz dawny xiądz Wojciech a teraz w Medyce.

Dnia 24 listopada 1863.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne. Odbyło się niedawno w Cięcinie takie nabożeństwo za wszystkich braci, którzy zginęli w wojnie z Moskwą. Kiedy wieśniacy tameczni przyszli do księdza proboszcza zamówić mszę, rzekł im tenże:

— Pewnie chcecie moi ludzie nabożeństwo skromne, aby się odbyło bez wielkich kosztów?

Na to odpowiedział gospodarz Stach Dziedzic:

— Nie zaś, proszę jegomości, i niech będzie u nas nabożeństwo żałobne, jak było wszędzie. Chcemy aby też ojcowie i matki co synów w tej wojnie potracili, wiedzieli o tem, a będzie im lżej na sercu gdy zobaczą, że i inni ludzie razem z nimi się smucą.

I tak się też stało, jak powiedział zacny Stach, a nabożeństwo było bardzo piękne i kosztowne.

W listopadzie jeszcze odbyło się w Zassowie w obwodzie tarnowskim nabożeństwo żałobne za braci naszych, którzy polegli w wojnie z Moskwą. Nabożeństwo było bardzo uroczyste, zjechało się mnóstwo księży, z całego dekanatu, panów mnóstwo i włościan różnych. Xiądz Wodyński pleban z Radomyśla, miał dziwnie piękne kazanie do ludu, a słuchających był pełniusieńki kościół. Wszyscy płakali rzewnie, a już najbardziej niewiasty wszystkie, które na głos szlochały. Katafalk był bardzo pięknie przystrojony, a do okoła niego stały niewiasty w żałobie.

Znowu w Mielcu odbyło się także nabożeństwo żałobne za braci, poległych w walce z Moskwą, dnia 26 listopada. Xiądz pleban tameczny nie chciał wziąć pieniędzy, które się należały za urządzenie nabożeństwa; otóż zebrano całą sumę i przeznaczono ją

na to, aby pieniądze rozdzielić między wdowy i sieroty tych mieszkańców Mielca, którzy zginęli w wojnie. Nabożeństwo było bardzo piękne i wystawne, a w kościele nie mogli się pomieścić wszyscy pobożni. Xiądz kaznodzieja mówił bardzo piękne kazanie, którego wszyscy z wielkiem nabożeństwem słuchali.

Pożary. W miesiącu listopadzie były jeszcze takie pożary:

Dnia 19 w Ostrowie w obwodzie przemyskim u gospodarza Józefa K. wybuchł pożar, zniszczył jego chałupę, budynki i część omłuconego zboża. Dotąd niewiedzieć, jaka była przyczyna pożaru.

Tegoż dnia i w tym samym obwodzie był pożar w Krzywczu, gdzie zgorzał dom włościanina Jana M., także i wszystko gospodarstwo do szczętu. Zdaje się, iż ogień był podłożony.

Jeszcze dnia 22 listopada takie były pożary: W Olesku w obwodzie złoczowskim na plebanii łacińskiej, gdzie zgorzały zabudowania gospodarskie i wszystko zboże. Szkody jest na 3000 reńskich, a jakiś niegodziwy człowieczysko podłożył ogień, zaco odpowie ciężko przed Panem Bogiem.

O samej nocy tego dnia wybuchł ogień w Brzozowie w obwodzie sanockim u gospodarza Wojciecha W. i zniszczył mu całe gospodarstwo a nawet 5 bydląt i czworo nierogacizny. Przyczyny także nie wiedzieć.

Naostatku w Kleparowie obwodzie lwowskim zgorzała stodoła gospodarza Jana G. ze zbożem, i także nie wiedzieć zkąd się wziął ogień.

Zaś 23 listopada wszczął się pożar w Kutach w obwodzie kołomyjskim a to przez nieostrożność służącej. Ogień zaczął się w domu kowala Andrzeja K., a potem zgorzała także szuszarnia buraków, należąca do fabryki cukru w Tłumaczu. Spaliło się 2000 cetn. suszonych buraków i skład drzewa, gdzie było 200 sągów wielkich.

Potem znowu w nocy z 24 na 25 listopada spalił się w Topinie w obwodzie przemyskim dom tamtejszego włościanina Filipa Z. Zdarzyło się przytem wielkie nieszczęście, bo zginął w ogniu mały syn owego gospodarza, Stanisław Także i tutaj nie wiedzieć, jaka była przyczyna ognia.

Naostatek z rana 25 listopada był ogień w miasteczku Nadwornie w obwodzie kołomyjskim, i spaliło się 3 domy. Zdaje się że temu winna była nieostrożność.

Przysłowia.

1. Trzy są rzeczy, które ludzi za nos wodzą, bojaźn i potrzeba; kto się czego spodziewa, da się użyć i łatwo nakłonić; kto się obawia, ten bywa tańszy; kto zaś mocno potrzebuje, nie może się długo zataić.

2. Nie od razu pozbędziesz się nałogu; na zadawnioną ranę długiego potrzeba leczenia.

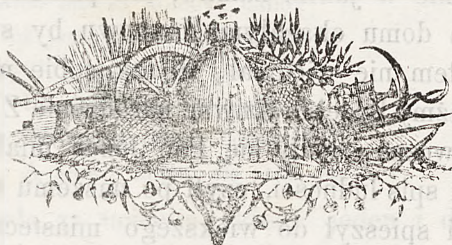
Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IX.



Nr. 18.

21. Grudnia 1863.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chrystus się nam narodził!

Już blisko cztery tysiące lat upływało, jak naród ludzki zgrzeszywszy jeszcze w raju przeciwko Panu Bogu, zapadał coraz bardziej w zbrodni i występki.

I tyleż lat upływało, jak Pan Bóg litościwy ku odkupieniu grzesznego rodzaju ludzkiego obiecał zesłać na ziemię swojego Syna jednorodzonego. Zbliżył się nareszcie ów czas, gdzie się wszystkie przepowiednie proroków ziściły, a Syn Boży miał nawiedzić ten świat zepsuty i występny, i narodzić się z ciała człowieczego.

I patrzno ludku mój kochany, kogo to sobie Pan Bóg litościwy wybrał za matkę dla swego Syna jedynego. Owoż nie królewnę, nie xiężnę, lub ta inną jaką panię z wysokiego rodu, ale cnotliwą, czystą dziewicę z niskiego stanu, najświętszą panienkę Maryę, co to była prostemu stolarzowi, świętemu Józefowi narzeczoną.

A gdzież to się narodziła owa dziecina niebieskiego pochodzenia, ów Pan Jezus miłosierny?.... A jużci pomyśli sobie nie jeden pewnie w jakim zamku, lub pałacu, lub ta przynajmniej w jakim domu okazałym. I znowu by się grubo pomylił ten, coby o tem nie wiedział, a tak sobie miarkował. Z tej też racyi rozważmy bliżej to dziwne narodzenie Zbawiciela świata.

Byłci naówczas, kiedy się Pan Jezus miał narodzić, w żydowskim kraju spis ludności, czyli po naszemu zwana konskrypcya. Jaki taki spieszył do większego miasteczka, ot niby to my dzisiaj do powiatu, aby się tam zapisać, i temu też najświętsza panienka Marya udała się z świętym Józefem do Betleem, co to sobie także było ot tak coś jak miasteczko powiatowe. A iż ci tutaj dla wielkiego natłoku ludności wszystkie domy były zapełnione, to też owa święta para ledwie z wielką biedą znalazła sobie jakiegoś poczciwego gospodarza na przedmieściu, i tutaj w szopie na sianie stanęła na nocleg, bo w chacie nie było już miejsca na palec. I owóż tej samej nocy w tej ubogiej szopce powiła najświętsza panienka Tego, o którym mówią ojcowie święci, że On ci był wyższym nad niebo, głębszym niż piekło, a szerszym od ziemi.

A komuż to najsamprzód oznajmił Pan Bóg o tem dziwnem narodzeniu swojego jedynego Syna?... Zdawałoby się, iż pewnie albo samemu królowi, albo przynajmniej jakiemu wysokiemu urzędnikowi lub arcykapłanowi, coby tę radośną nowinę po całym kraju kazał ogłosić. A owóż widzicie że nie tak się stało; bo nie mądrym, nie bogatym, nie możnym, ale prostaczkom i ubogim objawił Pan Bóg najsamprzód ową wieść wesołą. I pomiarkuj no to dobrze ludku kochany, jak to Pan łaskawy wielce nas umiłował. Zaledwie dzieciąteczko Jezus pierwszym krzykiem świat powitało, a jużci coprędzej ukazał się anioł śród wielkiej jasności nocującym na polu około swej trzody pasterzom, i zwiastuje im narodzenie tej Boskiej dzieciny. Ucieszyli też się setnie, ucieszyli owi nieboracy, kiedy każdy z nich wybrawszy czy to najpiękniejsze jagnie z swojej trzody, czy to gomułkę sera i masła, czy to nareszcie inny jaki podarunek, pospieszył czemprędzej do owej ubogiej szopy, aby się pokłonić niebieskiemu Panu, i złożyć mu jakie takie ofiary.

Ślicznie to spiewają w jednej pięknej kolędzie:

W nędznej szopie urodzony
Żłób mu za kolebkę dano,
Cóż jest, czem był otoczony?
Bydło, pasterze i siano.
Ubodzy! was to spotkało,
Witać go przed bogaczami.
A słowo ciałem się stało etc

A co to była za uciecha, kiedy jeden i drugi z pasterzy wyciągnął swoją fujarkę, i zaczął tej przenajświętszej rodzinie na chwałę tak cudnie wygrywać, że aż mała dziecina podnosiła rączki, i nóżkami z radości przebierała. Póżniej dopiero oznajmił Pan Bóg tę nowinę mędrcom i królom, a ci przybywszy do Betleem, oddali dary i pokłon, i wychwalali razem z wieśniakami Zbawiciela świata

Ztąd też ów dzień Bożego narodzenia święcono z dawien dawna po całym chrześcijańskim świecie Ale mówiąc po prawdzie, to taki w żadnym kraju nie obchodzono tego dnia tak pięknie, jak w naszej kochanej Polsce. Aż miło na sercu, gdy to człowiek zasłyszy, lub w jakiej starej xiążce wyczyta, jak to przykładnie spędzano u nas święta Bożego narodzenia. Ani pomyślić sobie nie możesz większej jedności, zgody, miłości i braterstwa, jaka wtedy panowała w naszym kraju. Gospodarz i sługa, pan i wieśniak zasiadali wtedy do jednego stołu, jednym łamali się opłatkiem, i razem spożywali dary Boże. Dlatego też i teraz uważamy to święto za nasze narodowe, i z większą je święcimy radością, aniżeli inne.

Przygotujmy więc i teraz świetlice chat naszych, połóżmy siano na stole, spożyjmy na niem wieczerzę, i weselmy się z narodzenia Pańskiego. I niechaj nie będzie ani sieroty, ani żebraka, ani sługi, coby razem z wami nie zasiadł do stołu, i jednym z wami nie łamał się chlebem. Podajmy sobie ręce wzajemnie, i niechaj odtąd nie będzie pomiędzy nami ani swarów, ani kłótni, ani nieufności; ale owszem zaufajmy tym, którzy o nasze cielesne i duchowne dobro staranie mają, i wedle możności garnijmy się chętnie do światła i nauki, jeźli się nam ku temu dobra nadarza sposobność. Stańmy się wszyscy jedną

wielką rodziną, pośród której Jezus Chrystus, ten gość dostojny, mógłby godnie zamieszkać. Oczyśćmy serca nasze z dawnych grzechów, otworzmy je dla prawdy i miłości, a wtedy możemy być pewni, że łaska Boża spłynie na chaty nasze i na kraj nasz ukochany, że i nam się narodzi zbawienie, i że Pan Jezus miłosierny wysłucha nasze prośby, o które go prosimy w jednej pięknej kolędzie:

Podnieś rękę Boże dziecię,
Błogosław nas tu na ziemi,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Bądź zawsze z Twymi wiernymi.
Dom nasz i majętność całą,
I Twoje wioski z miastami!
A słowo się ciałem stało
I mieszkało między nami!

Jacenty z Magierowa.

Przy łamaniu opłatków.

1. Smutno bracia, smutno w koło,
Dużo nieszczęść dziś na świecie;
By się bawił kto wesoło,
To już rzadko gdzie znajdziecie.

2. Każdy teraz oczy łzawi
Błaga z nieba pocieszenia,
Z myślą że nas Bóg wybawi
I oddali te cierpienia.

3. A więc Ojciec nasz niebieski,
Co pomagał dzieciom laszym,
Zsyła Syna, aby łezki
Otarł matkom, wdowom naszym.

4. Owoż z szczerą ojców wiarą
Dziś dziecinę powitajmy,
I modlitwą ojców starą —
O przyczynę ją błagajmy.

5. W małej rodzi się stajence,
Wieść roznoszą tę anieli —
Świat w niewinnej lśni sukience,
Toć i piersi dziś weselej.

6. Bracia! dziś przy bożym stole,
Zapomnijmy gniewu, złości,
I opłatki łammy w kole
W bratniej zgodzie i miłości.

7. Gdy się kochać będziem mili,
I pomagać sobie wzajem,
Dziecię Boże się przychyli —
Ziemię polską zrobi rajem.

8. Łaska Boża spłynie z góry,
Dawne czasy wspomnim sobie,
Da Bóg dożyć na rok wtóry —
Milej będzie jak w tej dobie.

Józef z Bochni.

Historya o liście gadającym i o Franku łasunie.

Pan dziedzic z Chrobądzin miał do usługi chłopaka Franka, okrótnego łasuna. Zresztą był to chłopak dobry, jeno trochę głupi, i na to nie sposób było zaradzić. Kiedy go pan chciał kazać uczyć na xiążce, to Franek aż płaczem wypraszał się od tego, i nic mu nie pomagały rozgądki i zachęcenia pana dziedzica. Otóż nie wyuczył się z xiążki, swojego rozumu także wiele nie chował w głowie, a łasotliwości to było już u niego za kilkunastu ludzi.

Że Franek łasun, o tem już każden wiedział i strzegł się go każden. Miał ci on za tę wadę nieraz przykrości dosyć, ba! i bicie bywało, ale to wszystko nic nie pomogło. Naprzykrzyło się to nareszcie wszystkim i panu samemu, więc zawołał go i tak mu powie:

— Słuchaj Franku! już cię nieraz napominałem i karałem za łakomstwo, a to nic nie pomagało. Dalej tak być nie może, i jeżeli wnet się nie poprawisz, to cię precz z domu mego nagonię, a jeszcze weźmiesz na drogę takie smarowanie, że popamiętasz ruski miesiąc.

Jął się Franek składać, że on to nie taki łasotliwy, że go ludzie jeno obmawiają i insze tam rozgadywał historye; zaś pan dziedzic powtórzył mu jeszcze raz, że jak się na nim co pokaże, to pewnikiem wyleci z domn i to nie na sucho.

Otóż jakiś czas było cicho, i zdało się że się Franek na prawdę opamiętał. Ale że to natura ciągnie wilka do lasu, jak powiada przysłowie, więc i jego pociągnęło niebawem łakomstwo do nowych grzechów i do nowych psot różnych. Uchodziło mu to znowu jakoś, bo go nikt na gorącym uczynku nie mógł złapać. Zaś iż tylko do czasu dzban wodę nosi, więc i na Franka przyszła kreska jak na Matyska, a to tym sposobem.

Pan dziedzic z Chrobądzin lubił okrótnie owoce, i chodował przy dworze piękny bardzo sad, a w nim różnych jabłek i gruszek i innych owoców ślicznych mnóstwo. Była to okrótna pokusa dla łakomego Franka, i jużci nieraz byłby się skusił do sadu, jeno że tam uważał zawsze czujny ogrodnik i dwa

psy okrótne a jeszcze czujniejsze. Więc tylko łaził zawsze Franek do koła ogrodu, i oblizywał się jak to mówią od ucha do ucha, a ślinę połykał jakby specyał jaki.

Aż tu razu jednego woła pan dziedzic Franka i powie mu:

— Słuchaj chłopcze, ten kosz z jabłkami zaniesiesz do mojej matki w Zagórze, a pamiętaj żeby tam co nie zginęło z kosza w drodze.

— Pewnikiem nic nie zginie — mówił Franek — i już pan mogą być spokojni.

— Zobaczymy — rzeknie pan dziedzic — a to masz list i oddaj jejmości.

Wziął Franek list, założył go za wstążkę od kapelusza, na plecy chwycił kosz z jabłkami i ruszył do Zagórki

Szła droga najpierw polami i było dość gorąco. Franek zmęczył się nieco, a kiedy wszedł w las, to wnet usiadł na pieńku aby odpocząć. Kosz z jabłkami postawił przed sobą i jął się przypatrywać owocom. Jabłka były śliczne, czerwone jak piwonie, i pachły cudownie, Franka mgliło coś w żołądku i mówi sobie:

— Ot gorąco aż mgli, a niema nawet wody napić się.

Wtem spojrzał na kosz z jabłkami, westchnął i powie sobie znowu:

— Żebyto bodaj jedno jabłuszko można zjeść, toby człeka wnet orzeźwiło. No a toć jedno jabłko nie wielka rzecz i nikt nie pozna. Zaś i coby tam mieli robić harmider o jedno jabłko? A i któż zobaczy? Tu niema nikogo, więc jak się nie przyznam, to nic nie będzie. Ot taki zjem jedno.

Mówiąc to chwycił Franek za największe i najpiękniejsze, i wnet go zchrupotał. Ale ba! za jednem poszło wnet drugie, i trzecie i tak dalej. Nie opamiętał się Franek aż zjadł dwadzieścia co najpiękniejszych jabłek. Wtedy zasadził kosz na plecy i ruszył z resztą do Zagórki.

Kiedy tam przyszedł, siedziała pani w ganku. Franek pokłonił się i oddał najpierw kosz z jabłkami ale już nie pełny, co panią zdziwiło, a dalej oddał list. Przeczytała pani list, potem zacznie liczyć jabłka i zawoła zdziwiona:

— A to co? a gdzie jeszcze 20 jabłek?

Franek poczerwieniał i mówi:

— A któż powiada żeby tu miało być jeszcze dwadzieścia, kiedy nie było?

— Nieprawda — powie pani — mnie list powiada, i tak wyraźnie, żeś ty łasunie zjadł dwadzieścia jabłek.

Na to zafrasował się Franek okrótnie i myśli sobie:

— Otóż to głupiec ze mnie, żem zostawił list na wierzchu, a ten bestya widział wszystko i zaraz wygadał. No już ja drugi raz tego nie zrobię.

Potem zaczął przepraszać panią, zaczął obiecywać że już tego drugi raz nie zrobi, żeby pani tylko nic panu dziedzicowi nie donosiła, bo inaczej on straci służbę. Ulitowała się nad nim dobra pani, i zrobiła tak jak prosił, a Franek wesoło i z dobrą fantazyą wrócił do domu.

Cosik w tydzień trafiło się, że pan znowu posłał Franka z jabłkami do Zagórki, i znowu dał mu list. Franek z początku chciał uczciwie się sprawić, i aż do lasku idąc, ani jednego owocu nie ruszył. Aż kiedy przyszedł wedle onego pniaku, gdzieto sobie taki bal był sprawił, skusiło go okrótnie i rady sobie dać nie mógł. Siądzie więc najpierw na pniaku i medytuje patrząc na jabłka, zaś naostatek rzeknie do siebie:

— Już teraz nie głupim pokazać listowi, co ja robić będę. Takiś ty bratku papla, że ludzi obgadujesz, to będziesz miał dobrą karą za swoje adanie.

Powiedziawszy to wstał z pniaka, i położył list na niego, a potem siadł i zasłonił go doskonale, mówiąc:

— Już teraz nie będziesz nic widział, i nie potrafisz rozpowiedzieć pani że ja zjadłem jabłka.

Wziął się więc do jedzenia, i niebawem znowu dwadzieścia jabłek z kosza ubyło. Potem zabrał się znowu w drogę, i wnet jak pierwszą razą stanął przed panią w Zagórce z dobrą fantazyą.

Pani przeczytała list, porachowała jabłka i z gniewem już zawołała:

— Takiś ty łasunie! a to obiecywałeś poprawę i znowu brakuje dwadzieścia jabłek, coś je zjadł w drodze.

Franek zadziwił się okrótnie i powie:

— Proszę wielmożnej pani, a to kto znowu powiedział?

— Kto — rzeknie pani — list, widzisz? — powiedziała pokazując mu pisanie pana dziedzica.

— Niechże wielmożna pani pozwoli mi ten list a ja się jego spytam — rzeknie Franek.

Zdziwiona pani podała mu list, a on przyłożył go do ucha i słuchał.

— Co ty robisz? — zapytała pani.

— A słucham, czy list powiada co — rzeknie Franek — ale nic nie słychać.

Zaczęła się pani śmiać okrótnie, a Franek zadziwił się jeszcze bardziej i stanął już całkiem głupi.

Naostatek powie mu pani:

— Widzisz Franku, jaki ty nierozumny. To ty myślisz że list gada gębą jak człowiek czy co?

— No jużci — powie Franek — i dla tego przysiadłem go do pniaku, aby nic nie widział, a ta bestya przecież wygadała wszyćko.

Pani zaczęła się na nowo śmiać okrótnie z głupiego Franka, a na ostatek tak mu powie:

— Widzisz, gdybyś był się uczył na xiążce jak pan chciał, tobyś taki głupi nie był, i nie myślałbyś że list widzi i gada, kiedy nie ma oczy ani gęby; przecież list to jeno papier nieżyjący, a ludzie tylko tym sposobem dowiadują się coś z niego, że umieją czytać jak tam napisano.

— Aha! — zawołał Franek — no to już teraz miarkuję jak to idzie.

— Szkoda — powie pani — żeś tego pierwej nie zmiarkował, a byłoby cię to uchroniło od niejednego łakomstwa i grzechu.

Takito moi mili, głupi był Franek, a teraz wam jeszcze dopowiem koniec historyi. Kiedy Franek na prawdę szczerze przyobiecał poprawę, darowała mu pani i tą jeszcze razą winę, i wzięła go nawet do siebie na usługi. Tu go kazała uczyć na xiążce i katechizmu i nauki świętej, i sama go nieraz nauczała pięknie, najbardziej jaka to rzecz sromotna grzeszyć,

i takci z niego pomału zrobiła porządnego człeka. Ów łasun i łakomca stał się uczciwym i wiernym, cudzego nigdy nie tknął i drugich jeszcze odwracał od grzechu.

— A co to zrobiło? — pytacie.

Oto moi mili nauka, bo przez naukę człek staje sie rozumniejszy, i wie już dobrze co dobre a co złe, co zasługa i cnota a co grzech. Kiedy to człowiek wie, kiedy podług tego żyje, to wnet lepszym się staje. Tak moi mili zawsze się sprawdza przysłowie, że nauka daje rozum a rozum szczęście, bo jużci nie wczem innem jest prawdziwe szczęście, jak tylko w dobrem i poczciwem życiu.

Pamiętajcież o tem dobrze moi mili bracia, nie uciekajcie od nauki, ale jak tylko jest okazya to się o nią starajcie, bo w niej znajdziecie zawsze wasze dobro.

Miłość Ojczyzny.

Każden człowiek a już najbardziej każden Polak kocha swoją Ojczyznę, choć ta czasami nie wie nawet o tej miłości swojej i nie wie nieraz co ona znaczy. Jakoż nie jeden z was moi mili gotów zapytać, co to jest miłość ojczyzny?

Przypomnij sobie najpierw człeku miły, jak z tobą bywało, kiedyś dłuższy czas musiał zostawać z daleka od domu twego. Więc najpierw często przypominałeś sobie i myślałeś o tym domku miłym, o chacie ojcowskiej, o drzewach koło niej, więc i o kościółku wiejskim i o całej wsi. Nieraz bywało zadumałeś się w takich myślach, i było ci milej. A już coraz więcej brała tęsknota, aby znowu tę chatę zobaczyć, i tę wioskę całą, i swojaków. I nieraz aż łzy się cisnęły do oczu, że tego uczynić nie można, że trzeba czekać i nie widzieć ich. Zaś kiedy przyszedł czas, iż znowu wracałeś do chaty ojcowskiej i do wioski rodzinnej, toż tam było w sercu twoim uciechy i wesołości. Świat cały zdawał się piękniejszym, i już radbyś ucałować każdę stopę ziemi tej miłej wioski rodzinnej.

A czemże to się tak działo, czemu tak tęskniłeś za tą biedną chatką, i za tą wioską, czemu tak radowałeś się z powrotu?

Działo się to z miłości miły bracie, boć ty kochasz ten domek i tę wioskę rodzinną.

Cóż dopiero dzieje się człekowi, kiedy mu wypadnie pójść hen w kraje dalekie, w obczyznę, gdzieto ani szczypty polskiej ziemi nie zobaczysz, ani głosu polskiego nie usłyszysz. Oj! toć tam nieraz serce pęka człowiekowi z żalu i tęsknicy, toć wszystko sobie człek obmierzi, i niemiłe mu już największe bogactwa, i niemiłe mu już wszystkie piękności i ciekawości, i ciągle tylko wspomina sobie kraj ojczysty, i najszczęśliwszy jest, kiedy sobie o nim może myśleć spokojnie.

Toć zdarza się często, że kiedy człowiekowi wypadnie długo zabawić w takiej cudzej ziemi, to już mu na serce przyjdzie taki żal i taka tęsknota, że tam porzuci największe bogactwa, a o kiju i o żebranym chlebie wlecze się do kraju swojego, aby raz jeszcze ujrzeć Ojczyznę i bodaj kości złożyć w ziemi rodzinnej.

Kiedy nieraz Moskale znęcali się okrótnie nad Polakami, to ci biedni musieli uciekać z Ojczyzny do obcych krajów. I tam im dobrze było, bo ludzie tameczni dobrzy i miłosierni, i jak braci przyjmowali ich u siebie. A przecież niejeden Polak niemógł sobie dać rady z tęsknotą, i wracał nazad do kraju, chociaż wiedział że go tam jeno okrócieństwo moskiewskie i śmierć sroga czeka. A inny, kiedy żadnym sposobem wrócić nie mógł, to rozchorował się ciężko i umarł z tęsknoty. I wielu biednych Polaków umarło tak z tęsknoty za Ojczyzną w obcych krajach, i wielom serce pękło z tej tęsknoty.

Zkądże się to wszystko bierze?

Oto moi mili z miłości Ojczyzny, bo każden Polak kocha ją więcej nad wszystko, nad matkę rodzoną nawet kocha ją więcej i nad życie swoje.

Pan Bóg sam włożył miłość Ojczyzny w serce każdego człowieka, i dlatego też jest ona taka silna i taka wielka.

Teraz pomyślcie moi bracia co czynić należy dla tej miłości Ojczyzny?

Oto jak dobre dziecko pragnie i stara się, aby się matce jego dobrze powodziło, tak i dobrzy synowie pragnąć i starać się powinni dla Ojczyzny o najlepsze powodzenie.

Ojczyzna ma się wtenczas dobrze, jeżeli obywale kraju są ludzie zacni i poczciwi, jeżeli kraj ma swobody i wolność. Wolność jest w tem, aby każden mógł żyć spokojnie wedle swojej religii, aby mógł używać swego języka zawsze i wszędzie, aby mógł zachować obyczaje i zwyczaje ojców swych.

Obywatele kraju powinni się starać, aby tak zawsze było. Każden powinien szanować obyczaje ojców, ich strój i sposób życia; powinien szanować i kochać religię swoją, naśladować dawną pobożność, obchodzić religijne pamiątki; powinien na ostatek kochać swój język i używać go zawsze.

W tem wszystkiem jest miłość Ojczyzny.

Dalej jest ona także w tem, jeżeli ludzie chcą i starają się, aby Ojczyzna ich była bogatą i światłą.

Bogatą jest Ojczyzna wtenczas, jeżeli wszyscy gorliwie pracują, każden wedle tego jak może i jak umie. Otóż powinien każden starać się, ażeby nabywać i mnożyć majątek uczciwym sposobem, aby zachowywać się trzeźwo, gospodarnie i zapobiegliwie, nie marnować pieniędzy i dobytku na próżno. Każden powinien zachowywać ojcowiznę, a nigdy nie oddawać ją ludziom obcym, nie sprzedawać zawołokom jakim. I zawsze powinien każden najbardziej pamiętać, że najważniejszą rzeczą jest trzeźwość i pracowitość, że w nich jest największe bogactwo gospodarza.

Światłą czyli rozumną jest wtenczas Ojczyzna, jeżeli mieszkańcy jej starają się o rozum i naukę.

Otóż wedle tego powinni wszyscy, tak panowie jak mieszczanie i wieśniacy starać się o zakładanie dobrych szkół, o dobrych nauczycieli i o to, ażeby dzieci się uczyły, powinni kupować i czytywać różne piękne xiążki i gazety, ucząc się z nich co jest dobrego i użytecznego. Wiecie że nauka daje rozum, a rozum daje prawdziwe szczęście i majątek. Toć i Ojczyzna wtedy jest dopiero szczęśliwa i bogata prawdziwie, gdy jej obywatele są ludzie rozumni i zacni. Kto się stara aby takim był, ten kocha prawdziwie swoją Ojczyznę.

Naostatek jest jeszcze miłość Ojczyzny i w tem, jeżeli wszyscy kochają się między sobą, jeżeli pan i kmieć i mieszczanin żyją w zgodzie i miłości. Ojczyzna to jedna matka,

a oni wszyscy to jej dzieci rodzone. Otóż jak matka cierpi i boleje, jeżeli dzieci jej żyją w niezgodzie, tak i Ojczyzna cierpi na tem, jeżeli dzieci jej swarzą się między sobą i nie miłują jak Bóg przykazał.

Bracia moi! ta piękna cudowna kraina Polska, którą każdy kocha, za której dobro tyle już zginęło i tylu gotowych jest umrzeć, to nasza matka! A my wszyscy co wniej mieszkamy, co Polakami jesteśmy, to my jej dzieci rodzone Pan Bóg dał nam cudowną krainę za Ojczyznę i dał nam wielką dla niej miłość; otóż bądźmy godnymi tej Ojczyzny, miłujmy ją wszelkim sposobem, starajmy się o jej dobro, o jej bogactwo i światło, a Bóg wonczas pobłogosławi nas. I naonczas dopiero będzie wolność prawdziwa i szczęście prawdziwe w naszej Ojczyźnie, będzie prawdziwe szczęście dla nas wszystkich, gdy będzie między nami światło, rozum i bogactwo, miłość i zgoda.

Sposób na wróżbiarstwo.

Że wróżenie jest to tylko oszukaństwo a nie żadna rzecz uczciwa, to już o tem wie każden człowiek rozsądny. Przecież lubią ludziska jeszcze strasznie wierzyć w różne takie czarowania, i lada wykpigrosz, pijanica i oszust, najlepszym ludziom głowy zatumani. Stało się tak niedawnemi czasy w Babileżach, gdzie gromada jest zacna i uczciwa, a przecież dała się zbałamucić jednej cygance takiej. Pewnego razu zaszła tam babina już dosyć stara, z okrótnym nosem czerwonym z upijania się i ze sługą, która jej niby do pomocy była. Otóż najęły sobie chatę, i babina owa co na imie miała Feśka, jęła się bawić we wróżenie i tumanienie ludzi.

Z początku to jakoś nie szło gromadzie po myśli, bo ludzie wiedzieli z nauki, że to wszystko jeno tumany a żadna sprawa uczciwa. Zaś pomału jeden i drugi poszedł z ciekawości, a kiedy Feśka każdemu powiedziała, z czem on przyszedł, i po co, to już nie jeden zdziwował się, drugi całkiem uwierzył i rozgadywał potem po wsi niestworzone rzeczy o rozumie czarownicy.

Otóż zaczęli ludziska łazić do niej jak z procesyą, a Feśce coraz lepiej się działo, i grosza już nie mało zebrała z cygaństwa. Miała ona taki sposób na wyzwiadki. Kiedy kto przyszedł do niej, to jej nigdy doma nie było, jeno owa sługa, która zaraz tak mówiła:

— Oto nie ma matuli doma, poszli zioła zbierać po polach, ale już wnet nadejdą, bo im cosik powiedziało żeście tu przyszli i poco.

Potem zaczęła zamawiać owego gościa, i tak pomału wypytywać po co on przyszedł i zaczem. Więc ten wygadawszy się, wypowiedział jej wszystko pięknie, myśląc że go tylko sługa słucha a że czarownicy nie ma. Feśka tymczasem siedziała zawsze w komorze i słuchała pięknie, a jak się już dowiedziała co jej było potrzeba, więc wylazła oknem, pobiegła do ogrodu, narwała jakich chwastów do podołka, i nibyto z pola wracała do domu. Zaś kiedy jeno przyszła do chaty, wnet zaczęła pytlować:

— Aha! to wy, a już ja wiem pocoście tu przyszli i powiadać mi nie potrzebujecie.

I wnet mu rozpowiedziała dokładnie całą sprawę, za jaką przyszedł, i tak go obałamuciła, że ten myślał pewnikiem, iż to ona wie z czarunku, bo nie spodziewał się, aby go oszukaństwem podsłuchała jak rozmawiał ze sługą. Więc już całkiem uwierzył w jej gadanie, i prosił o radę, i płacił dobrze, choć się to na nic nie zdało.

Tym sposobem potrafiła Feśka zrobić sobie rumor nie tylko w Babileżach, ale i w całej okolicy, i zwlekali się do niej ludziska z drugiej i z trzeciej wsi, i było dosyć obrazy boskiej a grzechu.

Xiądz proboszcz i pan dziedzic perswadowali a gadali, i nic nie pomogło, a kiedy na ostatku chciał pan dziedzic wypędzić cygankę, to prawie cała gromada prosiła i prosiła za nią, tak że sposobu z nimi nie było. X. proboszcz odprawił dwie mszy na intencyę, aby się ludowina opamiętał, a pan dziedzic powiedział nareszcie, że gotów dać w nagrodę parę najpiękniejszych wołów temu, kto rozumnym jakim sposobem potrafi przekonać gromadę i zawstydzić czarownicę.

Był zaś u dworu parobczak pewien Walek Szydło, bardzo zmyślny, który śmiał się zawsze z czarownicy i z tych co w nią wierzyli, a na ostatek wziął cosik przed się, aby jej końca dojechać. Otóż namówił się z wójtem Wojciechem Czubą, na taką sprawę. Obaj mieli pójść do czarownicy, aby ją prosić o radę na to, że Walkowi konia jednego dworskiego ukradziono, który był w jego fornalce. Więc namówili się, że ten koń miał być kary z białą strzałką na czole, jakiego nie było w całej stajni dworskiej. Jeżeli więc czarownica nie zmiarkuje, że to zmyślenie, otóż będzie dowód, iż jest cyganka i o niczem nie wie.

Poszli tak razem, bo wójt miał być za świadka, i po zwyczaju nie zastali czarownicy doma a jeno jej sługę. Ta powie im zaraz:

— Oho! niema matuli doma, ale zaczekajta chwilkę a wnet nadejdą, bo im pewnikiem cosik powiedziało, żeście przyszli i z jaką sprawą.

Na to mówi wójt Wojciech:

— No to cudowne rzeczy jeśli tak pewno.

— O pewno, pewno — prawi sługa — i zobaczyta wnet jak matula wam rozpowiedzą, z czym przyszliście. A co też to wam się stało moi mili, że was aż tu przygnało.

— Ot nieszczęście — mówi Walek — konia mi ukradli z dworskiej fornalki.

— Konia? — pyta sługa — a to bieda, i jakiegożto konia?

— Karego — powie Walek — z białą strzałką na czole.

— Oj to nieszczęście — gada ciągle sługa — i dawno wam się to przytrafiło?

— A ot wczoraj z północka — mówi Walek — i sam już nie wiem gdzie go szukać.

— No, nie frasujcie się — powie sługa — matula wam pomoże, zobaczycie.

Tymczasem Walek mało się nie udusił ze śmiechu i ze złości, tak go gniewało to cygaństwo. A Feśka wysłuchawszy wszystkiego w komorze, wybiegła do ogrodu, narwała jakichś chwastów i dalej wali do chałupy.

— Aha! goście — zacznie pytlować — a to już o was wiedziałam jeszcze na polu, jak mi coś powiedziało, i wiem już po coście przyszli bez waszego gadania, już ja tak wiem o wszystkiem. Oto wam Walku konia ukradli fornalskiego, a był on koń z białą strzałką na czole, i stało się to onegdaj z północka. A co może nie? może ja nie wiem wszystkiego?

Poznali zaraz wójt z Wojtkiem, iż baba szalbierzyła, więc rzekną jej wnet.

— No i cóż więcej jeszcze wiecie?

— A co? wiem wszystko — powie Feśka — i wiem co się z owym koniem stało.

— O kiedy tak — rzeknie wójt — to pewnie wiecie, co się i z wami stanie niebawem.

— A jużci że wiem — powie baba uradowana — wiem że że mi za powrócenie i odszukanie zguby dobrze zapłacicie.

— No toście się pomylili tą razą — rzeknie wójt — bo teraz weźniemy was do więzienia za szalbierstwo i oszustwo. Zguby żadnej nie było, a w komorze dobrze słychać co się tu mówi.

Zaczną baby wykrzykiwać i narzekać, ale to się wszystko na nic nie zdało, i zaprowadzono je obie do więzienia. Zaś kiedy się cała historya rozeszła pomiędzy ludzi, jaki taki wstydził się dawniejszej głupoty, iż wierzył cygance, i już od tego czasu w Babileżach ani dziecko żadne nie da sobie gadać o czarach i wróżbiarstwie. Zaś Walek otrzymał od pana dziedzica parę ślicznych wołów siwych, niebawem doszedł do całej gospodarki, jest gazdą zacnym i dzielnym, a cała gromada wdzięczną mu jest za naukę jego zmyślną.

Przypowiednie gospodarskie.

1. Jeżeli chcesz, aby twoja czeladź rano wstawała, wstawaj najranniej a legaj najpoźniej.

2. Czem więcej paszy, tem więcej nawozu; czem więcej nawozu, tem płodniejsza rola, tem bogatszy plon.

3. Nie wszystko złoto co się świeci, i nie każda rola czarna jest urodzajną.

4. Lada jakiemu gospodarzowi nie pomogą i najlepsze narzędzia.



RÓŻNOŚCI.

Pies dobroczynny. Bywa między ludźmi nieraz, iż są nieuczynni i niemiłosierni. Otóż patrzcie moi mili, jak to takich zawstydzić mogą zwierzęta nawet. Piszą teraz, iż jest pies w Paryżu, gdzie to mieszka wielki cesarz francuzki Napoleon, któryto pies jest dziwnie poczciwy i miłosierny. Jest on wyuczony tak, że go codzień posyłają po bułki. Pies idzie z koszykiem do piekarza, tam mu włożą pieczywo, a on bierze koszyk w zęby i niesie prosto do domu. Nigdy też nie wziął i nie zjadł sam ani jednej bułki. Aż tu naraz uważają, że zawsze brakuje jednej bułki. Trudno psa wypytywać, bo nic się od niego dowiedzieć nie można. Otóż posłali za nim kilka razy chłopca, aby uważał co się stanie. Patrzy tedy chłopiec, aż tu psisko poczciwe prosto od piekarza idzie w boczną ulicę, gdzie leżała w budzie biedna suka ze szczenięciem, i rzuca jej jedną bułkę.

Taki to pies ten miłosierny, a choć on nie swoje dawał, to i dziwić się nie można, boć on przecie nie rozumie dobrze co należy uczynić. Zawsze to jednak dobra nauka dla ludzi skąpych, nieużytych i niemiłosiernych.

☞ *Posyłamy wam mili ludzie ostatni numerek dziewiątego tomu Dzwonka, a także spis rzeczy i okładzinkę. Zaś od Nowego roku będzie Dzwonek znowu po dawnemu wychodzić, i po dawnemu tylko dwa reńskie na cały rok, a jeden reński na pół roku kosztuje. Otóż kto ma ochotę i nadal Dzwonek odbierać, niech spiesznie przyszle pieniądze, abyśmy wiedzieli, komu należy posyłać! Także proszę was mili bracia, abyście mi donosili o wszystkich ważniejszych sprawach, najbardziej o takich, które warto aby wszyscy poznali, i z których może być dla ludzi dobry pożytek i nauka. Zaś my będziemy wam po dawnemu pisali o różnych ciekawościach, i będziemy się starali, aby Dzwonek był coraz ciekawszy i coraz większy pożytek abyście mieli z niego. Więc teraz zostawiam was z Panem Bogiem.*

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**